

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



**PRZYGODY
SHERLOCKA
HOLMESA**

Artur Conan – Doyle

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

PIES BASKERVILLE'ÓW

Rozdział I

Sherlock Holmes

Tego ranka mój przyjaciel siedział przy stole w jadalni. Ja oglądałem przy kominku laskę, zostawioną poprzedniego wieczora przez nieznanego nam gościa. Była to ładna, mocna laska z dużą gałką, okolona u dołu szeroką obrączką z napisem: „Jakubów Mortimerowi, MRCS, od przyjaciół z C.C.H” oraz datą: 1884. Laska pełna godności, poważna, przypominała te, jakie dawniej nosili lekarze domowi.

– I cóż, Watsonie – odezwał się do mnie Holmes – jakie wysnuwasz wnioski ze swoich oględzin?

Holmes siedział obrócony do mnie plecami, nie widział, czym byłem zajęty.

– Skąd wiesz, co robię? Gotów jestem uwierzyć, że masz oczy z tyłu głowy.

– Nie, ale mam przed sobą srebrny imbryk, wypolerowany jak zwierciadło – odparł.

– Powiedz mi więc, jakie refleksje budzi w tobie laska naszego gościa? Skoro nie zastał nas wczoraj i nie mamy pojęcia, jaki mógł być cel jego odwiedzin, ta przypadkowa pamiątka nabiera znaczenia. Niechże się dowiem, co wnosisz z tego kawałka drewna o jego właścicielu?

– Sądzę – odpowiedziałem, stosując w miarę możliwości metodę swego przyjaciela – że doktor Mortimer jest starszym, wziętym i bardzo poważanym lekarzem, skoro znajomi obdarzyli go takim dowodem uznania.

– Dobrze – rzekł Holmes. – Wyśmienicie.

– Sądzę także, iż, według wszelkiego prawdopodobieństwa, doktor Mortimer jest lekarzem wiejskim, odwiedzającym swoich chorych przeważnie pieszo.

– Dlaczego?

– Dlatego, że laska kiedyś była bardzo ładna, a teraz wydaje się zniszczona – nie wyobrażam jej sobie w rękach lekarza miejskiego. Żelazne okucie na końcu jest tak ścięte, że niewątpliwie kij służy doktorowi do częstych przechadzek.

– Doskonale, zupełnie słusznie! – przytakiwał Holmes.

– Poza tym są tu jeszcze wyrazy: „Od przyjaciół z C.C.H.” Odgaduję, że chodzi tu o jakieś miejscowe stowarzyszenie łowieckie... Doktor leczył pewnie członków tego stowarzyszenia, a oni, w dowód wdzięczności, ofiarowali mu ten drobny upominek.

– Watsonie, przechodzisz samego siebie – rzekł Holmes, odsuwając krzesło i zapalając papierosa. – Muszę przyznać, że we wszystkich raportach, jakie przygotowałeś łaskawie z moich skromnych prac, nie doceniłeś własnych zdolności. Nie jesteś może sam przez się jaśniejącą pochodnią, ale doskonały z ciebie przewodnik w poszukiwaniu światła. Są ludzie, którzy, nie będąc obdarzeni geniuszem, posiadają jednak talent budzenia go u innych. Wyznaję, mój drogi, jestem twoim dłużnikiem.

Holmes nigdy jeszcze nie przemawiał do mnie w ten sposób i muszę przyznać, że jego słowa sprawiły mi wielką przyjemność. Często bywałem dotknięty jego obojętnością zarówno dla mego podziwu, jak i dla moich usiłowań, zmierzających do rozpowszechnienia jego metody dedukcji. Teraz czułem dumę. Zdobyłem uznanie Holmesa.

Po chwili mój przyjaciel wziął mi z rąk laskę i zaczął ją pilnie oglądać. Nagle rzucił papierosa, podszedł do okna i zabrał się do badania laski przez lupę.

– Ciekawe, chociaż proste – rzekł, powracając na kanapę, gdzie usiadł w ulubionym zagłębieniu. – Dostrzegam na tej lasce parę wskazówek...

– Czyżby coś uszło mojej uwagi? – spytałem z pewnym niedowierzaniem. – Nie sądzę, żebym ominął jakiś ważny szczegół.

– Chyba większość twoich wniosków jest mylna. Gdy mówiłem, że stanowisz dla mnie podniecie, znaczyło to, iż stwierdzenie twoich pomyłek doprowadza mnie przypadkowo do odkrywania prawdy. Nie mylisz się co do istoty rzeczy. Właściciel laski jest niewątpliwie lekarzem wiejskim i dużo chodzi pieszo.

– Miałem zatem rację.

– Tak jest, pod tym względem.

– I to wszystko?

– Nie, nie mój drogi, nie wszystko... bynajmniej. Tylko, widzisz, mnie się na przykład zdaje, że prawdopodobnie ofiarowana doktorowi laska pochodzi raczej od zespołu szpitalnego niż od stowarzyszenia łowieckiego. Litery „C.C.” – to niewątpliwie „Charing Cross”.

– Może masz słuszość.

– Moje wyjaśnienie ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa i, jeśli przyjmiemy tę hipotezę, mamy nową przesłankę, która pozwoli nam odtworzyć osobowość naszego nieznanego gościa.

– Dobrze, przypuśćmy, że C.C.H. znaczy „Charing Cross Hospital”, jakie inne wnioski można z tego wysnuć?

– Czyż nie nasuwa ci się żaden? Znasz moją metodę. Zastosuj ją!

– Jedynym oczywistym wnioskiem jest fakt, że nasz nieznanomy praktykował w mieście, zanim przeniósł się na wieś.

– Posuńmy się dalej w naszych przypuszczeniach i idźmy ciągle tym śladem. Co najpraw-

dopodobniej dało sposobność do ofiarowania tego podarunku? Kiedy przyjaciele Mortimera zebrali składkę na upominek? Niewątpliwie miało to miejsce w chwili gdy doktor opuszczał szpital, żeby rozpocząć praktykę na własną rękę. Wiemy już, był to podarunek. Najpewniej doktor porzucił miejski szpital dla wiejskiej praktyki. Czy zatem zbyt śmiało byłoby nasze twierdzenie, że podarunek ofiarowano właśnie z powodu zmiany sposobu życia?

– Jest to bardzo prawdopodobne.

– A teraz, zechciej zauważyć, doktor Mortimer nie mógł należeć do zespołu stałych lekarzy szpitalnych. Na te posady powoływani są tylko pierwszorzędni lekarze londyńscy, a ci nie przenoszą się nigdy na wieś. Kimże był zatem? Lekarzem asystentem, czyli zajmował stanowisko niewiele wyższe niż starsi studenci. Opuścił zaś szpital przed pięciu laty, masz datę na lasce. Tak więc, twój poważny doktor w średnim wieku znika jak widmo, mój drogi, a na jego miejscu ukazuje nam się trzydziestolatek, miły, skromny, roztargniony i posiadający psa, którego określiłbym mniej więcej jako większego od jamnika a mniejszego od brytana.

Uśmiechałem się z niedowierzaniem, gdy Holmes przechylił się w tył, puszczając pod sufit kółka dymu.

– Nie mam sposobu zbiccia tego ostatniego wywodu – rzekłem – ale nic łatwiejszego niż dowiedzieć się szczegółów, dotyczących wieku i kariery zawodowej doktora.

Zbliżyłem się do biblioteki, wziąłem z półki Przewodnik lekarski i odszukałem literę M. Znalazłem kilku Mortimerów, jeden z nich mógł być naszym gościem. Przeczytałem głośno:

„Motrimer Jakub, M. R. C. S. 1882; Grimpen, Dartmoor, Devon. Asystent–chirurg w szpitalu Charing Cross od 1882 do 1884. Laureat nagrody Jacksona za pracę z dziedziny patologii porównawczej Czy dziedziczność jest chorobą?. Członek–korespondent szwedzkiego Towarzystwa Patologicznego. Autor Kilku kaprysów atawizmu («The Lancet», 1882) Czy idziemy z postępem? («Journal of Psychology», marzec 1883). Lekarz rządowy gmin: Grimpen, Thornsley i High –Barrow”.

– A więc o stowarzyszeniu łowieckim ani wzmianki – rzekł Holmes z drwiącym uśmiechem – ale jest lekarz wiejski, jak sprytnie wnioskowałeś. Chyba moje wywody się potwierdzą. Co do przymiotników, powiedziałem, jeśli się nie mylę: miły, skromny, roztargniony. Otóż doświadczenie nauczyło mnie, że podarunki otrzymuje na tym świecie tylko człowiek miły, jedynie skromny opuszcza Londyn dla osiedlenia się na wsi, a tylko roztargniony zostawi ci laskę zamiast karty wizytowej po godzinnym czekaniu w twoim salonie.

– A pies?

– Pies nosi zazwyczaj laskę swego pana. Ponieważ jest ciężka, przeto pies trzymają mocno w środku, a ślady jego kłów są wyraźnie widoczne. Wskazują one, moim zdaniem, że szczęka jest za duża na jamnika, a za mała na brytana. To może... tak, do licha, to jest wyżeł!

Mówiąc to Holmes wstał i krążył po pokoju; naraz zatrzymał się przed oknem, a w głosie jego dźwięczała taka stanowczość, iż spojrzałem na niego zdumiony.

– Mój drogi, skąd ta pewność?

– Stąd po prostu, że widzę tego psa u naszych drzwi, a głos dzwonka oznajmia jego pana. Nie odchodź, proszę cię, Watsonie. To przecież twój kolega zawodowy, twoja obecność może być użyteczna. Oto dramatyczna chwila losu: słyszysz na schodach kroki człowieka, wchodzącego w twoje życie i nie wiesz, co ci przyniesie; złą czy dobrą dolę. Czego może, chcieć doktor Jakub Mortimer, człowiek nauki, od Sherlocka Holmesa, specjalisty w kryminalistyce? Proszę!

Postać naszego gościa przejęła mnie zdumieniem, gdyż spodziewałem się ujrzeć typowego lekarza wiejskiego. Doktor Mortimer był zaś bardzo wysoki, szczupły, miał długi nos, zakrzywiony jak haczyk, wystający między parą oczu szarych, przenikliwych, bardzo blisko osadzonych i iskrzących się za okularami w złotej oprawie. Ubrany był w tradycyjny, choć nieco zaniedbany strój, przyjęty przez lekarzy; jego surdut był wytarty, spodnie w dole obszarpane. Jakkolwiek młody jeszcze, plecy miał zgarbione, głowę pochyloną naprzód; na jego twarzy malowała się wielka dobroduszość.

Wchodząc spostrzegł laskę w ręku Holmesa i rzucił się ku niemu z radosnym okrzykiem.

– Co za szczęście! – rzekł. – Nie byłem pewien, gdzie ją zostawiłem, tutaj czy w biurze żeglugi. Za nic w świecie nie chciałbym zgubić tej laski.

– Podarunek, prawda? – pytał Holmes.

– Tak jest.

– Od szpitala Charing Cross?

– Od kilku przyjaciół stamtąd... z okazji mego ślubu.

– Tam do licha! To niedobrze – odezwał się Holmes, potrząsając głową.

Doktor Mortimer zmrużył oczy i spojrzał ze zdziwieniem na mówiącego.

– Niedobrze? Co? Dlaczego?

– Pokrzyżował pan nasze wnioski. Mówi pan zatem, że to podarunek z okazji ślubu?

– Tak jest. Ożeniłem się i porzuciłem szpital, a wraz z nim wszelką nadzieję praktyki konsultacyjnej. Trzeba było stworzyć ognisko domowe.

– Co prawda – rzekł Holmes – nie pomyliliśmy się znów tak bardzo. A teraz, doktorze Jakubie Mortimerze...

– Przepraszam, po prostu... jestem skromnym lekarzem.

– I widocznie człowiekiem o zacięciu naukowym.

– Dyletantem najwyżej; zbieraczem muszelek na wybrzeżach wielkiego nieznanego oceanu. Przypuszczam, że mówię do pana Sherlocka Holmesa, nie zaś...

– Nie, oto mój przyjaciel, doktor Watson.

– Bardzo mi przyjemnie. Słyszałem często nazwisko pana wymieniane wespół z nazwiskiem pańskiego przyjaciela. Panie Holmes, interesuje mnie pan niesłychanie. Rzadko zdarzało mi się widzieć czaszkę tak szeroką jak pańska i do tego stopnia rozwinięte guzy nadczodołowe.

Czy pozwoli mi pan przesunąć palec po szwie ciemieniowym? Odlew pańskiej czaszki, w zastępstwie oryginału, byłby ozdobą każdego muzeum antropologicznego. Nie pragnę bynajmniej pańskiej śmierci, ale przyznaję, że na tę czaszkę mam wielką ochotę.

Holmes wskazał krzesło osobliwemu gościowi.

– Jesteś pan entuzjastą swojego zawodu, podobnie jak ja mojego – rzekł. Odgaduję z pańskiego wskazującego palca, że sam pan zwija swoje papierosy. Proszę, niech się pan nie krępuje. Nasz gość wyjął z kieszeni bibułkę oraz tytoń i ze zdumiewającą sprawnością zwinął papierosa. Palce miał długie, zwinne i ruchliwe, jak macki owada.

Holmes milczał, ale jego wzrok, utkwiony uporczywie w naszym gościu, mówił mi, do jakiego stopnia przybysz ten budzi jego zainteresowanie.

– Przypuszczam – odezwał się wreszcie – że nie tylko dla zbadania mojej czaszki zaszczycił mnie pan swoimi odwiedzinami wczoraj i powrócił pan dzisiaj.

– Nie, nie, jakkolwiek rad jestem niezmiernie, że nastęczyła mi się taka sposobność. Przyszędłem do pana, panie Holmes, bo wyznaję, iż nie jestem człowiekiem praktycznym, a nadto dlatego, że stanąłem wobec zagadki zarówno poważnej, jak i tajemniczej. Ponieważ uważam pana za drugiego wśród najwytrawniejszych biegłych w Europie...

– Doprawdy! A czy wolno wiedzieć, kto ma zaszczyt być pierwszy? – przerwał Holmes z lekkim odcieniem goryczy.

– Prace pana Bertillona zawsze muszą oddziaływać na umysł człowieka ceniącego ścisłość naukową.

– A więc dlaczego nie udaje się pan do niego po radę?

– Mówiłem o ścisłości naukowej, co zaś do praktycznej strony sprawy pan jesteś jedyny. Spodziewam się, że mimo woli nie...

–Cokolwiek sędzę – przerwał Holmes – będzie lepiej, gdy damy temu wszystkiemu spokój i wyjaśni mi pan, doktorze, naturę zagadki, której bez mojej pomocy nie możesz rozwiązać.

Rozdział 2

Przeklęty ród

- Mam w kieszeni rękopis – zaczął doktor.
- Spostrzegłem to, gdy pan tylko wszedł – odparł Holmes.
- Rękopis ten jest bardzo stary.
- Sądzę, że pochodzi z pierwszej połowy XVIII wieku, jeśli nie jest podrobiony.
- Skąd pan wie?
- Z pańskiej kieszeni wystają papiery, a przez ten czas, gdy pan mówił, widziałem fragment rękopisu. Nieświeży byłby to bieżący, który by, widząc to, nie mógł określić daty dokumentu – z dokładnością około dziesięciu lat. Może pan czytał moją monografię na ten temat? Pański rękopis jest mniej więcej z roku 1730.
- Z 1742, według ścisłej daty – odparł Mortimer, wydobywając go z kieszeni. – Papiery te powierzył mi sir Karol Baskerville, którego tragiczna śmierć wywołała trzy miesiące temu duże wzburzenie w Devonshire. Byłem jednocześnie jego lekarzem i przyjacielem. Człowiek wyjątkowego umysłu, przenikliwy, praktyczny, miał równie trzeźwą wyobraźnię jak ja. Jednak wierzył w ten dokument, a wiara ta przyczyniła się do strasznej śmierci, jaką zginął.
- Holmes wyciągnął rękę po rękopis i rozłożył go na kolanach.
- Spójrz, Watsonie – rzekł, zwracając się do mnie – na te s, raz długie, to znów krótkie. Jest to jedna ze wskazówek, które pozwoliły mi określić datę.
- Spojrzałem przez jego ramię na pozostały papier i prawie zamazane pismo. Jako nagłówek widniał napis: Baskerville Hall, a poniżej wielkimi niekształtnymi cyframi: 1742.
- Widzę, że jest to jakby jakieś sprawozdanie.
- Tak, to opis pewnej legendy, dotyczącej rodziny Baskerville'ów.
- Sądziłem, że chce pan zasięgnąć mojej rady w sprawie nowszej i mającej znaczenie praktyczne.
- Wierzę mi pan, że to sprawa nowa i niezwykle nagła, którą trzeba koniecznie wyjaśnić w ciągu dwudziestu czterech godzin. Rękopis, który przyniosłem ze sobą, jest krótki i ściśle ze sprawą związany. Pan pozwoli zatem, że go przeczytam.
- Holmes wsunął się w głąb fotela, splótł dłonie i zamknął oczy, przybrawszy postawę pełną

rezygnacji. Doktor Mortimer rozłożył rękopis i głosem donośnym, suchym, czytał następującą starodawną opowieść:

„O pochodzeniu psa Baskerville'ów krążyły różne pogłoski. Ponieważ jednak jestem potomkiem Hugona Baskerville'a w prostej linii, a historię niniejszą słyszałem z ust swego ojca, któremu znów przekazał ją jego ojciec, przeto spisałem ją, przekonany szczerze o jej prawdziwości. Chciałbym, potomkowie moi, abyście wierzyli, że ta sama sprawiedliwość, która karze za grzechy, umie również przebaczać miłosiernie i że nie ma tak strasznego przekleństwa na świecie, którego nie można by okupić skruchą i modlitwą. Z opowieści niniejszej zatem wyciągnijcie tę naukę, iż nie należy obawiać się skutków przeszłości, lecz trzeba stać się baczniejszym w przyszłości i unikać tych okropnych grzechów, które ściągnęły na naszą rodzinę wielkie nieszczęścia.

Wiedźcie tedy, że w czasach wojny domowej (której historię, napisaną przez wielce uczynego lorda Clarendona, polecam gorąco waszej uwadze) zamek Baskerville był własnością Hugona tegoż nazwiska, człowieka ulegającego dzikim namiętnościom, bezbożnego i rozpustnika. Sąsiedzi byliby mu wybaczyli te błędy, wiedząc, iż zamek nigdy nie był siedzibą świętych; jednak okrucieństwa, jakie popełnił podczas hulaszczyczych zabaw, stały się przysłowiowe w całej okolicy. Zdarzyło się, że ów Hugon zapalał miłością (jeżeli określenie to, użyte w danym wypadku, nie będzie profanacją) do córki ziemianina, którego grunta sąsiadowały z posiadłością Baskerville'ów. Ale panna, skromnie i pobożnie wychowana, unikała wielbiciela, znając jego złą sławę.

Pewnego dnia, w wigilię świętego Michała, ów Hugon z pięciu czy sześciu towarzyszami pohulanek podczas nieobecności ojca i braci wtargnął do majątku i porwał pannę. Przyniósłszy brankę do zamku, osadził ją w wieży, a sam udał się z kompanami do jadalni, by, jak zwykle, spędzić noc na pijatyce. Nieszczęśliwa dziewczyna była bliska obłądu, słysząc w swym więzieniu śpiewy, wrzaski i bluźnierstwa uczujących, które do niej dobiegały. Wreszcie, zdjeta śmiertelną trwogą, zdobyła się na czyn, przed którym zawahałby się najodważniejszy mężczyzna. Wyszła przez okno i, przy pomocy gałęzi bluszczu, który okrywał i okrywa jeszcze mur, zsunęła się po rynnie, po czym uciekła przez łąki do rodzicielskiego majątku, oddalonego o trzy mile.

Wkrótce potem Hugon opuścił gości, aby zanieść trochę jadła i picia swej brance – a może żywił i gorsze zamiary – lecz zastał klatkę pustą. Na ten widok, jak opętany przez szatana, zbiegł w szalonym pędzie ze schodów, wpadł do jadalni, wskoczył na stół, tłukąc talerze i kryształ, i wobec przerażonych, na wpół pijanych biesiadników przysiągł, że jeśli jeszcze tej nocy zdoła schwytać zbiegłą dziewczynę, zaprzeda czartu ciało i duszę. Przez chwilę obecni patrzyli na niego w osłupieniu, aż naraz jeden, podlejszy, a może bardziej pijany od innych krzyknął, żeby puścić psy gończe śladem panny. Propozycja przypadła do gustu Hugonowi,

wyleciał z zamku, wrzeszcząc na stajennych, by mu osiodłali klacz, a na dojeżdżaczy, by wypuścili psy z psiarni, po czym cisnął psom chustkę dziewczęcia i uszykował je do biegu. Człowiek klnąc a zwierzęta wyjąc popędzili wśród bladego światła księżyca ku łąkom.

Wszystko to dokonało się z tak błyskawiczną szybkością, że biesiadnicy zrazu nie zrozumieli, co zaszło. Niebawem jednak coś zaświtało w ich zamroczonych umysłach, uprzytomnili sobie, o co chodzi i powstał piekielny hałas. Jedni wołali o pistolety, inni o konie, drudzy znów o nowe butelki wina. W końcu oprzytomniali do reszty i wszyscy, w liczbie trzynastu, dosiedli koni i puścili się w pogoń. Księżyc rzucał na ziemię srebrzyste blaski, a konie pędziły galopem drogą, którą musiała podążać nieszczęśliwa dziewczyna, chcąc się dostać do domu.

Ujechali tak ze dwie mile, gdy spotkali nocnego pastucha, pilnującego trzody na łące, a mijając go krzyknęli, czy nie widział ściganej dziewczyny. Opowieść niesie, że nieborak był tak wystraszony, iż nie mógł na razie odpowiedzieć; w końcu objaśnił: widział młodą dziewczynę i pędzące za nią psy.

– Widziałem jeszcze więcej – dodał – widziałem dziedzica z Baskerville'u na czarnej klaczy, za nim leciał milczkiem pies tak ogromny, że niechaj mnie Bóg uchwala, abym go spotkał na swej drodze.

Opoje posłali pastucha do wszystkich diabłów i popędzili dalej.

Lecz niebawem krew ścięła się w ich żyłach. Na równinie rozległ się tętent kopyt końskich i czarna klacz bez jeźdźcy, okryta pianą, minęła ich w piekielnym galopie, wlokąc cugle za sobą.

Zdjęci trwogą, jeźdźcy skupili się, lecz pogoni nie zaniechali, jakkolwiek każdy z nich od dzielnie chętnie zawróciłby konia.

Jadąc już wolniej, spotkali nareszcie sforę psów, które, znane z odwagi i wszelkich przymiotów dobrej rasy, stały wokół krzaka i przeraźliwie wyły nad krawędzią głębokiego wąwozu. Niektóre zaczynały się cofać, inne, z najeżoną sierścią, ze ślepiami nabiegłymi krwią, okrążały wawóz.

Grono mężczyzn, już zupełnie otrzeźwionych, zatrzymało się. Większość nie miała odwagi zapuszczać się dalej, lecz trzech najśmielsi zjechali w dół wąwozu. Rozszerzał się w tym miejscu znacznie: tu, na dość obszernej polance, wznosiły się dwa z owych wielkich kamieni, jakimi niektóre zapomniane ludy znaczyły w dawnych czasach miejsca swego pobytu. Na ziemi leżała bez życia dziewczyna. Widocznie tutaj upadła i skonała ze znużenia i trwogi. Na jej widok oraz na widok wyciągniętych o parę kroków dalej zwłok Hugona Baskerville'a trzech śmiałkowie skamienieli. Nad trupem Hugona stał potwór – czarne wielkie zwierzę; przypominał psa, ale o rozmiarach, jakich nikt jeszcze nie widział.

Potwór miał kły zapuszczone w gardło Hugona; w chwili gdy trzech mężczyzn się zbliżali,

wyrwał szmat ciała z szyi trupa i zwrócił ku przybyłym swe ogniste ślepia i paszczę brocząca krwią... Trójka jeźdźców, przeraźliwie krzycząc, popędziła cwałem z powrotem przez równinę.

Utrzymują, że jeden z nich. umarł jeszcze tej samej nocy, a dwaj pozostali popadli w obłąd.

Tak brzmi, synowie moi, opowieść o pierwszym ukazaniu się psa, który od owego czasu stał się przekleństwem i plagą naszego rodu. Spisałem tę opowieść, bo wzmianki i domysły wzbudzają zawsze więcej trwogi niż rzeczy dokładnie znane.

Nie można zaprzeczyć, że kilku członków naszej rodziny zginęło śmiercią gwałtowną, nagłą i tajemniczą. Powinniśmy jednak ufać w nieskończoną dobroć opatrności, która rzadko kiedy karze niewinnych w trzecim lub czwartym pokoleniu – tak mówi Pismo Święte.

Polecam was, synowie moi, opiece tej opatrności i radzę unikać, przez ostrożność, chodzenia w pobliżu owego wąwozu, zwłaszcza w godzinach nocnych, kiedy panuje moc złego ducha.

Historię tę spisał Hugon Baskerville dla swoich synów Rogera i Jana, zalecając wszakże, aby pod żadnym pozorem nie powtarzali opowieści powyższej siostrze swojej, Elżbiecie”.

Doktor Mortimer, ukończywszy czytanie, podniósł okulary na czoło i zwrócił spojrzenie na Sherlocka Holmesa. Ten ziewnął, cisnął resztkę papierosa w ogień i spytał lakonicznie:

– I cóż?

– Czy ta historia nie wydaje się panu zajmująca?

– Owszem; dla amatora bajek o żelaznym wilku.

Doktor Mortimer wyjął z kieszeni starannie złożony dziennik.

– Teraz, panie Holmes, poczęstujemy pana czymś świeższym. Oto numer pisma „Devon County Chronicle”, z dnia 15 maja br., zawierający szczegóły śmierci sir Karola Baskerville'a, który zmarł kilka dni przed tym.

Mój przyjaciel pochylił się nieco naprzód, a wyraz jego twarzy wykazał pewne zajęcie. Nasz gość poprawił okulary i zaczął:

„Nagła śmierć sir Karola Baskerville'a, którego wymieniano jako kandydata stronnictwa liberalnego z Mid-Devon w zbliżających się wyborach, pogrzyżyła w smutku całe hrabstwo. Jakkolwiek sir Karol krótki czas mieszkał w Baskerville Hall, to przecież ujmującym obejściem i wielką szczodroblewością zdobył przywiązanie oraz szacunek wszystkich, którzy go znali.

W tych czasach nowobogackich pocieszający jest widok potomka starego rodu, który, mimo ciężkich przejść, zdołał dorobić się majątku i przywrócić dawną świetność rodzinnego gniazda.

Sir Karol, jak wiadomo, zarobił znaczne sumy w południowej Afryce. Roztropiejszy od

tych, którzy spekulują dopóty, dopóki koło fortuny nie odwróci się, zrealizował wszystkie swoje plany i powrócił do Anglii. Zaledwie dwa lata minęły od chwili, kiedy zamieszkał w Baskerville Hall, a wiadomo jest wszystkim, że nosił się z zamiarem odbudowy zamku i zaprowadzenia dalszych ulepszeń w gospodarstwie rolnym. Śmierć nie pozwoliła urzeczywistnić tych planów, powziętych na wielką skalę. Będąc bezdziejny pragnął, żeby cała okolica korzystała z jego majątku; wielu oplakuje jego przedwczesny zgon.

Niejednokrotnie na szpaltach naszej gazety zdawaliśmy sprawę z jego szczodrych darów na różne cele dobroczynne w hrabstwie.

Śledztwo nie mogło wyjaśnić dokładnie okoliczności, które towarzyszyły śmierci sir Karola Baskerville'a, ale rozproszyło przynajmniej pewne pogłoski zrodzone z zabobonu.

Sir Karol był wdowcem i uchodził pod pewnymi względami za dziwaka. Pomimo znacznej fortuny, żył bardzo skromnie, a jego służba składała się z małżeństwa nazwiskiem Barrymore; mąż był lokajem, żona gospodynią.

Zeznania ich, potwierdzone przez kilku przyjaciół, wskazują, że od pewnego czasu sir Karol silniej niedomagał. Trapiły go sensacje sercowe, objawiające się nagłym blednięciem, napadami duszności i rozstroju nerwowego. Doktor Mortimer, przyjaciel i lekarz nieboszczyka, złożył zeznanie w tym samym duchu.

Fakty w tym wypadku są bardzo proste. Co wieczór, przed udaniem się na spoczynek, sir Karol przechadzał się po słynnej alei cisowej w Baskerville Hall. Małżonkowie Barrymore stwierdzili zgodnie w zeznaniach, że taki był zwyczaj ich pana.

Czwartego maja sir Karol oznajmił, iż wyjeżdża nazajutrz do Londynu i polecił Barrymore'owi, aby zapakował jego rzeczy. Wieczorem wyszedł na zwykłą przechadzkę, podczas której zawsze palił cygaro.

Z przechadzki tej już nie powrócił.

O północy Barrymore, widząc, że drzwi przedsiionka zamku są jeszcze otwarte, zaniepokoił się i, zapaliwszy latarkę, poszedł szukać pana. Dzień był dżdżysty, więc z łatwością odnalazł ślady nóg sir Karola na rozmięklej ziemi w alei. W połowie tej alei znajduje się furtka, która wychodzi na moczary. Głębsze w tym miejscu ślady wskazywały, że sir Karol zatrzymał się tutaj. Następnie podjął widocznie znów przechadzkę, bo jego zwłoki znaleziono znacznie dalej.

Pewien szczegół zeznania Barrymore'a pozostaje jeszcze niewyjaśniony: kształt śladów zmienił się z chwilą, kiedy sir Karol Baskerville minął furtkę: zdawało się, że dalej szedł na palcach.

Niedaleko, na moczarach znajdował się wówczas niejaki Murphy, Cygan, handlarz koni, lecz, jak sam zeznał, był zupełnie pijany. Słyszał krzyki, nie mógł jednak wskazać, skąd pochodziły. Na zwłokach sir Karola nie stwierdzono żadnych śladów gwałtu, jakkolwiek raport

lekarza wspomina o niezwykłym konwulsyjnym wykrzywieniu twarzy – wykrzywieniu tak strasznym, że zrazu doktor Mortimer nie chciał wierzyć, iż istotnie to jego przyjaciel i pacjent leży przed nim. Wyjaśniono jednak, że jest to objaw zdarzający się często w wypadkach dusznicy i śmierci spowodowanej atakiem serca. Oględziny zwłok taką właśnie przyniosły diagnozę, a sędzia śledczy potwierdził wyjaśnienie lekarskie.

Radzi jesteśmy z takiego wyniku śledztwa. Spadkobierca sir Karola powinien jak najrychlej osiąść na zamku i prowadzić dalej, przerwane w taki tragiczny sposób, dzieło swego poprzednika. Gdyby prozaiczny raport sędziego nie zniweczył ostatecznie romantycznych opowieści, krążących po okolicy, nie można by wcale wydzierżawić Baskerville Hall.

Spadkobiercą nieboszczyka jest – jeżeli żyje jeszcze – Henryk Baskerville, syn najmłodszego brata sir Karola. Ostatnie listy młodzieńca były wysyłane z Ameryki. Zarządzono odpowiednie środki celem odnalezienia go i zawiadomienia o dziedzictwie, jakie nań spadło”.

Doktor Mortimer złożył dziennik i wsunął go do kieszeni.

– Takie są, panie Holmes, publicznie wiadome szczegóły śmierci sir Karola Baskerville'a – rzekł.

– Dziękuję panu – odparł Holmes – za zwrócenie mojej uwagi na ten wypadek, zajmujący pod niejednym względem. Zauważyłem wówczas niektóre wzmianki w dziennikach, ale byłem niesłychanie zajęty sprawą drogich kamieni, które zginęły w Watykanie, tak że zubożniałem na razie na wszystko, co się działo w Anglii. Powiada pan więc, że ten artykuł zawiera wszystko, o czym wie publiczność?

– Tak jest.

– Proszę, niech pan mi teraz powie to, czego publiczność nie wie. – Holmes wsunął się znów w fotel, splótł dłonie, a jego twarz przybrała wyraz powagi i obojętności.

– Czyniąc zadość pańskiemu żądaniu – mówił doktor Mortimer, który zaczął już okazywać zdenerwowanie – opowiem to, czego nie mówiłem nikomu. Milczałem wobec sędziego, bo człowiek nauki zawaha się nieraz, zanim przyzna się publicznie, że podziela powszechny zabobon. Kierował mną też i ten wzgląd, że, jak słusznie pisze dziennik, niepodobna byłoby wydzierżawić posiadłości, gdyby jeszcze cokolwiek wzmogło straszną sławę tej siedziby. Z tych dwóch powodów uważałem za stosowne powiedzieć mniej, niż wiedziałem; ale z panem mogę być szczery.

Równina jest prawie niezamieszкана, a tych, którzy sąsiadują ze sobą, łączą bliskie stosunki. Oto przyczyna mojej zażyłości z sir Karolem Baskerville'm. Z wyjątkiem pana Franklanda w Lafter Hall i pana Stapletona, przyrodnika, nie ma w promieniu kilku mil ludzi wykształconych.

Sir Karol lubił samotność, ale jego choroba zbliżyła nas wzajemnie, a wspólne zamiłowanie do nauki utrwaliło to zbliżenie. Sir Karol poczynił w Afryce dużo obserwacji naukowych i

spędziliśmy razem niejedną miłą wieczór, rozprawiając o anatomii Buszmenów czy Hotentotów.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy dostrzegłem u sir Karola wzmagające się coraz bardziej nerwowe rozdrażnienie. Legenda, którą przeczytałem przed chwilą, prześladowała go do tego stopnia, że nic na świecie nie zmusiłoby go do wyjścia w nocy poza kratę parku. Jakkolwiek wyda się to panu nieprawdopodobne, sir Karol był szczerze przeświadczony, iż okrutne fatum ciąży nad jego rodem.

Myśl o ciągłej obecności złego ducha ściagała go nieustannie. Często zapytywał mnie, czy podczas nocnych wycieczek nie dostrzegłem jakiejś fantastycznej postaci, nie słyszałem szczekania psa. Ostatnie pytanie zadawał mi niejednokrotnie, zawsze drżącym z emocji głosem.

Przypominam sobie doskonale drobne zajście, które się zdarzyło na kilka tygodni przed jego śmiercią. Zajechałem pewnego wieczora przed zamek i zastałem sir Karola w drzwiach przedsionka. Zeskoczyłem z powozu i stanąłem na wprost przyjaciela, gdy naraz zauważyłem, że jego oczy z wyrazem najokropniejszej trwogi patrzyły gdzieś poza moje ramię. Odwróciłem się i zdołałem dostrzec na zakręcie drogi coś trudnego do określenia, przypominającego wielkie czarne ciele.

Sir Karol był tym zjawiskiem tak wzburzony i zaniepokojony, że musiałem pójść na miejsce, gdzie zwierzę się ukazało i przeszukać zarośla. Zwierzę zniknęło bez śladu. Zdarzenie to wywarło na nim straszne wrażenie. Spędziłem z nim cały wieczór i wówczas dla wytłumaczenia swych emocji powierzył mojej pieczy rękopis, który panu przeczytałem. Wspominam o tym zajściu dlatego tylko, że nabiera pewnego znaczenia ze względu na późniejszą tragedię; na razie nie przywiązywałem do niego większej wagi i uważałem strach mojego przyjaciela za nie usprawiedliwiony.

Na skutek moich nalegań sir Karol postanowił jechać do Londynu. Wiedziałem, że choruje na serce, a nieustająca trwoga, w jakiej żył – choćby jej powód był urojony – źle wpływała na jego zdrowie. Miejskie rozrywki mogły podziałać dobroczynnie. Tego samego zdania był pan Stapleton, nasz wspólny przyjaciel. W ostatniej chwili nastąpiła straszna katastrofa.

W noc zgonu sir Karola lokaj przysłał po mnie chłopca stajennego – Perkinsa, a ponieważ nie spałem jeszcze, w godzinę po wypadku byłem w Baskerville Halle.

Potwierdziłem osobiście wszystkie fakty opisane w śledztwie; śledziłem ślady kroków w alei cisowej, widziałem przy furtce miejsce, gdzie nieboszczyk się zatrzymał; zauważyłem zmianę kształtu śladów, widziałem że na piasku nie ma innych śladów prócz śladów butów Barrymore'a, po czym zbadałem trupa, którego jeszcze nikt nie dotknął.

Sir Karol leżał wyciągnięty, twarzą do ziemi, ręce miał rozkrzyżowane, palce zaciśnięte kurczowo i zagłębione w ziemi, a rysy tak wykrzywione i zmienione, pod wpływem gwał-

townego przeżycia, że nie odważyłbym się potwierdzić pod przysięgą jego tożsamości, gdyby nie lata znajomości.

Na ciele nie znalazłem żadnego obrażenia fizycznego. Wszelako zeznania Barrymore'a nie były dokładne. Powiedział, że przy trupie nie było żadnego śladu stóp. Nie widział ich. Ja jednak dostrzegłem... Świeże, wyraźne, niedaleko od miejsca wypadku...

– Ślady stóp?

– Tak jest.

– Mężczyzny czy kobiety?

Doktor Mortimer spoglądał na nas przez chwilę szczególnym wzrokiem, po czym, szeptem niemal, odpowiedział:

– Panie Holmes, to były ślady łap olbrzymiego psa!

Rozdział 3

Zagadka

Wyznaję, że słowa te przejęły mnie dreszczem. Głos doktora Mortimera drżał, wskazując, że poruszyło go jego własne opowiadanie.

Nieco pochylony naprzód, Holmes słuchał go z błyskiem w oczach, który był dowodem żywego zainteresowania.

– Pan te ślady widział? – zapytał.

– Tak dokładnie, jak widzę pana w tej chwili.

– I nic pan o tym nie mówił?

– Dlaczegoż miałbym o tym mówić?

– W jaki sposób wytłumaczy nam pan fakt, że tylko pan je dostrzegł?

– Były one widoczne dopiero w odległości dwudziestu metrów od trupa... nikt na to nie zwrócił uwagi. Gdybym nie znał tej legendy, tego dziwnego podania, pewno bym ich nie dostrzegł, jak wszyscy.

– Czy na moczarach znajduje się dużo psów pasterskich?

– O, bardzo dużo!... Ale to nie był pies pasterski.

– Mówi pan, że pies był wielkiego wzrostu?

– Olbrzymiego!

– I że nie zbliżył się do trupa?

– Nie.

– A jaka noc była wtedy?

– Wilgotna i zimna.

– Czy padał deszcz?

– Nie.

– Niech pan opisz tę aleję cisową?

– Tworzą ją dwa rzędy starych cisów wysokich na dwanaście stóp, ich wierzchołki stanowią nieprzejrzaną kopułę zieleni. Wolna przestrzeń pomiędzy drzewami ma szerokość ośmiu stóp.

- A pomiędzy drzewami i aleją nie ma nic?
- Owszem, po obu stronach dróżki rozciąga się trawnik, mający szerokość sześciu stóp.
- Mówił pan, że na końcu alei cisowej znajduje się furtka?
- Tak, prowadzi na moczary.
- Nie ma innego wyjścia?
- Żadnego.
- Tym sposobem do szpaleru cisowego można dojść tylko z domu lub przez tę furtkę.
- Można jeszcze przez cieplarnię, stojącą na końcu szpaleru.
- Czy sir Karol doszedł aż do tego miejsca?
- Nie, był jeszcze z pięćdziesiąt metrów oddalony od cieplarni.
- Czy zechce mi pan powiedzieć, doktorze, a jest to szczegół wielkiej wagi, czy ślady, jakie pan dostrzegł, znajdowały się na piasku czy na trawie?
- Na trawie nie dostrzegłem żadnych śladów.
- A zatem były one tylko od strony furtki... zaciekawiasz mnie niezmiernie. Czy furtka była zamknięta?
- Zamknięta na klucz i na kłódkę.
- Jak wysoka jest ta furtka?
- Ma cztery stopy wysokości.
- Mógłby więc ktoś przez nią się przedostać?
- Z łatwością.
- Czy były tam jakieś ślady szczególne?
- Nie.
- Czy prowadzono tam jakieś poszukiwania?
- Tylko ja szukałem.
- I nic pan nie odkrył?
- Sir Karol stał w jednym i tym samym miejscu pięć albo dziesięć minut.
- Dlaczego pan tak sądzi?
- Bo na ziemi w dwóch miejscach zobaczyłem popiół strząśnięty z cygara.
- Ma pan słuszość – potwierdził Holmes. – Watsonie – dodał – znaleźliśmy sympatycznego kolegę... Jakie to były ślady?
- Poruszanie się w miejscu uczyniło je niewyraźnymi. Jedynie wyraźny był ślad stóp sir Karola. Sherlock Holmes uderzył się niecierpliwie ręką w kolano.
- Ach! gdybym ja tam był! – zawołał. – Wypadek przedstawia się niezmiernie zajmująco! Te ślady na piasku, na którym mógłbym tyle rzeczy wyczytać, zatarł deszcz i sandały ciekawych wieśniaków! Ach! doktorze, dlaczego mnie nie wezwąłeś? Zawiniłeś bardzo!

– Nie mogłem wezwać pana, nie wyjawiając wszystkich faktów, a przedstawiłem już powody, dla których chciałem milczeć. Zresztą... zresztą...

– Dlaczego się pan waha?

– Są okoliczności, w których, nawet najbieglejszy i najbardziej doświadczony angielski policjant nic poradzić nie może.

– Czy pan przypuszcza, że te wypadki mają styczność ze światem nadprzyrodzonym?

– Nie twierdę tego stanowczo.

– Ale takie jest pańskie przekonanie?

– Po tej tragedii opowiadano mi o rozmaitych wypadkach, których niepodobna podciągnąć pod zdarzenia zwykłe, pospolite i naturalne.

– Na przykład?

– Dowiedziałem się, że przed tą straszną nocą wiele osób widziało zwierzę, którego opis zgadzał się zupełnie z powierzchownością „złego ducha” z Baskerville’u. Zwierzę to nie da się zaliczyć do żadnego znanego gatunku. Wszyscy przyznają, że miało pozór straszny, fantastyczny, niezmierny. Wypytywałem się ludzi: wieśniaka, kowala i dzierżawcy; wszyscy jednakowo odmalowali złowrogi zjawisko. Było to najdokładniejsze wcielenie psa piekielnego, podług opisu legendy.

– A pan, jako człowiek nauki, czy wierzy w istnienie jakichś nadprzyrodzonych faktów?

– Sam nie wiem, co mam o tym sądzić. Holmes wzruszył ramionami.

– Dotychczas – rzekł – prowadziłem swoje badania w obrębie zjawisk z tego świata. Walczyłem ze złem o tyle, o ile mi na to pozwalały moje słabe środki; byłoby to zbyt trudne i niedościgłe zadanie walczyć ze złym duchem. Jednak twierdzi pan, że ślady były widoczne.

– Ten dziwny pies o tyle był stworzeniem materialnym, że zdołał rozerwać szyję człowiekowi; a jednak pochodzenie jego jest piekielne.

– Widzę, że już zalicza się pan do ludzi wierzących w zjawiska nadprzyrodzone... Teraz proszę mi odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie: jeśli pan w to wierzy, dlaczego zwrócił się pan do mnie o radę? Z jednej strony prosi mnie pan, abym nie dochodził przyczyn, które spowodowały śmierć sir Karola Baskerville’a z drugiej – żąda, abym się zajął poszukiwaniami.

– Nie, ja pana o to nie prosiłem.

– W czym więc mogę panu dopomóc?

– Chciałem prosić, aby mi pan poradził, jak się mam zachować wobec sir Henryka Baskerville’a, który przybywa na stację Waterloo – tu doktor Mortimer wyjął zegarek – za godzinę i kwadrans.

– Czy jest on spadkobiercą majątku?

– Tak. Po śmierci sir Karola dowiadaliśmy się szczegółowo o wszystko, co dotyczy te-

go młodego człowieka, i zawiadomiono nas, że poświęca się rolnictwu w Kanadzie. Wiadomości zaczerpnięte o nim są najzupełniej zadowalające... W tej chwili nie mówię jako doktor, lecz jako wykonawca testamentu sir Karola Baskerville'a.

– Czy nie ma innych pretendentów do majątku, pozostałego po nieboszczyku.

– Jedyne krewne, którego ślad odnaleziono, nazywa się Roger Baskerville; był on trzecim bratem sir Karola. Drugi brat, który zmarł bardzo młodo, pozostawił jednego syna, Henryka. Rogera, trzeciego brata, uważano zawsze w rodzinie za parszywą owcę. Był on uosobieniem dawnego typu Baskerville'ów i, jak mnie zapewniano, błąkał się po świecie jak stary Hugo. Pobyt w Anglii nie przypadł mu do gustu, przesiedlił się więc do Ameryki Środkowej, gdzie zmarł na żółtą febrę w 1876 r., Henryk więc jest ostatnim potomkiem rodu Baskerville'ów. Za godzinę i pięć minut mam go spotkać na stacji Waterloo... telegrafował do mnie z Southampton, że przyjedzie dziś rano... Cóż więc mam czynić, panie Holmes?

– Czemu nowy spadkobierca nie mógłby zamieszkać w siedzibie swoich przodków?

– Wydaje się to rzeczą zupełnie naturalną, prawda? Jednakże trzeba sobie przypomnieć, że wszyscy członkowie rodziny Baskerville'ów, zamieszkujący w tym zamku, zginęli śmiercią gwałtowną. Mam to przekonanie, że gdyby sir Karol mógł mówić ze mną przed zgonem, usilnie by polecił, aby nie wprowadzać do tego domu ostatniego potomka jego rodu i spadkobiercy olbrzymiego majątku. Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że dobrobyt tego nędznego zakątka kraju zależy głównie od obecności sir Henryka; wszystkie ulepszenia, jakie wprowadził sir Karol, byłyby stracone bezpowrotnie, gdyby zamek został opuszczony. Przyszedłem więc prosić pana o zdanie i radę, gdyż lękam się, czy nie zanadto będę miał na względzie własny interes, własne dobro, o które mi chodzi.

Holmes siedział zamyślony długą chwilę, wreszcie rzekł:

– Wyrażając w innych słowach pańskie przekonanie, należy powiedzieć, że uważa pan pobyt w Dartmoor za niebezpieczny dla członków rodziny Baskerville'ów z powodu jakichś piekielnych wpływów.

– Czy nie mam powodu tak twierdzić?

– Nie przeczę. Ale jeśli pańska teoria o faktach jest prawdziwa, ów młodzieniec może podlegać tym wpływom zarówno w Londynie, jak w Devonshire. Trudno mi wierzyć w diabła, którego potęga sięgałaby tylko do granic jednej parafii, jak na przykład zarząd jakiejś fabryki.

– Panie Holmes, zapatrywałbyś się pan na tę kwestię poważniej, gdybyś żył w większym zbliżeniu z tymi zjawiskami. Według pana ten młodzieniec nie jest narażony na większe niebezpieczeństwo w Devonshire niż w Londynie... Przyjeżdża za pięćdziesiąt minut. Co mi pan radzi zrobić.

– Radzę panu wziąć powóz, zawołać swego psa, który drapie do moich drzwi, i podążyć na spotkanie sir Henryka Baskerville'a na stację Waterloo.

– No, a potem?

– Potem nie powiesz mi pan nic, dopóki ja się nie zastanowię nad tym wszystkim.

– Czy długo będzie się pan namyślał?

– Dwadzieścia cztery godziny. Doktorze, będę ci szczerze wdzięczny, jeżeli przyjdiesz do mnie jutro o dziesiątej. Proszę również, aby pan przyprowadził ze sobą sir Henryka.

– Najchętniej, panie Holmes.

Doktor Mortimer zapisał godzinę spotkania i wyszedł.

Holmes zatrzymał go na schodach.

– Jeszcze jedno pytanie, doktorze. Mówił pan, że przed śmiercią sir Karola Baskerville'a kilka osób widziało na moczarach dziwne zjawisko.

– Tak, trzy osoby.

– A czy widziano je później?

– Nie słyszałem o tym.

– Dziękuję panu. Do widzenia.

Holmes powrócił na swój fotel, a zadowolenie malujące się na twarzy mego przyjaciela dowodziło, że myśli o jakimś miłym zajęciu.

– Czy wychodzisz, Watsonie? – zapytał mnie.

– Tak. Może jestem ci potrzebny?

– Nie, twoja pomoc będzie mi potrzebna dopiero w chwili działania. Wiesz, że to wspaniała sprawa i jedyna w swoim rodzaju, oczywiście pod niektórymi względami. Gdy będziesz przechodził koło sklepu Bradleya, powiedz, żeby mi przysłał funt mego zwykłego tytoniu. A teraz pozostaw mnie samego aż do wieczora. Jak wrócisz, opowiemy sobie nawzajem wnioski co do tej ciekawej zagadki, którą nam dał do rozwiązania doktor Mortimer.

Holmes lubił rozważać w samotności każdą sprawę. Zbijał wtedy lub popierał swoje własne dowodzenie i wyprowadzał pewne wnioski.

Spędziłem popołudnie w klubie i dopiero wieczorem wróciłem na ulicę Baker.

Dochodziła dziewiąta, gdy znalazłem się ponownie w salonie Sherlocka Holmesa. Kiedy otworzyłem drzwi, odniosłem wrażenie, że się pali; gęsty dym napelniał cały pokój, a płomień lampy migotał niepewnym blaskiem.

Postąpiłem kilka kroków i ochłonałem z przestrawu; to tylko dym tytoniowy, który właśnie drapał mnie w gardle, wywołując nieprzyjemny kaszel.

Dopiero po chwili, wśród gęstej chmury dostrzegłem Holmesa otulonego w szlafrok i zagłębionego w ulubionym fotelu. W zębach trzymał fajkę.

Naokoło niego, na dywanie, leżały różne ćwiartki papieru.

- Zaziębiłeś się, Watsonie? – zapytał.
- Nie, to ten szkaradny dym.
- A tak, dym jest gęsty...
- Ależ tu nie można oddychać!
- No, to otwórz okno. Założyłbym się, że cały czas przesiedziałeś w klubie.
- Mój kochany...
- No, czy zgadłem?
- Nie inaczej, ale jakim sposobem...

Holmes roześmiał się, widząc moje zdumienie.

– Jakiś ty naiwny – rzekł. – Miło mi, że mogę się zabawić twoim kosztem, zużywając na to odrobinę wrodzonej przenikliwości. Pomyśl tylko, ktoś taki jak ty, kto ma niewielu serdecznych przyjaciół, wychodzi podczas deszczu i błota i wraca wieczorem nie zabłocony, w błyszczących butach... No, co byś z tego wnioskował? To, że jegomość ów przesiedział gdzieś spokojnie cały dzień... Nie jest to oczywiste?

- Na świecie jest dużo rzeczy jasnych, na które jednak nie zwraca się uwagi.
- A jak ci się zdaje, gdzie ja byłem?
- Zdaje mi się, że także siedziałeś na tym samym miejscu.
- Mylisz się... byłem w Devonshire.
- Ale tylko myślami?

– Naturalnie, ciało moje nie ruszyło się z tego fotela i spożyło, bez udziału mojej myśli, o czym przekonuję się z żalem, dwa duże kubki kawy i niezliczoną ilość tytoniu. Po twoim odejściu posłałem do Stamforda po mapę równiny Dartmoor i przebiegłem ją myślą w rozmaitych kierunkach. Pochlebiam sobie, że mógłbym już teraz po tej równinie wędrować bez przewodnika.

- Czy ta mapa przedstawia duży obszar?
- Bardzo duży.

Holmes rozwinął część mapy i rozłożył ją na kolanach.

– Oto obszar, o który nam chodzi – rzekł. – Pośrodku znajduje się posiadłość Baskerville Hall.

- Okolona lasem?

– Tak... Jakkolwiek szpaler cisowy nie jest określony żadną nazwą, przysięgłbym, że oznacza go linia, mająca po prawej stronie równinę. Ten szereg domów, to wioska Grimpen, gdzie zamieszkuje nasz przyjaciel, doktor Mortimer. Widzisz, w promieniu trzech mil siedzi- by ludzkie są rzadko rozrzucone. Tu jest posiadłość Lafter Hall, o której wspomina stary rękopis. Budynek, oznaczony nieco dalej, to mieszkanie przyrodnika Stapletona, jeżeli dobrze pamiętam jego nazwisko. Wreszcie dostrzegam dwa folwarki: High Tor i Foulmire. Czterna-

ście mil stamtąd wznosi się więzienie Princetown. Dokoła ciągnie się równina ponura i pusta. Tu właśnie rozegrał się dramat, tutaj więc będziemy się starali rozwikłać osłaniającą go tajemnicę.

– To miejsce jest dzikie i puste?

– Tak jest. Gdyby diabeł chciał się mieszać w sprawy ludzkie...

– A więc i ty przypuszczasz, że działa w tym wypadku jakaś potęga nadprzyrodzona?

–A czyż diabeł nie może się posługiwać pomocnikami, posiadającymi ciało i kości? Od początku nasuwają mi się dwa pytania: pierwsze czy popełniono tu zbrodnię? Drugie, jakiego to rodzaju zbrodnia i w jaki sposób ją popełniono? Jeżeli przypuszczenia doktora Mortimera są uzasadnione i jeżeli stajemy wobec potęgi, która wyłamuje się spod zwykłych praw natury, najlepiej byłoby zaniechać dalszych badań. Ale musimy wyczerpać wszystkie inne hipotezy, zanim zatrzymamy się na ostatniej. Zamknij teraz okno. Może być, że skoncentrowana atmosfera pomaga zebraniu myśli. No, a ty, czy zastanawiałeś się nad tą sprawą?

– Myślałem o niej wiele w ciągu dnia. –Jakież jest twoje zdanie?

– Jestem istotnie w wielkim kłopotcie...

– Rzeczywiście, to sprawa niezwykła, zupełnie odmienna od innych... Na przykład ta zmiana w kształcie śladów stóp. Jakże ją sobie tłumaczysz?

– Mortimer twierdzi, że sir Karol Baskerville przebiegł część alei na palcach.

– Powtarza tylko wniosek jakiegoś idioty prowadzącego śledztwo. Dlaczego Baskerville miał chodzić wśród cisów na palcach?

– A więc?

– Sądzę, że biegł!... Sir Karol biegł z rozpaczliwym wysiłkiem!... Biegł, aby się ocalić, dopóki nagły atak serca nie powalił go na ziemię.

– A dlaczegóż by uciekał?

– W tym właśnie tkwi zagadka. Z niektórych oznak wnoszę, że był już przerażony do najwyższego stopnia, zanim zaczął uciekać.

– Na czym opierasz ten wniosek?

– Przypuszczam, że powód jego przestraszenia znajdował się na moczarach i wydaje mi się to prawdopodobne, gdyż tylko człowiek oszalały ze strachu może się cofać tyłem do swego domu, zamiast iść, jak zwykle, w jego stronę. Jeżeli możemy wierzyć opowiadaniu Cygana, sir Karol biegi wołając o pomoc w kierunku, skąd najmniej mógł się spodziewać pomocy... Zresztą na co on czekał tej nocy?... Dlaczego oczekiwał w szpalerze cisowym, a nie w zamku?

– Czy sądzisz, że czekał na kogoś?

– Doktor Mortimer odmalował nam sir Karola Baskerville'a jako człowieka starego i wręcz niedołęznego. Przypuśćmy nawet, że w tych przechadzkach było coś nienaturalnego... no, ale

tego wieczora była wilgoć i zimno; czyż to zatem możliwe, ażeby sir Karol stał na jednym miejscu z dziesięć minut, jak dowodzi doktor Mortimer, wnosząc z popiołu otrząśniętego z cygara?

– Przecież sir Karol wychodził podobno codziennie wieczorem.

– Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby co wieczór przechadzał się w pobliżu furtki prowadzącej na moczary. Wszystkie zeznania dowodzą czegoś wręcz przeciwnego: mówią, że sir Karol unikał tego miejsca, a właśnie tej nocy znalazł się w fatalnym miejscu. Nazajutrz miał jechać do Londynu... Kwestia przedstawia się teraz jaśniej... Watsonie, podaj mi moje skrzypce... Nie myślmy już o tej sprawie i czekajmy na odwiedzinę doktora Mortimera i sir Henryka Baskerville'a.

Rozdział 4

Sir Henryk Baskerville

Tego ranka zjedliśmy śniadanie bardzo wcześnie. Holmes czekał w szlafroku na przybycie gości. Stawili się punktualnie; o godzinie dziesiątej ukazał się w pokoju doktor Mortimer i młody baronet.

Miał on około trzydziestu lat. Był niskiego wzrostu, wyraźnie żywego usposobienia; jego czarne oczy spoglądały bystro spod krzaczastych brwi, co nadało jego twarzy wyraz energii i silnej woli. Postawę miał kształtną i proporcjonalną. Ogorzała cera dowodziła, że spędzał większą część życia na świeżym powietrzu. Spokój w spojrzeniu i powaga w ruchach wskazywały na człowieka dobrze wychowanego.

– Przedstawiam panom sir Henryka Baskerville'a – rzekł doktor Mortimer.

– Tak, to ja we własnej osobie – dodał młody człowiek. Ale co dziwniejsze, panie Holmes, to fakt, że gdyby tu obecny mój przyjaciel nie zaproponował mi, że mnie panu przedstawi, byłbym i tak przyszedł do pana – z własnej woli. Pan lubi zagadki. Od dzisiejszego ranka jestem w posiadaniu zagadki, na której rozwiązanie trzeba poświęcić więcej czasu, niż mamy do rozporządzenia.

Holmes złożył ukłon.

– Racz usiąść, sir Henryku – rzekł. Przypuszczam, że podczas krótkiego pobytu w Londynie padłeś ofiarą jakiejś przygody?

– O! Nic ważnego. Zdaje mi się, że to żart, tym mianem bowiem można określić list, jaki odebrałem dzisiaj rano.

Henryk położył kopertę na stole.

Zbliżyliśmy się wszyscy, by ją lepiej zobaczyć; zrobiona była z szarego papieru i wyglądała pospolicie. Niewprawna ręka nakreśliła na niej następujący adres:

„Sir Henryk Baskerville w hotelu Northumberland”.

Na liście była marka pocztowa z Charing Cross i data poprzedniego dnia.

– Czy ktoś wiedział, że pan się zatrzyma w hotelu Northumberland? – zapytał Holmes, patrząc uważnie na gościa.

– Nie, nikt nie wiedział, gdyż zdecydowałem, gdzie stanę dopiero po spotkaniu z doktorem Mortimerem.

– Zapewne doktor Mortimer tam zamieszkał?

– Nie, ja zamieszkałem u przyjaciela – odpowiedział doktor – nie można było przewidzieć, że udamy się do tego hotelu.

– Hm! – mruknął Sherlock. – Ktoś jest doskonale poinformowany o pańskich zamiarach.

Holmes wyjął z koperty pół arkusza papieru, wydartego z zeszytu i złożonego we czworo.

Rozłożył papier na stole; zawierał on tylko jedno zdanie, składające się z wyciętych liter, drukowanych i naklejonych na papier. Zdanie to brzmiało:

Jeżeli macie rozsądek i przywiązujecie wagę do swego życia – unikajcie wąwozu.

Tylko jeden wyraz: „wąwóz” został napisany.

– Może pan wyjaśni, panie Holmes – zapytał sir Henryk Baskerville – co to wszystko znaczy i co za człowiek może się mną tak żywo zajmować?

– Co myśli o tym doktor? Musi pan przyznać, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

– Nie przeczę. Ale czy ta przestroga nie może być przysłana przez osobę, pewną, że stajemy wobec faktów nadprzyrodzonych?

– Jakich faktów? – zapytał żywo sir Henryk. – Zdaje mi się, że panowie, lepiej znają moje sprawy, aniżeli ja sam.

– Zanim pan wyjdzie z tego pokoju – odpowiedział Sherlock Holmes – będzie pan wiedział to wszystko, co my wiemy: przyrzekam to panu. W tej chwili, jeżeli się pan na to zgadza, musimy się bacznie przypatrzeć temu ciekawemu dokumentowi. Został on niewątpliwie zredagowany wczoraj wieczorem i oddany natychmiast na pocztę. Czy masz, Watsonie, wczorajszego „Timesa”?

– Leży na stole.

– Podaj mi go, proszę cię, chcę przejrzeć kolumnę zawierającą artykuły wstępne.

Holmes przebiegał szybko wzrokiem gazetę.

– Najważniejszy artykuł mówi o wolnym handlu – rzekł – pozwólcie, bym wam z niego przeczytał wyjątek: „Mylne jest mniemanie, że taryfy ochronne podnoszą poziom przemysłu i narodowego handlu. Jeżeli przywiązujecie dużą wagę do waszych stosunków handlowych, unikajcie tego prawa, które obniży ogólne warunki życia. Rozsądek wskaże wam grożące niebezpieczeństwo”.

– Jakie jest twoje zdanie o tym artykule, Watsonie? – zawołał wesoło Holmes zacierając ręce z widocznym zadowoleniem.

Doktor Mortimer patrzył ciekawie na Holmesa, zaś sir Henryk spoglądał ze zdumieniem na mnie.

– Nie mam dokładnego pojęcia o taryfach i ekonomii politycznej – rzekł sir Henryk. –

Zresztą zdaje się, że ten list odwrócił naszą uwagę od głównego przedmiotu.

– Przeciwnie, sir Henryku, zdaje mi się, że sprawa się wyjaśnia. Watson jest bardziej wważymniczony w moją metodę, a jednak widzę, że nie zrozumiał dokładnie ważności cytatu.

– W istocie – odparłem – nie mogę pojąć co za związek...

– Jest związek i to bardzo zasadniczy... Jeżeli... swoje... życia... rozsądek... przywiązuje... wagę... unikajcie... Czy pan rozumie, skąd wzięto te wyrazy?

– Teraz tak! – zawołał sir Henryk. – Bardzo zręcznie zrobione.

– Gdybym nawet miał jakąkolwiek pod tym względem wątpliwość – ciągnął dalej Holmes – to wyrazy „unikajcie” lub „przywiązuje wagę”, które są żywcem wycięte nożyczkami, rozproszyłyby ją natychmiast.

– W istocie, panie Holmes, to przechodzi ludzkie pojęcie – rzeki Mortimer spoglądając ze zdumieniem na mego przyjaciela. – Domyśleć się, że zdanie jest wycięte z gazety, nietrudno, ale z jakiej gazety, a nawet z jakiego artykułu, to w istocie zdumiewające! Jakim sposobem pan to odgadłeś?

– Przypuszczam, doktorze, że potrafi pan odróżnić czaszkę Murzyna od czaszki Eskimosa?

– Naturalnie, że potrafię.

– A jakim sposobem pan odgadniesz różnicę?

– Przecież to mój fach, uczyłem się tego. Różnice są tak wielkie, że same rzucają się w oczy. Kość czołowa, kąt twarzy, rysunek szczęk i...

– A to, co ja mówię, dotyczy mojego fachu; różnice również biją w oczy. Ja widzę taką samą różnicę pomiędzy drukiem „Timesa” a jakiejś marnej gazety, jak pan pomiędzy Murzynami a Eskimosami. Rozpoznawać czcionki drukarskie to najłatwiejsza umiejętność dla człowieka, poświęcającego się sprawom kryminalnym. Przyznaję, że młodo nie odróżniałem nieraz „Leeds Merkur” od „Western Morning News”. Druk „Timesa” poznać bardzo łatwo i te wyrazy nie mogły być wzięte z innego dziennika. List nosi wczorajszą datę, szukałem zatem w numerze wczorajszym.

– Więc ktoś wyciął te wyrazy nożyczkami? – zapytał sir Henryk Baskerville.

– Naturalnie i to nożyczkami, jakich używa się do obcinania paznokci – dodał Holmes. – Ostrze ich musiało być krótkie, gdyż znać dwa cięcia w wyrazach: „unikajcie” i „przywiązuje wagę”.

– Rzeczywiście, ktoś wycinał wyrazy małymi nożyczkami i następnie przyklepał je klejem. Ale niech mi pan wytłumaczy, dlaczego wyraz „wąwóz” jest napisany?

– Dlatego, że nie ma go w artykule. Inne słowa można spotkać we wszystkich gazetach, ale wąwóz nie jest łatwo znaleźć.

– Przyjmuję pańskie wyjaśnienie, panie Holmes, ale czy pan w tym ostrzeżeniu doczytał się jeszcze czegoś więcej?

– Zaczerpnałem z niego parę wskazówek, choć znać w tym liście staranie o zatarcie śladów. Na przykład adres napisany niekształtnie i niedbale, a przecież wiemy, że „Timesa” prenumerują tylko ludzie wykształceni. A więc list układał człowiek wykształcony, który pragnął uchodzić za nieuka. Następnie, usiłowanie zmiany pisma nasuwa myśl, że pan zna charakter tego pisma lub może go wkrótce poznać. Dalej, proszę zwrócić uwagę, wyrazy nie są naklejone w linii prostej, lecz jedno wyżej, drugie niżej, i tak: „życie” jest zupełnie nad linią. Czy ten brak staranności należy przypisać niedbalstwu, emocjom czy pośpiechowi? Dajmy na to, że pośpiechowi. Przestroga jest wielkiej wagi i ten, który ją układał, czynił to uważnie. Gdybyśmy przypuścili, że niedbalstwo pochodziło z pośpiechu, trzeba szukać przyczyn, gdyż list, wrzucony wczoraj wieczorem lub dziś rano, powinien był dojść do rąk sir Henryka, zanim tenże wyszedłby z hotelu. Piszący więc lękał się, aby mu nie przerwano. Kogo się obawiał?

– Wchodzimy teraz w dziedzinę przypuszczeń – odezwał się doktor Mortimer.

– Tak jest – powiedział Holmes – i z tych przypuszczeń musimy wybrać to, które wyda nam się najbardziej prawdopodobne. To się nazywa naginać wyobraźnię do nauki. Czyż nie mamy do naszego rozporządzenia jakiegoś rzeczywistego zdarzenia, na którym możemy opierać nasze domysły? Może mnie pan jeszcze raz oskarżyć o stawianie hipotezy, ale jestem pewien – ten list był pisany w hotelu.

– Z czego pan to wnosi? – zawołał Mortimer.

–Jeśli pan się uważnie przypatrzy tej korespondencji, przekona się pan, że pióro i atrament pozostawiały wiele do życzenia. Pióro bryzgało dwukrotnie w tym samym wyrazie, a w adresie nie chciało znowu wypuścić atramentu, chociaż adres jest krótki... Zatem pióro było zużyte, a w kałamarzu brakowało atramentu. Pióro i kałamarz w mieszkaniu prywatnym rzadko znajdują się w takim zaniedbaniu, a w hotelu... – sam pan wie dobrze. Powinniśmy przetrząsnąć kosze w hotelach sąsiadujących z Charing Cross, ręczę, że znajdziemy pocięty numer „Timesa”. Idąc za tą wskazówką sądzę, że schwytalibyśmy autora tej dziwnej przestrogi... No, no...

Holmes przysunął papier bliżej oczu i przypatrywał się pilnie naklejonym wyrazom.

– Cóż więcej? – zapytałem go.

– Nic – odparł, kładąc ćwiartkę papieru na stole. – Papier jest biały, bez żadnego znaku. Zdaje mi się, że wysnuliśmy z tego listu wszystko, czegośmy się mogli dowiedzieć. Teraz, sir Henryku, powiedz nam, czy ci się nie przytrafiło nic innego od chwili, gdy wysiadłeś z pociągu?

– Nie, nie pamiętam.

– Nikt się panu nie przypatrywał lub nie szedł za panem?

– Zdaje mi się, że jestem bohaterem zawilego romansu – odpowiedział sir Henryk. – Dlaczego, do licha, miałby mnie kto śledzić lub iść za mną.

– Jednak zdaje mi się, że tak było... Czy nie ma pan nam nic więcej do powiedzenia, zanim zaczniemy dochodzić, jaki jest rodzaj opieki, którą pana otoczono?

– Nie wiem, co pan uważa za godne powtórzenia?

– Wszystko, co tylko wychodzi poza zakres pospolitych zdarzeń życia.

Sir Henryk uśmiechnął się.

– Nie znam zwyczajów angielskich – powiedział – gdyż większą część życia spędziłem w Stanach Zjednoczonych lub Kanadzie. Nie sądzę jednak, aby strata buta wychodziła poza granice pospolitych zdarzeń w życiu.

– Zgubił pan jeden but?

– Ech, pewnie się gdzieś zapodział – odezwał się Mortimer. – Znajdzie go pan po powrocie do hotelu. Czy warto nudzić pana Holmesa takimi drobnostkami?

– Pan Holmes pyta mnie, więc mu opowiadam – odparł sir Henryk.

– Bardzo słusznie pan czyni – rzekł Holmes – proszę opowiedzieć mi wszystko, nawet to, co uważa pan za zdarzenie błahe. A więc stracił pan but?

– Jeżeli go nie zgubiłem, to w każdym razie zarzucił się. Wczoraj wieczorem postawiłem buty przed drzwiami swego pokoju, a dziś rano znalazłem tylko jeden. Pytałem chłopca hotelowego, lecz nie umiał mi dać żadnego wyjaśnienia. A były to buty nowiuteńkie, kupiłem je wczoraj i nie miałem ich jeszcze na nogach.

– Jeśli pan w nich nie chodził, dlaczego kazał je pan czyścić?

– Żółta skóra nie miała połysku, chciałem, żeby go nabrała.

– A więc wczoraj, zaraz po przyjeździe do Londynu, wyszedł pan na miasto i kupił buty?

– Kupowałem jeszcze inne rzeczy... Towarzyszył mi doktor Mortimer.

Do licha! Jeżeli mam grać rolę wielkiego pana, muszę być odpowiednio ubrany... Na dalekim zachodzie nie dbałem tak o swoją powierzchowność... Robiąc inne sprawunki, kupiłem żółte obuwie, zapłaciłem za nie sześć dolarów i skradziono mi je, zanim je włożyłem na nogi.

– Nie pojmuję, w jakim celu popełniono tę kradzież – rzekł Holmes. – Podzielał zdanie doktora Mortimera, że but wkrótce się znajdzie.

– Zdaje mi się, panowie – rzekł baronet – że mówiliśmy już dosyć o mnie. Nadeszła chwila, abyście mi powiedzieli to, co wiecie.

– Ma pan rację – odpowiedział Sherlock Holmes. – Doktorze, powtórz sir Henrykowi opowieść, z którą zapoznałeś nas wczoraj rano.

Nasz przyjaciel, zachęcony w ten sposób, wyjął z kieszeni papiery i opowiedział historię znaną już czytelnikom. Sir Henryk Baskerville słuchał go z najgłębszą uwagą. Od czasu do czasu mimowolny okrzyk zdumienia wyrывał mu się z piersi. Gdy doktor Mortimer zamilkł, baronet zawołał:

– Odziedziczyłem zatem przeklętą spuściznę. Tak jest, od dzieciństwa słyszałem o tym

psie. Jest to podanie, dobrze znane w naszej rodzinie, ale nie myślałem, aby to była poważna rzecz. Co zaś do śmierci mojego stryja... Zdaje mi się, że wszystko przewraca mi się w głowie... Nie mogę powiązać ze sobą nawet dwóch myśli... Pytam, czy to, co mi pan powiedział, wymaga śledztwa sądowego, czy może egzorcyzmów?

– Rzeczywiście, trudno o tym wyrokować.

– Następnie list, przysłany do hotelu... Trzeba przyznać, przyszedł w porę.

– Jest on zarazem dowodem, że ktoś wie lepiej niż my, co się dzieje na moczarach – rzekł Mortimer.

– Ten ktoś jest panu życzliwy, ponieważ ostrzega pana o niebezpieczeństwie – dodał Holmes.

– A może moja obecność krzyżuje tam pewne plany?

– To możliwe... Dziękuję ci, doktorze, że dałeś mi do rozwiązania zagadkę, która zawiera tyle ciekawych szczegółów. Teraz, sir Henryku, pozostaje nam tylko jedna kwestia do rozstrzygnięcia: czy powinien pan jechać do zamku, czy nie?

– Dlaczegoż miałbym nie jechać?

– Bo tam może grozić panu niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo, pochodzące od złego ducha prześladowającego rodzinę czy też ze strony ludzi?

– Należałoby to wyjaśnić.

– Jakikolwiek jest zdanie panów, ja już wiem jak postąpić. Panie Holmes, nie istnieje w piekle taki diabeł, ani na ziemi taki człowiek, który by mógł mi przeszkodzić w drodze do siedziby moich przodków. Oto jest moje ostatnie słowo.

Podczas tej przemowy brwi sir Henryka zbiegły się, a twarz przybrała purpurową barwę. Ostatni potomek Baskerville'ów odziedziczył widocznie gwałtowny temperament swoich przodków.

– Muszę zastanowić się nieco dłużej nad tym wszystkim, co mi pan powiedział – rzekł po chwili. – Niepodobna tak od razu ogarnąć wszystkiego i powziąć postanowienie. Chciałbym spędzić godzinę w samotnym skupieniu... Panie Holmes, teraz jest wpół do jedenastej: wracam prosto do hotelu; może pan zechce wraz z doktorem Watsonem przyjść do mnie o drugiej? Sądzę, że do tego czasu wyrobię sobie jaśniejsze zdanie o całej sprawie.

– Czy zgadzasz się, Watsonie?

– Najzupełniej.

– W takim razie niech pan na nas czeka. Czy posłać po dorożkę?

– Wolę pójść pieszo; jestem bardzo wzburzony.

– Będę panu z przyjemnością towarzyszył – odezwał się doktor Mortimer.

– A więc, do zobaczenia o drugiej!

Usłyszeliśmy odgłos kroków naszych gości na schodach i stuk zamykanych drzwi wyjściowych. W tejże chwili Holmes wyrwał się z zadumy i zamienił się w człowieka czynu.

– Kapelusz i buty, Watsonie, szybko! Nie ma chwili do stracenia! Wpadł w szlafroku do garderoby i po kilku sekundach wyszedł w surducie. Zbiegliśmy ze schodów i wypadliśmy na ulicę. Doktor Mortimer i Baskerville szli o jakieś dwieście metrów przed nami, w kierunku ulicy Oxford.

– Czy mam ich dogonić i zatrzymać? – spytałem.

– Ani mi się waż! Twoje towarzystwo wystarczy mi najzupełniej, jeśli ty zadowolisz się moim. Ci panowie mieli słuszność, ranek dzisiejszy jest wyśmienity na przechadzkę.

Przyśpieszył kroku i niebawem odległość, dzieląca nas od znajomych panów, zmniejszyła się o połowę; pozostając jakieś sto metrów w tyle, szliśmy za nimi ulicą Oxford a później Regenta. Raz jeden doktor Mortimer i Baskerville zatrzymali się przed jakąś wystawą sklepową, Holmes uczynił to samo. W chwilę później wydał stłumiony okrzyk radości; śledząc kierunek jego badawczego wzroku, spostrzegłem powóz z pasażerem – stał po przeciwnej stronie ulicy i teraz znów ruszył wolno w drogę.

– Mamy go, Watsonie! Chodź prędko. Przyjrzyjmy mu się przynajmniej, jeżeli nie uda nam się nic innego.

W przelocie dostrzegłem gęstą czarną brodę i przenikliwe źrenice, spoglądające na nas przez boczne okno. W tejże chwili otworzyło się ono z impetem, jadący krzyknął coś powożącemu i powóz szybko odjechał ulicą Regenta. Holmes obejrzał się bacznie dokoła, szukając jakiejś dorożki, lecz żadnej nie znalazł. Puścił się zatem pędem, ale nie miał szans.

– Do licha! – zaklął Holmes ze złością. – Czy widział ktoś taki fatalizm i takie niedołęstwo? Watsonie, Watsonie, jeżeli jesteś człowiekiem sprawiedliwym, zapamiętasz to i zapiszesz na rachunek moich niepowodzeń.

– Kto to był?

– Nie mam pojęcia.

– Szpieg?

– Sądząc z tego, cośmy słyszeli, nie ulega wątpliwości, że Baskerville'a od chwili jego przyjazdu ktoś pilnie śledzi. Inaczej, skąd wiadomo by od razu, że zamieszkał w hotelu Northumberland? Jeśli śledzą go pierwszego dnia, będą go śledzić i następnego. Zauważyłeś pewnie, że gdy doktor Mortimer czytał swoją opowieść, zbliżyłem się dwukrotnie do okna.

– Tak.

– Patrzyłem, czy kto nie chodzi przed domem, ale nie spostrzegłem nikogo. Słuchaj, mamy do czynienia z bardzo wytrawnym człowiekiem. Sprawa się wikła; nie jestem pewien, jakie czynniki wchodzi tu w grę, przyjazne czy wrogie, niemniej znać działanie jakiejś ukrytej siły. Niewidzialny opiekun naszych przyjaciół jest tak przebiegły, że nie chciał puścić się za nimi

pieszo. Wsiadł do powozu, dzięki czemu mógł śledzić ich z tyłu lub wyprzedzić i w ten sposób pozostać niezauważony. Metoda ta zapewniała mu i tę korzyść, że gdyby zechcieli jechać dorożką, mógł ich śledzić bez straty czasu. Taki sposób postępowania ma jednak bardzo złą stronę.

– Zdaje tego jegomościa na łaskę i niełaskę dorożkarza.

– Właśnie.

– Co za szkoda, że nie zauważyliśmy jego numeru.

– Mój drogi, jakkolwiek zagapiłem się porządnie, nie przypuszczasz chyba na serio, że nie znam numeru dorożki? 2704... Na razie mało nas to obchodzi.

– Nie wiem, co mógłbyś więcej uczynić.

– Gdybym wcześniej zauważył dorożkę, zawróciłbym niezwłocznie, poszedł w przeciwnym kierunku i znalazł inny wolny pojazd, a wówczas mógłbym jechać za nim w przyzwoitym oddaleniu lub podążyłbym naprzód do hotelu Northumberland i tam zaczekał. Jeżeli okazałoby się, że nasz nieznajomy śledzi Baskerville'a, my śledzilibyśmy jego. Tymczasem przez nierozważny pośpiech, z którego nasz przeciwnik umiał skorzystać z rzadką szybkością i energią, zdradziliśmy się i straciliśmy jego ślad.

Rozmawiając, szliśmy wolno ulicą Regenta i od dawna już straciliśmy z oczu doktora Mortimera oraz jego towarzysza.

– Dalsze śledzenie ich nie ma sensu – rzekł Holmes. – Cień znikł i nie powróci. Pozostały nam jednak jeszcze inne karty w ręku i z tych skorzystamy. Czy poznałbyś człowieka, który siedział w dorożce?

– Poznałbym tylko jego brodę.

– Ja również... dlatego sądzę, że była fałszywa. Człowiek sprytny, realizujący tak delikatne zadanie nosi brodę, by ukryć twarz. Wejdzmy tutaj.

Holmes wszedł do biura posłańców dzielnicy miasta, gdzie dyrektor powitał go z wielką uprzejmością.

– A! pan Wilson... Widzę, że nie zapomniał pan drobnej przysługi, jaką wyświadczyłem.

– Nie i nie zapomnę. Ocalił mi pan honor, a może i życie.

– Przesadzasz, mój drogi. Przypominam sobie, panie Wilson, że miał pan między swymi chłopcami malca nazwiskiem Cartwright, który w toku śledztwa złożył dowody niemałego sprytu.

– Tak, jest jeszcze u nas.

– Może pan zadzwonić na niego, żeby tu przyszedł? Dziękuję! A teraz proszę mi rozmiąć banknot pięciofuntowy. Na odgłos dzwonka pojawił się czternastoletni chłopiec, o inteligentnej twarzy i sprytnych oczach. Stał przed Holmesem i wpatrywał się z wielkim szacunkiem w sławnego agenta tajnej policji.

– Daj mi przewodnik hotelowy – rzeki Holmes. – Dziękuję! Słuchaj, Cartwright, masz tutaj nazwy dwudziestu trzech hoteli, położonych w bezpośrednim sąsiedztwie Charing Cross. Widzisz?

– Widzę, panie.

– Zwiedzisz je wszystkie, kolejno.

– Dobrze, panie.

– Zacziesz od tego, że odźwiernemu każdemu z nich dasz szylinga. Masz tu dwadzieścia trzy szylingi.

– Dobrze, panie.

– Zażądasz od każdego z nich, żeby ci dał do przejrzania kosz z papierami z poprzedniego dnia. Powiesz, że zanesiono ważny telegram pod niewłaściwy adres i że musisz go odnaleźć. Rozumiesz?

– Rozumiem, panie.

– W istocie zaś będziesz szukał środkowej strony „Timesa”, a oto stronica, o którą mi chodzi. Poznasz ją z łatwością, co?

– Poznam, panie.

– W każdym hotelu odźwierny odeśle cię do posługacza, któremu również dasz szylinga. Oto znów dwadzieścia trzy szylingi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w dwudziestu hotelach na dwadzieścia trzy powiedzą ci, że papiery z kosza zostały spalone albo wyrzucone. W trzech zaprowadzą cię do stosu papierów i tam będziesz szukał stronicy gazety. Jest mało prawdopodobne, żebyś ją znalazł. Masz jeszcze dziesięć szylingów na wydatki nieprzewidziane. Doniesiesz mi telegraficznie przed wieczorem na ulicę Baker coś załatwił. Teraz, Watsonie, musimy telegraficznie poznać tożsamość dorożkarza nr 2704, po czym wstąpimy do którejkolwiek galerii obrazów przy ulicy Bond dla zabicia czasu, dopóki nie nadejdzie godzina spotkania w hotelu.

Rozdział 5

Trzy zerwane nici

Sherlock Holmes posiadał rzadką umiejętność odrywania się od spraw pochłaniających jego uwagę. Na dwie godziny sprawa, w którą zostaliśmy wplątani, poszła w zapomnienie, a Holmes utonął w podziwie dla dzieł współczesnych mistrzów belgijskich. Nie chciał mówić o niczym, jedynie o sztuce, o której zresztą miał bardzo słabe pojęcie.

– Sir Henryk Baskerville czeka na panów u siebie – rzekł urzędnik biura hotelowego. – Poleciał mi, abym panów niezwłocznie poprosił na górę.

– Czy pan pozwoli zajrzeć mi do księgi przyjezdnych? – spytał Holmes.

– Owszem, proszę.

Księga wykazała, że po Baskerville'u zapisane zostały jeszcze nazwiska: Teofila Johnsona z rodziną z Newcastle i pani Oldmore z pokojówką z Hingh Lodge, Alton.

– To niewątpliwie ten sam Johnson, którego znam – zwrócił się Holmes do portiera. – Adwokat, prawda? Siwy, utyka chodząc?

– Nie, panie, ten pan Johnson jest właścicielem składu węgla, bardzo rześki jegomość, nie starszy od pana.

– Mylisz się niechybnie co do jego zawodu.

– Nie, panie; od szeregu lat staję w tym hotelu, znamy go wszyscy bardzo dobrze.

– Ha, to inna rzecz. A pani Oldmore? Zdaje mi się, że to nazwisko nie jest mi obce. Proszę wybaczyć moją ciekawość, ale często, odwiedzając jednego znajomego, znajdujemy innego.

– Pani Oldmore jest sparaliżowana. Mąż jej był kiedyś burmistrzem Gloucesteru. Ilekroć przyjeżdża do Londynu, zawsze zatrzymuje się u nas.

– Dziękuję za informacje. Zdaje mi się, że nie znam tych osób.

Wchodząc na schody, Holmes mówił do mnie przyciszonym głosem:

– Wiemy już, że ci, którzy zajmują się tak pilnie naszym przyjacielem, nie zamieszkali w tym samym, co on hotelu. To dowodzi, że jakkolwiek śledzą go baczenie, o czym mieliśmy sposobność się przekonać, równie baczenie wystrzegają się, by ich nie zauważono. Okoliczność ta daje dużo do myślenia.

– Co mianowicie?

– Podsuwa myśl... a to co? Co się tu dzieje, u licha? Na zakręcie korytarza hotelowego wpadliśmy na sir Henryka Baskerville'a we własnej osobie. Twarz miał rozognioną gniewem, a w ręku trzymał stary i zakurzony but. Był taki wściekły, że minęła dobra chwila, zanim zdołał wydobyć głos z gardła, a gdy się odezwał, mówił, wyraźniejszym jeszcze niż rano, dialektem amerykańskim.

– Zdaje mi się, że tu drwią ze mnie – krzyknął. – Ale niech się strzegą, bo pożałują! Do pioruna! Jeśli chłopak nie znajdzie buta, który mi zginął, narobię takiego piekła, że mnie popamiętają! Znam się na żartach, panie Holmes, ale tym razem przeholowali trochę.

– Szuka pan jeszcze ciągle swojego buta?

– Tak i mam zamiar go odnaleźć.

– Przecież mówił pan, że zginął mu nowy żółty but?

– Tak, a teraz znów stary czarny.

– Co? Ależ co pan mówi?...

– To, co jest. Mam tylko trzy pary...nowe żółte, stare czarne i te, które noszę. Wczoraj wieczorem zabrali mi jeden żółty, a dzisiaj rano skradli mi znów czarny. I cóż, znaleźliście? Mów, człowieku, zamiast stać i gapić się na mnie! Na korytarzu ukazał się służący Niemiec.

– Proszę pana, pytałem w całym hotelu, ale nikt nic nie wie.

– Albo but znajdzie się do wieczora, albo zawiadomię właściciela hotelu, że niezwłocznie opuszczam jego budę.

– Znajdzie się... przyrzekam panu, że się znajdzie, proszę tylko o trochę cierpliwości.

– No, pamiętajcie! Nie chcę pod żadnym pozorem tracić butów w tej złodziejskiej norze. Panie Holmes, proszę mi wybaczyć, że nudzę pana taką błahostką...

– Myli się pan, to wcale nie błahostka.

– Czyżby w istocie sprawa była poważna?

– Czym pan sobie to tłumaczy?

– Nie usiłuję wcale tłumaczyć tej całej awantury. Faktem jest, że nie zdarzyło mi się jeszcze dotąd nic równie osobliwego i głupiego.

– Osobliwego... może – rzekł Holmes zamyślony.

– A co pan z tego wnioskuje?

– Jak dotąd, nic jeszcze nie rozumiem. Wszystkie pańskie przygody, sir Henryku, składają się na historię niesłychanie zawikłaną. Gdy nadto dodam do nich śmierć pańskiego stryja, zdaje mi się, że z pięciuset najważniejszych spraw, jakimi się zajmowałem, nie było ani jednej równie osobliwej. Mamy w ręku kilka nici, a z tych jedna niechybnie naprowadzi nas na drogę prawdy. Stracimy może nieco czasu, idąc zrazu fałszywym śladem, ale wcześniej czy później natrafimy na właściwy.

Podczas wspólnego posiłku niewiele mówiliśmy o sprawie, która nas zgromadziła. Dopiero, gdy przeszliśmy do bawialni, Holmes zapytał Baskerville'a jakie są jego zamiary!

– Pojadę do Baskerville Hall.

– Kiedy?

– W końcu tygodnia.

– Słusznie pan postanowił – rzekł Holmes. – Mam niezachwiane przeświadczenie, iż szpiegują pana w Londynie, a wśród kilkumilionowej ludności trudno będzie odnaleźć, kto pana śledzi i co ma na celu. Jeśli zamiary te są złe, może panu wyrządzić krzywdę, a nam niepodobna będzie temu zapobiec. Czy doktor zauważył, że ktoś śledził panów dzisiaj rano, gdy wyszliście ode mnie? Doktor Mortimer poruszył się gwałtownie.

– Śledził... nas? Któż taki?

– Na nieszczęście tego powiedzieć nie mogę. Czy ktoś pomiędzy sąsiadami lub znajomymi pana w Dartmoor nosi pełny, czarny zarost?

– Nie... a może jednak... tak, tak, Barrymore, kamerdyner sir Karola ma czarną brodę.

– A!... Gdzież w końcu jest ten Barrymore?

– Powierzono mu pieczę nad zamkiem.

– Należy się upewnić, czy jest tam istotnie, czy też może przybył niespodzianie do Londynu.

– Jakże pan to stwierdzi?

– Proszę o blankiet telegraficzny... *Czy wszystko gotowe na przyjęcie sir Henryka?*... To wystarczy. Trzeba zaadresować depeszę do Barrymore'a w Baskerville Hall. Jaka jest najbliższa stacja telegraficzna? Grimpen... dobrze. Do kierownika poczty w Grimpen wyślemy drugą depeszę następującej treści:

Depeszę do Barrymore'a doręczyć do rąk własnych. Jeśli nieobecny, zwrócić ją sir Henrykowi Baskervil'owi, hotel Northumberland. W ten sposób jeszcze przed wieczorem dowiemy się, czy Barrymore jest na swoim miejscu w Devonshire.

– Wyśmienicie – odezwał się Baskerville. – Ale, doktorze, kto to jest właściwie ten Barrymore?

– To syn starego intendenta zamkowego, który już nie żyje. Barrymore'owie od czterech pokoleń służą rodzinie Baskerville'ów. O ile wiem, kamerdyner sir Karola i jego żona są ludźmi bardzo uczciwymi.

– Niemniej – rzekł Baskerville – faktem jest, że dopóki nikt z rodziny nie mieszka w zamku, ci ludzie przebywają w rezydencji i nic nie robią.

– To prawda.

– Czy sir Karol zapisał coś w testamencie Barrymore'owi? – spytał Holmes.

– A jakże, jemu i jego żonie po pięćset funtów sterlingów.

- Czy wiedzieli o tym zapisie?
- Wiedzieli; sir Karol lubił opowiadać o swoich rozporządzeniach testamentowych.
- To ciekawe.
- Spodziewałem się – rzekł doktor Mortimer – że nie wszyscy obdarzeni legatami przez sir Karola wydają się panu podejrzani. Mnie bowiem także zapisał tysiąc funtów.
- Doprawdy? I komuż jeszcze?
- Drobne kwoty różnym osobom, nadto zostawił znaczniejsze sumy na cele dobroczynne; reszta zaś przypada w udziale sir Henrykowi.
- Ileż wynosi ta reszta?
- Siedemset czterdzieści tysięcy funtów. – Holmes otworzył szeroko oczy.
- Nie miałem pojęcia, że sir Karol pozostawił tak olbrzymi majątek – rzekł.
- Sir Karol uchodził za człowieka bogatego, ale dopóki nie przyszło do spisu inwentarza, nie wiedzieliśmy, jak wielkim był magnatem. Ogółem majątek jego wynosił blisko milion funtów.
- Tam do licha! To nie lada gratka, warto się o nią pokusić, nie przebijając w środkach. Jeszcze jedno pytanie, doktorze. W razie, gdyby naszemu młodemu przyjacielowi stało się coś złego... proszę mi wybaczyć, sir Henryku, to niemiłe przypuszczenie... kto odziedzyczyłby majątek?
- Ponieważ Roger Baskerville, młodszy brat sir Karola umarł kawalerem, przeto spadkobiercami zostaliby Desmondowie, dalecy krewni. Jakub Desmond to człowiek w podeszłym wieku, kapłan w Westmorelandzie.
- Dziękuję bardzo, to są niezmiernie ważne szczegóły. Czy doktor zna pana Jakuba Desmonda?
- Widziałem go raz u sir Karola. Zachowaniem swym budzi najwyższy szacunek, a życie prowadzi przykładne. Pamiętam, że oparł się naleganiom sir Karola, który koniecznie chciał zmusić go do przyjęcia znacznej darowizny.
- Ten człowiek skromnych upodobań zostałby spadkobiercą krociowej fortuny sir Karola?
- Tak jest, odziedzyczyłby posiadłość ziemską według ustanowionego w rodzinie porządku spadkowego; ponadto gotówkę, o ile obecny dziedzic, który oczywiście ma w tym względzie najzupełniejszą swobodę, nie rozporządziłby nią inaczej.
- Sir Henryku, czy napisał pan testament?
- Nie, panie Holmes. Nie miałem jeszcze czasu; dopiero wczoraj dowiedziałem się, jak rzeczy stoją. W każdym razie gotówka dostanie się temu, kto odziedzyczy tytuł i posiadłość ziemską. Taka była wola biednego stryja. W jaki sposób właściciel zamku mógłby przywrócić świetność Baskerville'ów, gdyby nie miał odpowiednich funduszy na pokrycie kosztów utrzymania odziedziczonej posiadłości? Dom, ziemia i pieniądze muszą pójść w jedną ręce.

– Bardzo słusznie. Zgadzam się w zupełności z panem, sir Henryku; musisz istotnie jechać niezwłocznie do Devonshire. Stawiam tylko jeden warunek: nie może pan jechać sam.

– Doktor Mortimer wraca ze mną.

– Ale doktor Mortimer ma swą praktykę, która zabiera mu czas, a nadto jego dom jest oddalony o kilka mil od pańskiego. Pomimo najlepszych chęci, nie będzie w stanie natychmiast pospieszyć panu z pomocą. Nie, sir Henryku, musi pan zabrać ze sobą człowieka zaufanego, który będzie ustawicznie z panem.

– Czy pan mógłby jechać ze mną?

– W chwili krytycznej postaram się być na miejscu. Pojmuje pan jednak, że rodzaj mojego zajęcia nie pozwala mi oddalić się na czas nieokreślony z Londynu. Dziesiątki ludzi domagają się mojej rady. Ot, teraz na przykład jedno z najbardziej szanowanych nazwisk w Anglii nura w błocie wytrawny szantażysta i tylko ja mogę zapobiec głośnemu skandalowi. Wobec tego, sam pan przyzna, wyjazd do Dartmoor jest dla mnie niepodobieństwem.

– Kogóż zatem poleci mi pan jako towarzysza?

Holmes położył dłoń na moim ramieniu.

– Jeśli mój przyjaciel zechce się podjąć tego zadania, nie ma człowieka odpowiedniejszego. Ufam mu bezgranicznie i wiem z doświadczenia, jak dobrze mieć go przy sobie w ciężkiej chwili życia.

Propozycja ta zaskoczyła mnie zupełnie, lecz zanim zdążyłem odpowiedzieć Baskerville pochwycił moją dłoń i uścisnął ją gorąco.

– To bardzo pocziwe z pańskiej strony – rzekł. – Zna mnie pan teraz, a o całej sprawie wie pan tyle, co ja. Jeśli pan pojedzie ze mną do Baskerville Hall i dotrzyma mi towarzystwa, nie zapomnę panu tego nigdy.

Wizje niezwykłych przygód zawsze miały dla mnie nieprzeparty urok, nadto pochlebily mi słowa Holmesa i skwapliwość, z jaką baronet domagał się mego towarzystwa.

– Pojadę z przyjemnością – rzekłem. – Myślę, że trudno byłoby mi lepiej zużytkować swój czas.

– Będiesz zdawał mi szczegółowo sprawę ze wszystkiego – odezwał się Holmes. – A gdy nadejdzie stanowcza chwila, nadejdzie zaś niechybnie, wówczas przyślę ci odpowiednie wskazówki. Sądzę, że będziecie, panowie, mogli jechać w sobotę?

– Doktorze Watsonie, czy ten dzień panu odpowiada?

– Najzupełniej.

– A zatem w sobotę, o ile nie zajdzie nic nowego, spotkamy się na dworcu Paddington i wyruszymy pociągiem o godzinie dziesiątej minut trzydzieści.

Zabieraliśmy się do odejścia, gdy Baskerville wydał okrzyk triumfu i, schyliwszy się, wydobyl żółty but z pod szafy.

– But, który mi zginął! – zawołał.

– Oby wszystkie trudności, piętrzące się na naszej drodze, zostały równie szybko usunięte! – rzekł Sherlock Holmes.

– Szczególna rzecz jednak – wtrącił doktor Mortimer. – Starannie przeszukałem pokój przed śniadaniem...

– Ja również – rzekł Baskerville – zaglądałem do wszystkich kątów.

– Nigdzie nie było śladu buta.

– W takim razie służący przyniósł go, gdy poszliśmy coś zjeść.

Wezwany Niemiec zapewnił nas, że o niczym nie wie, a wszystkie dopytywania pozostały bez skutku. Nowe zajście powiększyło zatem szereg drobnych i przypadkowych na pozór tajemnic, które szybko nastąpiły jedna po drugiej.

Pominawszy całą ponurą historię śmierci sir Karola, staliśmy wobec samych niewytłumaczonych wypadków z ostatnich dwóch dni: nadejście drukowanego listu, czarnobrody szpieg w powozie, zniknięcie nowego żółtego buta, zniknięcie starego czarnego buta i wreszcie odzyskanie nowego.

Podczas drogi na ulicę Baker, Holmes siedział w dorożce, pogrążony w milczeniu, a ściągnięte brwi i zaduma w bystro patrzących przed siebie oczach świadczyły, że jego umysł, podobnie jak mój, siłił się na powiązanie tych osobliwych zdarzeń, nie mających pozornie nic wspólnego ze sobą. Przez całe popołudnie do późnego wieczora Holmes był pogrążony w zadumie, tonąc w obłokach dymu.

Wreszcie otrzymał dwie depesze. Pierwsza brzmiała:

Doniesiono mi w tej chwili, że Barrymore jest w zamku Baskerville.

Druga komunikowała:

Zwiedziłem, według polecenia, dwadzieścia trzy hotele; ze smutkiem donoszę, że nigdzie nie znalazłem pociętej stronicy „Tirmesa”. – Cartwright.

– Ot, i zerwały się w naszych rękach dwie nici, Watsonie. Najbardziej porusza mnie zawsze sprawa, w której wszystko zwraca się przeciw mnie. Musimy teraz szukać innego tropu.

– Pozostaje nam jeszcze dorożkarz, który wiózł szpiega.

– Tak. Telegrafowałem do głównego biura policji z zapytaniem o jego nazwisko i adres. Nie dziwiłbym się, gdyby to była właśnie odpowiedź – dodał, w tej chwili bowiem rozległ się głos dzwonka.

Okazało się niebawem, że los zesłał nam więcej niż odpowiedź; do pokoju wszedł dorożkarz we własnej osobie.

– Otrzymałem zawiadomienie z naszego biura, że jakiś obywatel, mieszkający w tym

domu, dowiadywał się o numer 2704 – rzekł. – Od siedmiu lat powożę i dotąd nikt nie skarżył się na mnie. Przyszedłem prosto z remizy, ażeby mi pan powiedział w oczy, co pan ma przeciw mnie.

– Nie mam nic przeciw wam, mój przyjacielu – odparł Holmes.

– Przeciwnie, mam dla was dziesięć szylingów, jeżeli odpowiecie szczerze na wszystkie moje pytania.

– Oho, będę miał dobry dzień – rzekł dorożkarz szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. – A co pan chce wiedzieć?

– Przede wszystkim wasze imię i adres, w razie, gdybym was znów potrzebował.

– Jan Clayton, ulica Turpey 3. Moja dorożka jest z remizy Shipley, w pobliżu stacji kolejowej Waterloo.

Sherlock Holmes zanotował te szczegóły.

– A teraz, Claytonie, powiedzcie, co wiecie o podróżnym, który śledził ten dom o godzinie dziesiątej rano, a potem jechał za dwoma panami wzdłuż ulicy Regenta.

Na twarzy dorożkarza odmalowało się zdziwienie i pewne zakłopotanie.

– Nie widzę potrzeby opowiadania panu rzeczy, które są panu równie dobrze znane, jak mnie – rzekł. – Dodam tylko, że ów jegomość powiedział mi, iż jest agentem tajnej policji i zlecił, ażebym nikomu nie pisań o nim słowa.

– Mój przyjacielu, sprawa jest bardzo poważna i możecie narazić się na duże przykrości, jeżeli ukrywacie cokolwiek przede mną. Powiadacie zatem, że ten jegomość przedstawił wam się jako agent tajnej policji?

– Tak jest.

– Kiedy wam to powiedział?

– Rozstając się ze mną.

– Czy powiedział coś więcej?

– Wymienił swoje nazwisko.

Holmes rzucił na mnie spojrzenie tryumfujące.

– A!... wymienił swoje nazwisko? To było nierozważne. I jakże brzmi to nazwisko?

– Sherlock Holmes – odpowiedział dorożkarz.

Nigdy jeszcze chyba nic nie zbiło z tropu mojego przyjaciela tak dalece jak odpowiedź dorożkarza. Przez chwilę siedział jak osłupiały, po czym parsknął śmiechem.

– Watsonie, a to wymierzył cios! Trafił celnie! – rzekł w końcu. – Czuję broń równie szybką i giętką jak moja. Tym razem odniósł nade mną zwycięstwo. A więc powiadacie, że ten pan nazywa się Sherlock Holmes? – zwrócił się do dorożkarza.

– Tak jest panie; tak się nazywa.

– Kapitalna historia! Opowiedzcie mi, gdzieście go złowili i wszystko, co się potem stało.

– Wsiadł do mojej dorożki o wpół do dziesiątej na Trafalgar Square. Powiedział, że jest agentem tajnej policji i obiecał mi dwie gwinee, jeśli będę spełniał przez cały dzień jego zlecenia i o nic nie zapytam. Przystąpiłem na to chętnie. Najpierw pojechaliśmy przed hotel Northumberland i tam czekaliśmy, dopóki nie wyszli dwaj panowie, którzy również wsiadli do najbliższej dorożki. Pojechaliśmy za nimi aż gdzieś tutaj w pobliże.

– Przed moją bramą – rzekł Holmes.

– Nie jestem tego pewien, ale mój pasażer dobrze wiedział, dokąd tamci pójdą. Powlekliśmy się za nimi stępa do mniej więcej połowy ulicy i tam czekaliśmy z półtorej godziny. Wreszcie ci panowie minęli nas pieszo i znów jechaliśmy za nimi.

– Wiem – powiedział Holmes.

– Tak ujechaliśmy ze trzy czwarte ulicy Regenta. Nagle mój pasażer otworzył okienko i krzyknął, abym pędził co koń wyskoczy na stację Waterloo. Pogoniłem klacz i w niecałe dziesięć minut byliśmy na miejscu. Tutaj wysiadł, zapłacił przyrzeczoną kwotę i rzekł odchodząc: „Wiedźcie, że wieźliście Sherlocka Holmesa.”

– Rozumiem, że potem nie widzieliście go?

– Nie, panie.

– Moglibyście opisać, jak ów Sherlock Holmes wygląda?

– Nie tak łatwo go opisać. Dałbym mu około czterdzieści lat; jest średniego wzrostu, trzy cale niższy od pana. Ubrany był elegancko, miał czarną brodę krótko przystrzyżoną, cerę bladą. To wszystko.

– A kolor jego oczu?

– Nie zauważyłem.

– Oto wasze dziesięć szylingów. Dam drugie tyle, jeśli przyniesiecie nowe wiadomości.

– Dziękuję panu i dobranoc.

Jan Clayton wyszedł z zadowoloną miną. Holmes wzruszył ramionami.

– Oto pękła nasza trzecia nić i ani kroku naprzód. Co za przebiegły łotr! Widział numer naszego domu, wie, że Henryk zasięgnął mojej rady i wie, kim jestem. Wywnioskował też, że znam numer dorożki i odszukam woźnicę, dlatego zuchwale podszył się pod moje nazwisko. Watsonie, mamy godnego siebie przeciwnika. Zaszokował mnie w Londynie. Życzę ci lepszego powodzenia w Devonshire. Ale wcale nie jestem spokojny.

– O co?

– O ciebie. To paskudna historia. Im bardziej się z nią zapoznaje, tym mniej mi się podoba. Tak, mój drogi, będę bardzo rad, gdy cię znów ujrzę zdrowego i całego tu, w tym pokoju.

Rozdział 6

Baskerville Hall

Sir Henryk Baskerville i doktor Mortimer stawili się, jak i ja, punktualnie w oznaczonym dniu na stacji, stosownie do umowy. Pojechaliśmy do Devonshire. Sherlock Holmes odprowadził mnie na kolej i po drodze dawał mi ostatnie zlecenia.

– Nie będę ci zawracał głowy wykładaniem swoich teorii, ani zwierzaniem się ze swoich podejrzeń – mówił. – Chcę tylko, żebyś mi donosił o wszystkich faktach z najdrobniejszymi szczegółami, a mnie pozostawił wysnuwanie z nich wniosków.

– Jakiego rodzaju fakty mam ci opisywać? – spytałem.

– Wszystkie, które mogą mieć jakikolwiek, choćby pośredni związek z tą sprawą. Zwłaszcza zaś donoś mi, jakie są stosunki młodego Baskerville'a z sąsiadami i wszystko, co tylko będziesz mógł jeszcze dowiedzieć się nowego o śmierci sir Karola. W ciągu ostatnich kilku dni przeprowadziłem sam małe śledztwo, z ujemnym, niestety wnioskiem. Jedna rzecz tylko wydaje mi się pewna, a mianowicie, że pan Jakub Desmond, najbliższy spadkobierca, to człowiek niemłody, bardzo zacnego charakteru, tak że on nie jest z pewnością sprawcą tego prześladowania. Sądzę, że możemy wyłączyć go z obrębu naszych podejrzeń. Pozostają zatem tylko te osoby, które będą stanowić bezpośrednie otoczenie sir Henryka Baskerville'a.

– Czy nie należałoby pozbyć się przede wszystkim małżeństwa Barrymore?

– Popelniałbyś największy błąd. Jeśli są niewinni, byłaby to okrutna niesprawiedliwość; jeśli są winni, stracilibyśmy wszelką sposobność dowiedzenia im tego. Nie, nie, zachowamy ich na liście podejrzanych. Oprócz nich jest w zamku, jeśli się nie mylę, stangret, a nadto na bagnistej równinie dwóch dzierżawców. W bezpośrednim sąsiedztwie mieszka nasz przyjaciel, doktor Mortimer, który, moim zdaniem, jest z gruntu uczciwy i jego żona, o której nic nie wiemy. Ponadto jest przyrodnik Stapleton i jego siostra, osoba jakoby bardzo ponętna. Jest też pan Frankland z Lafter Hall, również osobnik nieznan, i jeszcze dwóch czy trzech sąsiadów. Tych wszystkich ludzi musisz mieć bacznie na oku.

– Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy.

– Zabrałeś broń ze sobą?

- Zabrałem: sądzę, że może mi się przydać.
- Niewątpliwie. Pamiętaj, żebyś miał rewolwer pod ręką dniem i nocą, ani na chwilę nie zapomnij też o możliwych środkach ostrożności.
- Nasi przyjaciele zajęli już przedział pierwszej klasy i czekali na nas na peronie.
- Nie, nie mamy żadnych nowin dla pana – rzekł doktor Mortimer w odpowiedzi na pytanie Sherlocka Holmesa. Mogę tylko zapewnić pana najuroczyściej, że przez ostatnie dwa dni nikt nas nie śledził. Ilekroć wychodziliśmy, oglądaliśmy się bacznie dokoła i szpieg nie uszedłby naszej uwagi.
- Przypuszczam, że panowie byliście nieustannie razem?
- Z wyjątkiem wczorajszego popołudnia. Za każdym pobytem w mieście poświęcam jeden dzień wyłącznie rozrywce; spędziłem go wtedy w muzeum Akademii Chirurgicznej.
- A ja poszedłem do Hyde–Parku popatrzeć na elegancki świat – rzekł Baskerville. – Ale nic nie zaszło, nie mieliśmy żadnej nadzwyczajnej przygody.
- Niemniej postąpiliście panowie bardzo nierozważnie – rzekł poważnym tonem Holmes, potrząsając głową. – Proszę pana usilnie, sir Henryku, niech pan nigdzie nie chodzi sam, jeśli nie chce się pan narazić na wielkie nieszczęście. Znalazł pan drugi but?
- Nie; przypadł na wieki.
- Doprawdy? A to ciekawe... No, do widzenia! – dodał, gdy pociąg zaczął posuwać się z wolna wzdłuż peronu. – Sir Henryku, proszę dobrze sobie zapamiętać zdanie z owej ponurej, starej legendy, którą nam doktor Mortimer przeczytał, zalecające unikanie późniejszego spaceru w pobliżu wąwozu, kiedy panuje moc złego ducha.
- Wyrzależem przez okno wagonu na peron, od którego oddalaliśmy się szybko i dostrzegłem wysoką, imponującą postać Holmesa, stojącą nieruchomo i patrzącą za nami.
- Podróż minęła szybko i przyjemnie, czas schodził mi na bliższym zaznajamianiu się z towarzyszami i na zabawie z wyżłem doktora Mortimera.
- W ciągu kilku godzin kolor ziemi zmienił się zupełnie, z brunatnej stała się czerwona, granit zastąpił glinę, a rudawe krowy pasły się na bujnych łąkach, świadczących o żyźniejszym, jakkolwiek wilgotniejszym gruncie.
- Młody Baskerville z zajęciem patrzył przez okno i wydawał okrzyki zachwytu na widok znanych krajobrazów.
- Od wyjazdu z Anglii zwiedziłem kawał świata, ale, wierząc mi, doktorze – zwrócił się do mnie – nie widziałem nigdzie nic równie pięknego.
- Nie zdarzyło mi się spotkać mieszkańca Devonshire, który by nie był rozkochany w swoim hrabstwie.
- Zależy to w równym stopniu od charakteru danego osobnika, jak i od hrabstwa – rzekł doktor Mortimer. – Jeden rzut oka wystarczy, by dostrzec u naszego przyjaciela zaokrągloną

czaszkę Celta z silnie rozwiniętymi znamionami uczuciowości i przywiązania. Biedny sir Karol miał czaszkę typu bardzo rzadkiego, na wpół galickiego, na wpół irlandzkiego. Wszak pan, sir Henryku, był jeszcze bardzo młody podczas ostatniego pobytu w Baskerville Hall, prawda?

– Miałem niewiele więcej niż trzynaście lat, gdy umarł mój ojciec, a w zamku nigdy nie byłem; mieszkaliśmy bowiem w niewielkiej willi na południowym wybrzeżu Anglii. Stamtąd pojechałem prosto do przyjaciela, który mieszkał w Ameryce. Zapewniam pana, iż okolica ta jest dla mnie równie nowa jak dla doktora Watsona i ciekaw jestem niesłychanie ujrzeć ową bagnistą równinę.

– W istocie? Niedługo będzie pan czekał na spełnienie tego życzenia, bo oto już jej początek – rzekł doktor Mortimer, wskazując przez okno.

Ponad zielonymi łąkami pól i skrajem nisko położonego lasu wznosiło się w dali szare, melancholijne wzgórze, z dziwacznym szczytem, zarysowującym się niewyraźnie, niby senne widziadło. Baskerville siedział milcząc, z wzrokiem utkwionym w krajobraz; z jego ruchliwej twarzy wyraźnie czytałem, jak silne wrażenie wywierał na nim widok tej ziemi, gdzie przodkowie byli panami od wieków i niezatartymi śladami zaznaczyli swoje istnienie.

Siedział na wprost mnie, wtulony w kąt wagonu kolejowego, ubrany w popielaty garnitur, mówił akcentem wybitnie amerykańskim, a jednak, gdy spoglądałem na jego energiczną, wyrazistą twarz, silnie odczuwałem, że był prawym potomkiem długiego szeregu mężczyzn silnych i odważnych.

Duma, waleczność i siła malowały się w jego gęstych brwiach, w ruchliwych nozdrzach i wielkich, piwnych oczach. Jeśli na tej dzikiej, bagnistej równinie czekały nas jakieś niebezpieczne i ciężkie przygody, mogliśmy być pewni, że mamy w sir Henryku towarzysza, dla którego warto narazić się na wszelkie niebezpieczeństwa, bo będzie je odważnie dzielił.

Pociąg zatrzymał się na stacji i wysiedliśmy. Z drugiej strony toru, za niską, białą barierą, czekał na nas powóz. Przyjazd nasz był widocznie ważnym wydarzeniem, gdyż zawiadowca stacji i służba stacyjna podbiegli ku nam, odebrali pakunki i zanieśli je do powozu. Wychoząc z budynku stacyjnego spostrzegłem ze zdumieniem dwóch żołnierzy, stojących przy drzwiach, którzy, oparci na swych karabinach, przyglądali nam się bacznie, gdyśmy ich mijali.

Sir Henryka Baskerville'a powitał stangret, mały, krępy, o surowej twarzy. W kilka minut później jechaliśmy szybkim kłusem po szerokiej, piaszczystej drodze. Z obu jej stron ciągnęły się żyzne pastwiska, a pomiędzy gęstej zieleni drzew wyzierały spiczaste dachy starych domostw. Daleko poza tą cichą wsią, oprószoną blaskiem zachodzącego słońca, odcinała się ponuro na tle wieczornego nieba długa linia bagnistej równiny, pocięta nierównymi, posępnymi wzgórzami.

Powóz skręcił w boczną drogę, a potem jechaliśmy w górę stromymi ścieżkami, na których w ciągu wieków tysiące kół wyłobiło głębokie bruzdy. Z obu stron miękkie mech zaścielał ziemię, rozpościerały się wachlarze paproci, gorzały w promieniach zachodzącego słońca pąsowe jagody głogu. Minęliśmy wąski granitowy mostek i jechaliśmy wzdłuż bystrego potoku, który pienił się i szumiał w szarym, kamiennym łożysku. Zarówno droga, jak i potok wiły się w dolinie gęsto zadrzewionej karłowatymi dębami i jodłami.

Na każdym zakręcie drogi Baskerville wydawał okrzyki zachwytu, rozglądał się żywo dookoła i zarzucał doktora Mortimera licznymi pytaniami. Jego oczom wszystko wydawało się piękne, ale dla mnie już wszędzie przejawiał się odcień smutku, wyraźne piętno odchodzącego roku. Pożółkłe liście zaścielały ziemię i spadały na nas z poczerńiałych gałęzi; turkot kół zamierał, gdy jechaliśmy po tym pokładzie umierającej roślinności. Smutne dary rzucała przyroda pod stopy powracającemu spadkobiercy Baskerville'ów.

– A to co? – krzyknął doktor Mortimer. – Spójrzcie! Przed nami wznosił się mały, zarosły wrzosem pagórek, niby ostroga, wrzynająca się w dolinę. Na szczycie, podobny do posągu, siedział na koniu żołnierz, groźny i ponury, z karabinem opartym o lewe ramię, gotów do strzału. Strzegł tej właśnie drogi, którą jechaliśmy.

– Co to znaczy, Perkinsie? – spytał doktor Mortimer.

Stangret odwrócił się do nas.

– A to, proszę pana, przed trzema dniami uciekł skazaniec z więzienia Princetown. Postawiono warty na wszystkich drogach i stacjach, wszędzie czatują na niego, ale, jak dotąd, znikł bez śladu. Dzierżawcy w całej okolicy są w rozpacz.

– Nie dziwię się, bo za jakąkolwiek wiadomość każdy z nich dostałby pięć funtów.

– Tak proszę pana, ale co znaczy pięć funtów wobec tego, że mogą być lada chwila zamordowani. Bo to, widzi pan, nie żaden zwykły więzień. To człowiek zdolny do wszystkiego.

– Któż to taki?

– Selden, zabójca z Notting Hill.

Pamiętam doskonale tę zbrodnię, bo swego czasu szczególnie zajęła Holmesa, ze względu na niezwykle okrucieństwo, z jakim została popełniona, i na ohydłą brutalność mordercy. Nie skazano go jednak na śmierć, gdyż zezwierzęcenie przestępcy było tak wielkie, iż powstały wątpliwości co do jego odpowiedzialności umysłowej.

Powóz nasz wjechał na wyniosłość i przed nami rozpościerała się teraz bezbrzeżna bagnista równina, najeżona skalistymi odłamkami, poprzecinana urwiskami. Podmuch lodowatego wichru szedł ku nam od tej pustki i przeniknął nas zimnem do szpiku kości. A więc gdzieś, w jakimś zakątku tego pustkowia ukrywała się, jak dzikie zwierzę w norze, piekielna istota, ziejąca nienawiścią do ludzkości, która odtrąciła ją od swego łona. Tego przypomnienia tylko brakło, by uzupełnić ponure wrażenie, wywołane bezbrzeżną pustką, lodowatym wichrem i

zapadającym coraz szybciej mrokiem. Nawet Baskerville umilkł i otulił się szczelniej płaszczem.

Przed nami rozciągały się teraz urodzajne tereny. Obejrzelśmy się, chcąc raz jeszcze objąć je wzrokiem; ukośne promienie słońca lały złoto do wód potoku, rzucały gorejące blaski na zagony świeżo zaoranej ziemi, na wierzchołki drzew szerokiego pasma lasu. Droga przed nami, wiodąca wśród olbrzymich rudawych skał, stawiała się coraz dziksza i trudniejsza. Od czasu do czasu mijaliśmy chatę, wzniesioną z kamieni, nigdzie kwiat ani roślina nie łagodziły surowego wyglądu tych ludzkich siedzib.

Nagle spostrzegliśmy obniżenie się poziomu, a dalej płaszczyznę kształtu lejkowatego, na której wznosiły się wynędzniałe dęby i skarłowaciałe jodły, pochylone, o konarach powyginanych od szamotania się przez setki lat z wichrami i burzą. Dwie wysokie smukłe wieże widniały ponad wierzchołkami drzew. Stangret wskazał na nie batem.

– Baskerville Hall – rzekł. Pan zamku powstał i z rumieńcem na twarzy, z roziskrzonym wzrokiem przyglądał się swej przyszłej siedzibie. W kilka chwil później stanęliśmy przed wzorzystą żelazną bramą, osadzoną w zniszczonych, popękanych słupach kamiennych, których szczeliny już porosły mchem. Na słupach widniały łby dzików – herb Baskerville'ów. Pawilon odźwiernego był już tylko ruiną z czarnego granitu, nad którą wznosiło się rusztowanie z belek, pozbawionych dachu, który niegdyś podtrzymywały. Naprzeciwko stał nowy, w połowie wykończony budynek, pierwszy owoc zebranego w Afryce złota sir Karola. Przez bramę wjechaliśmy w szpaler, gdzie znów zwiędłe liście zagłuszyły turkot kół, a gałęzie prastarych drzew splatały się nad naszymi głowami, tworząc ciemny tunel.

Gdy Baskerville spojrział w głąb ponurego szpaleru, na którego końcu zamek zarysowywał się niby widmo, dreszcz wstrząsnął jego postacią.

– Czy to tutaj? – spytał przyciszonym głosem.

– Nie, nie, szpaler cisowy jest z drugiej strony – odparł Mortimer. Młody spadkobierca spojrział chmurnym wzrokiem dokoła.

– Nie dziwię się, że mego stryja dręczyły złe przecucia – rzekł po chwili. – Takie otoczenie może przerazić każdego człowieka. W przeciągu pół roku każę przeprowadzić wzdłuż alei oraz przed samym zamkiem szereg lamp elektrycznych; zobaczycie panowie, jak tu się wszystko zmieni, gdy zajaśnieją światła Edisona o sile tysiąca świec.

Na końcu szpaleru rozścielał się obszerny trawnik, za którym ujrzelśmy zamek.

W bladym świetle zamierającego dnia dostrzegłem, że środkowa część zamku wyróżniała się architekturą starszą, cięższą, z wystającym krużgankiem. Całą fasadę porastał bluszcz, a tylko okna i kilka tarcz herbowych przecinało tu i ówdzie jednostajność zieleni.

W tej części zamku wznosiły się dwie stare, zębate wieże, przedziurawione licznymi strzelnicami. Z prawej i lewej strony wież wznosiły się dwa skrzydła w nowocześniejszym

już stylu, zbudowane z czarnego granitu. Białe światło jaśniało poprzez gęste zasłony okien, a z wysokich kominów na stromym, spiczastym dachu strzelał w górę wielki słup czarnego dymu.

– Witaj, sir Henryku! Witaj w zamku Baskerville! Z mrocznego krużganku wyszedł wysoki mężczyzna, zbliżył się do powozu i otworzył drzwiczki. W żółtym świetle przedsionka zarysowała się postać kobiety, która również podeszła do powozu i pomagała mężowi zdejmować nasze pakunki.

– Nie będzie mi pan miał za złe, sir Henryku, że pojedę do domu? – rzekł doktor Mortimer. – Żona czeka na mnie.

– Jak kto, nie zostanie pan na obiedzie?

– Nie, muszę jechać. Niechybnie czeka mnie w domu robota. Pozostałbym chętnie, żeby pana oprowadzić po zamku, ale Barrymore będzie lepszym przewodnikiem ode mnie. Do widzenia! Jeżeli tylko będę mógł panu być użyteczny, niech się pan nie waha przysłać po mnie o każdej porze dnia i nocy.

Turkot kół powozu, uwożącego doktora, znikł w oddali, gdy wraz z sir Henrykiem weszliśmy do przedsionka i ciężkie drzwi zamknęły się za nami z głuchym łoskotem.

Znaleźliśmy się w obszernej, wysokiej komnacie, której sufit podtrzymywały ciężkie i poczerniałe z wiekiem dębowe belki. Na wielkim, staroświeckim kominku płonął ogień: zbliżyliśmy się z sir Henrykiem, by ogrzać ręce, skostniałe podczas długiej jazdy. Rozglądaliśmy się ciekawie dokoła: przypatrywaliśmy się wysokim, wąskim oknom o starych różnokolorowych szybach, dębowym boazeriom, łbom rogaczy i tarczom herbowym, zawieszonym na ścianach – całemu temu smutnemu i ponuremu otoczeniu, na które padało przyćmione światło zawieszanej u sufitu lampy.

– Tak właśnie wyobrażałem sobie zamek – odezwał się sir Henryk. – Czy nie wygląda to jak obraz starej siedziby rodzinnej? I pomyśleć, że jest to ten sam gmach, w którym przez pięćset lat żyli moi przodkowie! Już sama ta myśl nastraja mnie uroczyście.

Oglądał się dokoła, a jego twarz rozjaśniła się młodzieńczym zachwytem. Światło padało prosto na jego postać, ale po ścianach rozwłóczyły się długie cienie, tworząc ponad nim i za nim jakby paradę cieni.

Barrymore, odniósłszy pakunki do naszych pokojów, powrócił i stał przed nami w pełnej szacunku postawie wielkopańskiego sługi. Był to mężczyzna o imponującej powierzchowności: wysoki, przystojny, z czarną przystrzyżoną brodą i bladą twarzą o szlachetnych rysach.

– Czy pan każe podać obiad zaraz?

– Czy jest gotów?

– Za kilka minut może być na stole. Panowie znajdą gorącą wodę w swoich pokojach. Moja żona i ja z całą gotowością pozostaniemy u pana – dodał, zwracając się do sir Henryka

– dopóki pan nie podejmie innych decyzji. Ale pan sam rozumie, że wobec nowych warunków potrzebna będzie znacznie liczniejsza służba.

– Wobec jakich nowych warunków?

– Chcę przez to powiedzieć, że sir Karol prowadził życie bardzo spokojne i wystarczaliśmy mu we dwoje do usługi. Pan zaś, co jest rzeczą zupełnie naturalną, będzie pragnął towarzystwa, a to wywoła zmiany w całym trybie życia domowego.

– Czy mam stąd wnosić, że zamierzacie wraz z żoną mnie opuścić?

– Tylko w takim wypadku, gdyby panu było z tym dogodnie.

– Wszak już od kilku pokoleń wasza rodzina służyła u nas, prawda? Byłoby mi bardzo przykro zaczynać życie tutaj od zrywania starych stosunków rodzinnych.

Zdawało mi się, że dostrzegłem ślady wzruszenia na bladej twarzy kamerdynera.

– Szanowny panie, ja i moja żona doznajemy tego samego uczucia. Ale, mówiąc szczerze, oboje byliśmy bardzo przywiązani do sir Karola, jego śmierć była dla nas wielkim ciosem i sprawiła, że całe to otoczenie stało się dla nas niesłychanie przykre. Zdaje mi się, że pozostając tutaj, w zamku, nie odzyskamy już nigdy swobody ducha.

– Jakież są wasze dalsze zamiary?

– Sądzę, że zabierzemy się do handlu. Dzięki wspaniałomyślności sir Karola posiadamy odpowiednie środki. Teraz może panowie pozwolą, że wskażę drogę do pokojów.

Dokoła przedsionka w górze ciągnęła się galeria, na którą wiodły schody z dwóch stron. Z tego głównego punktu szły dwa korytarze wzdłuż całego gmachu i prowadziły do pokoi sypialnych. Moja sypialnia znajdowała się w tym samym skrzydle, co Baskerville'a, prawie drzwi w drzwi.

Pokoje te były widocznie o wiele nowocześniejsze od komnat środkowej części zamku, a jasne obicia i liczne płonące świece zatarły ponure wrażenie, jakiego doznałem w chwili przyjazdu.

Jednak w jadalni, przylegającej do przedsionka, panował znów mrok i smutek. Była to długa komnata z wzniesieniem, na którym zastawiano dawnymi czasy stół dla panów zamku i ich rodziny, gdy dworzanie zasiadali niżej. W jednym końcu widniała galeria dla muzyków. Czarne belki przecinały nad naszymi głowami sufit pociemniały od sadzy. Szeregi płonących pochodni, rubaszna wesołość starodawnych biesiad wpływały niewątpliwie na złagodzenie posepnego otoczenia; ale dzisiaj, gdy tylko dwaj dżentelmeni w czarnych garniturach siedzieli w obrębie niewielkiego kręgu światła, jaki rzucała przysłonięta lampa, głos zniżało się mimo woli, a niepokój przejmował duszę.

Cały szereg przodków, w najróżnorodniejszych strojach, od rycerza z epoki Elżbiety, aż do wykwintnisa z czasów Regencji, patrzył na nas ze ścian i onieśmiał swym milczącym towarzystwem. Rozmawialiśmy mało i rad byłem wielce, gdy obiad się skończył, po czym prze-

szliśmy do nowoczesnej sali bilardowej, gdzie zapaliliśmy papierosy.

– Dalibóg, niewesoła siedziba – odezwał się sir Henryk. – Przypuszczam, że można się przyzwyczać, ale na razie jest mi tu strasznie nieswojo. Nie dziwię się, że stryj zdziwaczał mieszkając sam jeden w takim domu. Jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, myślę, że dobrze będzie udać się dzisiaj wcześniej na spoczynek; może jutro rano wszystko to wyda się nam weselsze.

Przed ułożeniem się do snu rozsunąłem firanki u okna, które wychodziło na wielki trawnik. Poza nim dwie kępy drzew poruszały się, jęcząc od podmuchu wiatru. Zza rozdartych w szalonym pędzie chmur wyzierał półksiężyc; w jego bladym świetle dostrzegłem na dalszym planie ostre szczyty skaliste i bezbrzeżną przestrzeń ponurych moczarów. Zasunąłem firanki z uczuciem, że to ostatnie wrażenie nie ustępowało w niczym wcześniejszym.

Nie miało ono jednak być ostatnim tego dnia. Nadmierne znużenie spędziło sen z mych powiek; rzucałem się niespokojnie na łóżku, w oddali zegar wydzwaniał kwadranse, przerywając grobową ciszę starego domu.

Nagle, wśród milczenia nocy, dobiegł moich uszu wyraźny, donośny dźwięk, nie pozostawiający żadnej wątpliwości – było to łkanie kobiety, stłumiony, dławiący jęk, taki, jaki tylko beznadziejna zgryzota może wyrwać z piersi człowieka. Usiadłem na łóżku i nastawiłem ucha. Dźwięk dobiegał z bliska i pochodził na pewno z wnętrza domu. Przez pół godziny siedziałem tak, nad słuchując z wytężeniem, ale prócz zegara i szelestu liści bluszczu na murze, nie doleciał mnie już żaden inny odgłos.

Rozdział 7

Stapletonowie z Merripit House

Nazajutrz świeży, pogodny ranek rozproszył nieco posępne wrażenie, jakie wywarł na nas wieczorem zamek Baskerville. Gdy siedzieliśmy z sir Henrykiem przy śniadaniu, słońce wpadało przez wysokie okna i kładło lekkie akwarelowe odcienie na kolorowych, ozdobionych barwnymi herbami, szybach. Ciemne boazerie nabierały brązowych błysków pod działaniem złocistych promieni i trudno było istotnie wyobrazić sobie, że to ta sama komnata, której widok poprzedniego wieczora takim smutkiem zasepił nasze dusze.

– Zdaje mi się, że to nie wina zamku, tylko nasza własna – rzekł baronet. – Byliśmy zmęczeni podróżą, przeziębiliśmy w powozie i stąd wszystko przedstawiło nam się w najczarniejszych kolorach. Dzisiaj jesteśmy wypoczęci, orzeźwieni, patrzymy teraz na świat weselszym okiem.

– Jednakże nie wszystko można położyć na karb naszej podnieconej wyobraźni – odparłem. – Czy pan nie słyszał na przykład kogoś łkającego w nocy? Zdaje mi się, że to była kobieta.

– A to ciekawe, bo zdawało mi się w półśnie, że słyszę jęk czy łkanie, nasłuchiwałem potem przez dobrą chwilę, ale ponieważ nic już nie przerwało ciszy, przeto wywnioskowałem, że mi się śniło.

– Słyszałem ten odgłos bardzo wyraźnie i jestem pewien, że to było łkanie kobiety.

– Trzeba to od razu sprawdzić.

Baskerville zadzwonił i zapytał przybyłego Barrymore'a, czy nie mógłby nam powiedzieć, co nocny odgłos miał znaczyć. Patrzyłem bystro na kamerdynera i zdawało mi się, że jego blada twarz pobladała jeszcze bardziej, gdy usłyszał pytanie pana.

– W całym domu są tylko dwie kobiety – odpowiedział. – Pomywaczka, która śpi w drugim skrzydle, i moja żona, a mogę pana zapewnić, że nie ma ona nic wspólnego z odgłosem, o którym pan mówi.

Jednakże kamerdyner skłamał; zdarzyło się, że po śniadaniu spotkałem panią Barrymore

na korytarzu w pełnym blasku słonecznym. Była to kobieta wysoka, o cięższej, o grubych rysach twarzy, z surowym, zaciętym wyrazem dokoła ust. Oczy ją zdradziły; spojrzały na mnie spod obrzękłych, zaczerwienionych powiek. Ona to zatem płakała w nocy i mąż wiedział o tym niechybnie.

Wszelako narażał się i zapewniał, że to nie ona, nie bacząc, że nieomylnie oznaki mogły lada chwilę powiedzieć prawdę. Dlaczego to uczynił? I dlaczego ona zawodziła tak rozpaczliwie? Już więc na samym wstępie tego bladego, przystojnego mężczyznę o czarnym zaroście zaczęła otaczać jakaś tajemnica. Wszakże on pierwszy odnalazł zwłoki sir Karola i z jego opowiadania znaleźliśmy tamte okoliczności, poprzedzające śmierć dziedzica. A może to właśnie Barrymore był owym pasażerem, którego widziałem w dorożce? Broda owego nieznanego przypominała łądząco brodę kamerdynera. Dorożkarz opisał nam wprawdzie swego pasażera jako mężczyznę raczej niskiego wzrostu, ale jego przelotne wrażenie mogło być błędne.

Jak wyjaśnić tę sprawę? Oczywiście, przede wszystkim należało pójść na pocztę w Grimpen i stwierdzić, czy wysłany z Londynu telegram został istotnie oddany Barrymore'owi do rąk własnych. Jakakolwiek otrzymam odpowiedź, będę mógł przynajmniej cośkolwiek donieść Holmesowi.

Sir Henryk zabrał się po śniadaniu do przeglądania rozmaitych papierów, mogłem więc swobodnie wprowadzić w czyn powzięty zamiar. Po przyjemnej czteromilowej przechadzce wzdłuż krańca moczarów dotarłem do małej wioski, gdzie dwa większe budynki wyróżniały się z daleka; jednym z nich była gospoda, drugim dom doktora Mortimera.

Poczmistrz, będący jednocześnie właścicielem sklepiku z wiktuałami, pamiętał doskonale depeszę.

– Tak jest, panie – odpowiedział zapytany – posłałem pański telegram Barrymore'owi, jak wskazywał adres.

– A kto ją zaniósł?

– Mój syn... ten oto. Kuba, wszak oddałeś telegram w zeszłym tygodniu panu Barrymore'owi w zamku, co?

– Tak, ojczy, oddałem.

– Do rąk własnych? – spytałem.

– Był akurat na strychu, więc nie mogłem mu oddać do ręki, ale dałem depeszę pani Barrymore, a ona przyrzekła, że ją natychmiast zanieś mężowi.

– Czy widziałeś pana Barrymore'a?

– Nie, panie; mówię przecież, że był na strychu.

– Skoroś go nie widział, skąd możesz wiedzieć, że był na strychu?

– Toć jego własna żona musiała chyba wiedzieć, gdzie przebywa! – wtrącił poczmistrz

tonem zniecierpliwionym. – Czy nie otrzymał depeszy? Jeśli zaszła jaka pomyłka, to niechaj pan Barrymore sam poda skargę.

Dalsze badanie było bezcelowe. Wybieg Holmesa nie udał się. Nadal nie mieliśmy dowodu, że Barrymore nie przebywał przez ten czas w Londynie. Przypuśćmy, że był – przypuśćmy, że ten sam człowiek, który ostatni widział sir Karola przy życiu, jako pierwszy szpiegował nowego dziedzica po jego powrocie do Anglii. I cóż stąd? Czy był narzędziem osób trzecich, czy też miał własne złowrogie zamiary? Jaki cel miał w prześladowaniu rodziny Baskerville'ów?

Przypomniało mi się osobliwe ostrzeżenie wycięte z wstępnego artykułu „Timesa”. Byłoby to dzieło Barrymore'a czy też kogoś, kto zamierzał pokrzyżować jego plany?

Powód podany przez sir Henryka wydawał się prawdopodobny – ale czy istotnie, gdyby udało się rodzinę Baskerville'ów trzymać z dala od zamku, Barrymore'owie mieliby zapewnioną stałą i wygodną siedzibę? Takie wytłumaczenie nie usprawiedliwiałoby chyba subtelnego, doskonale obmyślonego planu, który, jakby niewidzialną siecią, oplątywał młodego baroneta. Holmes przyznał, że wśród licznych sensacyjnych spraw, w jakich prowadził śledztwo, nie zdarzyła mu się jeszcze żadna równie zawikłana. Powracając szarą, samotną drogą, modliłem się w duchu, żeby mój przyjaciel uwolnił się jak najspieszniej od swoich zajęć i przybył zdjąć z moich barków tę ciężką odpowiedzialność.

Nagle szelest kroków, śpieszących za mną, i głos wołający mnie po nazwisku wyrwały mnie z zadumy. Odwróciłem się, sądząc, że ujrzę doktora Mortimera, lecz – ku memu niemałemu zdziwieniu – okazało się, że to ktoś zupełnie mi nieznany biegł za mną.

Ujrzałem szczupłego, jasnego blondyna, średniego wzrostu o twarzy wymuskaniej, bez zarostu, z wystającymi szczękami, ubranego w szary garnitur i kapelusz słomkowy; mógł sobie liczyć od trzydziestu do czterdziestu lat. Przez ramię miał przewieszoną blaszankę do roślin, w rękę niósł zieloną siatkę na motyle.

– Przepraszam bardzo za moje natręctwo – rzekł, gdy stanął przede mną zadyszany. – My, mieszkańcy tych moczarów, jesteśmy ludźmi prostymi i nie czekamy na urzędowe przedstawienie. Przypuszczam, że pan już słyszał o mnie od naszego wspólnego przyjaciela, doktora Mortimera. Nazywam się Stapleton, mieszkam w Merripit House.

– Poznałem pana po siatce i blaszance – odparłem; wiedziałem bowiem, że Stapleton jest przyrodnikiem. – Skąd pan mnie zna?

– Byłem właśnie u Mortimera, gdy pan przechodził koło domu i doktor wskazał mi pana przez okno swego gabinetu. Ponieważ szliśmy jedną drogą, przeto postanowiłem dogonić pana i przedstawić się. Spodziewam się, że sir Henryk nie jest zbyt znużony podróżą?

– Nie, bynajmniej; ma się doskonale, dziękuję panu.

– Obawialiśmy się wszyscy, że po smutnej śmierci sir Karola nowy baronet nie zechce

zamieszkać tutaj. Co prawda, ciężkie to zadanie dla zamożnego człowieka zakopać się w takiej dzikiej miejscowości, ale nie potrzebuję panu chyba mówić, że obecność pana zamku jest rzeczą wielkiej wagi dla całej okolicy. Przypuszczam, że sir Henryk jest wolny od wszelkiej zabobonnej trwogi.

– Tak sędzę.

– Pan, oczywiście, zna legendę o piekielnym psie, który jakoby jest plagą rodziny?

– Opowiadano mi ją.

– Szczególna rzecz, jacy tutejsi chłopci są łatwowierni! Wielu z nich przysięgnie, że widziało na moczarach to fantastyczne zwierzę – mówił z uśmiechem, ale zadawało mi się, że czytam w jego oczach, iż bierze tę sprawę zupełnie na serio. – Dziwaczna legenda opanowała w znacznym stopniu wyobraźnię sir Karola i nie wątpię, że była bezpośrednim powodem jego tragicznego zgonu.

– Ale w jaki sposób?

– Miał nerwy tak silnie rozstrojone, że ukazanie się jakiegokolwiek psa mogło wyrzucić fatalny wpływ na jego chore serce. Myślę, że musiał istotnie coś widzieć w szpalerze cisowym owego ostatniego wieczora. Obawiałem się ciągle jakiegoś nieszczęścia, bo byłem bardzo przywiązany do sir Karola i wiedziałem, że jest chory na serce.

– Skąd pan to wiedział?

– Od mego przyjaciela Mortimera.

– Sądzi pan zatem, że jakiś pies ściągał sir Karola i że on umarł właśnie skutkiem tego, pod wpływem strachu? .

– Czy może mi pan dać jakieś lepsze wyjaśnienie?

– Nie wysnuwałem dotąd jeszcze żadnych wniosków.

– A pan Sherlock Holmes?

Oniemiałem przez chwilę na to pytanie; ale jedno spojrzenie na obojętną twarz i spokojne oczy mego towarzysza wystarczyło, żeby mnie przekonać, iż wszelka ukryta myśl jest mu obca.

– Próżne byłoby z naszej strony udawanie, że pana nie znamy, doktorze Watsonie – rzekł znów Stapleton. – Echo czynów pana Holmesa dobiegło i do nas, a pan nie mógł ich rozstrzelać, nie zyskując sam rozgłosu. Jeśli pan jest tutaj, znaczy, że pan Sherlock Holmes interesuje się tą sprawą; nic więc dziwnego, iż ciekaw jestem, jak się na nią zapatruje.

– Żałuję, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– A mogę spytać, czy pański przyjaciel zaszczyca nas odwiedzinami?

– Nie może obecnie opuścić Londynu. Prowadzi śledztwo w kilku innych ważnych sprawach.

– Jaka szkoda! Wyświetliłby może niejedną okoliczność dla nas niepojętą. Co zaś do osobistych poszukiwań pańskich to proszę, jeśli mogę być użyteczny, niechaj pan mną rozporządza. Gdybym miał jakąkolwiek wskazówkę co do istoty pańskich podejrzeń albo wiedział, w jaki sposób pan zamierza prowadzić śledztwo, mógłbym może już teraz służyć radą lub czym.

– Zapewniam pana, że bawię tutaj jedynie jako gość mego przyjaciela, sir Henryka, i że nie potrzebuję żadnej pomocy.

– Wyśmienicie! – rzekł Stapleton. – Ma pan zupełną słuszność zachowując ostrożność i dyskrecję. Zasłużona to dla mnie nagana za moje niczym nieusprawiedliwione wścibstwo; może pan być pewien, że powstrzymam się w przyszłości od najlżejszej wzmianki o tej sprawie.

Doszliśmy do miejsca, z którego wąska, trawą porośnięta ścieżka, zbaczając z gościńca i prowadząc przez moczary. Na prawo wznosił się skalisty, stromy pagórek; niegdyś były tu widoczne kamieniołomy. Stok, ku nam zwrócony, był pełen załamów i szczelin, zarosłych paprocią oraz głogiem. W dali szary słup dymu strzelał w obłoki.

– Niedługa przechadzka tą ścieżką zaprowadzi nas do Merripit House – odezwał się Stapleton. – Może pan zechce poświęcić godzinkę czasu; bardzo pragnąłbym przedstawić pana siostrze.

Zrazu zamierzałem odmówić, obowiązek nakazał mi powrócić do sir Henryka, lecz wnet przypomniałem sobie stos papierów i rachunków, którymi zaśłane było jego biurko. Oczywiście w tej pracy nie mogłem mu być żadną pomocą. Wszak Holmes zalecił mi, żebym starał się poznać sąsiadów pana zamku. Przyjąłem tedy zaproszenie Stapletona i skręciliśmy w wąską ścieżkę.

– Osobliwe są te moczary – rzekł, rozglądając się dokoła po falistej równinie, przeciętej skalistymi grzbietami, które przybierały w oddali postać fantastycznych bałwanów morskich.

– Ich widok nigdy nie spowszednieje. Takie rozległe, tajemnicze. Nie ma pan pojęcia, jakie się w nich kryją dziwne niespodzianki.

– Pan zna dobrze te moczary?

– Jestem tu dopiero od dwóch lat. Stali mieszkańcy nazwaliby mnie nowym przybyszem. Zamieszkaliśmy tutaj wkrótce po osiedleniu się sir Karola w zamku. Wrodzone upodobania skłoniły mnie do zwiedzania całej okolicy i zdaje mi się, że niewielu tutejszych mieszkańców zna ją lepiej ode mnie.

– Czy to takie trudne?

– Bardzo. Widzi pan na przykład tę wielką płaszczyznę na północ, z dziwacznymi wzniesieniami pośrodku?

– Widzę: pyszne miejsce do konnej przejażdżki galopem.

– Tak by się oczywiście zdawało; a niemało ludzi przypłaciło już życiem to przekonanie. Czy dostrzega pan jaśniejsze zielone kępy, rozsiane gęsto po tej płaszczyźnie?

– Dostrzegam; wydają się żyźniejsze niż reszta obszaru.

Stapleton roześmiał się.

– To jest wielkie trzęsawisko – rzekł. – Jeden fałszywy krok przynosi tam śmierć ludziom i zwierzętom. Dopiero wczoraj widziałem, jak skoczył w nie kucyk i już się nie wydostał. Przez długi czas jeszcze łeb nieboraka wystawał nad trzęsawiskiem, dopóki zupełnie się nie zapadł. Nawet podczas wielkiej suszy niebezpiecznie przechodzić tamtędy, a po niedawnych deszczach jesiennych, to miejsce wprost straszne. Jednakże ja potrafię dotrzeć do samego środka i powrócić. Tam do licha! Oto i drugi nieszczęsny kucyk!

Coś brunatnego rzucało się i szarpało wśród zielonego sitowia. Potem wystrzelił w górę długi kark, wyprężony w śmiertelnym skurczu i przeraźliwy zwierzęcy krzyk rozległ się po moczarach. Zdrętwiałem z przerażenia, mój towarzysz miał jednak widocznie silniejsze nerwy.

– Utonął – rzekł. – Już go trzęsawisko pochłonęło. Dwa w przeciągu dwóch dni; być może zginęło znacznie więcej: przyzwyczajają się chodzić tam podczas suszy i nie dostrzegają różnicy, dopóki trzęsawisko nie pochwyli ich w swoje kleszcze. Szkaradne miejsce.

– A jednak pan może je przejść bezpiecznie?

– Mogę; są tam ze dwie ścieżki, którymi człowiek bardzo zwinny może się przedostać, i ja je odnalazłem.

– Po co pan tam chodzi?

– Czy pan widzi dalsze pagórki? Otóż są to istne wyspy, odcięte ze wszystkich stron przez trzęsawisko, które przyczołgało się do nich z biegiem lat. Znajdują się tam rzadkie rośliny i motyle, a kto się zdoła tam przedostać, może zebrać obfite żniwo.

– Spróbuję szczęścia któregoś dnia.

Stapleton spojrzał na mnie zdumiony.

– Na miłość boską, porzuć pan tę myśl – rzekł. – Pańska krew spadłaby na moją głowę. Zapewniam pana, że nie powróciłby pan żywy. Mnie od zguby chroni tylko to, że pamiętam dobrze pewne, nie dla każdego dostrzegalne znaki graniczne.

– A to co? – zawołałem. – Co to jest.

Nad moczarami uniósł się przeciągły i sflumiony pomruk. Przeppełnił powietrze, a mimo to niepodobna było określić, skąd pochodził. Stopniowo wzmógł się i zamienił w groźny ryk, po czym znów przycichł i skonał w drżącym, nieskończenie smutnym skowycie.

Stapleton spojrzał na mnie szczególnym wzrokiem.

– Osobliwe są te moczary! – rzekł.

– Co to jest?

– Chłopi powiedzieliby, że to pies Baskerville'ów domaga się swego żeru. Słyszałem ten odgłos już ze dwa razy, ale nigdy tak wyraźnie.

Z dreszczem trwogi rozglądałem się po rozległej falującej równinie, przeciętej zielonymi kępami sitowia. Jak oko sięgało, na całym obszarze nie było widać żywego stworzenia, tylko dwa kruki krakały przeraźliwie, bujając się na trzcinię za nami.

– Wszak pan, jako człowiek wykształcony, nie wierzy podobnym nedorzecznościom – spytałem. – Jaka jest, pana zdaniem, przyczyna tego szczególnego odgłosu?

– W bagnach odzywają się niekiedy dziwne szmery. To albo błoto opada, albo woda się wznosi; zresztą, czyja wiem?

– Nie, nie, to był odgłos istoty żyjącej.

– Może. Słyszał pan kiedy wabienie bąka?

– Nigdy dotąd.

– To teraz bardzo rzadki ptak błotny, w Anglii prawie już wytępiony; ale na moczarach wszystko jest możliwe. Tak... nie zdziwiłbym się wcale gdyby mi powiedziano, że ten odgłos, który nas doleciał, był krzykiem ostatniego z bąków.

– Jak żyję, nie słyszałem nic równie szczególnego i przerażającego.

– Tak, to niezwykła miejscowość w ogóle. Niech pan spojrzy tam, na ten stok pagórka. Co to jest, jak się panu zdaje?

Cały urwisty stok pokrywały wielkie okrągłe kamienie: było ich przynajmniej ze dwadzieścia.

– Schronienia dla owiec, czy coś takiego?

– Nie, to siedziby naszych czcigodnych przodków. W czasach przedhistorycznych moczary były gęsto zaludnione, a ponieważ od owej pory nikt tu nie mieszkał, przeto znajdujemy wszelkie urządzenia naszych przodków w stanie, w jakim je niegdyś zostawili. Oto ich legowiska i jaskinie. Jeżeli pan ciekawy, niech pan wejdzie do wnętrza, a zobaczy pan jeszcze ogniska i łoża.

– Ależ to całe miasto. Kiedyś było zamieszkane?

– W okresie epoki kamiennej... ścisłej daty nikt nie wie.

– Czymże zajmował się człowiek w tamtym okresie?

– Pasał bydło na tych stokach i uczył się wykopywać kruszec, gdy –miecz brązowy zaczął zastępować kamienną siekierę. Proszę spojrzeć na ten wielki rów w pagórku, na wprost nas. To ślady jego pracy. Tak, tak, doktorze Watsonie, znajdziesz na tych moczarach niejedno wielce osobliwe miejsce... Ach, przepraszam pana... chwilkę tylko... To z pewnością Cyklo-pides.

Muszka czy też ćma przeleciała przez naszą ścieżkę i Stapleton w okamgnieniu z nadzwyczajną szybkością puścił się za nią w pogoń. Ku memu przerażeniu owad leciał prosto na

wielkie trzęsawisko, ale mój nowy znajomy nie zatrzymał się ani chwili. Gonił za nim, skacząc z kępy na kępę i powiewając w powietrzu zieloną siatką, a jego szara postać w tym urywanym, zygzakowatym pochodzie wydawała się również jakąś olbrzymią ćmą.

Stałem, patrząc na tę pogoń z podziwem dla nadzwyczajnej zręczności Stapletona i z obawą, żeby nie utracił gruntu pod nogami na zdradzieckim trzęsawisku, gdy nagle dobiegi mnie odgłos kroków. Odwróciłem się i ujrzałem nieopodal na ścieżce kobietę, szła od strony, w której słup dymu wskazywał położenie Merripit House.

Nie mogłem wątpić, że to panna Stapleton, o której mówiono, pań bowiem było w okolicy moczarów niewiele, pamiętam też, iż ktoś wspomniał, że siostra przyrodnika jest piękną. Kobieta zbliżająca się ku mnie była nią niewątpliwie, stanowiąc typ bardzo niezwykły.

Trudno było o większy kontrast między rodzeństwem – Stapleton bowiem miał cerę nieokreśloną, włosy jasne i oczy szare, jego siostra zaś była najciemniejszą brunetką, jaką kiedykolwiek widziałem w Anglii – smukła, wytworna i wysoka. Twarz miała dumną, o rysach jak wyrzeźbionych, regularnych; mogła się wydawać chłodna i wyniosła, gdyby nie zmysłowe usta i piękne, ciemne, namiętne oczy.

Przedziwnie kształtna, wykwintnie ubrana, była istotnie szczególnym zjawiskiem na puste ścieżce wśród moczarów. Gdy się odwróciłem, miała wzrok utkwiony w bracie, potem szybko skierowała swe kroki do mnie. Uchyliłem kapelusza i zamierzałem coś powiedzieć dla wyjaśnienia swej obecności, gdy jej własne słowa zwróciły wszystkie moje myśli w innym kierunku.

– Wracaj pan! – rzekła. – Wracaj prosto do Londynu, niezwłocznie.

Patrzyłem na nią, ogłupiały ze zdumienia. Oczy jej ciskały na mnie błyskawice, tupała nogą niecierpliwie.

– Dlaczego mam wracać? – spytałem.

– Nie mogę powiedzieć nic więcej – mówiła głosem stłumionym, gwałtownym, sepleniąc z lekka. – Na miłość boską, zrób pan to, o co proszę. Wracaj i niechaj noga twoja nigdy już nie postanie na tych moczarach.

– Ależ ja dopiero przyjechałem.

– Człowieku, człowieku! – zawołała. – Czyż nie możesz pojąć, że ta przestroga ma na celu twoje własne dobro? Wracaj do Londynu! Wyjedź dziś wieczór! Uciekaj stąd za jaką bądź cenę! Cicho, mój brat nadchodzi! Ani słowa o tym, co mówiłam... O, patrz pan, jaki to śliczny storczyk... Jesteśmy tu, na moczarach, bardzo bogaci w storczyki, ale pan przyjechał za późno i już pan nie będzie mógł ocenić piękności naszej okolicy.

Stapleton zaniechał pogoni i wracał do nas zadyszany, czerwony od wysiłku.

– Beryl! To ty? – rzekł; zdawało mi się, że ton tego powitania nie był zbyt serdeczny.

– Zgrzałeś się bardzo, Janku?

– Tak, goniłem okaz Cyclopidesa. To rzadki owad, ostatniej jesieni nie widziałem go prawie wcale. Jaka szkoda, że go nie mogłem schwytać!

Mówił obojętnie, ale małe siwe oczy biegły nieustannie od młodej dziewczyny do mnie.

– Widzę, że się już państwo zapoznaliście.

– Tak, mówiłam właśnie sir Henrykowi, że przyjechał za późno i nie będzie już mógł ocenić prawdziwej piękności moczarów.

– Ach, więc ty bierzesz pana...

– Sądzę, że to sir Henryk Baskerville.

– Nie, nie – rzekłem. – Jestem jego przyjacielem. Nazywam się doktor Watson.

Rumieniec gniewu przemknął po jej wyrazistej twarzy.

– Rozmawialiśmy zatem o sprawach niewłaściwych – rzekła.

– Co prawda, niewiele mieliście czasu na rozmowę – zauważył jej brat, patrząc tym samym badawczym wzrokiem.

– Mówiłam do doktora Watsona, jak gdyby był stałym mieszkańcem, nie zaś tylko gościem w naszych stronach – rzekła. – Mało go może obchodzić, czy pora dla storczyków jest wczesna, czy późna. Pójdzie pan dalej i wstąpi do Merripit House?

Wkrótce stanęliśmy przed domem o stromym dachu, który był niegdyś, w dawnych czasach, folwarkiem jakiegoś hodowcy bydła, teraz zaś został odrestaurowany i przerobiony na nowoczesną siedzibę. Otaczał go sad, ale drzewa, jak zwykle wśród moczarów, były nędzne i skarłowaciałe, tak że cała okolica wyglądała ubogo i robiła smutne wrażenie.

Otworzył nam stary służący, o szczególnej, jakby zasuszonej, twarzy, ubrany w strój wieśniaczy; widocznie prowadził on tu gospodarstwo. Obszerne pokoje były jednak urządzone z wytwornym smakiem – niewątpliwie staranną kobiecą ręką. Spoglądając przez okna na bezbrzeżne, kamieniste moczary, które ciągnęły się do najdalszych krańców widnokregu, pytałem siebie ze zdumieniem, co mogło zniewolić tego wysoce wykształconego człowieka i tę piękną kobietę do zamieszkania w takim pustkowiu.

– Zdumiewa się pan, że wybraliśmy taką osobliwą miejscowość – odezwał się Stapleton, jak gdyby w odpowiedzi na moją myśl.

– A jednak urządziliśmy sobie życie tak, że jesteśmy szczęśliwi, prawda, Beryl?

– Zupełnie szczęśliwi – odparła ona, jednak bez szczególnego przekonania w tonie.

– Utrzymywałem szkołę w jednym z północnych hrabstw – rzekł Stapleton. – Dla człowieka mojego temperamentu była to praca mechaniczna i trudna, ale obcowanie z młodzieżą, urabianie nieświadomych umysłów, wpajanie w nie własnych zapatrywań i pojęć miało dla mnie dużo uroku. Ale nie sprzyjał mi los. W szkole wybuchła zaraźliwa choroba i trzech chłopców umarło. Były to ciężkie dni dla mego zakładu, który na skutek tego wszystkiego podupadł, a ja straciłem bezpowrotnie znaczną część mego kapitału. Gdyby nie żal za chłop-

cami, których towarzystwo lubiłem tak bardzo, mógłbym się cieszyć własnym nieszczęściem, bo mając wrodzone wielkie zamiłowanie do botaniki i zoologii, posiadam tu nieograniczone pole działania; moja siostra kocha przyrodę nie mniej ode mnie. Objaśnienie to jest odpowiedzią na pytanie, jakie wyczytałem w pańskiej twarzy, gdy przyglądał się pan przez okno mo- czarom.

– Istotnie, mówiłem sobie, że pobyt tutaj musi być smutny... Może mniej dla pana niż dla pańskiej siostry.

– O nie, nie, nie znam smutku – wtrąciła żywo panna Stapleton.

– Mamy książki, mamy nasze zajęcia naukowe, wreszcie mamy zajmujących sąsiadów. Doktor Mortimer jest wielce uczonym człowiekiem w swojej specjalności; biedny sir Karol był nieporównanym towarzyszem. Zналиśmy go dobrze; nie jestem w stanie wypowiedzieć, jak dalece odczuwamy jego brak. Jak się panu zdaje, czy przeszkodzę sir Henrykowi, jeżeli odwiedzę go po południu? Pragnę go poznać.

– Sądzę, że będzie panu bardzo rad.

– A zatem może pan uprzedzi go o moim zamiarze. Pragnęlibyśmy, o ile to w naszej mocy, ułatwić mu przywyknięcie do nowego otoczenia. Czy zechce pan pójść ze mną na górę i obejrzeć mój zbiór motyli? Zdaje mi się, że w całej południowej Anglii nie ma bogatszego. Zanim pan skończy oglądanie, śniadanie będzie gotowe.

Mnie jednak pilno było wracać na stanowisko. Ponurość krajobrazu, śmierć nieszczęsnego kuczka, piekielny odgłos, mający jakoby związek ze straszną legendą Baskerville'ów, wszystko to przejęło mnie szczególnym smutkiem. A w dodatku do tych mniej lub więcej nieuchwytnych wrażeń przyłączyła się wyraźna przestroga – nie mogłem wątpić, iż wywołała ją jakaś tajemnicza konieczność.

Oparłem się tedy wszelkim naleganiom, nie zostałem na śniadaniu i wyruszyłem niezwłocznie w drogę powrotną tą samą ścieżką, którą przyszedłem.

Musiała być jednak dla obeznanych z okolicą jakaś krótsza droga, gdyż dochodząc do gościńca, spostrzegłem ze zdumieniem pannę Stapleton siedzącą na kamieniu przy drodze. Zarumieniona od wysiłku, trzymała dłoń na sercu, jak gdyby chcąc stłumić jego bicie.

– Biegłam co sił, żeby panu tu zastąpić drogę – rzekła. – Nie miałam nawet czasu włożyć kapelusza. Nie mogę zatrzymać się dłużej, bo brat spostrzeże, że mnie nie ma. Chciałam tylko przeprosić pana za tę głupią pomyłkę... Wzięłam pana za sir Henryka. Proszę, niech pan zapomni o moich słowach, które pana w niczym nie dotyczą.

– Ależ ja o nich zapomnieć nie mogę – rzekłem. – Jestem przyjacielem sir Henryka, a jego bezpieczeństwo obchodzi mnie bardzo. Niechże mi pani powie, dlaczego pani tak nalegała, żeby sir Henryk powrócił do Londynu?

– Kaprys kobiecy, doktorze Watsonie. Gdy mnie pan lepiej pozna, zrozumie pan, że nie zawsze potrafię wyjaśnić pobudki swoich słów i czynów.

– Nie, nie. Pamiętam drzenie pani głosu. Pamiętam spojrzenie jej oczu. Błagam panią, niech pani będzie ze mną szczerą, bo od czasu przyjazdu w te strony czuję, że otacza mnie jakaś tajemnica. Życie tutaj stało się podobne do tego wielkiego trzęsawiska: utkane jest zielonymi kępami, gdzie czyha na człowieka śmierć, a nigdzie nie ma przewodnika, który wskazałby właściwą drogę. Niechże mi pani zatem powie, co miało znaczyć to ostrzeżenie, a przyrzekam, że powtórzę je sir Henrykowi.

Zawahała się przez chwilę, ale twarz jej przybrała wnet wyraz stanowczy, a oczy spoglądały chłodno.

– Przywiązuje pan do moich słów zbyt wielką wagę – rzekła. – Śmierć sir Karola była dotkliwym ciosem dla mego brata i dla mnie. Łączyły nas stosunki bardzo zażyłe, a droga przez moczary do naszego domu stanowiła jego ulubioną przechadzkę. Był głęboko przejęty klątwą, ciężącą nad całym rodem, nic zatem dziwnego, że po tragicznym jego zgonie zaczęłam wierzyć, iż obawy, jakie wyrażał niejednokrotnie, były uzasadnione. Stąd moja trwoga, gdy dowiedziałam się, że przybywa do zamku inny członek rodziny Baskerville'ów i uważałam za obowiązek ostrzec go o niebezpieczeństwie, jakie mu grozi. To jedynie miałam na myśli.

– Ale na czym polega to niebezpieczeństwo?

– Słyszał pan opowieść o psie?

– Nie wierzę w takie głupstwa.

– Ale ja wierzę. Jeżeli pan ma jakikolwiek wpływ na sir Henryka, niech go pan zabierze z tej miejscowości, która przynosiła zawsze nieszczęście jego rodziny. Świat jest szeroki. Dlaczego sir Henryk ma pozostać tutaj, gdzie mu grozi niebezpieczeństwo.

– Dlatego właśnie, że mu grozi. Taka już natura sir Henryka. Obawiam się, że o ile pani nie da mi jakichś dokładniejszych wyjaśnień, nie zdołam nakłonić go do wyjazdu.

– Nie mogę dać panu innych wyjaśnień, bo nic dokładniejszego nie wiem.

– Rad bym zadać pani jeszcze jedno pytanie. Jeśli w słowach pani, wypowiedzianych do mnie przy naszym pierwszym spotkaniu, nie było istotnie żadnego ukrytego znaczenia, to dlaczego nie chciała pani, żeby je usłyszał brat? Nie było w nich nic takiego, co należałoby ukryć przed nim lub kimkolwiek innym.

– Brat mój bardzo pragnie, żeby zamek był zamieszkały, gdyż jest zdania, że wymaga tego dobro ubogich mieszkańców okolic. Gniewałby się bardzo, gdyby wiedział, iż powiedziałam coś takiego, co mogłoby skłonić sir Henryka do wyjazdu. Spełniłam już swój obowiązek i nic więcej nie powiem. Muszę wracać, inaczej brat spostrzeże moją nieobecność i domyśli się, że rozmawiałam z panem. Do widzenia!

Zawróciła, a w kilka chwil później znikła pośród rozrzuconych odłamków skał, gdy ja z duszą pełną nieokreślonej obawy podążyłem do Baskerville Hall.

Rozdział 8

Pierwszy raport doktora Watsona

Odtąd będę śledził bieg wypadków, przepisując swoje listy do Sherlocka Holmesa, które leżą przede mną na stole. Brak mi jednej kartki, pozostałe są jak najwierniej przepisane i odtwarzają moje ówczesne uczucia oraz podejrzenia dokładniej, niż moja pamięć, jakkolwiek zachowałem niezatarte wspomnienie tych tragicznych wypadków.

Baskerville Hall, 13 października.

Mój drogi Holmesie!

Moje poprzednie listy i depesze informowały Cię dokładnie o wszystkim, co zaszło dotąd w tym zapomnianym przez Boga zakątku świata. Im dłużej człowiek tu żyje, tym bardziej ponura atmosfera moczarów przenika duszę i tym większą grozą przejmują ich bezbrzeżny obszar, a zarazem przerażający urok.

Kto raz dotarł do ich wnętrza, ten pozostawił za sobą wszelkie ślady współczesnej Anglii, natomiast co krok spotykał siedziby ludzi przedhistorycznych. Gdziekolwiek stąpniesz, widzisz dokoła domostwa zapomnianych pokoleń, ich groby i olbrzymie kamienne monolity, które oznaczają chyba miejsca świątyni.

Spoglądając na te szare, kamienne chaty, oparte o urwiste stoki pagórków, zapominasz o czasie, w jakim żyjesz; gdybyś ujrzał nagle okrytego skórą, obrośniętego włosami człowieka, który, czołgając się, wychodzi z niskich drzwi i zakłada na cięciwę swego łuku strzałę, zakończoną kamiennym ostrzem, zdawałoby ci się, że jego obecność jest tutaj naturalniejsza niż twoja własna.

Dziwić się tylko należy, dlaczego nasi prehistoryczni przodkowie zaludnili tak gęsto tę ziemię, która niewątpliwie była zawsze w najwyższym stopniu nieurodzajna. Nie jestem archeologiem, ale przypuszczam, że był to jakiś spokojny, uciemiony szczep, który musiał zadowolić się tym, czego żaden inny nie potrzebował.

Wszystko to wszakże nie ma nic wspólnego z posłannictwem, które mi powierzyłeś i nie zaciekawia prawdopodobnie Twego, ściśle praktycznego umysłu. Pamiętam dobrze, iż jest Ci najzupełniej obojętne, czy ziemia obraca się wokół słońca, czy słońce wokół ziemi. Wracam tedy do faktów dotyczących sir Henryka Baskerville'a.

Jeśli nie dostałeś ode mnie raportu w ciągu kilku ostatnich dni, to dlatego jedynie, że nie miałem dla Ciebie nowin. Teraz właśnie zaszła okoliczność niezwykła, o której powinienes wiedzieć. Przede wszystkim jednak muszę Cię zapoznać z innymi czynnikami zagadki, jaką mamy rozwiązać.

Jednym z nich, o którym wspomniałem Ci mimochodem, jest zbiegły więzień, ukrywający się wśród moczarów. Zdaje się, że opuścił on już te strony i to przeświadczenie uspokoiło mieszkańców pustkowia. Minął tydzień od chwili ucieczki więźnia, a przez ten czas nikt go nie widział ani nie słyszał o nim. Niemożliwe, żeby wytrzymał dotąd na moczarach. Co prawda mógłby się z łatwością ukryć w którejkolwiek jaskini, ale nie miałby co jeść, chyba że schwytałby i zarznął jednego z baranów pasących się na stokach gór. Sądzić należy, że uciekł stąd; okoliczni dzierżawcy mają już sen spokojniejszy.

W zamku jest teraz czterech mężczyzn, zdolnych obronić się w razie potrzeby, ale wyznaję, że przeżywałem chwile niepokoju na myśl o Stapletonach. Mieszkają na całym pustkowiu, trzymają tylko dwoje służby, a sam Stapleton nie grzeszy siłą. Byłby więc wraz z siostrą zupełnie bezbronny w rękach tak okrutnego złoczyńcy, jakim jest ów zbieg z Notting Hill. Sir Henryk był tym ich położeniem nie mniej ode mnie zaniepokojony i zaproponował, żeby służący Perkins sypiał u nich; Stapleton wszakże nie chciał o tym słyszeć.

Troskliwość baroneta wynika też i stąd, że nasz przyjaciel żywo zainteresował się piękną sąsiadką. Nic dziwnego; czas w tym dzikim ustroniu wlecze się nieznośnie dla człowieka czynnego jak on, a panna jest czarująca. Ma jakiś egzotyczny urok, czuć w niej gorącą krew mieszkanki sfer podzwrotnikowych, co stanowi szczególny kontrast z chłodem i obojętnością brata.

Wszelako i on przywodzi na myśl owe ukryte, tłące pod popiołami płomienie. Ma widocznie wielki wpływ na siostrę; zauważyłem, że rozmawiając, spogląda ona nieustannie na niego, jak gdyby szukała uznania dla swoich słów. Metaliczny błysk w oczach tego człowieka, zacięte wąskie wargi wykazują naturę stanowczą, a może nawet nieubłaganą. Ręczę, że śledziłbyś go z zajęciem.

Odwiedził Baskerville'a zaraz pierwszego dnia, a nazajutrz rano zaprowadził nas obu tam, gdzie, jak utrzymują tutejsi, wzięła początek legenda o okrutnym Hugonie. Szliśmy kilka mil przez moczary do miejsca tak ponurego, że mogło zrodzić ową straszną opowieść.

Stanęliśmy u wejścia do krótkiego wąwozu, między urwiskami, wąwozu, który prowadzi na zarosła trawą małą polankę. Na środku polanki sterczą dwa niewielkie głazy, o wierzchoł-

kach tak ostrych i spiczastych, że wyglądają, jak olbrzymie kły jakiegoś żarłocznego potwora. Całe otoczenie odpowiada najzupełniej otoczonej złowrogą legendą tragedii.

Sir Henryk z wielkim zajęciem rozglądał się dokoła i kilkakrotnie pytał Stapletona, czy naprawdę wierzy w możliwość wpływu nadprzyrodzonych sił na bieg spraw ludzkich. Mówił tonem wesołym, lecz czuć było, że traktuje sprawę poważnie. Odpowiedzi Stapletona były powściągliwe, lecz każdy z łatwością mógł dostrzec, iż nie mówi wszystkiego, nie chce wyraźnie wygłosić swego zdania ze względu na uczucia baroneta. Opowiedział nam kilka wypadków prześladowania rodzin przez nieznane siły i pozostawił nas pod wrażeniem, że podziela ogólną wiarę w legendę.

W drodze powrotnej wstąpiliśmy na śniadanie do Merripit House i wtedy sir Henryk poznał miss Stapleton.

Od pierwszej chwili jej widok wywarł na nim głębokie wrażenie i sędzę, że się nie mylę, utrzymując, iż było to wzajemne. Gdy wracaliśmy do domu, mówił o niej ciągle a teraz nie ma prawie dnia, ażebyśmy nie widzieli się z bratem i siostrą. Dziś są u nas na obiedzie, a w przyszłym tygodniu my mamy podobno odwiedzić ich dom.

Należałoby przypuszczać, że taka partia powinna być upragniona przez Stapletona; tymczasem niejednokrotnie zauważyłem wyraz wielkiego niezadowolenia na jego twarzy, gdy sir Henryk w jakikolwiek sposób okazuje względy jego siostrze. Stapleton jest niewątpliwie bardzo do niej przywiązany, zostałby samotny, gdyby jej zabrakło; lecz byłoby to znów najwyższym samolubstwem, gdyby z tego względu nie dopuścił do tak świetnego dla niej małżeństwa.

Stapleton wyraźnie nie życzy sobie, ażeby zażyłość młodej pary przekształciła się w miłość i kilkakrotnie zauważyłem, że umyślnie zapobiegł pozostawieniu ich sam na sam. Nawiasem mówiąc, jeśli sprawa miłosna przyłączy się do trudności dotychczasowych, spełnienie Twojego polecenia, abym nie opuszczał sir Henryka na żadnej przechadzce, stanie się dla mnie nad wyraz trudne. Utraciłbym całą jego sympatię, gdybym chciał dosłownie wypełnić Twój rozkaz.

Przed kilku dniami – dla ścisłości w czwartek – doktor Mortimer był u nas na śniadaniu. Wykopał czaszkę człowieka prehistorycznego z mogiły w Long Down i jest uszczęśliwiony. Nie znam równie szczerego entuzjasty. Po śniadaniu przyszli Stapletonowie i pocziwy doktor, na prośbę sir Henryka, zaprowadził nas wszystkich do szpaleru cisowego, żeby opowiedzieć dokładnie na miejscu wydarzenia owej fatalnej nocy.

Szpaler jest długi, ponury, oceniają go dwa wysokie żywopłoty, z każdej strony ciągnie się wąski pas trawnika. Na końcu stoi stara, zapadła altana, a w połowie szpaleru znajduje się furka, przy której sir Karol strząsnął popiół z cygara. Poza nią rozpościerają się bezbrzeżne moczary. Pamiętam Twoją hipotezę w tej sprawie i usiłowałem odtworzyć w wyobraźni to, co

wówczas zaszło. Sir Karol, stojąc przy furtce, ujrzał coś krocącego przez moczary, coś, co przejęło go tak wielką trwogą, że wpadł w panikę; zaczął uciekać i biegł bez pamięci, dopóki nie umarł ze strachu i znużenia. Biegł długim, ponurym, liściastym tunelem. Przed czym uciekał? Przed psem pasterskim z moczarów? Czy też jakimś czarnym, milczącym fantastycznym potworem? Czy działała w tej sprawie ręka ludzka? Czy błady, baczny Barrymore wie więcej, niż chce powiedzieć? Wszędzie mrok i tajemnica, a na wszystkim niezaprzeczone piętno zbrodni.

Od czasu, gdy pisałem ostatni raz do Ciebie, poznałem jeszcze jednego sąsiada, pana Franklanda; mieszka jakieś cztery mile od nas, w kierunku południowym. Jest to człowiek starszy, siwy, czerwony jak burak o cholerycznym temperamencie. Ma jedną namiętność – przestrzega z zacięciem wykonywania przepisów prawa. Stracił już majątek na procesy, a procesuje się z upodobania; uprawia sztukę dla sztuki i bywa w jednej i tej samej sprawie raz powodem, to znów pozwanym. Nic też dziwnego, iż ta zabawka stała się dlań ogromnie kosztowna.

Bywa, że zamknie ni stąd ni zowąd drogę publiczną i gmina musi pozywać go przed sąd; innym razem obala płot, okalający grunt któregoś z mieszkańców, upiera się, że od niepamiętnych czasów biegła tamtędy dróżka i zmusza właściciela do zaskarżenia go o samowolę. Zna doskonale prawa własności dworu i gminy: wyzyskuje niekiedy swe wiadomości na korzyść włościan z Fernworth, niekiedy zaś przeciw nim, więc bywa kolejno albo obnoszony w triumfie po wsi, albo spalony *in effigie*, stosownie do ostatniego czynu.

Mówią, że uczestniczy teraz w siedmiu procesach, które pochłoną resztki jego majątku, co mu wytrąci broń z ręki i uczyni go w przyszłości nieszkodliwym. Poza tą manią jest, zdaje się, człowiekiem łagodnym, dobrodusznym i wspominam o nim tylko dlatego, że nalegałeś, ażebym ci opisał wszystkie osoby, stanowiące nasze otoczenie.

Pan Frankland ma chwilowo szczególne zajęcie; uprawiając z amatorstwa astronomię, posiada świetny teleskop i przez cały dzień z dachu swego domu rozgląda się po moczarach w nadziei, że dostrzeże zbiegłego więźnia. Gdyby tylko do tego chciał ograniczyć swoją działalność! Ale ludzie mówią, że zamierza wytoczyć proces doktorowi Mortimerowi za otwarcie grobu bez zezwolenia najbliższych krewnych, a to dlatego, że doktor wykopał z mogiły w Long Down ową czaszkę prehistoryczną, z okresu kamienia ciosanego. Dzięki temu Franklandowi mamy życie nieco urozmaicone, wprowadza on bowiem, bardzo pożądany, pierwiastek komiczny.

Teraz, skoro już wszystko wiesz, co się dzieje ze zbiegłym więźniem, Stapletonami, doktorem Mortimerem i Franklandem, przejdę do rzeczy ważniejszych – do Barrymore'ów, a zwłaszcza niespodziewanego zajścia ubiegłej nocy.

Przede wszystkim powrócę do depechy, którą przysłałeś z Londynu, ażeby się upewnić,

czy Barrymore był istotnie w zamku. Pisałem Ci już, że słowa poczmistrza wykazały, iż próba nie powiodła się i nie mamy żadnego dowodu. Powiedziałem o tym sir Henrykowi, a on, ze zwykłą dlań szczerością, wezwał Barrymore'a i zapytał go, czy odebrał depeszę osobiście. Barrymore odpowiedział twierdząco.

– Czy chłopiec oddał ci ją do rąk? – zapytał sir Henryk. Barrymore był widocznie zdumiony i zastanowił się przez chwilę.

– Nie – odparł – byłem na strychu i żona mi ją przyniosła.

– A czy odpowiedziałeś osobiście na depeszę?

– Nie, powiedziałem żonie, co ma odpisać i wyręczyła mnie. Wieczorem Barrymore z własnej inicjatywy powrócił do tej sprawy.

– Nie rozumiem dobrze powodu pytań, jakie mi pan dziś rano zadawał – rzekł. – Mam nadzieję, iż nie są one znakiem, że dopuściłem się czynu, który zachwiał pańskim zaufaniem.

Sir Henryk zapewnił go, że tak nie jest i uspokoił go ostatecznie podarowaniem znacznej części swej starej garderoby, ponieważ ubrania, zamówione w Londynie, już nadeszły.

Bardzo intryguje mnie pani Barrymore. Jest to niewiasta tęga, ociężała, dość ograniczona, jednak pełna godności, ze skłonnością do purytanizmu. Nie możesz sobie wyobrazić osoby mniej wrażliwej. Jednakże pisałem Ci, jak pierwszej nocy po przyjeździe słyszałem jej gwałtowny płacz, a potem nieraz zauważałem ślady łez na jej twarzy. Dręczy ją niechybnie jakaś wielka zgryzota. Niekiedy wydaje mi się, że trapią ją wyrzuty sumienia; chwilami znów pośadzam Barrymore, że jest tyranem domowym. Odczułem od razu coś niezwykłego i tajemniczego w tym człowieku, a przygoda ostatniej nocy wzmogła do najwyższego stopnia moje podejrzenia. Zajście niniejsze może się wydać błahe.

Jak Ci wiadomo, mam lekki sen, a od chwili, gdy jestem tu na straży, nie śpię, lecz właściwie drzemię. Otóż, ubiegłej nocy, około drugiej, zbudził mnie odgłos kroków koło moich drzwi. Wstałem, uchyliłem drzwi i wyjrzałem. Po korytarzu włókł się wydłużony czarny cień postaci mężczyzny idącego chyłkiem i trzymającego świecę w ręku. Miał na sobie koszulę i spodnie, był boso. Dojrzałem zaledwie zarysy postaci, lecz po wzroście poznałem Barrymore'a. Szedł wolno, ostrożnie, a jego zachowanie sprawiało wrażenie skradającego się winowajcy.

Pisałem Ci, że korytarz jest przecięty balkonem, który biegnie dokoła przedsionka, a potem ciągnie się dalej, po drugiej jego stronie. Zaczekałem, aż postać zniknęła i podążyłem za nią. Gdy okrążyłem balkon, człowiek ów był już na końcu korytarza i po blasku światła, padającym przez otwarte drzwi, zmiarkowałem, że wszedł do któregoś pokoju. Pokoje w tym skrzydle zamku są niezamieszkałe i nie umeblowane, owa wycieczka tedy stała się coraz bardziej tajemnicza. Światło tkwiło w jednym punkcie, jak gdyby człowiek stał bez ruchu. Zakradłem się, jak mogłem najciszej pod drzwi i zajrzałem.

Barrymore stał skulony przy oknie i trzymał świecę przed szybą. Zwrócony do mnie profilem, patrzył z napięciem w czarną przestrzeń moczarów, a rysy jego jakby skamieniały w tym oczekiwaniu. Stał tak przez kilka minut, po czym westchnął głęboko i niecierpliwym ruchem zgasił świecę. Powróciłem co tchu do siebie, wnet usłyszałem ponownie odgłos cichych kroków. Długo potem, gdy zapadłem już w półsen, dobiegł mnie zgrzyt obracanego w zamku klucza, lecz nie mogłem określić, skąd ten dźwięk pochodził.

Co to wszystko znaczy – nie mam pojęcia, ale w tym ponurym domu toczą się jakieś tajemnicze sprawy, które, prędzej czy później, wyświetlimy niechybnie. Nie zaprzęgam Ci głowy swoimi przypuszczeniami, gdyż żądałeś ode mnie tylko faktów. Dziś rano długo rozmawiałem z sir Henrykiem i ułożyliśmy plan działania na podstawie moich spostrzeżeń z ubiegłej nocy. Nie powiem Ci teraz, na czym plan nasz polega, przeczytasz z tym większym zajęciem mój następny raport.

Rozdział 9

Drugi raport doktora Watsona

Baskerville Hall, 15 października.

Mój drogi Holmesie!

Jeżeli przez pierwsze dni mego pobytu w Baskerville nie przesyłałem Ci zbyt obszernych listów, to musisz przyznać, że obecnie wynagradzam Ci stracony czas. Wypadki szybko następują po sobie. Ostatni raport zakończyłem opisem nocnej wycieczki Barrymore'a, zaś dzisiaj mam duży zapas nowin, które wprawiają Cię niechybnie w niemałe zdumienie.

Rzeczy przybrały obrót zupełnie niespodziewany. W części wyświekliły się przez ostatnie dwie doby, w części zaś jeszcze bardziej się zawikłały. Opiszę Ci wszystko i sam osądzisz.

Nazajutrz rano po owej nocnej przygodzie udałem się przed śniadaniem do pokoju, w którym w nocy przebywał Barrymore. Zauważyłem, że zachodnie okno, przez które wyglądał z takim natężeniem, ma jedną wyższość nad innymi – wyraźnie widać stamtąd moczary przez pustą przestrzeń między dwoma drzewami. A więc wynika z tego, że Barrymore stojąc w tym oknie wypatrywał kogoś lub czegoś na moczarach.

Noc była tak ciemna, że nie wyobrażam sobie, aby mógł dojrzeć cokolwiek. Na razie przyszło mi do głowy, że wchodzi tu w grę jakaś przygoda miłosna, która usprawiedliwiłaby jego tajemnicze przekradanie się, a także rozdrażnienie żony. Barrymore jest niezwykle przystojnym mężczyzną, aż nadto zdolnym podbić serce wiejskiej dziewczyny – przypuszczenie moje zatem miało wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Otwarcie drzwi, które słyszałem, powróciwszy do siebie, mogło znaczyć, że wyszedł na schadzkę. Takie snułem wnioski i dziełę się z Tobą swymi podejrzeniami, choć w końcu okazały się one bezpodstawne.

Jakakolwiek była przyczyna postępowania Barrymore'a, czułem, że zbyt wielką wzięłbym na siebie odpowiedzialność, gdybym zapomniał o tym, co widziałem. Po śniadaniu poszedłem z baronetem do jego gabinetu i opowiedziałem mu o swych nocnych obserwacjach. Sir Henryk okazał mniejsze zdziwienie, niż przypuszczałem.

– Wiedziałem, że Barrymore odbywa nocne wędrówki i chciałem już z nim o tym pomówić – rzekł. – Słyszałem kilka razy odgłos jego kroków w korytarzu o tej godzinie, którą pan teraz wymienił.

– Może zatem co noc podchodzi do tego samego okna – wtrąciłem.

– Możliwe, w takim razie będziemy mogli go zaskoczyć i przekonać się, czego tam szuka. Ciekaw jestem, co począłby pański przyjaciel Holmes, gdyby był tutaj?

– Myślę, że uczyniłby dokładnie to samo, co pan zamierza – odparłem. – Poszedłby za Barrymore'm i przekonał się, co robi.

– W takim razie pójdziemy obaj.

– Wtedy usłyszycie nas z pewnością.

– Nie sądzę, ma przytępiony słuch; bądź co bądź, musimy skorzystać z tej sposobności. Dziś wieczorem zaczekamy w moim pokoju na jego kolejny spacer.

Sir Henryk zatarł ręce z zadowoleniem; wyraźnie ucieszyło go urozmaicenie jednostajnego życia wśród moczarów.

Baronet nawiązał stosunki z budowniczym, który przygotował plany dla sir Karola, oraz z dostawcą w Londynie; wkrótce rozpoczną się tu wielkie zmiany. Byli również tapicerzy i stolarze z Plymouth, widać ze wszystkiego, że nasz przyjaciel ma przemyślane plany i postanowił nie szczędzić trudów ani kosztów dla przywrócenia dawnego blasku rodzinnej siedzibie.

Gdy dom zostanie odnowiony i urządzony, brak w nim będzie jedynie żony; między nami mówiąc, mam pewne dane domyślać się, kto mógłby nią zostać, jeśli tylko zechce. Mało do-
tąd widziałem ludzi tak rozkochanych w kobiecie, jak sir Henryk w naszej pięknej sąsiadce, pannie Stapleton. Wszelako droga do spełnienia tej gorącej miłości nie jest prosta, w obecnych okolicznościach. Dzisiaj na przykład nasz przyjaciel spotkał na tej drodze niespodziewaną przeszkodę, która sprawiła mu niemałą przykrość.

Po naszej rozmowie o Barrymore sir Henryk wziął kapelusz i zabierał się do wyjścia. Uczyniłem to samo.

– Jak to, pan idzie ze mną? – zapytał, spoglądając na mnie w szczególny sposób.

– To zależy od tego, czy pan pójdzie na moczary – odparłem.

– Tak, idę właśnie w tym kierunku.

– Przecież pan wie, jakie mam polecenie. Przykro mi narzucać się panu, ale słyszał pan,

jak usilnie Holmes nalegał, żebym pana nie opuszczał, zwłaszcza żeby nie chodził pan sam po moczarach.

Sir Henryk położył dłoń na moim ramieniu.

– Mój drogi panie – rzekł z uśmiechem. – Holmes z całą swoją mądrością nie był w stanie przewidzieć pewnych okoliczności, które właśnie zaszły od czasu mego przybycia do zamku. Wszak pan mnie rozumie? Jestem pewien, że pan byłby ostatnim, który by chciał popsuć mi szyki. Muszę pójść sam.

Tak oto znalazłem się w fałszywym położeniu. Nie wiedziałem, co począć, ani co powiedzieć. Zanim się namyśliłem, sir Henryk wziął laskę i wyszedł.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zacząłem sobie wyrzucać, że bez względu na przyczynę pozwoliłem mu wyjść bez opieki. Wyobraziłem sobie, z jakim uczuciem powróciłbym do Ciebie, by Ci oznajmić, że zdarzyło mu się jakieś nieszczęście skutkiem lekceważenia Twoich poleceń. Daję Ci słowo, że na samą myśl o tym krew uderzyła mi do głowy. Sądząc, że nie będzie jeszcze za późno i zdołam go dogonić, pospieszyłem niezwłocznie w kierunku Merripit House.

Na początku mojej pogoni nie mogłem dostrzec sir Henryka. Dopiero w miejscu, z którego skręca boczna ścieżka na moczary, w obawie, że może podążyłem w złą stronę, wszedłem na skalisty pagórek, skąd mogłem swobodnie rozejrzeć się dokoła, i zobaczyłem go od razu.

Stał na ścieżce w sporej odległości, a obok niego kobieta; mogła to być tylko panna Stapleton. Oczywiście było, iż nie spotkali się tutaj przypadkiem. Szli wolno, zatopieni w rozmowie, widziałem szybkie ruchy rąk panny Stapleton, jak gdyby chciała nimi podkreślić własne słowa; on słuchał z uwagą, lecz kilkakrotnie potrząsnął energicznie głową, widocznie czemuś zaprzeczał.

Stałem wśród skał, śledząc ich i nie wiedząc, co począć. Dogonić ich i przerwać tę poufną rozmowę wydało mi się obelgą; jednocześnie miałem obowiązek nie spuszczać sir Henryka ani na chwilę z oka. Odgrywać rolę szpiega wobec przyjaciela było zadaniem nad wyraz wstrętnym. Wszelako nie pozostawało mi nic innego, jak śledzić go z pagórka, a następnie oczyścić sumienie otwartym wyznaniem swego postępków. Prawda, że gdyby zagroziło mu jakieś nagłe niebezpieczeństwo, byłem za daleko, by mu dopomóc. Pewien jednak jestem, że mi przyznasz, iż położenie było bardzo trudne i nie mogłem nic więcej uczynić.

Sir Henryk i młoda pani zatrzymali się na ścieżce, stali pogrążeni w rozmowie; nagle zauważyłem, że nie jestem jedynym świadkiem ich spotkania. Zwrócił moją uwagę zielony wiecheć powiewający w powietrzu, przyjrząwszy się bliżej, spostrzegłem, że wisiał na kiju mężczyzny idącego wśród głazów.

Był to Stapleton ze swoją siatką na motyle. Znajdował się dużo bliżej młodej pary niż ja i szedł wyraźnie ku nim.

W tejże chwili sir Henryk objął nagle pannę Stapleton, lecz zdawało mi się, że ona usiłowała wyrwać się z jego uścisku i odwróciła głowę. Henryk pochylił się ku niej, a ona podniosła rękę, jakby w obronie. Wtem odskoczyli od siebie i obrócili się żywo. Spłoszył ich Stapleton. Biegł ku nim jak szalony, a jego głupia siatka powiewała na kiju. Stanąwszy przed zakochanymi, wymachiwał rękoma w uniesieniu i tupał nogami.

Nie miałem pojęcia, co ta scena może znaczyć, ale zdawało mi się, że Stapleton robił wymówki sir Henrykowi, który się tłumaczył, co uczonego wprowadzało w coraz większe uniesienie. Panna stała wyniosła i milcząca.

W końcu Stapleton odwrócił się i skinął rozkazująco na siostrę; ona, spojrzawszy z wahaniem na sir Henryka, odeszła z bratem. Gniewne ruchy przyrodnika wykazały, że siostra zasłużyła na jego niezadowolenie.

Baronet stał przez chwilę, patrząc za odchodzącymi, po czym, wolnym krokiem, ze spuszczoną głową – istny obraz przygnębienia – wracał ścieżką, którą przyszedł.

Nie rozumiałem wprawdzie, co to wszystko miało znaczyć, ale ogarnął mnie głęboki wstyd, że byłem świadkiem tej poufnej sceny bez wiedzy swego przyjaciela. Zbiegłem z pagórka na spotkanie baroneta.

Miał oczy roziskrzone gniewem, brwi zmarszczone, twarz zmienioną, jak człowiek, który nie wie, co począć.

– A to co, Watson? Skąd pan się tu wziął? – spytał. – Może, pomimo mej prośby, poszedłeś za mną, co?

Powiedziałem mu wszystko: jak doszedłem do przekonania, że nie powinienem być pozostać, jak podążyłem za nim i jak wreszcie stałem się świadkiem zaistniałej sytuacji. W pierwszej chwili jego oczy zapłonęły gniewem, ale rozbroiła go moja szczerość; w końcu roześmiał się smutno.

– Zdawałoby się człowiekowi, że na środku tego pustkowia może być pewien samotności – rzekł – a tu, do pioruna, cała okolica wyległa widocznie, by patrzeć na moje oświadczyzny!... Gdzież pan zamówił miejsce na to widowisko?

– Stałem na tym oto wzgórzu.

– W ostatnim rzędzie, co? Ale jej brat usadowił się na samym szczycie! Czy widziałeś pan, jak szedł ku nam?

– Widziałem.

– Czy ten brat nie robił na panu nigdy wrażenia wariata?

– Nie mogę tego powiedzieć.

– No, ja również. Miałem go zawsze za człowieka dosyć normalnego, aż do dzisiaj, ale możesz mi pan uwierzyć na słowo, że albo on, albo ja powinniśmy być w kaftanie. Jednakże co się ze mną dzieje? Doktorze, jest pan już ze mną razem kilka tygodni, proszę mi powie-

dzieć szczerze, czy jest we mnie coś takiego, co by mi przeszkodziło być dobrym mężem kobiety, którą bym kochał?

– Moim zdaniem, nie.

– Nic nie może zarzucić memu położeniu i sytuacji społecznej, a zatem ma coś przeciw mojej osobie. Ale co? Nie wyrządziłem nikomu najmniejszej krzywdy, a jednak on nie pozwala nawet dotknąć końca jej palców.

– Czy tak powiedział?

– Tak i jeszcze znacznie więcej. Znam ją dopiero od kilku tygodni, ale od pierwszej chwili uczułem, że ta kobieta jest dla mnie stworzona, a ona również była szczęśliwa, przebywając ze mną... przysiągłbym! Kobieta miewa w oczach błyski, stokroć wymowniejsze od słów. Brat nigdy nie dopuszczał do porozumienia między nami i dopiero dzisiaj, po raz pierwszy, zdarzyła mi się sposobność rozmawiania z nią bez świadków. Rada była z naszego spotkania, lecz nie pozwoliła mi mówić o miłości. Powracała ciągle do jednego przedmiotu, ostrzegała mnie, że tutaj grozi mi niebezpieczeństwo i że nie uspokoi się, dopóki nie wyjadę. Odpowiedziałem jej, że od chwili, kiedy ją ujrzałem, nie spieszy mi się wcale do wyjazdu i jeśli istotnie zależy jej na tym, bym opuścił te strony, istnieje jedyny na to sposób: niechaj jedzie ze mną. Po czym oświadczyłem się o jej rękę, ale, zanim zdążyła odpowiedzieć, wpadł na nas jej brat. Wyglądał jak wariat, błyśnięty jak ściana, a z jego jasnych oczu sypały się iskry! Co ja tu robię z jego siostrą? – krzyczał. Jak śmiem okazywać jej uczucia, które są dla niej wstrętne? Czy sądzę, że dlatego, iż jestem baronetem, wolno mi wszystko? Gdyby nie był jej bratem, dałbym mu należytą odprawę. W tych warunkach powiedziałem mu tylko, że nie mam potrzeby wstydzić się swoich uczuć dla jego siostry i mam nadzieję, iż zechce zostać moją żoną. Moje słowa nie poprawiły sprawy; w końcu uniosłem się i odpowiedziałem mu gwałtowniej, niż chciałem ze względu na jej obecność. Skończyło się na tym, że odszedł z nią, jak sam widziałeś, a ja zostałem jak głupi. Niech mi pan powie, co to może znaczyć, a będę wdzięczny do grobu.

Usiłowałem zająć się wytłumaczeniem tym i owym, ale w istocie zgłupiałem zupełnie. Za naszym przyjacielem przemawia tytuł, majątek, wiek, charakter, powierzchowność; nie wiem nic złego o nim, a jedyny zarzut, jaki można mu postawić, to ów fatalizm, który ściga jego rodzinę. Zdumiewające więc było, że konkury baroneta zostały tak brutalnie odrzucone, bez względu na uczucia panny, a także fakt, że przyjęła ona decyzję brata bez oporu.

Wszelako wszystkim naszym wnioskom położyła kres wizyta Stapletona tego samego dnia po południu. Przyszedł przeprosić za swoją szorstkość; w wyniku długiej, poufnej rozmowy z sir Henrykiem w jego gabinecie nastąpiło zupełne pogodzenie; na znak tej zgody mamy być w piątek na obiedzie w Merripit House.

– Niemniej – rzekł sir Henryk po odejściu Stapletona – uważam go w dalszym ciągu za

człowieka narwanego; nie mogę zapomnieć jego wzroku, gdy pędził ku nam dziś rano. Muszę jednak przyznać, że usprawiedliwiał się bardzo szczerze.

– Czy wyjaśnił czymkolwiek swoje postępowanie?

– Mówił, że siostra jest mu wszystkim na świecie. Rzecz to zupełnie naturalna i cieszę się, że ją należycie ocenia. Nie rozstawali się nigdy i, jak powiada, pędzi życie samotne, ograniczając się wyłącznie do jej towarzystwa, tak że nie może wprost znieść myśli o jej utracie. Zrazu nie widział mego przywiązania do niej, ale gdy przekonał się na własne oczy o mych uczuciach i zrozumiał, że mogę mu ją zabrać, doznał wstrząsu – nie był odpowiedzialny za to, co mówił lub robił. Zapewnił mnie, że żałuje niezmiernie tego, co się stało i przyznał, iż to było szaleństwo i najwyższe samolubstwo z jego strony, jeśli przypuszczał, iż będzie mógł zatrzymać przy sobie na całe życie kobietę tak piękną jak jego siostra. Jeżeli ma go porzucić – mówił – to woli, żeby to uczyniła dla kogoś takiego jak ja, kto jest sąsiadem. W każdym razie cios to dla niego ciężki i minie pewien czas, zanim uspokoi się na tyle, że zdoła się z nim pogodzić. Zapewnił mnie następnie, iż przestanie stawiać opór, jeśli mu przyrzeknę, że nie poruszę tej sprawy przez trzy miesiące i zadowolę się przez ten czas przyjaźnią jego siostry, nie domagając się jej miłości. Przyrzekłem mu, zastosować się do jego życzenia i na tym zakończyliśmy naszą rozmowę.

Jedna z naszych drobnych tajemnic została zatem wyświetlona. Wiemy teraz, dlaczego Stapleton spoglądał niechętnym okiem na konkurenta siostry, jakkolwiek konkurent ten przedstawiał świetną partię.

A teraz przechodzę do innej nici, którą rozplatałem w tym zawikłanym motku; do tajemnicy łań nocnych, do śladu łez na twarzy pani Barrymore, wreszcie do nocnej wędrówki kamerdynera pod zachodnie okno.

Powinszuj mi, kochany Holmesie, i przyznaj, że nie zawiodłem Cię w roli Twego pomocnika; uznaj, że nie żałujesz zaufania, jakie mi okazałeś, wysyłając mnie jako swego zastępcę. Wyjaśnienie całego splotu okoliczności było dziełem jednej nocy, a właściwie dwóch nocy, gdyż pierwsza zesłała nam na niczym.

Siedzieliśmy z sir Henrykiem w jego gabinecie blisko do trzeciej nad ranem, ale nie dobiegł nas żaden odgłos, oprócz dźwięku zegara na schodach. Nie było zabawne to czuwanie i skończyło się tym, że obaj zasnęliśmy głęboko w swych fotelach.

Na szczęście nie zniechęciliśmy się i postanowiliśmy spróbować raz jeszcze. Następnej nocy przyćmiliśmy światło lampy i, paląc papierosy, siedzieliśmy cicho, bez słowa i ruchu. Trudno uwierzyć, jak wolno wlokły się godziny, a jednak podtrzymywał nas podobny cierpliwy zapal, jaki podtrzymuje myśliwego, gdy śledzi bacznie zasadzkę zastawioną na zwierzynę.

Wybiła godzina pierwsza, potem druga; zniechęceni zamierzaliśmy już zaniechać dalszego czekania, gdy naraz zerwaliśmy się obaj na równe nogi, bo dobiegi nas szelest kroków na korytarzu.

Słyszeliśmy, jak ktoś zakradał się chyłkiem, aż kroki ucichły w oddali. Wówczas baronet otworzył ostrożnie drzwi i ruszyliśmy. Barrymore minął już galerię i korytarz. Szliśmy na palcach aż do drugiego skrzydła, wreszcie dostrzeżliśmy wysoką, pochyloną postać brodatego mężczyzny, wchodzącego w te same drzwi, co tamtej nocy. W blasku świecy framuga zarysowała się wyraźnie.

Posuwaliśmy się cichutko ku tym drzwiom próbując każdą deskę posadzki, zanim oparliśmy na niej cały ciężar ciała. Pomimo iż zdjęliśmy buty, stare deski uginały się i skrzypiały pod naszymi nogami; niekiedy niemożliwe wydawało się, żeby nas Barrymore nie dosłyszał. Na szczęście jest on trochę głuchy, a poza tym był zupełnie pochłonięty swoim zajęciem. Nareszcie doszliśmy do drzwi i zajrzeliśmy do pokoju. Barrymore stał przy oknie, trzymając świecę w ręku; bladą twarz, na której malowało się wyteżone oczekiwanie, przycisnął do szyby, jak wtedy, gdy go tam widział po raz pierwszy. Nie umówiliśmy się, jak postąpimy, ale baronet jest człowiekiem; który uważa, iż prosta droga najprędzej prowadzi do celu. Wszedł tedy do pokoju, a usłyszawszy to, Barrymore odskoczył od okna, oddychał ciężko; stał przed nami drżący, blady śmiertelnie. Jego ciemne oczy, których blask powiększała bladość twarzy, z trwogą i zdumieniem spoglądały to na mnie, to na sir Henryka.

– Co ty tu robisz? – spytał baronet.

– Nic, panie – był taki wystraszony, że zaledwie mógł mówić, a świeca chwiała się w jego drżącej ręce i rzucała na ścianę skaczące cienie – To okna, panie... Chodzę w nocy i patrzę, czy są zamknięte.

– Na drugim piętrze?

– Tak, panie, oglądam wszystkie okna.

– Słuchaj, Barrymore – rzekł sir Henryk surowo – postanowiliśmy wydobyć z ciebie prawdę, więc im prędzej ją wyznasz, tym lepiej dla ciebie. Gadaj zaraz, tylko bez kłamstw. Co ty robiłeś przy oknie?

Nieborak spojrział na nas i załamał ręce, jak człowiek ostatecznie zgnębiony i nieszczęśliwy.

– Nie robiłem nic złego, panie. Trzymałem tylko świecę.

– A dlaczego trzymałeś tę świecę?

– Niech mnie pan nie pyta... błagam, niech mnie pan nie pyta! Daję panu słowo, że to nie moja osobista tajemnica i nie mogę jej zdradzić. Gdyby dotyczyła tylko mnie, nie ukrywałbym jej przed panem.

Błysnęła mi nagła myśl i wziąłem świecę z parapetu, gdzie ją Barrymore postawił.

– Ręczę, że to sygnał – rzekłem. – Zobaczymy, czy będzie odpowiedź.

Trzymałem przez chwilę świecę w taki sam sposób jak on i wpatrywałem się uważnie w ciemną noc. Z trudnością mogłem i rozróżnić ciemny pas drzew i jaśniejszy obszar moczarów, księżyc bowiem skrył się za chmury.

Naraz wydałem okrzyk radości: mały, żółty punkcik światła przebił ciemność.

– Oto jest! – zawołałem.

– Nie, nie, panie, to nic... to nic nie znaczy! – przerwał Barrymore – zapewniam pana.

– Przesuwaj pan świecę przed szybą – wołał baronet – Patrz, tamto światło również się porusza! Czy i teraz jeszcze, łotrze, będziesz przeczył, że są to sygnały? Mów zaraz, kto jest tam twoim wspólnikiem i jaki knujecie spisek?

Na twarzy kamerdynera odbił się teraz wyraźnie gniew.

– To moja rzecz, nie pańska. Nie powiem.

– W takim razie wynoś się z mego domu... Natychmiast!

– Dobrze, panie! Jeśli muszę, to trudno.

– I odchodzisz wypędzony! Do pioruna, jak ci nie wstyd! Rodzina twoja żyła przeszło sto lat pod jednym dachem z moją, a ja zastaję cię knującego przeciw mnie spiski!

– Nie, nie, panie, nie przeciw panu! – odezwał się głos kobiety. Pani Barrymore, jeszcze bledsza i bardziej wylękła od męża, stała we drzwiach. Jej przysadzista postać, otulona w szal, w krótkiej spódnicy, byłaby komiczna, gdyby nie tragiczny wyraz twarzy.

– Mamy się stąd wynieść, Elizo. Skończyło się. Idź, pakuj rzeczy – rzekł kamerdyner.

– Och, Janie, Janie, a więc cię zgubiłam! To moja wina, sir Henryku... Tylko moja. On robił jedynie to, o co go prosiłam.

– Mówcie zatem! Co to znaczy?

– Mój nieszczęśliwy brat umiera z głodu wśród moczarów. Nie możemy przecież pozwolić mu zginąć. Światło stąd jest sygnałem, że przygotowaliśmy dla niego pożywienie, a światło stamtąd wskazuje nam miejsce, gdzie mamy mu zanieść żywność.

– Brat wasz jest zatem...

– Zbiegłym więźniem, panie... zbrodniarzem Seldenem.

– Teraz pan wie prawdę – odezwał się Barrymore. – Mówiłem panu, że to nie moja tajemnica i że nie mogę jej panu wyjawić. Przekonał się pan, że nie kłamałem i że jeżeli był w tym spisek, to bynajmniej nie przeciw panu.

Tak więc zostały wyjaśnione tajemnicze wędrówki nocne i cel światła w oknie.

Zdumieni do najwyższego stopnia, spoglądaliśmy wraz z sir Henrykiem na panią Barrymore, wręcz nie wierząc, żeby w żyłach tej statecznej, uczciwej kobiety płynęła ta sama krew, co w żyłach najsłynniejszego w kraju zbrodniarza.

– Tak, panie – zaczęła po chwili – jestem z domu Selden, a to mój młodszy brat. Pieściliśmy

go i psuliśmy w dzieciństwie, pozwalając mu na wszystko; z czasem nabrał przekonania, że świat został stworzony dla jego przyjemności i że może robić, co mu się podoba. Potem, gdy dorósł, natrafił na złe towarzystwo, diabeł go opętał; matkę wpędził do grobu, a nasze nazwisko unurzał w błocie. Dopuszczał się jednej zbrodni po drugiej, stopniowo upadał coraz niżej i tylko łaska boska ocaliła go od ręki kata. Dla mnie jednak, panie, pozostał malcem o jasnych kędziorkach, którego jako starsza siostra piastowałam. Dlatego właśnie, gdy uciekł z więzienia, wiedział, że jestem tutaj i że mu nie odmówimy pomocy. Gdy przywłókł się w nocy do nas, wycieńczony zmęczeniem i głodem, ścigany przez dozorców więziennych, co było robić? Ukryliśmy go u siebie, karmiliśmy i pielęnowaliśmy. Potem pan powrócił i bratu zdawało się, że będzie bezpieczniejszy wśród moczarów, dopóki cała wrzawa, wywołana jego ucieczką, nie ucichnie. Co drugą noc upewnialiśmy się, czy jeszcze jest i stawialiśmy świecę w oknie; jeżeli odpowiadał takim samym sygnałem, mąż zanosił mu trochę chleba i mięsa... Z dnia na dzień spodziewaliśmy się, że pójdzie dalej w świat, ale dopóki tu był, nie mogliśmy go opuścić. Oto cała prawda, jakem uczciwa chrześcijanka, i przyzna pan, że nie mój mąż tu zawinił, lecz ja, bo to, co uczynił, zrobił przez wzgląd na mnie.

Mówiła szczerze i poważnie.

– Czy to prawda, Barrymore? – spytał sir Henryk.

– Tak jest, panie; szczerą prawdą.

– Trudno, nie mogę ci mieć za złe, żeś pomagał żonie. Zapomnij o moich poprzednich słowach. Wracajcie oboje do siebie, a jutro rano pomówimy jeszcze o tym.

Po ich wyjściu wyrzeliśmy znów przez okno. Sir Henryk otworzył je na oścież, a zimny wiatr nocy owionął nas przejmującym dreszczem. W dali, wśród mroku, jarzyło się jeszcze żółte światelko.

– Dziwię się jego odwadze – rzekł sir Henryk.

– Może umieścił światło tak, że tylko stąd jest widoczne.

– Możliwe! Jak się panu zdaje, czy to daleko?

– Myślę, że to będzie pod Cleft Tor.

– Nie więcej niż mila lub dwie?

– Nawet nie tyle.

– Zapewne; nie może być bardzo daleko, skoro Barrymore nosił jedzenie... Ten łotr czeka tam, obok świecy. Do pioruna, Watsonie, pójdę i schwytam tego zbrodniarza!

To samo pragnienie obudziło się we mnie. Nie przyszłoby mi to z pewnością do głowy, gdyby Barrymore'owie zwierzyli nam się z własnej woli. Ale prawie wydarliśmy z nich tajemnicę. Człowiek ów był zaś niebezpieczny dla całej okolicy; skończony łajdak, nie zasługujący na współczucie, ani na usprawiedliwienie. Inni mogli przypłacić życiem naszą obojęt-

ność. Przecież któreś nocy mógł napaść na naszych sąsiadów, Stapletonów; ta właśnie myśl niewątpliwie sprawiła, że sir Henryk z odwagą podejmował się niezbyt bezpiecznej. wyprawy.

– Pójdę z panem – rzekłem.

– Dobrze, niech pan weźmie rewolwer. Im wcześniej wyruszymy, tym lepiej, bo ten łotr może zgasić światło i ukryć się.

W pięć minut później byliśmy już w drodze.

Zdążyliśmy do ciemnych szpalerów, wśród smętnego świstu jesiennego wichru i szelestu spadających liści. Od czasu do czasu księżyc wyglądał zza chmur pędzących po niebie, a gdy doszliśmy do moczarów, zaczął padać drobny deszczyk. Światło jeszcze płonęło.

– Czy ma pan broń? – spytałem.

– Mam nóż myśliwski.

– Musimy zaskoczyć go znienacka, bo mówią, że nie cofa się przed niczym. Trzeba go schwytać i obezwładnić, zanim zdąży stawić opór..

– Słuchaj no, Watsonie, co by też Holmes powiedział, gdyby nas widział? – spytał baronet.

– W owej nocnej godzinie, kiedy panuje moc złego ducha?

Jakby w odpowiedzi na te słowa, wśród wielkiego pustkowia moczarów powstał ów osobliwy krzyk, który już raz dobiegł moich uszu na skraju rozległego trzęsawiska. Niesiony wiatrem, przerywał nocną ciszę: zrazu przeciągły pomruk, potem przeraźliwe warczenie, które wreszcie skończyło w żalonym skowycie. Przerażający, dziki, groźny odgłos powtórzył się kilkakrotnie.

Baronet schwytał mnie za rękaw – pomimo ciemności widziałem, że był blady jak chusta.

– Na Boga żywego, co to jest, Watsonie?

– Nie wiem. To jakiś odgłos, częsty podobno wśród moczarów. Już raz go słyszałem.

Krzyk skończył i dookoła nas zaległa grobowa cisza. Staliśmy, wyęzając słuch, ale żaden dźwięk nie dobiegł nas już z pustkowia.

– Watsonie – odezwał się baronet – to było wycie psa. Krew ścięła mi się lodem w żyłach, bo głos jego załamał się, jakby pod wpływem nagłego przerażenia.

– Jak oni nazywają ten odgłos? – spytał.

– Kto?

– Tutejsi ludzie.

– Ach, to zabobonni wieśniacy. Co pana to obchodzi, jakim mianem go określają?

– Powiedz mi jednak... co mówią?

Zawahałem się. Nie mogłem wszakże pominąć tego pytania.

– Mówią, że to wycie psa Baskerville'ów.

Sir Henryk westchnął głęboko i milczał przez długą chwilę.

– Tak, to był pies – odezwał się wreszcie – ale zdawało się, że odgłos przychodzi z odległości kilku mil, z tamtej strony.

– Trudno określić kierunek, z jakiego dobiegał.

– Wzmagął się i słabnął wraz z podmuchem wiatru. Czy nie szedł stamtąd, od strony wielkiego trzęsawiska?

– Tak, w tamtej stronie jest trzęsawisko.

– Z pewnością dobiegał stamtąd. Powiedz no pan szczerze, czy sam pan nie myślał, że to wycie psa? Nie jestem dzieckiem. Może mi pan powiedzieć prawdę.

– Stapleton był ze mną, gdy usłyszałem ten odgłos po raz pierwszy. Mówił, że to może być wabienie rzadkiego ptaka.

– Nie, nie, to był pies. Boże wielki! Czyżby istotnie było coś z prawdy w tych wszystkich opowieściach? Czyżby istotnie groziło mi jakieś tajemnicze niebezpieczeństwo? Czy pan w to wierzy?

– Nie, nie!

– A jednak inna jest rzecz śmiać się z tego w Londynie, a zupełnie inna stać tutaj w nocy, wśród moczarów i słyszeć podobny krzyk. A mój stryj! Wszak obok jego zwłok dostrzeżono ślady psich łap. Wszystko to ma związek. Nie sądzę, żebym był tchórzem, ale na ten odgłos krew ścięła mi się lodem w żyłach. Niech pan dotknie mojej dłoni.

Była zimna jak marmur.

– Jutro będziesz się śmiać z tego.

– Wątpię; zdaje mi się, że to wycie słyszeć będę wiecznie. Jak pan radzi: co począć teraz?

– Może wrócimy do zamku?

– Nie, do pioruna; przyszedliśmy tutaj, żeby schwycić zbrodniarza i złapiemy go. Puściliśmy się w pogoń za więźniem, a jakiś szatański pies za nami. Naprzód! Postawimy na swoim, choćby szatan wysyłał na moczary wszystkie piekielne duchy!

Szliśmy powoli wśród ciemności, dokoła nas wznosiły się czarne, urwiste wzgórza, przed nami jaśniała żółta plama płonącego w jednym punkcie światła. Nie ma nic złudniejszego nad odległość światła wśród ciemnej nocy; niekiedy zdawało się, że blask świeci gdzieś daleko na widnokręgu, to znów, że jaśniej na kilka metrów przed nami.

W końcu jednak dostrzeżliśmy światełko, byliśmy już wtedy bardzo blisko. W szczelinie skały stała świeca.

Zrąb skały zasłaniał nas; skuleni, wysunęliśmy głowy i patrzyliśmy na sygnał świetlny. Szczególne wrażenie robiła ta świeczka, paląca się wśród moczarów, bez znaku życia w pobliżu – nic prócz tego żółtego płomyka i blasku, jaki rzucał na boczne skały.

– Co teraz pocznjemy? – szepnął sir Henryk.

– Będziemy czekali. Musi być gdzieś w pobliżu światła. Może go dostrzeżemy.

Zaledwie wymówiłem te słowa, ujrzeliśmy go obaj. Ponad szczeliną w skałach, gdzie płonęła świeca, wysunęła się straszna twarz, wręcz zwierzęca, żółta. Obryzgana błotem, okolona rozwichrzonym zarostem i długimi rozczochranymi włosami, mogła uchodzić za oblicze jednego z przedhistorycznych ludzi, którzy zamieszkiwali jaskinie na stokach pagórków.

Światło stojące poniżej odbijało się w chytrych oczach, które rozglądały się gorączkowo dokoła, usiłując przeniknąć zalegające ciemności, jak ślepie przebiegłego zwierza, gdy je dobiegnie odgłos kroków myśliwych.

Widocznie coś obudziło podejrzenie zbrodniarza. Może mu jeszcze jakiś Barrymore dawał umówiony, a nam nieznaną sygnał, może miał inny powód przypuszczać, iż grozi mu niebezpieczeństwo, dość że dostrzegłem wyraz trwogi na jego odrażającej twarzy.

Lada chwila mógł cofnąć się z jasnego koła i zniknąć w ciemnościach. Skoczyłem tedy naprzód, a sir Henryk za mną. Zbrodniarz rzucił nam straszne przekleństwo i cisnął w nas kamieniem, który roztrzaskał się o zasłaniającą nas skałę.

Przez jedno mgnienie widziałem wyraźnie przysadzistą, barczystą, silną postać więźnia, gdy zerwał się na równe nogi i rzucił do ucieczki. Na szczęście w tejże chwili księżyc wysunął się zza chmur. Wbiegliśmy na grzbiet pagórka, gdy przestępca już pędził z szaloną szybkością w dół urwistego stoku, przeskakując przez kamienie ze zwinnością kozicy.

Mógłbym go położyć jednym celnym wystrzałem z rewolweru, ale zabrałem broń tylko dla obrony własnej, w razie napadu, nie zaś po to, żeby zabijać bezbronnego człowieka, który uciekał.

Obaj z sir Henrykiem jesteście wprawni biegaczami, ale niebawem zrozumieliśmy, że nie dogonimy zbiega. Widzieliśmy go długo w świetle księżyca, aż w końcu wydał nam się już tylko małym punktem, sunącym szybko między głazami na stoku odległego pagórka. Biegliśmy, dopóki nam starczyło tchu, lecz rozdzielała nas coraz większa przestrzeń. W końcu stanęliśmy i usiedliśmy zadyszani na odłamkach skały, skąd już tylko patrzyliśmy za znikającym w dali zbiegiem.

W tej chwili zdarzyła się rzecz niesłychana i niespodziewana. Powstaliśmy ze skał i zabieraliśmy się do odwrotu, zaniechawszy bezskutecznej pogoni. Z prawej strony księżyc stał nisko, a zębaty szczyt skały zasłaniał dolną część srebrzystej tarczy. Na szczycie ujrzałem nagle postać mężczyzny, odcinającą się jak posąg na jasnym tle.

Nie sądz, Holmesie, że to było złudzenie. Zapewniam cię, że nigdy w życiu nie widziałem nic tak wyraźnie. O ile mogłem zauważyć, była to postać wysokiego, szczupłego mężczyzny. Stał ze skrzyżowanymi rękoma i pochyloną głową, jak gdyby w zadumie nad bezbrzeżnym pustkowiem, które rozścielało się przed nim.

Mógł to być duch bagna... W każdym razie nie był to zbiegły więzień; tajemnicza postać

ukazała się daleko od miejsca, w którym Selden znikł nam z oczu, i była od więzienia znacznie wyższa.

Ze stłumionym okrzykiem wskazałem ją baronetowi, lecz przez tę chwilę, kiedy odwróciłem się, by go schwytać za ramię, ów mężczyzna zniknął.

Grzbiet skały zakrywał, jak poprzednio, niższą część tarczy księżycowej, a na szczycie nie było już śladu milczącej, nieruchomej postaci.

Chciałem podążyć w tamtą stronę i przeszukać urwisko, ale droga była daleka. Nadto baronet nie miał ochoty szukać nowych przygód, był jeszcze zanadto pod wrażeniem straszliwego krzyku, który mu przypomniał ponure dzieje rodziny. Nie widział owej postaci na szczycie skały, nie doznał zatem tego wstrząsu, jakiemu ja uległem na widok szczególnego zjawiska i imponującej postawy mężczyzny.

– To niewątpliwie żołnierz na warcie. Pełno ich na moczarach od czasu, gdy Selden umknął z więzienia – mówił.

Być może, iż wyjaśnienie baroneta jest trafne; niemniej jednak rad bym mieć jakieś dowody.

Dzisiaj zamierzamy donieść zarządowi więzienia w Princentown, gdzie należy szukać zbiega; szkoda wielka, że nie udało nam się schwytać go i odstawić do więzienia jako naszego jeńca.

Takie są przygody ostatniej nocy i musisz przyznać, mój drogi, że przesyłam Ci raport nie lada. Zawiera on wprawdzie sporo szczegółów bez znaczenia, sądzę jednak, iż lepiej będzie, gdy Ci opiszę wszystko, co zaszło, a Ty sam wybierzesz te fakty, które Ci dopomogą do wysnucia wniosków.

Nie ulega wątpliwości, że robimy postępy. Odkryliśmy pobudki postępowania Barrymore'ów. Ale moczary ze swymi tajemnicami i osobliwymi mieszkańcami pozostają dotąd niedostępne i niezbadane.

Może w następnym liście będę mógł przesłać Ci jakie wyjaśniające szczegóły? Najlepiej byłoby, gdybyś mógł przyjechać do nas.

Rozdział 10

Wyjątek z dziennika doktora Watsona

Dotąd mogłem się posiłkować raportami, które wysyłałem do Sherlocka Holmesa. Teraz jednak dobiegłem w swej opowieści do punktu, w którym muszę porzucić tę metodę i zaufać własnym wspomnieniom. Pomoże mi w tym dziennik, jaki wówczas prowadziłem. Kilka jego fragmentów przypomni szczegóły. Powracam do ranka po naszym nieudanym pościgu za więźniem.

16 października.

Dzień posepny, mglisty, nieustannie pada drobny deszczyk. Cały zamek jakby spowiły chmury, które unoszą się tylko od czasu do czasu, a spoza nich widać falistą równinę moczarów i cienkie, srebrzyste pasemka przygodnych, z deszczu powstałych strumyków, które spływają ze stoków wzgórz, oraz odległe głązy, lśniące, gdy światło padnie na ich wilgotną powierzchnię.

Smutno i ponuro – w zamku i na świecie.

Baronet teraz dopiero odczuwa całą siłę przeżyć, doznanych w nocy. Mnie jakiś ciężar przytłacza serce i ogarnia świadomość nieustannie grożącego niebezpieczeństwa, tym straszniejszego, że nie jestem w stanie jasno go określić.

Czyż nie mam dostatecznego powodu do obaw, zważywszy długi szereg wypadków wskazujących, że ściga nas jakaś wręcz szatańska moc? A śmierć ostatniego pana zamku, zgodna z treścią legendy rodzinnej, opowieści chłopów o ukazywaniu się jakiegoś piekielnego zwierzęcia na moczarach? Wszak słyszałem na własne uszy odgłos podobny do szczekania i wycia psa.

Niepodobna przecież, żeby istotnie działała tu jakaś nadprzyrodzona siła, wybiegająca poza zwykłe prawa natury. Trudno przypuścić, żeby istniał jakiś legendarny pies, który by pozostawił widoczne ślady swoich łap i przepelniał przestrzeń swoim wyciem. Stapleton może uznawać takie zabobony, może w to wierzyć i Mortimer. Co do mnie, pochlebiam sobie, że posiadam jedną zaletę – zdrowy rozsądek i nic na świecie nie zniewoli mnie do uwierzenia w tę bajkę. Gdybym uwierzył, zniżyłbym się do poziomu biednych chłopów, którzy nie zado-

walają się samym istnieniem owego psa szatańskiego, ale jeszcze opowiadają, że ze ślepiów i z pyska zieleje ogniem piekielnym.

Holmes nie dawałby wiary takim bredniom, ja zaś jestem jego pomocnikiem. Niemniej jednak fakt pozostaje faktem: dwa razy słyszałem ów krzyk na moczarach.

Przypuśćmy, że istotnie włóczy się tam jakiś olbrzymi pies; wyjaśniałoby to wszystko. Gdzież jednak ukrywałby się taki pies, skąd brałby pożywienie, w ogóle skąd się wziął i dlaczego nikt go nie widuje za dnia? Przyznać trzeba, że naturalne wyjaśnienie tych faktów przedstawia niemal takie same trudności, jak przypuszczenie jakiegoś zjawiska nadprzyrodzonego.

Pominąwszy psa, pozostaje nam fakt ludzkiego działania w Londynie – ów człowiek w drodze i list, ostrzegający sir Henryka przed moczarami. Te fakty nie przekraczają stanowczo dziedziny rzeczywistości, ale mogły być zarówno dziełem troskliwego przyjaciela, jak i wroga.

Gdzież jest teraz ów wróg bądź przyjaciel? Pozostał w Londynie, czy też przybył tutaj za nami? Mógłby to być ów mężczyzna, którego widziałem na szczycie skały?

Prawda, widziałem go przez chwilę, zdążyłem rzucić na niego tylko jedno spojrzenie, niemniej jednak przysięgłbym, że go tu jeszcze nie spotkałem, a znam już wszystkich sąsiadów. Postać owa była o wiele wyższa od Stapletona i daleko szczuplejsza od Franklanda. Mógłby to być Barrymore, ale ten został w domu i jestem pewien, że nie poszedł za nami. Jakiś niezajomy zatem siedzi nas tutaj, podobnie jak śledził w Londynie; nie pozbyliśmy się go widocznie. Gdybym mógł go schwytać, skończyłyby się na razie wszystkie nasze utrudnienia. Wyteżę całą energię, dołożę wszelkich starań i muszę dopiąć celu.

Zrazu chciałem zwierzyć się sir Henrykowi z powziętych zamiarów. Po namyśle jednak postanowiłem działać na własną rękę i mówić jak najmniej o swoich planach. Baronet jest milczący i zamyślony.

Ten odgłos na moczarach rozdrażnił go w wysokim stopniu. Nie chcę wzmaczać jego niepokoju, ale nie zaniedbam niczego, żeby cel osiągnąć.

Dziś rano, po śniadaniu, mieliśmy małe zajście. Barrymore prosił sir Henryka o posłuchanie i rozmawiali przez jakiś czas przy zamkniętych drzwiach. Siedząc w pokoju bilardowym, słyszałem kilkakrotnie dźwięk podniesionych głosów i domyślałem się, o co chodzi. Po chwili baronet otworzył drzwi i wezwał mnie.

– Barrymore ma do nas urazę – rzekł. – Zdaje mu się, że postąpiliśmy nielojalnie, ścigając jego szwagra, skoro on nam zaufał i z własnej woli powierzył tajemnicę jego pobytu.

Kamerdyner stał przed nami bardzo blady, lecz bardzo spokojny; widocznie już się pohamował.

– Uniosłem się może, panie – rzekł – a w takim razie proszę usilnie, niechaj mi pan wyba-

czy. Niemniej byłem bardzo zdumiony, usłyszawszy, że panowie wracają nad ranem i dowiedziawszy się, że panowie ścigali Seldena. Nieborak ma już dosyć biedy, by się ukryć przed tymi, co go szukają, nie powinienem zatem powiększać liczby jego naganiaczy.

– Gdybyś zwierzył się nam dobrowolnie, to inna rzecz – odparł baronet. – Ale powiedziałaś nam o wszystkim, a raczej powiedziała twoja żona, kiedy nie było dla was innego wyjścia.

– Nie przypuszczałem, że pan z tego skorzysta... doprawdy nie przypuszczałem.

– Ten człowiek jest niebezpieczny dla całej okolicy. Na moczarach stoją odosobnione domy, a Selden nic cofnie się przed niczym. Dość spojrzeć na niego, by się o tym przekonać. Weź na przykład dom pana Stapletona; kto go obroni? Jest sam jeden. Nikt nie będzie bezpieczny, dopóki Selden nie znajdzie się znów pod kluczem.

– On nie wtargnie do żadnego domu, panie. Zaręczam słowem honoru. Nigdy też nie napadnie na nikogo w okolicy. Zapewniam pana, że za kilka dni przedsięwzięte zostaną odpowiednie kroki, żeby go wysłać do Ameryki Południowej. Na Boga, panie, błagam, niech pan nie zawiadamia policji, że Selden jest jeszcze na moczarach. Zaniechali już pościgu w tamtych stronach i może się tam ukrywać, dopóki okręt nie odpłynie. Jeśli pan go wyda, będziemy mieli oboje z żoną straszne przykrości. Błagam pana, niech pan nie daje znać policji.

– Cóż pan na to? – zwrócił się baronet do mnie. Wzruszyłem ramionami.

– Gdyby się wyniósł z kraju, ulżyłby płacącym podatki.

– Ale jak przeszkodzić temu, żeby przed wyjazdem nie dopuścił się jeszcze jakiejś zbrodni?

– Nie popełni takiego szaleństwa, panie. Zaopatrzyliśmy go we wszystko. Gdyby dopuścił się teraz przestępstwa, zdradziłby swoją kryjówkę.

– To racja – rzekł sir Henryk. – Niechże tak będzie, Barrymore...

– Niechaj panu to Bóg nagrodzi; dziękuję z całego serca! Moja żona nie przeżyłaby, gdyby go powtórnie schwytali.

– Ostatecznie opiekujemy się zbrodniarzem i pomagamy mu, co, Watsonie? Ale skoro jest tak, jak Barrymore mówi, nie mam odwagi wydać tego człowieka... Zatem, rzecz skończona. Barrymore, bądź spokojny, możesz odejść.

Kamerdyner podziękował kilku urywanymi słowami i zmierzał ku drzwiom. Naraz zawałał się i zawrócił.

– Pan był dla nas taki dobry, że rad bym z duszy się odwdzińczyć. Proszę pana, ja wiem coś i powinienem być może już to powiedzieć, ale śledztwo zostało już zakończone, kiedy to wykryłem. Nie pisałem nikomu słówka. Dotyczy to śmierci biednego sir Karola.

Zerwaliśmy się obaj z baronetem na równe nogi.

– Wiesz, co spowodowało jego śmierć?

– Nie, panie, tego nie wiem.

- A zatem cóż?
- Wiem, dlaczego był przy furtce o takiej późnej godzinie. Miał schadzkę z kobietą.
- Schadzkę z kobietą! On?
- Tak, panie.
- Nazwisko tej kobiety?
- Nie znam go, panie, znam tylko pierwsze litery jej imienia i nazwiska – to L.L.
- A ty skąd wiesz o tym?
- Stryj pański otrzymał rankiem list. Odbierał zazwyczaj dużo listów, bo był człowiekiem dobroczynnym, znanym ze swego miłosierdzia i kto znajdował się w potrzebie od razu się do niego zwracał. Zdarzyło się jednak, że tego dnia przyszedł tylko jeden list, zatem zwróciłem na niego uwagę. Miał stempel pocztowy Coombe Traccy i był zaadresowany kobiecą ręką.
- No i cóż?
- Zapomniałem o tym i gdyby nie żona, nie byłbym sobie tego, szczegółu przypomniał. Przed kilku tygodniami, porządkując gabinet sir Karola, nietknięty od jego śmierci, znalazła w głębi kominka ślady spalonego listu, widocznie podartego przed wyrzuceniem w ogień; ocalał wszakże jeden skrawek papieru, na którym można było odczytać litery, choć stały się zupełnie szare, a papier poczerniał. Zdawało nam się, że był to dopisek do listu; zawierał tylko te wyrazy: „Zaklinam pana na honor dżentelmena, niech pan spali niniejszy list i przyjdzie pod furtkę o godzinie dziesiątej wieczór” Podpisany był L.L.
- Czy masz jeszcze ten niedopalony skrawek papieru?
- Nie, panie, zaledwie dotknęliśmy go, rozsypał się w proch.
- Czy sir Karol odbierał już wcześniej listy zaadresowane tym samym pismem?
- Nie zwracałem szczególnej uwagi na listy do sir Karola; nie byłbym i tego ostatniego zauważył, gdyby nie zdarzyło się, że tego dnia żadne inne listy nie nadeszły.
- I nie masz pojęcia kto jest L.L.?
- Nie, panie. Ale sądzę, że gdyby udało nam się dojść nazwiska owej pani, dowiedzielibyśmy się niejednego szczegółu o śmierci sir Karola.
- Nie rozumiem doprawdy, dlaczego dotychczas tałeś tak ważną wiadomość?
- Bo widzi pan, zaraz potem spadło na nas to nieszczęście z Seldenem. Zresztą byliśmy bardzo przywiązani do sir Karola, doznaliśmy od niego tylu dobrodziejstw... Wracanie do tej historii nie wskrzesiłoby naszego biednego pana, a tam, gdzie kobieta wchodzi w grę, należy postępować bardzo ostrożnie. Nawet najlepszy z nas...
- Mniemałeś, że to może zaszkodzić jego dobrej sławie?
- Zdawało mi się, panie, że z tego nic dobrego wyjść nie może. Teraz byłbym niewdzięczny za tyle okazanej mi przez pana dobroci, gdybym panu nie powiedział, co wiem w tej smutnej sprawie.

– Dobrze, możesz odejść.

Gdy kamerdyner wyszedł, sir Henryk zwrócił się do mnie.

– No, doktorze Watsonie, co myślisz o tym nowym szczególe?

– Zdaje mi się, że jeszcze bardziej zaciemnia całą sprawę.

– I ja tak sądzę. Ale gdybyśmy mogli wysledzić ową L.L., wyświetliłoby to wszystko. Chociaż i tak już coś mamy. Wiemy, że istnieje ktoś, kto zna okoliczności, jakie poprzedzały śmierć sir Karola; gdybyśmy tylko mogli odnaleźć tę kobietę! Jak pan myśli, co teraz począć?

– Przede wszystkim donieść o tym niezwłocznie Holmesowi. Szczegół ten będzie dlań kluczem do zagadki, nad której rozwiązaniem biedzi się jeszcze z pewnością. Ręczyłbym prawie, że, dowiedziawszy się o tym, przyjedzie do nas.

Poszedłem niezwłocznie do siebie i skreśliłem raport o naszej rozmowie. Mój przyjaciel był widocznie bardzo zajęty ostatnimi czasy, bo otrzymywałem z Baker Street nieczęste i krótkie liściki bez komentarzy do przysłanych przeze mnie wiadomości, ze wzmiankami zaledwie o mojej misji. Niewątpliwie ta sprawa szantażu pochłania go całkowicie. Jednakże ten nowy szczegół powinien stanowczo zwrócić jego uwagę i pobudzić na nowo zainteresowanie naszą sprawą. Chciałbym, żeby był tutaj.

17 października.

Deszcz lał przez cały dzień jak z cebra, chłoszcząc liście bluszczu, wijącego się na murach zamku, i spływając po szybach. Mimo woli przyszedł mi na myśl zbiegły więzień, bez dachu, na ponurych moczarach, gdzie dął lodowaty wicher. Nieborak! Jakikolwiek były jego przestępstwa, nie trzeba zapominać, że cierpiał już tyle, iż w części odpokutował za nie. A potem to wspomnienie wywołało inne – twarz dostrzeżoną w dorożce, postać na szczycie skały. Czy i on – ów nieznany opiekun, tajemniczy przyjaciel – był również na dworze wśród tego potopu?

Wieczorem otuliłem się w nieprzemakalny płaszcz i z głową pełną dręczących myśli chodziłem długo po moczarach. Deszcz smagał mnie po twarzy, wicher z przeraźliwym świstem wpadał w uszy. Niechaj Bóg ma w swojej opiece tych, którzy wchodzą teraz na trzęsawisko, bo nawet twardy grunt staje się już mokradłem.

Odnalazłem Czarny Szczyt, na którym dostrzegłem samotnego strażnika, i z tego wierzchołka rozglądałem się po pustkowiu. Strumienie wody złościły koryto na rdzawej powierzchni równiny, a ciężkie, ołowiane chmury zawisły nisko nad krajobrazem, tworząc jakby szary wieniec dokoła fantastycznych pagórków.

Na lewo w odległej kotlinie, na wpół ukryte we mgle, wznosiły się dwie smukłe wieże zamku Baskerville. Były to jedyne, dostrzegalne dla mnie oznaki życia ludzkiego, z wyjąt-

kiem owych przedhistorycznych jaskiń, gęsto rozsianych po stokach pagórków. Nigdzie ani śladu owego mężczyzny, którego widziałem pamiętnej nocy na tym samym miejscu.

Wracając, spotkałem doktora Mortimera jadącego kamienistą Ścieżką wśród moczarów z odległego folwarku Foulmire.

Doktor okazywał nam dużo życzliwości; prawie codziennie przyjeżdżał do zamku i z zajęciem dopytywał się o szczegóły naszego trybu życia. Nalegał, bym wsiadł do powoziku i odwiózł mnie do domu. Na wstępie oznajmił mi, że jest bardzo zatroskany zniknięciem swego ulubionego wyźła. Pies poleciał na moczary i nie wrócił. Pocieszałem doktora jak mogłem, ale przypomniał mi się krzyk na trzęsawisku; zdaje mi się, że doktor nie ujrzy więcej swego wyźła.

– Ale, ale, doktorze – rzekłem, trzęsąc się po kamienistej drodze – przypuszczam, że mało jest tutaj w kilkumilowym promieniu osób, których by doktor nie znał?

– Zdaje mi się, że znam chyba wszystkich.

– Czy może zatem doktor wymienić mi nazwisko i imię kobiety, zaczynające się od L.L. Doktor zamyślił się przez chwilę.

– Nie – odparł. – Jest tu wprawdzie trochę Cyganów i chłopów, których nazwisk nie znam; ale wśród rodzin dzierżawców i mieszczan nie ma ani jednej kobiety, która by miała takie inicjały. Chociaż, poczekaj no pan – dodał po chwili. – Jest Laura Lyons... Masz pan więc L.L.... ale ona mieszka w Coombe Tracey.

– Któż to taki? – spytałem.

– Córka Franklanda.

– Co? Tego starego fiksata Franklanda?

– Właśnie. Poślubiła artystę nazwiskiem Lyons, który przybył tu na moczary malować studia i szkice. Okazało się, że był to jakiś łotr; porzucił ją wkrótce. Z tego co słyszałem, to nie tylko on był winien. Frankland nie chciał myśleć o córce, bo wyszła za męża bez jego pozwolenia, może miał też i inne przyczyny. Ta młoda kobieta, opuszczona przez męża i ojca, nie stąpa zapewne po różach.

– Z czego ona żyje?

– Zdaje mi się, że Frankland płaci jej pensję, lecz nie może to być wiele, bo sam kiepsko stoi. Jakikolwiek były przewinienia Laury, nie można było pozwolić, żeby się zmarnowała. Gdy dowiedziano się, co się z nią stało, kilka osób pomogło jej zdobyć uczciwy zarobek. Stapleton, sir Karol, nawet ja, przyłożyliśmy się do tego w miarę środków. Chcieliśmy, by założyła biuro pisanie na maszynie.

Doktor chciał znać powód moich pytań, ale starałem się zadowolić jego ciekawość, nie mówiąc mu zbyt wiele, bo nie widzę potrzeby wtajemniczenia kogokolwiek w swoje zamiary.

Jutro rano udam się do Coombe Tracey i jeżeli zdołam rozmówić się z ową panią, będzie to duży krok ku wyświetleńiu jednego z ogniw tego łańcucha tajemnic.

Zaczynam nabierać chytrłości węża; gdy bowiem Mortimer zadał mi pytanie, na które odpowiedzieć nie chciałem, zapytałem go znienacka, do jakiego typu należy czaszka Franklanda i przez resztę jazdy mówiliśmy już tylko o frenologii. Nie na darmo spędziłem tyle lat z Sherlockiem Holmesem!

Jeszcze tylko jeden, godny uwagi wypadek zaszedł w ciągu dzisiejszego ponurego, burzliwego dnia – mianowicie moja rozmowa z Barrymore'em, która dała mi ważny atut do ręki; skorzystałem z niego w odpowiedniej chwili.

Mortimer został na obiedzie, po czym zasiadł z baronetem do kart. Kamerdyner przyniósł mi kawę do biblioteki, z czego skorzystałem, by mu zadać kilka pytań.

– No i cóż – rzekłem – czy ten twój kochany szwagier już odjechał, czy też włóczy się jeszcze po moczarach?

– Nie wiem, panie. Mam nadzieję w Bogu, że sobie pojechał; skończyłaby się nasza zgryzota! Zanosilem mu jedzenie ostatni raz przed trzema dniami i potem już nie dał znaku życia.

– Widziałeś go wtedy?

– Nie, panie; ale gdy przechodziłem tamtędy nazajutrz, jedzenia już nie było.

– Widocznie zatem przebywał tam jeszcze?

– Tak by się zdawało, o ile tamten nie zabrał zapasów. Filiżanka, którą podniosłem do ust, zatrzymała się w pół drogi; spojrzałem ze zdumieniem na Barrymore'a.

– Jak to, wiesz, że jest tam jeszcze kto inny?

– Tak, panie; jest jeszcze inny mężczyzna na moczarach,

– Widziałeś go?

– Nie, panie.

– Skądże więc wiesz, że jest?

– Powiedział mi to Selden przed tygodniem, a może i wcześniej. On się też ukrywa, ale to nie więzień, o ile mogę zmiarkować. Panie doktorze Watson, mnie się to wszystko nie podoba, mówię szczerze... Panie, to mi się nie podoba.

Mówił gwałtownie i z wielką powagą.

– Słuchaj, Barrymore! W tej całej sprawie obchodzi mnie tylko dobro twojego pana. Przyjechałem jedynie po to, by mu dopomóc. Powiedz mi zatem otwarcie, co ci się nie podoba?

Barrymore zawahał się przez chwilę i jak gdyby żałował poprzedniego wybuchu lub nie umiał na razie wyrazić swoich uczuć.

– Wszystko, co się tam dzieje, panie – zawołał w końcu, wskazując ręką w stronę okna, wychodzącego na moczary – w tym jest coś złego, w tym się knuje jakieś podłe łotrstwo, przysięgam! Byłbym uszczęśliwiony, panie, gdyby sir Henryk chciał powrócić do Londynu.

– Ale co cię tak niepokoi?

– Niech pan sobie przypomni śmierć sir Karola! Osobliwa to była śmierć, wnosząc z tego, co mówił sędzia śledczy. Niech pan także weźmie pod uwagę odgłosy na moczarach w nocy. Nie ma w całej okolicy człowieka, który by tam poszedł po zachodzie słońca, nawet za dobrą zapłatą. A ten nieznajomy, który się ukrywa, śledząc i wyczekując! Na co on czeka? Co to znaczy? Wszystko to nie wróży nic dobrego dla nikogo, kto nosi nazwisko Baskerville. Kamień spadnie mi z serca w dniu, kiedy pozbędę się tego wszystkiego, a nowa służba sir Henryka obejmie zarząd w zamku.

– Powróćmy do tego nieznajomego – rzekłem. – Czy możesz mi coś o nim powiedzieć? Co mówił Selden? Czy wyszedł, gdzie się ukrywa, co robi?

– Widział go raz czy dwa razy, ale to skryty filut i z niczym się nie zdradza. Selden myślał najpierw, że to policjant, ale wnet się przekonał, że on ma jakieś osobiste cele. O ile mój szwagier mógł dostrzec, ma powierzchowność dżentelmena, ale co robi, nie zdołał wykryć.

– A gdzie się ukrywa?

– Na stoku pagórka wśród starych siedzib... pan wie, między tymi pieczarami, gdzie to dawniej ludzie żyli.

– A skąd bierze jedzenie?

– Selden wykrył, że ów jegomość ma wyrostka, który go obsługuje i przynosi mu wszystko. Zdaje mi się, że robi zakupy w Coombe Tracey.

– Dobrze. Pomówimy o tym jeszcze innym razem.

Gdy kamerdyner wyszedł, zbliżyłem się do okna i przez zroszone deszczem szyby patrzyłem na pędzące po niebie chmury, na ślaniające się pod podmuchem wichru wierzchołki drzew. Ciężka to była noc dla człowieka w wygodnym, ciepłym pokoju, a cóż dopiero dla kogoś, kogo schronieniem była pieczara na moczarach!

Jakże potężna musiała być nienawiść, zmuszająca człowieka do czatowania w takim miejscu, w podobną noc! Jak niesłychanej wagi przyczyna, domagająca się takiej ofiary.

Tam zatem, w pieczarze na moczarach, znajduje się główne rozwiązanie zagadki, która mnie gnębi. Przysięgam, że zanim minie doba, zrobię wszystko, co tylko w ludzkiej mocy, by dotrzeć do jądra tajemnicy.

Rozdział 11

Człowiek z Czarnego Szczytu

Wyciąg z mojego osobistego dziennika, stanowiący ostatni rozdział, doprowadza moją opowieść do osiemnastego października; jest to data, od której osobliwe wypadki zaczęły szybko zmierzać do straszego rozwiązania. Zajścia następnych dni wyryły niezatarty ślad w mej pamięci i mogę je powtórzyć, nie uciekając się do pomocy spisanych wówczas notatek.

Powracam tedy do dnia, w którym udało mi się stwierdzić dwa fakty niezmierniej wagi: że pani Laura Lyons z Coombe Tracey pisała do sir Karola Baskerville'a wyznaczając mu schadzkę w tym samym miejscu i o tej samej godzinie, kiedy go zaskoczyła śmierć; nadto, że owego czatującego na moczarach mężczyznę można znaleźć wśród pieczar na stoku pagórka. Mając w rękę te dwa fakty, czułem, że jeśli nie zdołam rzucić dalszego światła na tę sprawę, będzie to z mojej strony dowodem braku inteligencji lub odwagi.

Poprzedniego wieczora nie miałem sposobności powiedzieć baronetowi, jakich szczegółów dowiedziałem się o pani Lyons, doktor Mortimer bowiem grał z nim w karty do późnej nocy. Przy śniadaniu wszakże zawiadomiłem go o swym odkryciu i spytałem, czy zechce towarzyszyć mi do Coombe Tracey.

Zrazu zapalił się do tej wycieczki, ale po namyśle uznaliśmy obaj, że jeśli pojedę sam, mogę więcej zyskać. Im formalniejsze będą odwiedziny, tym z pewnością mniej się dowiemy. Zostawiłem tedy sir Henryka w domu, nie bez wyrzutów sumienia, i wyruszyłem w drogę.

Przybywszy do Coombe Tracey, kazałem Perkinsowi wyprząc konie i rozpocząłem szukanie owej pani, którą miałem wybadać. Nie musiałem się zbytnio trudzić – mieszkała na głównej ulicy, w bardzo przyzwoitym lokalu.

Służąca wpuściła mnie bez ceremonii, a gdy wszedłem do pokoju, pani, siedząca przy maszynie Remingtona, zerwała się z uprzejmym uśmiechem. Spostrzegłszy wszakże, iż przybyły jest nieznanym, zasepiła się, usiadła na miejscu i spytała o powód odwiedzin.

Na pierwszy rzut oka pani Lyons robiła wrażenie niezwykle pięknej kobiety. Jej oczy i włosy miały barwę kasztana o gorących blaskach, twarz z lekka piegowata, o żywej cerze

brunetki, jaśniała rumieńcem delikatnego odcienia, jak wewnętrzne płatki róży herbacianej. Zachwyty, powtarzam, był pierwszym, doznany na jej widok, wrażeniem.

Lecz niebawem budził się krytycyzm. Była w tym obliczu jakaś subtelna wada – pospolity wyraz, a może surowe spojrzenie, skrzywienie ust, które psuły doskonałą piękność rysów. Te uwagi nasuwały się jednak później. W danej chwili miałem świadomość, że ona mnie pyta o powód odwiedzin. Dopiero wtedy zrozumiałem, jak delikatnej podjąłem się misji.

– Mam przyjemność – zacząłem – znać ojca pani.

Ten wstęp był niezręczny i pani Lyons dała mi to niezwłocznie odczuć.

– Między ojcem moim i mną – rzekła – nie ma nic wspólnego. Nic mu nie zawdzięczam, a jego przyjaciele nie są moimi. Ojciec tak dbał o mnie, że gdyby nie nieboszczyk sir Karol Baskerville oraz kilku innych zacnych ludzi, umarłabym z głodu.

– Przyszedłem do pani właśnie w sprawie nieboszczyka Karola Baskerville'a.

Piegi na twarzy pani Lyons wystąpiły wyraźniej.

– Cóż ja mogę panu o nim powiedzieć? – spytała, a jej palce dotknęły nerwowo klawiszy maszyny do pisania.

– Wszak pani go znała?

– Mówiłam już, że wiele zawdzięczam jego dobroci. Jeśli jestem w stanie się utrzymać, winnam to w znacznej części zainteresowaniu, jakie okazywał dla mego nieszczęśliwego położenia.

– Czy pani pisywała do niego?

Spojrzała na mnie z błyskiem gniewu w pięknych oczach.

– Jaki jest cel tych pytań? – spytała ostrym tonem.

– Jaki cel? Uniknięcie publicznego skandalu. Lepiej, że ja zadam pani tutaj te pytania, niż żeby sprawa, która mnie tu sprowadza, stała się głośna – odpowiedziałem.

Zbladła i siedziała przez chwilę w milczeniu. W końcu spojrzała na mnie wyzywająco.

– Dobrze, odpowiem – rzekła. – Co pan chce wiedzieć?

– Czy pani pisywała do sir Karola?

– Oczywiście... raz czy dwa razy, żeby mu podziękować za jego delikatność i wspaniałość.

– Czy pamięta pani datę tych listów.

– Nie.

– Czy pani się z nim widywała?

– Parę razy, gdy przejeżdżał do Coombe Tracey. Sir Karol był człowiekiem skromnym i dla swych dobrych uczynków nie szukał rozgłosu.

– Jeśli widywała się pani z nim tak rzadko i rzadko do niego pisywała, jakże się stało, że znał dokładnie pani położenie i przyszedł jej z pomocą?

Na ten zarzut odpowiedziała skwapliwie:

– Kilku znajomych panów wiedziało o moim nieszczęściu, porozumieli się zatem, by mi dopomóc. Jednym z nich był Stapleton, sąsiad i bliski przyjaciel sir Karola, człowiek niezmiernej dobroci. Od niego sir Karol dowiedział się o moim położeniu.

Wiedziałem już, że w kilku wypadkach zmarły pan Baskerville używał pośrednictwa Stapletona do rozdawania zapomóg; wyjaśnienie pani Laury nosiło zatem cechy prawdy.

– Czy pani pisała kiedykolwiek do sir Karola, wyznaczając mu spotkanie? Twarz pani Lyons oblała się znów rumieńcem gniewu.

– Zadaje mi pan doprawdy osobliwe pytanie.

– Przykro mi bardzo, ale muszę je powtórzyć.

– Odpowiem tedy: oczywiście nie.

– Nawet w dniu śmierci sir Karola?

Rumieniec znikł z oblicza młodej kobiety i ustąpił miejsca śmiertelnej bladości. Jej suche wargi poruszyły się, nie mogąc wymówić wyrazu: „Nie”, który dostrzegłem raczej, niż dosłyszałem.

– Niewątpliwie zawodzi panią pamięć – rzekłem. – Mógłbym nawet przytoczyć urywek z pani listu: „Zaklinam pana na honor dżentelmena, niech pan spali niniejszy list i przyjdzie pod furtkę o godzinie dziesiątej wieczór.”

Myślałem, że pani Lyons zemdleje – ale wysiłkiem woli zapanowała nad poruszeniem.

– Czy nie ma na świecie honorowego mężczyzny? – rzekła z trudnością.

– Jest pani niesprawiedliwa dla sir Karola. Spalił pani list. Ale niekiedy list, chociaż spalony, pozostaje czytelny. Więc przyznaje się pani do napisania tego listu?

– Tak, pisałam ów list! – zawołała. – Napisałam go! Czemu mam zaprzeczać? Nie mam powodu wstydzić się tego listu. Zdawało mi się, że gdybym mogła się z nim rozmówić, przyszedłby mi z pomocą; prosiłam go o spotkanie.

– Dlaczego o tej godzinie?

– Dlatego, że dowiedziałam się właśnie, iż wyjeżdża nazajutrz do Londynu i nie powróci, aż za kilka miesięcy; miałam powody, dla których wcześniej pójść nie mogłam.

– Ale dlaczego wyznaczyła pani schadzkę w ogrodzie, zamiast pójść do niego do domu?

– Czy pan sądzi, że wypada kobiecie przychodzić samej o tej godzinie do samotnego mężczyzny?

– Cóż więc zaszło podczas owej schadzki?

– Nie poszłam wcale.

– Pani!

– Przysięgam panu na wszystko, co mam najświętszego. Nie poszłam. Przeszkodziło mi niespodziewane zajście.

– Jakie zajście?

– To sprawa zupełnie prywatna. Nie mogę powiedzieć,

– Przyznajesz pani zatem, że wyznaczyłaś schadzkę sir Karolowi w tym samym miejscu i o tej samej godzinie, kiedy go zaskoczyła śmierć, a zapiera się pani, że na tę schadzkę przybyła?

– Bo to prawda.

Powracałem kilkakrotnie do tego tematu, ale nie mogłem nic więcej wydostać od pani Lyons.

– Bierze pani na siebie bardzo dużą odpowiedzialność i stawia się pani w fałszywym świetle, nie wyznając otwarcie wszystkiego – rzekłem wstając, by zakończyć tę długą i w końcu bezużyteczną wizytę. – Jeżeli mnie pani zmusi do wezwania pomocy policji, przekonana się, do jakiego stopnia będzie skompromitowana. Jeśli jest pani niewinna, dlaczego pani zaprzeczała początkowo, że pisała tego dnia do sir Karola?

– Bo obawiałam się, żeby nie wysnuwano stąd jakich fałszywych wniosków i żebym nie została wplątana w skandal.

– A dlaczego tak usilnie pani nalegała, żeby sir Karol zniszczył list?

– Skoro pan czytał list, powinien pan wiedzieć dlaczego.

– Nie powiedziałem pani, że czytałem cały list.

– Wszak przytoczył pan urywek.

– Przytoczyłem dopisek. List, jak powiedziałem, był spalony i nie był cały czytelny. Pytam panią raz jeszcze, dlaczego tak usilnie nalegała pani na sir Karola, żeby spalił list, otrzymany w dniu śmierci?

– Z przyczyn bardzo poufnej natury.

– Tym bardziej powinna pani unikać oficjalnego przesłuchania.

– A więc powiem panu. Jeżeli pan słyszał cokolwiek o mojej niedoli, wie pan, iż byłam bardzo nierozważna w wyborze męża i ciężko za to odpokutowałam.

– Słyszałem o tym.

– Życie moje było jednym nieustającym prześladowaniem ze strony męża, którego nienawidzę. Prawo jest za nim i on może lada dzień zmusić mnie do powrotu pod małżeński dach. Wówczas, kiedy pisałam list do sir Karola, dowiedziałam się, iż mogłabym mieć widoki odzyskania wolności, gdybym poniosła pewne koszty. Chodziło tu o całe moje życie, o spokój, szczęście, szacunek dla samej siebie, słowem, o wszystko. Znana mi była wspaniałomyślność sir Karola i pomyślałam, że gdyby usłyszał te szczegóły z moich ust, dopomógłby mi.

– Dlaczego więc pani nie poszła?

– Dlatego, że otrzymałam pomoc z innego źródła.

– Czemu nie zawiadomiła pani o tym sir Karola?

– Uczyniłabym to, ale wyczytałam nazajutrz rano w dzienniku wiadomość o jego śmierci.

Wszystko, co pani Lyons mówiła, brzmiało prawdopodobnie, a moje dalsze pytania nie zdołały jej zmusić do zmiany wyznań. Pozostało mi jeszcze sprawdzić, czy istotnie przedsięwzięła kroki rozwodowe przeciw mężowi w tym samym czasie, kiedy rozegrała się tragedia śmierci sir Karola.

Nie ośmieliłaby się chyba powiedzieć, że nie była w Baskerville Hall, gdyby rzecz miała się inaczej; stamtąd mogła wrócić do Coombe Tracey dopiero nazajutrz wczesnym rankiem. Taka wycieczka nie utrzymałaby się w tajemnicy. Prawdopodobnie zatem mówiła prawdę albo przynajmniej jej część.

Wyszedłem od pani Lyons zgnębiony i zniechęcony. Spotkałem się znów z owym nieprzeniknionym murem, wznoszącym się na każdej ścieżce, którą usiłowałam dotrzeć do celu. A jednak, im bardziej zastanawiałem się nad twarzą tej kobiety i nad jej obejściem, tym silniej czułem, że coś przede mną ukrywa. Dlaczego tak zbladła? Dlaczego musiałem przemocą wydobywać z niej każde wyjaśnienie? Dlaczego przemilczała uparcie szczegóły, dotyczące samej tragedii? Wyświetlenie tego wszystkiego wykaże z pewnością, że nie jest tak niewinna za jaką chciała uchodzić przede mną. Na razie jednak dalsze śledztwo w tym kierunku byłoby bezskuteczne; należało zabrać się do zagadki pieczar na moczarach.

Wskazówki, jakie mi dał Barrymore, były bardzo niedokładne. Uprzytomniałem to sobie w drodze do domu na widok łańcucha pagórków, z których każdy wykazywał ślady prastarych siedzib ludzkich.

Kamerdyner powiedział mi tylko, że nieznajomy przebywał w jednej z opuszczonych pieczar, a setki ich były rozsiane wzdłuż i wszerz moczarów. Miałem wszakże własny punkt oparcia, dostrzegłem przecież owego mężczyznę, stojącego na Czarnym Szczycie. Zatem tam będzie punkt wyjściowy mojego działania. Stamtąd będę kolejno przeszukiwał wszystkie pieczary na moczarach, dopóki nie znajdę właściwej.

Gdy już spotkam owego mężczyznę, zdołam, za pomocą rewolweru, zmusić go do wyznania, kim jest i dlaczego nas szpiegował. Mógł nam się wymknąć wśród tłumu na ulicy Regenta, ale tu, na pustkowiu, to mu się nie uda.

Jeżeli zaś odnajdę pieczarę, a mieszkańca w niej nie będzie, pozostaną dopóty, dopóki nie powróci. Holmes nie zdołał go schwytać w Londynie. Co za triumf dla mnie, gdybym zwyciężył tam, gdzie mój mistrz poniósł porażkę.

Los był nam dotąd przeciwny w naszych poszukiwaniach, lecz teraz nareszcie zaczynał mi sprzyjać. Zwiastun pomyślnego zwrotu ukazał się w postaci pana Franklanda, który stał przed furtką swego ogrodu, wychodzącą na gościniec.

– Dzień dobry, doktorze Watson – zawołał, a jego czerwona twarz, okolona siwymi faworytami, promieniała wyrazem niezwykłego humoru – pana konie muszą wypocząć, a pan wstąpi do mnie na kieliszek wina... może mi pan też powinszować.

Nie żywiłem dla niego przyjaznych uczuć od chwili, gdy się dowiedziałem, jak postępuje z córką, ale pilno mi było odesłać Perkinsa i powozik do domu; sposobność nastęrczała się doskonała. Wsiadłem tedy i kazałem stangretowi poinformować sir Henryka, że wrócę na obiad, po czym wszedłem z Franklandem do jadalni.

– Dziś wielki dzień dla mnie, jeden z tych, które podkreślać należy w kalendarzu czerwonym ołówkiem – mówił chichocząc. – Odniosłem podwójne zwycięstwo. Nauczę ja tu wszystkich, że prawo jest prawem i że istnieje człowiek, który nie obawia się na nie powoływać. Stwierdziłem, że mamy prawo do przeprowadzenia drogi publicznej przez sam środek parku starego Mildletona, o jakieś sto metrów od głównej bramy jego domu. Cóż pan na to? Nauczmy tych magnatów, że nie wolno im traktować końskimi kopytami praw wieśniaków! Nadto ogrodziłem i zamknąłem lasek, w którym mieszkańcy Fernworth urządzają zazwyczaj pikniki. Te przekłete dumie myślą, że istnieje prawo własności i że wszędzie mogą rozkładać się z zatłuszczonymi papierami i butelkami. Sąd zawyrokował już w obu sprawach, doktorze Watsonie, w obydwu na moją korzyść. Takiego dobrego dnia nie miałem od czasu, gdy z mojego powództwa sir Jan Mortland został skazany za wykroczenie przeciw prawu, bo polował we własnej królikami!

– W jaki sposób, u licha, pan to przeprowadził?

– Przejrzyj pan akta sądowe. Opłaci się przeczytać... Frankland przeciw Mortlandowi, sąd ławy królewskiej. Kosztowało mnie to 200 funtów, ale wywalczyłem decyzję sądu.

– Czy przyniosło to panu jakąś korzyść?

– Nie, panie, żadnej. Dumny jestem z tego, że nie kierowałem mną osobisty interes. Działam zawsze w poczuciu obowiązku obywatelskiego. Nie wątpię na przykład, iż mieszkańcy Fernworth spalą dziś wieczorem mój wizerunek. Gdy ostatni raz urządzili podobną szopkę, powiedziałem policji, że powinna zabronić tym podobnych wybryków. Stan policji w całym hrabstwie jest wprost skandaliczny; pomimo że wzywałem pomocy, nie dała mi opieki, do jakiej mam prawo. Sprawa Frankland przeciw królowej zwróci na te stosunki uwagę publiczną. Powiedziałem im, że pożałują jeszcze kiedyś swego postępowania wobec mnie, a przepowiednia moja zaczyna się już sprawdzać.

– W jaki sposób? – spytałem.

Twarcz starego maniaka przybrała tajemniczy wyraz.

– Bo mógłbym im powiedzieć to, co wszelkimi środkami usiłują teraz wykryć; ale mnie nie zmusi do przyścia z pomocą tym łajdakom.

Od chwili już szukałem wymówki, która by mi pozwoliła uwolnić się od tej paplaniny, ale teraz nagle zapragnąłem słuchać jej dalej. Na tyle znałem przekorną naturę Franklanda, że wiedziałem: lada wyraźniejsza oznaka zainteresowania byłaby najpewniejszym sposobem powstrzymania jego wynurzeń.

– Wykrył pan pewnie kłusownika? – zapytałem obojętnie.

– Ho, ho! mój panie, to sprawa daleko ważniejsza! Co pan myśli o więźniu, włóczącym się po moczarach? Oslupiałem.

– Czyżby pan wiedział, gdzie się ukrywa? – spytałem.

– Może nie wiem dokładnie, gdzie się ukrywa, ale jestem pewien, że mógłbym pomóc policji w schwytaniu go. Czy nie wpadło panu na myśl, że najpewniejszym sposobem wyśledzenia tego zbrodniarza byłoby wykrycie, skąd bierze pożywienie?

Frankland zaczął być niepokojąco bliski prawdy.

– Niewątpliwie – odparłem – ale skąd pan wie, że on się ukrywa na moczarach?

– Stąd, że widziałem na własne oczy posłańca, który nosi mu zapasy żywności.

Ogarnęła mnie trwoga o Barrymore'a. Niebezpieczne byłoby znaleźć się na łasce tego złośliwego plotkarza. Po następnej uwadze Franklanda spadł mi ciężar z serca.

– Zdziwi się pan, słysząc, że dziecko przynosi mu jedzenie. Widzę je codziennie przez teleskop z dachu. Idzie tą samą ścieżką, o tej samej godzinie; do kogóż by chodziło, jeśli nie do więźnia?

Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Nie okazałem najlżejszego zdziwienia. Dziecko! Wszak Barrymore mówił, że ów nieznajomy był obsługiwany przez wyrostka. Frankland zatem wpadł na trop tajemniczego nieznajomego, nie zaś Seldena. Gdyby zechciał podzielić się ze mną swoimi wiadomościami, oszczędziłby mi dużo pracy i zachodu. Nadal trzeba było przede wszystkim udawać niedowiarstwo i obojętność.

– Sądzę, że to prędzej syn któregoś z pasterzy nosi obiad ojcu.

Najlżejszy pozór opozycji doprowadzał do pasji starego despotę.

Spojrzał na mnie złym okiem, a jego siwe faworyty zjeżyły się jak sierść podrażnionego kota.

– Doprawdy? – rzekł, wskazując na bezbrzeżne moczary. – Czy pan widzi Czarny Szczyt? O, tam! Dobrze. A widzi pan poza nim niski pagórek, pokryty gęstymi zaroślami? Otóż jest to najbardziej kamienista część moczarów. Czy jest prawdopodobne, ażeby pasterz obierał takie miejsce dla swojej trzody? Pańskie przypuszczenie jest zupełnie niedorzeczne.

Odpowiedziałem z pokorą, że nie znam tych wszystkich szczegółów. Uległość moja spodobała się Franklandowi i wywołała dalsze zwierzenia.

– Bądź pan pewien, że zanim wygłoszę zdanie, muszę mieć niezbite dowody. Widziałem niejednokrotnie chłopca niosącego paczkę. Co dzień, a niekiedy dwa razy dziennie, mogłem...

ale, poczekaj no pan... Czy mnie oczy mylą, czy też istotnie porusza się coś w tej chwili na stoku pagórka?

Jakkolwiek pagórek był bardzo odległy, przecież dostrzegłem wyraźnie mały czarny punkt na zielonoszarym tle krajobrazu.

– Pójdź pan, prędzej! – zawołał Frankland, pędząc na schody. – Zobacz pan wszystko na własne oczy i sam osądzi.

Potężny teleskop na trójnogu stał na płaskim dachu domu. Frankland przyskoczył do lunety i wydał okrzyk radości.

– Prędko, doktorze Watsonie, prędko, zanim minie pagórek! Istotnie, mały chłopiec, z węzelkiem na ramieniu, wchodził powoli na wzgórze. Gdy stanął na szczycie, jego ubogo odziana postać zarysowała się wyraźnie na de błękitu nieba. Obejrzał się dokoła trwożliwie, jakby w obawie pogoni, po czym zniknął za pagórkiem.

– No i cóż? Mam słusność?

– Rzeczywiście, widać chłopca, który, jak się zdaje, spełnia jakieś tajemnicze polecenie.

– Nawet policjant odgadłby, jakie to polecenie. Ale nie dowiedzą się ode mnie ani słówka; zobowiązuję pana również do tajemnicy. Ani słówka! Rozumie pan?

– Niech pan będzie spokojny.

– Postąpili ze mną haniebnie... haniebnie. Gdy wszystkie fakty zostaną ujawnione w procesie Frankland przeciw królowej, dreszcz oburzenia wstrząśnie całym krajem. Nic nie znievoli mnie do przyjścia z pomocą policji w jakikolwiek sposób. Policja nie posiadałaby się z radości, gdyby te łotry spalili mnie raczej, niż mój portret. Co, pan już odchodzi? O, nie, nie puszczę pana! Musisz pan wychylić ze mną buteleczkę na cześć moich wszystkich zwycięstw!

Oparłem się jego naleganiom i zdołałem też odwieść go od zamiaru odprowadzenia mnie do domu. Dopóki mógł mnie dostrzec, szedłem gościńcem, po czym skręciłem szybko w bok na moczary i podążyłem ku skalistemu pagórkowi, za którym zniknął chłopiec. Los sprzyjał mi i przysiągłem sobie, że jeżeli nie uda mi się wykorzystać pomyślnego zbiegu okoliczności, nie będzie to winą braku energii i wytrwałości z mojej strony.

Słońce już zachodziło, gdy stanąłem na szczycie pagórka; po stokach schodzących w równinę pełzały od zachodu złociste i zielonawe blaski, zaś ze strony przeciwnej rozwłóczyły się już szare cienie. Białe opary wznosiły się z wolna na krańcu widnokągu, pośród nich wyraźnie wyłaniały się fantastyczne kształty Belliveru i Lisiego Szczytu.

Nic nie zakłócało ciszy rozległej równiny, nigdzie ruchu, znikąd dźwięku. Tylko duży, szary ptak, rybitwa albo kulik, szybował po błękitnym przestworzu. On i ja byliśmy jedynymi żywymi stworzeniami pomiędzy bezbrzeżnym sklepieniem nieba i pustkowiem ziemi. Dziki krajobraz, uczucie samotności, świadomość, że podjąłem przedsięwzięcie bardzo niebez-

pieczne, lecz niecierpiące zwłoki, wszystko to chłodem przeniknęło mi duszę. Chłopca nie było nigdzie. U moich stóp, w rozpadlinie między pagórkami, stał szereg owych prastarych siedzib kamiennych, a dach na jednej z nich zachował się prawie w całości, tak że mogła służyć za schronienie. Serce zabiło mi jak młotem, gdy to dostrzegłem. Tam, w tej norze czatował niechybnie nasz nieznajomy. Nareszcie stałem u progu jego kryjówki – lada chwila mogłem mu wydrzeć jego tajemnicę.

Przybliżywszy się do pieczary tak ostrożnie jak Stapleton, gdy podchodzi z siatką do upatrzonego motyla, przekonałem się, że istotnie służyła za mieszkanie. Ścieżka, zaledwie utorowana, prowadziła wśród głazów do otworu zastępującego drzwi. Wewnątrz panowała cisza. Nieznajomy czatował w ukryciu lub też włóczył się po moczarach. W najwyższym napięciu rzuciłem papierosa, objąłem dłonią rękojeść rewolweru, podszedłem szybko do otworu, zajrzałem. Nie było nikogo.

Dostrzegłem natomiast liczne znaki wskazujące że nie jest to fałszywy trop. Tu niewątpliwie mieszkał nieznajomy. Kołdry, okryte nieprzemakalnym płaszczem, leżały na wielkim głazie, na którym prawdopodobnie spoczywał zazwyczaj przedhistoryczny mieszkaniec tej siedziby. Popiół tlił się na jakimś pierwotnym ognisku, za którym siały sprzęty kuchenne i wiadro do połowy napełnione wodą. Szereg pustych puszek po konserwach świadczył, że siedziba była zajęta już od pewnego czasu, a gdy mój wzrok przywykł do panującego dokoła półmroku, dostrzegłem w kącie bochenek chleba i pół butelki wódki.

Na środku chaty płaski głaz zajmował miejsce stołu, na którym leżało małe zawiniątko – to samo niewątpliwie, które przez teleskop dostrzegłem na ramieniu chłopca. Zawierało świeży chleb, ozór wędzony i dwie puszki konserw z brzoskwiń. Obejrzawszy zawiniątko, usiadłem, lecz w tejże chwili serce zabiło mi gwałtownie – pod puszkę wsunięta była kartka zapisanego papieru. Schwyciłem ją i przeczytałem następujące wyrazy, skreślone niewprawną ręką. „Doktor Watson pojechał do Coombe Tracey”. Przez chwilę stałem z kartką w ręku, zastanawiając się nad znaczeniem tego lakonicznego doniesienia. A więc to mnie, nie sir Henryka, szpiegował ów tajemniczy nieznajomy! Nie śledził mnie sam, lecz wysłał za mną kogoś zaufanego – może tego wyrostka – i oto czytam jego raport.

Być może byłem śledzony na każdym kroku, odkąd tu przybyłem. Znów odczułem ciężar jakiejś nieznannej siły, ogarnęła mnie świadomość, że zarzucono na nas z niesłychaną zręcznością cienką sieć, która jednak zacieśnia się dokoła nas tak lekko, że dopiero w ostatecznej chwili spostrzegamy, iż istotnie jesteśmy nią oplatanii.

Jeśli był jeden raport, mogły się znaleźć i inne – zacząłem tedy rozglądać się i szukać dokoła. Nie dostrzegłem jednak nigdzie śladu żadnej kartki, ani też jakiegokolwiek wskazówki, która pozwalałaby wnioskować o charakterze lub zamiarach mieszkającego w tej osobliwej

siedzibie człowieka; jedno tylko było pewne: musiał mieć spartańskie nawyki i mało dbał o wygodę.

Pomyślałem o ulewie w ostatnich dniach i spojrzałem na szerokie szpary między tworzącymi dach kamieniami; zrozumiałem, jak ważny musiał być cel, do którego zmierzał nieznajomy i jak niezachwiane postanowienie osiągnięcia go, skoro mógł wytrwać w tak niegościnnym schronieniu.

Byłże ten człowiek naszym zaciętym wrogiem czy też może naszym aniołem – stróżem? Przysiągłem sobie, że nie opuszczę pieczary, dopóki się nie dowiem...

Na dworze słońce zachodziło powoli, rozniecając na niebie krwawe łuny i złociste blaski, które odbijały się rdzawymi plamami w odległych kałużach. W dali widniały dwie wieże zamku, a za nimi słup wznoszącego się w obłoki dymu znaczył położenie wioski. W środku, między zamkiem a wioską, za wzgórzem, stał dom Stapletonów.

Cała przyroda tchnęła ciszą, spokojem i niewysłowioną słodyczą. Wszelako spokój ten nie udzielił się mojej duszy, przeciwnie, ogarnęła mnie nieokreślona trwoga przed spotkaniem, które stawało się bliższe z każdą chwilą.

Zdenerwowany, lecz niezachwiany w powziętym postanowieniu, siedziałem w ciemnym zakątku pieczary i z gorączkową niecierpliwością czekałem na przybycie jej mieszkańca.

Wreszcie usłyszałem, że nadchodzi. Z daleka dobiegł mnie ostry odgłos buta, uderzającego o kamienie. Odgłos ten zbliżał się coraz bardziej. Cofnąłem się w najciemniejszy kąt i odwołałem kurek rewolweru w kieszeni, zdecydowany nie zdradzać swej obecności, dopóki nieznajomy nie wejdzie do pieczary.

Naraz nastąpiła przerwa, dowodząca, że się zatrzymał. Potem odgłos kroków zbliżył się ponownie i cień padł w poprzek otworu pieczary.

– Co za cudny wieczór, kochany Watsonie – odezwał się dobrze mi znany głos. – Zdaje mi się, że będzie nam przyjemniej na dworze niż w tej pieczarze.

Rozdział 12

Śmierć na moczarach

Przez chwilę siedziałem osłupiały, z zapartym oddechem, nie dowierzając własnym uszom. Nareszcie wróciła mi przytomność oraz głos, a ciężar odpowiedzialności spadł mi z serca. Tylko jeden człowiek na świecie miał taki zimny, przenikliwy, ironiczny głos.

– Holmes – krzyknąłem. – Holmes!

– Wyjdźże – odezwał się – proszę cię, ostrożnie z rewolwerem. Wyszedłem i spostrzegłem swego przyjaciela, siedzącego na kamieniu; na widok mojej zdumionej twarzy jego szare oczy zabłyśły uciechą.

Schudł nieco, zmęczenie odbijało się w jego rysach, ale był bardzo ożywiony, cerę miał ogorzałą od słońca, zaczerwienioną od wiatru. Ubrany w garnitur szewiotowy i sukienną czapkę, wyglądał jak zwykły turysta, zwiedzający moczary. Dbały o czystość, jak kot o swoje futerko – co jest jednym z jego rysów charakterystycznych – postarał się, żeby mieć podbródek tak gładki, a bieliznę takiej niepokalanej czystości, jak gdyby wyszedł ze swej garderoby przy ulicy Baker.

– Nigdy jeszcze nie byłem równie ucieszony niczym widokiem – rzekłem ściskając jego dłoń.

– Ani równie zdumiony, co?

– Tak... wyznaję.

– Mogę cię zapewnić, że moje zdumienie nie ustępowało twojemu. Nie miałem pojęcia, że wyśledziłeś moją przygodną kryjówkę, ani, że w niej siedzisz, dopóki nie, stanąłem o jakie dwadzieścia kroków od wejścia.

– Poznałeś ślady moich nóg, co?

– Nie, mój drogi; nie podjąłbym się rozpoznania śladów twoich stóp wśród innych. Jeśli zechcesz kiedyś ukryć się przede mną na serio, musisz zmienić dostawcę tytoniu; bo gdy ujrzę niedopałek papierosa z firmy Bardley, ulica Oxford, wiem, że mój przyjaciel Watson jest w pobliżu. Patrz, leży tam na ścieżce. Rzuciłeś go niechybnie w ważnej chwili przed wejściem do pustej pieczary.

- Jakbyś widział.
- Domyśliłem się od razu... a znając twoją bajeczną wytrwałość, byłem przekonany, że stanę cię tu w zasadzce, z bronią w ręku czekającego na mieszkańca tej siedziby. Wziąłeś mnie więc za owego zbrodniarza?
- Nie wiedziałem, kim jesteś, ale byłem zdecydowany wyświetlić tę tajemnicę;
- Wyśmienicie, Watsonie! A w jaki sposób stwierdziłeś moją obecność? Dostrzegłeś mnie może owej nocy, kiedy wybraliście się w pogoń za więźniem, a ja byłem na tyle nieostrożny, że stanąłem w blasku księżyca?
- Tak jest, widziałem cię wtedy.
- Niechybnie przeszukałeś wszystkie pieczary, aż wreszcie natrafiłeś na tę?
- Nie, obserwowałem twego chłopca i to było dla mnie wskazówką, dokąd się udać.
- Aha, ten stary jegomość z teleskopem!... Nie mogłem wykombinować, co to takiego, gdy ujrzałem pierwszy raz światło odbijające się w soczewkach lunety – wstał i zajrzał do pieczary. – A... widzę, że Cartwright przyniósł mi posiłek... Co to? Kartka? Więc byłeś w Coombe Tracey?
- Byłem.
- U pani Laury Lyons?
- Właśnie.
- Doskonale! Nasze poszukiwania biegły zatem równoległą drogą. No, gdy zestawimy osiągnięte wyniki, mam nadzieję, że będziemy bliscy całkowitego wyświetlenia sprawy.
- Rad jestem szczerze, że mam cię tutaj, bo daję słowo, ta odpowiedzialność i tajemnica zaczynały mi zanadto rozstrajać nerwy. Ale, jak to się stało, u licha, żeś tu przyjechał i coś ty tu robił? Byłem pewien, że siedzisz na ulicy Baker i zajmujesz się tą sprawą szantażu.
- Zależało mi właśnie na tym, żebyś tak myślał.
- A więc bierzesz mnie do pomocy, ale mi nie ufasz! – zawołałem z odcieniem gorzkości. – Sądzę, że nie zasłużyłem na to.
- Mój drogi, byłeś mi nieocenioną pomocą zarówno w tym wypadku, jak i w wielu innych, i proszę cię, żebyś mi wybaczył ten pozorny podstęp. Prawdę mówiąc, wszystko to stało się w części przez wzgląd na ciebie; świadomość niebezpieczeństwa, na jakie się narażałeś, zmusiła mnie do przybycia i zbadania sytuacji osobiście. Gdybym był razem z sir Henrykiem i z tobą, miałbym wspólny z wami punkt widzenia, a moja obecność ostrzegłaby naszych bardzo groźnych przeciwników i mieliby się na ostrożności. Tymczasem, pozostając w ukryciu, mogłem działać ze swobodą, jakiej nie miałbym nigdy, gdybym zamieszkał w zamku; stanowią zatem nieznaną czynnik w sprawie i mam możliwość rozwinięcia całej energii w chwili krytycznej.
- Dlatego nie mogłeś mnie wtajemniczyć?...
- Bo gdybyś wiedział, nic by nam to nie dopomogło, a mogłoby doprowadzić do wysle-

dzenia mnie. Zachciałoby ci się może powiedzieć mi coś albo w dobroci swojej przynosiłbyś mi jakieś przysmaki; narazilibyśmy się na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Wziąłem tu z sobą Cartwrighta... pamiętasz tego malca z biura posłańców... i ten zaspokaja moje skromne potrzeby: bochenek chleba i czysty kołnierzyk. Czegóż człowiekowi więcej trzeba? Przy czym dostarczał mi dodatkowej pary oczu i pary bardzo zwinnych nóg, a zarówno jedno, jak i drugie stały się dla mnie nieocenioną pomocą.

– A więc wszystkie moje raporty poszły na marne?

Głos zadrżał mi na wspomnienie mozołu i dumy, z jaką je pisałem.

Holmes wyjął z kieszeni zwitek papierów.

– Oto są twoje raporty, zapewniam cię – bardzo dokładnie przejrzone. Zarządziłem wszystko tak, że mi je przysłano tutaj, z jednodniowym tylko opóźnieniem. Muszę ci szczerze powinszować gorliwości i inteligencji, jaką wykazałeś w tak niezwykle zawikłanej sprawie.

Ta gorąca pochwała Holmesa złagodziła urazę, jaką miałem do niego za jego podstęp i zagłuszyła mój gniew. Czułem także w głębi duszy, że miał słuszność i istotnie lepiej się stało dla naszej sprawy, iż nie wiedziałem o jego obecności na moczarach.

– O, tak, teraz to mi się podobasz! – rzekł, widząc że moja twarz się rozchmurza. – Opowiedz mi proszę wynik odwiedzin u pani Laury Lyons... Nietrudno mi było odgadnąć, że pojechałeś do niej, bo wiem już, że to jedyna osoba w Coombe Tracey, która może się nam przydać. Gdybyś ty nie pojechał do niej dziś, prawdopodobnie ja pojechałbym jutro.

Słońce zaszło już zupełnie i ciemność zaległa na moczarach. Powietrze ochłodziło się znacznie – schroniliśmy się do pieczary i tu, siedząc w mroku, opowiedziałem Holmesowi rozmowę z panią Lyons. Słuchał jej z takim zajęciem, że musiałem niektóre szczegóły powtórzyć dwukrotnie.

– Wszystko to jest bardzo ważne – rzekł, gdy skończyłem. – Wypełnia bowiem niezrozumiałą dla mnie dotąd lukę w tej niesłychanie zawilej sprawie. Wiesz może, iż ową panią łączą ze Stapletonem bardzo zażyłe stosunki.

– Nie wiedziałem, że znają się tak blisko.

– O, bardzo... Widują się, pisują do siebie, słowem, porozumienie między nimi jest jak najlepsze. To potężna broń w naszych rękach. Gdyby tylko mogła mi posłużyć do oswobodzenia jego żony...

– Jego żony?

– Teraz ja dam ci pewne wyjaśnienie w zamian za wszystkie twoje nowiny. Otóż kobieta, która uchodzi tutaj za pannę Stapleton, jest jego żoną.

– Na Boga, Holmesie! Czy jesteś pewien tego, co mówisz? Jak mogłeś dopuścić, ażeby sir Henryk zakochał się w niej?

– Zakochanie się sir Henryka nie mogło zaszkodzić nikomu, tylko sir Henrykowi. Zauwa-

żyłeś sam, iż Stapleton baczył pilnie, ażeby baronet nie zbliżył się do niej i nie zalecał zbytnio. Powtarzam, że ta kobieta jest jego żoną, nie siostrą.

– W jakim celu to wymyślne kłamstwo?...

– Przewidział, że będzie dla niego bardziej pożyteczna w charakterze kobiety wolnej.

Wszystkie moje tajemne przeczucia, a także nieuchwytne podejrzania ożyły naraz wyraźnie i skierowały się na przyrodnika. Widziałem teraz coś straszego w tym obojętnym, bladym człowieku w słomkowym kapeluszu, z siatką na motyle w ręku – istotę niewyczerpanej cierpliwości, piekielnie chytrą, z uśmiechniętą twarzą i duszą mordercy.

– A więc to on jest naszym wrogiem?... On szpiegował nas w Londynie?

– Tak ja widzę rozwiązanie tej zagadki.

– A ostrzeżenie... przyszło pewnie od niej?

– Naturalnie.

Spośród mroku, który nas tak długo otaczał, zaczęła się wyłaniać przede mną jakaś nieuchwytna jeszcze, potworna podłość.

– Czy jesteś tego wszystkiego pewien? Skąd wiesz, że ta kobieta jest żoną Stapletona – spytałem.

– Stąd, że gdy spotkał się z tobą pierwszy raz, zapomniał się tak dalece, iż opowiedział ci niektóre prawdziwe fakty ze swego życia; zdaje mi się, że żałował już nieraz swego gadulstwa. Stapleton był istotnie niegdyś właścicielem szkoły w jednym z hrabstw w Anglii północnej. Otóż, nie ma nic łatwiejszego, jak odnaleźć ślady przełożonego szkoły. Istnieją agencje szkolne, które na żądanie mogą potwierdzić tożsamość każdego, uprawiającego zawód pedagogiczny.

Niedługo poszukiwania wykazały, że w tamtych okolicach zamknięto szkołę, a towarzyszyły temu ohydne okoliczności. Właściciel szkoły, o innym jednak nazwisku, zniknął razem z żoną. Rysopis się zgadzał, a gdy dodatkowo dowiedziałem się jeszcze, że jegomość ów zajmował się entomologią, nie miałem już żadnej wątpliwości.

Ciemności zaczynały się rozpraszać, ale mrok pokrywał jeszcze wiele szczegółów.

– Jeśli ta kobieta jest istotnie żoną Stapletona, co tu robi pani Laura Lyons? – spytałem ponownie.

– Ten punkt został wyświetlony przez twoje własne poszukiwania. Rozmowa, jaką odbyłeś z ową panią, przyczyniła się do rozjaśnienia sytuacji. Nie wiedziałem nic o jej zamierzonym rozwodzie z mężem. Uważając Stapletona za kawalera, pani Lyons liczy niezawodnie, że się z nią ożeni.

– A gdy się dowie prawdy...

– Zyskamy w niej sprzymierzeńca. Przede wszystkim zatem musimy się z nią zobaczyć...

obaj i to już jutro. Ale, Watsonie, czy nie uważasz, że zbyt długo trwa twoja nieobecność na stanowisku?

Ostatnie purpurowe blaski zgasły na zachodzie – noc zeszła na moczary, a na fiolecie nieba roziskrzyły się tu i ówdzie pierwsze gwiazdy.

– Jeszcze jedno pytanie – rzekłem wstając. – Nie powinniśmy mieć wobec siebie tajemnic. Co znaczy to wszystko? Do czego zmierza Stapleton? Jaki jego cel?

– Morderstwo, Watsonie – odpowiedział Holmes zniżonym głosem – wyrafinowane, rozmyślnie, z zimną krwią wykonane morderstwo. Nie żądaj ode mnie szczegółów. Rozsnuwam sieć dokoła mordercy, podobnie jak on dokoła sir Henryka, a dzięki twojej pomocy mam go już prawie w rękę. Grozi nam tylko jedno niebezpieczeństwo; może nas zaskoczyć i wymierzyć cios, zanim będziemy gotowi do walki. Jeszcze jeden dzień, najwyżej dwa, a będę miał wszystkie dowody; tymczasem ty czuwaj nad baronetem równie troskliwie, jak czuwa kochająca matka nad chorym dzieckiem. Twój wyjazd dzisiejszy był konieczny, a mimo to wołałbym, ażebyś nie opuszczał sir Henryka. Słyszysz?!...

Okropny krzyk – krzyk śmiertelnej trwogi i przerażenia rozdarł ciszę panującą dokoła na moczarach. Krew w żyłach ścięła mi się lodem.

– Och, Boże! – wyjąkałem – Co to jest? Co to znaczy?

Holmes zerwał się na równe nogi. Jego olbrzymia postać zarysowała się w otworze pieczary. Stał z pochylonymi barkami, z głową wysuniętą naprzód, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność.

– Cicho! – szepnął. – Cicho.

Krzyk dobiegł nas dlatego, że był gwałtowny, ale pochodził z odległej części równiny. Teraz rozległ się znów bliżej; głośniejszy, bardziej nagły niż poprzednio.

– Gdzie to jest? – szepnął Holmes, a drzenie jego głosu wykazywało, że ten człowiek z żelaza jest poruszony do głębi. – Gdzie to jest, Watsonie?

– Zdaje mi się, że tam – odparłem, wskazując w ciemność.

– Nie, tam.

Ponowny okrzyk trwogi, głośniejszy i znacznie bliższy, rozbrzmiał wśród nocnej ciszy...

Tym razem przyłączył się do niego inny odgłos – głuche warczenie, groźne, które wzma-gało się i cichło, jak nieustający szum morskich fal.

– Pies! – krzyknął Holmes. – Chodź, Watsonie, chodź, co tchu! Boże wielki, bylebyśmy nie przyszli za późno!

Popędził naprzód, a ja biegłem tuż za nim. Naraz, gdzieś przed nami, spośród skał, dobiegł ostatni rozpaczliwy wrzask, a potem rozległ się głuchy łoskot. Stanęliśmy nad słuchując. Żaden dźwięk nie przerwał już przytłaczającej ciszy tej nocy, jej spokoju nie zamać! najbliższy powiew wiatru.

Holmes przycisnął dłoń do czoła, jak człowiek nieprzytomny; po chwili tupnął niecierpliwie nogą.

– Pobił nas, Watsonie. Spóźniliśmy się.

– Nie, nie... niepodobna!

– Co za szalaniec ze mnie, dlaczego ja go oszczędzałem! Patrz, Watsonie, jakie są skutki tego, że opuściłeś zamek! Przysięgam, jeżeli stało się to najgorsze, morderca nie ujdzie naszej zemsty.

Pędziliśmy na oślep wśród ciemności, potykając się o głazy, przedzierając przez krzaki jałowca, wdrapując się na wzgórza, to znów zbiegając ze stoków; dążąc w stronę, skąd dobiegały nas straszne odgłosy. Z każdego szczytu Holmes rozglądał się z napięciem, ale nieprzenikniony mrok zalegał moczary i nic nie poruszało się wśród rozległego pustkowia.

– Czy dostrzegasz co?

– Nic.

– Ale... słuchaj... co to jest?

Cichy jęk doleciał naszych uszu. Szedł wyraźnie z lewej strony! Szereg skał kończył się tu nagle, tworząc urwistą pochyłość, u której stóp leżała czarna, bezkształtna masa.

W miarę jak torując sobie drogę wśród głazów, zbliżyliśmy się do owego przedmiotu, przybierał on określone kształty. Był to mężczyzna; leżał twarzą na ziemi, kark miał zgięty w kabłąk, ramiona podniesione, a cały korpus skurczony jak do skoku. Postawa ta była tak dziwaczna, że na razie nie mogłem sobie uświadomić, iż wraz z owym jękiem uleciała dusza tego człowieka. Ciemna postać, nad którą pochyliliśmy się obaj, nie wydawała już najlżejszego szeptu.

Holmes przesunął ręką po leżącym i podniósł ją wnet z okrzykiem zgrozy. Blask zapalniczki, którą zapalił, padł na jego zakrwawione palce i na strumień krwi, broczący z roztrzaskanej czaszki ofiary. Blask ten oświetlił coś więcej – zwłoki sir Henryka Baskerville'a! Skamieniliśmy z przerażenia, dech zamarł nam w piersi.

Nie zapomnieliśmy obaj owego dziwnego garnituru ceglastej barwy, w którym ujrzeliśmy go po raz pierwszy w domu przy ulicy Baker. Zdażyliśmy go dostrzec tylko i zapalniczka zgasła, podobnie jak zgasła nadzieja w naszych duszach.

Holmes odetchnął głęboko i mimo ciemności widziałem, że poblądł.

– Podły! Nikczemnik! – syknąłem przez zaciśnięte zęby. – Nie daruję sobie nigdy, że dopuściłem do tego nieszczęścia!

– Moja wina większa od twojej. W pogoni za drobnymi szczegółami, chcąc mieć szereg niezbitych dowodów, pozwoliłem zabić swego klienta. Jest to największa porażka, jaka mnie spotkała w ciągu mojej kariery. Skąd mogłem jednak przewidzieć, że sir Henryk, pomimo

moich przestrog, zechce narażać życie i będzie sam chodził wieczorem po moczarach? Tak, skąd mogłem to przewidzieć?

– Pomyśleć, że słyszeliśmy jego krzyki... Boże, co za krzyki!... i nie zdołaliśmy go ocalić! Gdzież jest ten okropny pies, który go o śmierć przyprawił? Włóczy się pewnie jeszcze wśród skał. A Stapleton? Gdzie się kryje? Zapłaci on za tę zbrodnię.

– Zapłaci. Już ja się o to postaram. Stryj i bratanek zamordowani... jeden umarł z przerażenia na widok zwierzęcia, które uważał za coś nadprzyrodzonego, drugi znalazł śmierć, uciekając przed tą bestią. Teraz musimy jeszcze dowieść związku między człowiekiem i zwierzęciem. Nie możemy nikogo przekonać, że istnieje, skoro słyszeliśmy tylko szczekanie i warczenie, a sir Henryk zmarł wskutek upadku. Przysięgam na wszystkie świętości, że choć Stapleton jest przebiegły i mądry, znajdzie się w mojej mocy, zanim minie dzień.

Ze ściśniętym sercem staliśmy nad okaleczonym ciałem, poruszeni nagłą i nieodwołalną katastrofą, która zakończyła tak smutnie naszą długą i mozolną pracę.

Księżyc powoli wysuwał się zza chmur. Weszliśmy na skały, z których spadł nasz biedny przyjaciel i ze szczytu spoglądaliśmy na moczary częściowo już osrebrzone blaskiem księżyca, w połowie jeszcze tonące w mroku.

W dali jaśniało jedno żółte światło. Mogło płonąć jedynie w samotnej siedzibie Stapletonów. Zakławszy wściekle, podniosłem groźnie pięść i spytałem Holmesa:

– Dlaczego nie mieliśmy schwytać go od razu?

– Nie mamy jeszcze wystarczających dowodów. Ten łotr jest zręczny i przebiegły do najwyższego stopnia. W sądzie nie chodzi przecież o to, co się wie, ale czego można dowieść. Jeden fałszywy krok z naszej strony, a łotr może nam się jeszcze wymknąć.

– Co zatem pocniemy?

– Będziemy mieli dosyć zajęcia jutro, bądź spokojny. Tymczasem oddajmy ostatnią posługę naszemu biednemu przyjacielowi.

Zeszliśmy z urwistego stoku i zbliżyliśmy się do zwłok, zarysowujących się teraz wyraźnie w świetle księżyca. Na widok pokrzywionej w przedśmiertnym skurczu postaci serce ściśnęło mi się boleśnie, oczy zwilgotniały.

– Trzeba wezwać pomocy, Holmesie. Sami nie zdołamy zanieść go do zamku... Wielkie nieba, człowieku, czyś ty oszalał?

Holmes krzyknął, pochylił się nad zwłokami, a teraz skakał, śmiał się i ścisnął moją rękę. Nie poznawałem swego poważnego, panującego zazwyczaj nad sobą przyjaciela!

– Broda!... Broda!... Ten człowiek ma brodę!...

– Brodę?

– To nie baronet... to... ależ tak!...to mój sąsiad, zbiegły więzień!

Z gorączkowym pośpiechem odwróciliśmy zwłoki i w blasku księżyca ukazała nam się zbroczona krwią broda.

Niepodobna było omylić się na widok tego wystającego czoła, zapadłych dzikich oczu. Poznałem twarz, którą dostrzegłem owej nocy nad świecą w szczelinie skały – twarz zbrodniarza Seldena.

W jednej chwili wyjaśniła mi się cała rzecz. Przypomniałem sobie, że baronet darował swoją starą garderobę Barrymore'owi. Barrymore z kolei dał ją Seldenowi, chcąc mu pomóc w ucieczce. Buty, koszula, czapka – wszystko stanowiło własność sir Henryka.

Wypadek był niewątpliwie bardzo smutny, ale sądy i tak skazały nieszczęśnika na śmierć. Z sercem, przepelnionym radością, opowiedziałem Holmesowi historię garderoby Seldena.

– W takim razie to ubranie było przyczyną śmierci nieboraka – rzekł. – Rzecz już teraz oczywista, iż do wytresowania psa Stapleton użył jakiegoś przedmiotu, należącego do sir Henryka; według wszelkiego prawdopodobieństwa posłużył mu do tego celu but, który zginął w hotelu. Tak przeciwiczny pies pogonił za Seldenem. Jedna rzecz pozostaje niewyjaśniona: skąd ten mógł w ciemnościach rozpoznać, że ściga go pies?

– Słyszał go prawdopodobnie.

– Człowiek tak twardej natury jak ten morderca nie wpada, słysząc szczekanie psa na moczarach, w taki paroksyzm trwogi, że krzyczy jak wariat o pomoc, narażając się na aresztowanie. Sądząc z jego krzyków, biegł długo, spostrzegłszy, że zwierzę go ściga. Skąd jednak wiedział o tym?

– Nie rozumiem też, dlaczego ten pies – przypuściwszy, że wszystkie nasze wnioski są słuszne...

– Ja nic nie przypuszczam.

– Otóż dlaczego ten pies został wypuszczony dzisiaj? Sądzę, że nie zawsze wałęsa się swobodnie po moczarach. Stapleton nie puściłby go na wolność, gdyby nie miał powodu spodziewać się, że sir Henryk wyjdzie dziś wieczorem.

– Trudniej jest odpowiedzieć na moje pytanie niż na twoje, które niebawem da się wyjaśnić, podczas gdy moje pozostanie na zawsze otoczone tajemnicą. Kwestia teraz, co pocniemy ze zwłokami tego nieszczęsnego łotra? Nie możemy ich zostawić na żer lisom i krukowi.

– Proponuję, żeby je złożyć w najbliższej pieczarze, dopóki nie zawiadomimy policji.

– Doskonale. Myślę, że damy sobie radę sami... Watsonie, a to co? Patrz, to on... co za piekielna odwaga! Słuchaj, żebyś ani jednym słowem nie zdradził swoich podejrzeń... ani słówka, inaczej wszystkie moje plany runą.

Jakaś postać, idąca ścieżką przez moczary, zbliżała się do nas; niebawem dostrzegłem go-rejający krążek zapalonego cygara, a blade światło księżyca pozwoliło mi rozróżnić drobną figurkę i skaczący chód przyrodnika. Dostrzegłszy nas, przystanął, po czym ruszył znowu ku nam.

– Co, doktorze Watson, to pan? I sam pan Holmes? Ze wszystkich ludzi na świecie pana najmniej spodziewałem się zastać tu, wśród moczarów, o tak późnej godzinie. Ale, mój Boże, co to? Jakiś ranny? Nie... powiedz mi pan, że to nie nasz przyjaciel sir Henryk! Minął mnie z pośpiechem i pochylił się nad zmarłym. Słyszałem, jak zaczerpnął głęboko powietrza, cygaro wypadło mu z dłoni.

– Kto... kto to jest?

– Selden, więzień, który uciekł z Princetown.

Stapleton zwrócił ku nam śmiertelnie bladą twarz – wyraźnie dużym wysiłkiem woli pokonał zdumienie i rozczarowanie. Byстрым wzrokiem spoglądał kolejno na mnie i na Holmesa.

– Mój Boże! Jakie to smutne zdarzenie!... Co spowodowało jego śmierć?

– Zdaje mi się, że roztrzaskał sobie głowę, spadając ze skał. Przechadzałem się z przyjacielem po moczarach, gdy nagle usłyszeliśmy krzyk.

– Ja również usłyszałem krzyk i to mnie skłoniło do wyjścia. Byłem niespokojny o sir Henryka.

– Dlaczego właśnie o sir Henryka?

Nie mogłem się powstrzymać od tego pytania.

– Dlatego, że prosiłem go, by spędził wieczór u nas i byłem zdziwiony, że nie przyszedł. Gdy zaś usłyszałem krzyki na moczarach, ogarnął mnie niepokój. Ale – przenikliwe oczy przyrodnika znów biegały od mojej twarzy do twarzy Holmesa – czy nie słyszeliście panowie nic innego oprócz krzyku?

–Ja nie – odparł Holmes – a ty?

–Ja też nie!

– Ale dlaczego zadaje pan to pytanie? – rzekł Holmes.

– O, tak tylko... panowie znają przecież baśnie, krążące wśród chłopów, o jakimś olbrzymim psie, który straszy... Utrzymują, że wyje niekiedy nocami. Zastanawiałem się czy nie odezwał się tej nocy jakiś odgłos, który mógłby usprawiedliwić ludzkie opowiadania.

– Nie słyszeliśmy nic podobnego – rzekłem.

– Czemu pan przypisuje śmierć tego nieboraka?

– Jestem pewien, że trwoga, w jakiej żył nieustannie, obawiając się wykrycia, zaćmiła mu umysł. W przystępie obłądzenia biegł po moczarach, dostał się bezwiednie na te skały, wreszcie spadł i roztrzaskał sobie czaszkę.

– Pańskie przypuszczenie wydaje mi się wielce prawdopodobne – rzekł Stapleton i odechnął głęboko, co świadczyło, iż doznał wielkiej ulgi. –A jakie jest pana zdanie, panie Sherlocku Holmesie?

Mój przyjaciel złożył lekki ukłon.

– Jest pan bystry w poznawaniu ludzi – rzekł.

– Spodziewaliśmy się pana w tych stronach od czasu przyjazdu doktora Watsona. Przybył pan w porę, by zostać świadkiem tragedii.

– Istotnie. Nie wątpię, że wyjaśnienia mego przyjaciela okażą się zgodne z prawdą. Niemiłe wspomnienie zabiorę ze sobą jutro do Londynu.

– Pan wyjeżdża już jutro?

– Taki mam zamiar.

– Spodziewam się, że pana pobyt wyświetli wypadki, które tak nas zaniepokoiły?

Holmes wzruszył ramionami.

– Nie zawsze osiągamy powodzenie, jakiego się spodziewamy. Badaczowi potrzebne są fakty, nie zaś legendy i pogłoski. Dotąd nie wykryłem nic w tej sprawie.

Mój przyjaciel mówił tonem zupełnej szczerości, z całą swobodą. Stapleton patrzył na niego uważnie. Po chwili zwrócił się ku mnie.

– Rad bym przenieść tego biedaka do mego domu, ale siostra przeraziłaby się niesłychanie. Sądzę, że jeśli zakryjemy mu twarz, może poleżeć bezpiecznie do jutra rana.

Tak też uczyniliśmy. Po czym, nie przyjąwszy ofiarowanej przez Stapletona gościnności, ruszyliśmy z Holmesem do zamku. Przyrodnik pozostał sam. Później odwróciliśmy się i widzieliśmy, jak szedł wolnym krokiem w głąb moczarów. Za nim, na osrebrzonym blaskiem księżycy stoku, wielka czarna plama wskazywała, gdzie leżał człowiek, który zginął niespodziewaną śmiercią.

– Zbliżamy się do przełomu – rzekł Holmes po dłuższym milczeniu.

– Ten człowiek ma silne nerwy! Świetnie się trzymał na widok innej ofiary jego podstęp! Nie każdy zdołałby tak zapanować nad sobą. Powiedziałem ci już w Londynie, Watsonie, i powtarzam teraz, że nie mieliśmy dotąd godniejszego wroga.

– Żałuję, że cię widział.

– Ja również początkowo żałowałem. Nie dało się uniknąć tego spotkania.

– Cóż on teraz pocnie, skoro wie, że jesteś tutaj?

– Stanie się albo ostrożniejszy, albo od razu poczyni jakiś rozpaczliwy krok. Jak większość wytrawnych przestępców zaufa być może zbyt własnej mądrości i wyobrazi sobie, że nas przechytrył.

– Dlaczego nie mielibyśmy zaarrestować go od razu?

– Mój drogi, tyś się urodził na człowieka czynu. Wrodzona energia nakłania cię zawsze do

szybkiej działalności. Przypuśćmy na przykład, że aresztowalibyśmy Stapletona dzisiejszej nocy; jaka z tego korzyść? Nie moglibyśmy dowieść mu niczego. Na tym właśnie polega jego piekielna przebiegłość. Gdyby działał przy pomocy innego człowieka, moglibyśmy wykryć tego współnika i zyskać świadka, ale jeśli nawet wydobędziemy owego olbrzymiego psa na światło dzienne, nie pomoże nam to do zarzucenia stryczka na kark jego pana.

– Możemy przecież wytoczyć sprawę.

– Ani myślę... na jakiej podstawie? Samych tylko podejrzeń i przypuszczeń? Wyśmialiby nas w sądzie, gdybyśmy poszli z taką bajką i z tak wątpliwymi dowodami.

– Śmierć sir Karola?

– Znaleziono go nieżywego, bez najmniejszej oznaki morderstwa. Ty i ja wiemy, że umarł ze strachu, wiemy też, co go przeraziło. W jaki sposób przekonamy o tym dwunastu zwykłych sędziów przysięgłych? Gdzie ślady psa? Jakie oznaki jego kłów? Wiemy, oczywiście, że pies nie dotyka zmarłego i że sir Karol skonał, zanim to bydlę go dościgło. Musimy jednak tego wszystkiego dowieść, a to niemożliwe.

– A wypadek dzisiejszej nocy?

– Na nic nam się to nie przyda. Znów nie było bezpośredniego związku między psem a śmiercią tego człowieka. Nie widzieliśmy psa. Słyszeliśmy go, ale nie moglibyśmy dowieść, że ścigał właśnie tego więźnia. Z jakiego powodu? Nie, mój drogi; musimy pogodzić się z tym, że nie mamy żadnej podstawy do wytoczenia sprawy. Warto teraz dołożyć wszelkich usiłowań, by znaleźć niezbite dowody, pozwalające wnieść skargę do sądu.

– W jaki sposób zabierzesz się do tego?

– Pokładam wielkie nadzieje w pani Laurze Lyons; może nam być bardzo pomocną kiedy jej powiemy całą prawdę. Mam też swoje własne plany. Kto wie, co nam przyniesie jutro. Mam nadzieję, że ostatecznie będę górą, zanim minie jutrzejszy dzień.

Nie mogłem dowiedzieć się niczego więcej. Zatopieni w myślach, doszliśmy do bramy zamku.

– Wejdiesz ze mną? – spytałem.

– Wejść; nie widzę potrzeby dalszego ukrywania się... Jeszcze jedno słowo, Watsonie. Nie wspominaj sir Henrykowi o psie. Niechaj myśli o przyczynie śmierci Seldena to, co Stapleton chce, żebyśmy myśleli. Będzie odporniejszy wobec próby, która go czeka jutro; wszak, jeśli się nie mylę, jest zaproszony na obiad do Merripit House?

– Tak, ja również.

– Ty wymówisz się czymkolwiek, a on pójdzie sam. Wymyślimy dla ciebie jakiś powód. Skoro już spóźniliśmy się na obiad, sądzę, że dostaniemy przynajmniej kolację.

Rozdział 13

Zarzucanie sieci

Sir Henryk bardziej się uradował, niż zdziwił widokiem Sherlocka Holmesa, bo od kilku dni spodziewał się jego przybycia z powodu ostatnich wypadków. Okazał jednak zdumienie spostrzegłszy, że mój przyjaciel nie ma ze sobą kuferka i że się z tego nie tłumaczy. Zaopatrzyliśmy go niebawem we wszystko, czego potrzebował, i, zasiadłszy do spóźnionej kolacji, opowiedzieliśmy baronetowi nasze przygody, ujawniając te fakty, które nie naruszały naszego planu.

Wcześniej spełniłem przykry obowiązek: zawiadomiłem Barrymore'a i jego żonę o śmierci Seldena. Kamerdyner przyjął nowinę z wielką ulgą, ale żona rozplakała się żałośnie. Dla świata zmarły był człowiekiem dopuszczającym się gwałtów, na wpół zezwierzęconym; dla niej wszakże pozostał samowolnym chłopcem, dzieckiem, które czepiało się jej spódnicy, gdy była młodą dziewczyną.

– Piekielnie się dziś nudziłem przez cały dzień w domu, od wyjazdu Watsona dziś rano – rzekł baronet. – Sądzę, że będziecie mi panowie już teraz ufali, gdyż dotrzymałem obietnicy. Gdybym nie przysiągł, że sam wychodzić nie będę, mógłbym miło spędzić wieczór, gdyż miałem zaproszenie do Stapletona.

– Nie wątpię, że spędziłby pan wieczór przyjemnie – odparł Holmes sucho. – Ale nie domyśla się pan nawet, żeśmy już oplakiwali pana zgon.

Sir Henryk spojrział na nas ze zdumieniem.

– Dlaczego?

– Ten nieszczęsny zbrodniarz był ubrany w pański garnitur. Obawiam się, że pana lokaj, który mu go podarował, będzie miał do czynienia z policją.

– Nie przypuszczam. O ile pamiętam, ubranie nie było znaczone moimi inicjałami.

– Tym lepiej dla niego... a faktycznie dla nas wszystkich, bo postąpiliśmy wbrew przepisom prawa. Nie jestem pewien, czy jako sumienny agent śledczy nie powinienem aresztować całego domu. Raporty Watsona są bardzo obciążającymi dokumentami.

– Jak w końcu stoi nasza sprawa? – spytał baronet. – Czy udało się panu wpaść na jakiś

trop? Co do nas, nie jesteśmy obaj z Watsonem o wiele mądrzejsi niż na początku, choć siedzimy tutaj.

– Zdaje mi się, że niedługo będę mógł wyświetlić dokładnie całą sprawę. Jest ciężka i niesłychanie zawiślana. Niektóre punkty są jeszcze zupełnie ciemne, ale światło, które musi ją rozjaśnić, już się zbliża.

– Watson powiedział panu, że stwierdziliśmy jeden pewny fakt? Słyszeliśmy psa na mozarach, mogę zatem przysiąc, że owa legenda nie jest czczym zabobonem. Miałem do czynienia z psami w Ameryce i wycie psa rozpoznam na pewno. Jeśli zdoła pan temu psu nałożyć kaganiec i uwiązać go na łańcuchu, jestem gotów ogłosić pana największym agentem śledczym na świecie.

– Sądzę, że ubiorę go w kaganiec i uwiążę na łańcuchu bez wielkich trudności, jeżeli jednak pan mi dopomoże.

– Zrobię wszystko, co pan mi każe.

– Doskonale, żądam jednak, żeby był pan mi ślepo posłuszny – i nie pytał o powód moich poleceń.

– Dobrze, jak pan zechce.

– Jeśli dotrzyma pan słowa, mamy jak najlepsze widoki na rozkaszanie naszej zagadki. Nie wątpię...

Urwał nagle i patrzył uparcie ponad moją głowę. Światło lampy padało prosto na jego twarz, która przybrała wyraz nateżonej uwagi, wręcz skamieniała, aż stała się podobna do oblicza posągu, wyobrażającego uosobienie zdumienia i wyczekiwania.

– Co się stało? – krzyknęliśmy obaj z baronetem. Gdy Holmes zwrócił wzrok ku nam, dostrzegłem, że pokonuje silne wzburzenie. Twarz miał spokojną, ale w jego oczach jaśniała uciecha.

– Proszę wybaczyć podziw znawcy – rzekł, wskazując ręką szereg portretów, zawieszonych na przeciwległej ścianie. – Watson twierdzi wprawdzie, że nie mam pojęcia o sztuce, ale to prosta zazdrość z powodu różnicy naszych poglądów. Ma pan tu istotnie zbiór bardzo pięknych portretów.

– Rad jestem, że je pan chwali – odparł sir Henryk, spoglądając z pewnym zdumieniem na mego przyjaciela. – Nie znam się na tym, co prawda, umiałbym lepiej ocenić konia lub byka niż obraz. Nie wiedziałem, że pan i na takie rzeczy czas znajduje.

– Umiem ocenić dzieło dobre, gdy je widzę, a tu znajduję niejedno. Przysięgnę, że ten otyły dżentelmen w peruce, to niechybnie Reynolds. Domyślam się, że to portrety rodzinne, prawda?

– Tak jest, wszystkie.

– Czy pan zna imiona swoich przodków?

- Barrymore kładł mi je w uszy i sędzę, że potrafię je powtórzyć.
- Więc kim jest ten dżentelmen z teleskopem?
- To wiceadmiral Baskerville, który służył pod Rodneyem w Indiach Zachodnich. Ten w błękitnym stroju, ze zwitkiem papierów w ręku, to sir William Baskerville, prezes komisji Izby Gmin za Pitta.
- A ten kawaler na wprost mnie... w czarnym aksamicie i w koronkach?
- O, do poznania tego jegomościa ma pan specjalne prawo, gdyż on jest powodem całego nieszczęścia. To ów wyklęty Hugon, który wywołał z piekieł psa Baskerville'ów. Nie zapomnimy go chyba. Spoglądałem na portret z zajęciem i pewnym zdziwieniem. – Rzecz szczególna – rzekł Holmes – ma pozór człowieka spokojnego, skromnego... lecz diabeł patrzy mu z oczu. Wyobrażałem go sobie jako mężczyznę barczystego, o bardziej brutalnej powierzchowności.
- Autentyczność portretu nie budzi wątpliwości, bo na odwrotnej stronie płótna jest imię i data – rok 1647.
- Holmes mówił już niewiele – jego uwagę najwyraźniej przyciągał portret starego rozpustnika. Do końca kolacji mój przyjaciel prawie nie odrywał wzroku od płótna.
- Dopiero później, gdy sir Henryk udał się na spoczynek, Holmes podzielił się ze mną swoimi domysłami. Zaprowadził mnie na powrót do jadalnej sali i trzymając lichtarz ze świecą w ręku, oświetlił zniszczony przez czas obraz.
- Czy ty coś dostrzegasz? – spytał.
- Wpatrzyłem się w surową twarz, którą okalały długie loki. Nie miała ona wprawdzie brutalnego wyrazu, ale była ponura i harda. Zaciśnięte wąskie usta i zimne, nieubłagane spojrzenie wskazywały na zły, przebiegły charakter.
- Czy jest podobny do któregoś z twoich znajomych?
- Zdaje mi się, że dolna część twarzy przypomina sir Henryka.
- Sugestia, nic więcej. Poczekaj chwilę. Holmes wszedł na krzesło i, trzymając świecę w lewej ręce, prawą zakrył kapelusz oraz długie loki.
- Boże wielki! – krzyknąłem zdumiony. Na płótnie ukazało się oblicze Stapletona.
- Co teraz widzisz? Moje oczy przywykły badać twarze, nie akcesoria. Pierwszym warunkiem dla badacza kryminalnego jest umiejętność odrzucania wszelkich przebrań.
- Niesłychane... istotnie. Można by to wziąć za portret Stapletona.
- Tak, stoimy wobec ciekawego przykładu atawizmu zarówno fizycznego, jak i umysłowego. Studiowanie portretów rodzinnych może wzbudzić w każdym wiarę w teorię odradzania się. Stapleton pochodzi z rodu Baskerville'ów, to rzecz oczywista, dla mnie nie ulegająca wątpliwości.
- Może więc mieć widoki dziedziczenia spadku.

– Właśnie. Ten portret dostarczył nami przypadkowo jednego z najważniejszych ogniw, którego nam dotąd brakło. Mamy go, Watsonie, mamy go! Odważam się przysięgnąć, że zanim minie dzień, łotr będzie się trzepotał w naszej sieci równie rozpaczliwie, jak jego motyle. Szpilka, korek i kartka z napisem, a możemy go dołączyć do zbioru przy ulicy Baker. Holmes, oddalając się od portretu, wybuchnął śmiechem, co zdarzało się rzadko; ilekroć zaś słyszałem ten śmiech, bywał on zawsze dla kogoś złą przepowiednią.

Nazajutrz rano wstałem wcześniej, ale Holmes był już na nogach. Ubierając się, widziałem, jak szedł główną aleją parkową.

– Tak, będziemy mieli dziś gorący dzień – rzekł, gdyśmy się spotkali. Zatarł ręce z uciechy na myśl o bliskiej chwili działania. – Sieci są zarzucone w odpowiednim miejscu, niebawem zaczną się połów. Zanim zapadnie noc, będziemy wiedzieli, czy schwytaliśmy naszego wielkiego żarłocznego szczupaka, czy też wymknął się z sieci.

– Byłeś już na moczarach?

– Wysłałem z Grimpen do Princetown raport o śmierci Seldena. Zdaje mi się, iż nikt z was nie będzie niepokojony tą sprawą. Doniosłem też memu wiernemu Cartwrightowi, co się ze mną stało; chłopiec lamentowałby przed moją jaskinią, jak pies nad grobem pana, gdybym go nie zapewnił, że jestem bezpieczny.

– Co teraz zamierzasz? /

– Zobaczyć się z sir Henrykiem. A... oto jest!

– Dzień dobry panu! – rzekł baronet. – Wygląda pan jak generał układający plan bitwy z dowódcą sztabu.

– Pańskie porównanie jest zupełnie trafne. Watson pyta mnie właśnie o rozkazy.

– Ja również po to przychodzę.

– Doskonale. Jest pan zaproszony na obiad do naszych przyjaciół Stapletonów, prawda?

– Spodziewam się, że i panowie pójdziecie ze mną. Stapletonowie są bardzo gościnni i będą wam radzi.

– Obawiam się, że będziemy musieli pojechać z Watsonem do Londynu.

– Do Londynu?

– Tak, zdaje mi się, że w obecnej sytuacji będziemy tam potrzebniejsi. Twarz baroneta spochmurniała.

– Myślałem, że pozostaniecie tu ze mną, dopóki się wszystko nie wyświekli. Pobyt w zamku wśród moczarów nie bardzo jest przyjemny, gdy człowiek pozostanie sam.

– Mój kochany panie, musisz mi ufać i spełniać ściśle wszystkie moje polecenia. Niech pan powie Stapletonom, że z całą chęcią przyszlibyśmy z panem, ale niecierpiące zwłoki sprawy wezwały nas do Londynu; spodziewamy się jednak, że wkrótce powrócimy do Devonshire. Czy nie zapomni pan im tego powiedzieć?

- Jeśli pan chce koniecznie...
- Zapewniam pana, że to nieodzowne. Zasepione czoło baroneta wskazywało jasno, że był przykro dotknięty naszą decyzją – uważał nasz wyjazd za dezercję.
- Kiedyż panowie chcą jechać? – spytał sucho.
- Zaraz po śniadaniu. Pojedziemy powozem do Coombe Tracey, ale Watson pozostawi swoje rzeczy tutaj, na dowód, że wróci. Watsonie, napiszesz do Stapletona bilecik, że żałujesz, ale być na obiedzie nie możesz.
- Mam wielką ochotę pojechać z wami do Londynu – rzekł baronet. – Dlaczego mam pozostać tu sam?
- Bo obowiązek panu tak nakazuje. Dałeś pan słowo, że będziesz posłuszny, a ja każę panu zostać.
- A więc dobrze, zostanę.
- Jeszcze jedno polecenie. Chcę, żeby pan pojechał do Merripit House, a potem odesłał konie i powiedział Stapletonom, że wróci do domu piechotą.
- Piechotą przez moczary?
- Tak.
- Przecież tyle razy upominał mnie pan, żebym tego nie robił!
- Tym razem może się pan przespacerować bezpiecznie. Gdybym nie miał takiego zaufania do pańskich silnych nerwów i pańskiej odwagi, nie pozwoliłbym panu; ale tak musi być.
- Dobrze, zatem pójdę.
- Jeśli zaś ceni pan własne życie, proszę iść przez moczary tylko prostą drogą, prowadzącą z Merripit House do gościńca. Jest to zresztą najbliższa droga do domu.
- Będę we wszystkim posłuszny.
- Wyśmienicie. Rad bym bardzo wyjechać zaraz po śniadaniu, żeby stanąć w Londynie po południu.

Byłem zdumiony tym programem, choć pamiętałem, że Holmes wspomniał Stapletonowi poprzedniego wieczora, iż nazajutrz wyjedzie. Nie przyszło mi do głowy jednak, że zechce, bym mu towarzyszył. Nie mogłem też zrozumieć, dlaczego obaj mamy być nieobecni w chwili, którą on sam nazwał krytyczną.

Musiałem jednak zamilczeć i być mu posłusznym. Pożegnaliśmy się z naszym zasmuconym przyjacielem i dwie godziny później staliśmy na dworcu w Coombe Tracey, odesławszy powóz do zamku. Na peronie do Sherlocka Holmesa zbliżył się młody chłopak. Był to Cartwright.

- Czy ma pan dla mnie jakieś polecenia? – zapytał.
- Pojedziesz najbliższym pociągiem do Londynu i wyślesz niezwłocznie do sir Henryka

Baskerville'a depeszę w moim imieniu, prosząc go, aby, jeżeli znajdzie portfel, który zgubiłem, odesłał go pocztą na ulicę Baker.

– Słucham, panie.

– A teraz idź do biura pocztowego i spytaj, czy nie ma dla mnie depeszy.

Chłopiec powrócił z telegramem, a Holmes, przeczytawszy go, podał mi.

Brzmiał następująco:

Depeszę otrzymałem. Przyjeżdżam z nie podpisanym rozkazem uwięzienia piąta czterdzieści Lestrade.

– To odpowiedź na moją ranną depeszę. Ten Lestrade jest, moim zdaniem, najlepszym z agentów policyjnych i może nam się przydać. Teraz, Watsonie, myślę, że nie możemy zrobić nic lepszego, jak złożyć wizytę naszej znajomej Laurze Lyons.

Zaczynałem pojmywać plan Holmesa. Postanowił użyć baroneta do przekonania Stapletonów o naszym wyjeździe, następnie wrócić wraz ze mną w chwili, w której nasza obecność okaże się potrzebna. Depesza z Londynu – w razie, gdyby sir Henryk wspomniał o niej Stapletonom – rozproszyłaby ich ostatnie podejrzenia. W myśli już widziałem, jak nasza sieć coraz mocniej zacieśnia się dokoła żarłocznego szczupaka.

Pani Laura Lyons była w biurze. Sherlock Holmes rozpoczął rozmowę z obcesową szczerością, która początkowo zbiła ją zupełnie z tropu.

– Usiłuję wysledzić okoliczności, które towarzyszyły śmierci sir Karola Baskerville'a – rzekł. – Obecny tu mój przyjaciel, doktor Watson, powiedział mi wszystko, czego dowiedział się od pani, również i to, co pani przed nim ukryła.

– A cóż ja ukryłam? – spytała wyzywająco.

– Wyznała pani, że prosiła, aby sir Karol stawił się przy furtce O godzinie dziesiątej wieczór. Wiemy, że w tym właśnie miejscu i o tej godzinie zaskoczyła go śmierć. Przemilczała pani, jaki zachodzi związek między tymi wypadkami.

– Nie było żadnego.

– W takim razie zbieg okoliczności jest istotnie osobliwy. Sądzę, że mimo wszystko zdolamy wykazać związek obu faktów. Chcę być z panią zupełnie szczery. Uprzedzam, że naszym zdaniem popełniono tu morderstwo, a śledztwo może pociągnąć do odpowiedzialności nie tylko przyjaciela pani, pana Stapletona, ale i jego żonę.

– Jego żonę? – krzyknęła.

– Nie stanowi już to dzisiaj tajemnicy, że osoba, która uchodzi za jego siostrę, jest w istocie jego żoną.

Pani Lyons usiadła. Objęła dłońmi poręczę fotela, a jej palce wbiły się w nie z taką siłą, że różowe paznokcie zbieleły od nacisku.

– Jego żoną! Jego żoną – powtórzyła. – Przecież on nie był żonaty...

Sherlock Holmes wzruszył ramionami.

– Proszę dać mi dowody! A jeśli pan może mi ich dostarczyć... Urwała – złowrogi błysk w jej oczach był wymowniejszy od słów.

– Przybyłem z tym zamiarem – odparł Holmes, wydobywając paczkę papierów z kieszeni.

– Oto fotografia tej pary, zrobiona w Jorku przed czterema laty. Podpis brzmi: „Państwo Vandeleur”, ale pani pozna go z łatwością, ją również, jeśli ją pani zna z widzenia. Tutaj są trzy rysopisy państwa Vandeleurów, którzy w tamtym czasie utrzymywali prywatną szkołę St. Olivera. Niech je pani przeczyta, a jestem pewien, że nie będzie już pani miała wątpliwości co do tożsamości tych osób.

Pani Laura spojrzała na dokumenty, a potem zwróciła ku nam surową, skamieniałą twarz kobiety zrozpaczonej.

– Panie Holmes – rzekła po chwili – ten człowiek oświadczył mi się i zapewniał, że się ze mną ożeni, jeśli dostanę rozwód z mężem. Podły! Okłamał mnie w podstępny sposób. Nie powiedział mi nigdy słowa prawdy. Dlaczego?... Dlaczego?... Zdawało mi się, że działał jedynie w moim interesie, a teraz widzę, iż byłem narzędziem w jego ręku. Dlaczego miałabym być wspaniałomyślna względem kogoś, kto mnie tak niecznie oszukał? Dlaczego miałabym ochraniać go od skutków jego występnych czynów?... Niech mnie pan pyta o wszystko, a odpowiem szczerze, niczego nie ukrywając. Przysięgam panu, że gdy pisałam ów list, nie miałam żadnych złych zamiarów względem sir Karola Baskerville'a, który był mi najżywczej przyjaciele.

– Wierzę pani najzupełniej – odparł Sherlock Holmes. – Opowiadanie o tych wydarzeniach musi być dla pani bardzo przykre. Ułatwię to pani; będę mówił, co zaszło, a pani może mnie poprawić, gdy się w czymś pomyłę. Wysłanie tego listu nastąpiło z namowy Stapletona?

– On mi go podyktował.

– Przypuszczam, że podsunął pani myśl, iż sir Karol dopomoże pani i da pieniądze na przeprowadzenie rozwodu?

– Tak jest.

– Potem, gdy list był wysłany, namówił panią, aby nie poszła pani na spotkanie?

– Powiedział, że ubliżyłoby to jego miłości własnej, gdyby inny mężczyzna dał pieniądze na ten cel. Mówił też, że choć jest człowiekiem ubogim, poświęci ostatni grosz dla usunięcia przeszkód, jakie nas dzielą.

– Później nie słyszała pani nic aż do informacji w dzienniku o śmierci sir Karola?

– Tak.

– Stapleton kazał pani przysięgać, że nie wspomni pani nikomu o zamierzonym spotkaniu z sir Karolem.

– Tak. Powiedział, że jego śmierć jest bardzo tajemnicza i że jeśli powiem o liście, padnie na mnie podejrzenie. Postraszył mnie, żeby mnie zmusić do milczenia.

– Oczywiście. Mimo to jednak miała pani wątpliwości?

Zawahała się i spuściła oczy.

– Znam go – odparła. – Ale gdyby nie postąpił ze mną tak haniebnie, nigdy bym go nie zdradziła.

– Moim zdaniem, jakimś cudem uszła pani cało – rzekł Sherlock Holmes. – Miała go pani w swej mocy, on wiedział o tym, a mimo to żyje pani jeszcze. Stała pani przez kilka miesięcy nad brzegiem przepaści. Teraz musimy panią pożegnać. Według wszelkiego prawdopodobieństwa usłyszysz pani wkrótce o nas.

– Nasza sprawa wyświeśla się, jedna trudność za drugą usuwa się z drogi – rzekł Holmes, gdy staliśmy na dworcu, czekając na pociąg z Londynu. – Niedługo będę mógł dokładnie opowiedzieć szczegóły jednej z najosobliwszych i najbardziej sensacyjnych zbrodni współczesnych. Ci, którzy zajmują się kryminalistyką, pamiętają niewątpliwie analogiczne wypadki w Grodnie w roku 1876; znamy też morderstwa Andersena w Karolinie Północnej. Tę sprawę cechują pewne odrębne szczegóły. Nawet teraz nie mamy w ręku żadnego dowodu przeciw temu nikczemnikowi. Zdaje mi się jednak, że jeszcze dziś wieczorem, zanim udam się na spoczynek, wina jego stanie się jawna i oczywista.

Pociąg londyński z łoskotem wpadł na stację i z wagonu pierwszej klasy wyskoczył niski, barczysty mężczyzna. Zamieniliśmy z nim uścisk dłoni i spostrzegłem od razu, po pełnym szacunku zachowaniu się Lestrade'a względem mego towarzysza, że nauczył się wielu rzeczy od czasu, kiedy zaczęli pracować wspólnie. Pamiętałem dobrze, z jaką pogardą Lestrade – praktyk przyjmował wywody teoretyka Sherlocka Holmesa.

– Poważna sprawa, co? – spytał.

– Od lat nie zdarzyło się nic podobnego – odparł Holmes. – Mamy jeszcze dwie godziny do odjazdu. Skorzystamy z tego czasu i zjemy obiad, a potem, Lestrade, wydmuchasz z twego gardła mgłę londyńską, wdychając pełną piersią czyste wieczorne powietrze w Dartmoor. Nie byłeś nigdy w tej okolicy?... Nie?... To sądzę, że nie zapomnisz swej pierwszej wizyty.

Rozdział 14

Pies Baskerville'ów

Jedną z wad Holmesa – jeśli to wadą można nazwać – była niesłychana powściągliwość w odkrywaniu komukolwiek swoich planów. Wynikało to w części z jego despotycznej natury, skutkiem której lubi mieć przewagę i sprawiać otoczeniu niespodzianki, w części zaś z zawodowej podejrzliwości, nakazującej mu nie zaniedbywać żadnej ostrożności.

Wynik tej właściwości Holmesa był wszakże bardzo niemiły dla ludzi, którzy mu pomagali w jego przedsięwzięciach. Sam doznawałem już niejednokrotnie przykrości z tego powodu, lecz nigdy tak silnej jak podczas długiej jazdy wśród ciemności. Zbliżała się chwila stanowcza; mieliśmy wykorzystać wszystkie nasze siły w ostatecznej próbie, a Holmes dotąd nie powiedział i mogłem tylko się domyślać, co zamierzał uczynić.

Dreszcz oczekiwania przebiegł po mnie, gdy nareszcie lodowaty wicher, który nam smagał twarze, i ciemne rozległe przestrzenie po obu stronach wąskiej drogi wskazywały, że znajdujemy się znów wśród moczarów. Każdy krok koni, każdy obrót kół zbliżał nas do rozstrzygającego zajścia.

Obecność woźnicy wynajętego pojazdu krępowała nas w rozmowie. Musieliśmy mówić o rzeczach obojętnych, pomimo wewnętrznego wzburzenia i podniecenia. Odetchnąłem swobodnie po tym długim przymusie, gdy nareszcie minęliśmy dom Franklanda i skierowaliśmy się w stronę zamku – ku terenowi wydarzeń. Nie zajechaliśmy przed bramę, lecz wysiedliśmy w pobliżu furtki, wiodącej do szpaleru. Holmes zapłacił woźnicy i kazał mu niezwłocznie wracać do Coombe Tracey, my zaś skierowaliśmy nasze kroki do Merripit House.

– Lestrade, masz przy sobie broń?

Agent śledczy uśmiechnął się.

– Dopóki będę miał spodnie, każę wszywać kieszeń do broni, a dopóki będę miał tę kieszeń, zawsze się w niej coś znajdzie.

– Dobrze! Mój przyjaciel i ja jesteśmy również przygotowani na wszelkie niespodzianki.

– Pan jest tym razem bardzo tajemniczy. Cóż mamy teraz robić?

– Czekać.

– Dalibóg, niewesoła tu okolica – rzekł Lestrade, wstrząsając się i spoglądając dokoła na ciemne stoki pagórków oraz olbrzymie obłoki mgły, unoszące się nad trzęsawiskiem. – Zdaje mi się, że widzę przed nami światła w jakimś domu.

– To Merripit House, kres naszej wędrówki. Proszę kroczyć na palcach i mówić tylko szeptem.

Szliśmy ostrożnie ścieżką, prowadzącą ku siedzibie Stapletonów; jakieś dwieście metrów przed domem Holmes zatrzymał nas.

– Wystarczy – rzekł. – Te skały na prawo zasłonią nas wysmienicie.

– Tutaj zatem mamy czekać?

– Tak; tutaj urządzimy małą zasadzkę. Lestrade, wejdź do tego zagłębienia. Watsonie, wszak byłeś w tym domu? Czy możesz mi wskazać położenie pokojów? Co jest **za** tymi zakratowanymi oknami?

– Zdaje mi się, że to okna od kuchni.

– A dalsze, jasno oświetlone?

– To pewnie okna jadalni.

– Rolety są podniesione. Ty znasz najlepiej terytorium, podejź więc cicho i zobacz, co robią... ale, na miłość Boską, nie zdradź się, niech się nie domyśla, że ktoś ich śledzi!

Idąc na palcach po ścieżce, dostałem się pod niski mur, okalający sad; tu, już bezpieczniejszy pod osłoną drzew, zakradłem się chyłkiem do miejsca, z którego mogłem patrzeć przez nie zasłonięte okno.

W pokoju byli tylko dwaj mężczyźni – sir Henryk i Stapleton. Siedzieli zwróceni do mnie profilem, po obu stronach okrągłego stołu. Obaj palili cygara, przed nimi stała kawa i wino. Stapleton mówił z ożywieniem, ale baronet wydawał się roztargniony. Być może, iż myśl o samotnej przechadzce wśród moczarów przejmowała go niepokojem.

Po chwili Stapleton wstał i opuścił pokój; sir Henryk napełnił kieliszek, wsunął się w fotel i puścił obłok dymu z cygara. Usłyszałem skrzypnięcie drzwi i odgłos butów na żwirze. Kroki dążyły ścieżką z drugiej strony muru, wreszcie zobaczyłem, że przyrodnik zatrzymał się u drzwi pawilonu, w kącie sadu.

Klucz zgrzytnął w zamku, a gdy Stapleton wszedł, z wnętrza pawilonu dobiegł mnie szczególny odgłos – jakby trzaskanie z bicia. Przyrodnik zabawił nie dłużej niż minutę, po czym usłyszałem ponowny zgrzyt klucza. Stapleton minął mnie i wszedł do domu. Widziałem, jak usiadł znów przy gościu, po czym z całą ostrożnością, po cichu, powróciłem do swoich towarzyszy i przekazałem im swoje obserwacje.

– A więc mówisz, Watsonie, że pani z nimi nie ma? – spytał Holmes, gdy skończyłem raport.

– Nie.

– Gdzież może być zatem, jeśli w żadnym innym pokoju, oprócz kuchni, nie ma światła?

– Nie mam pojęcia.

Wspominałem, że nad wielkim trzęsawiskiem zawisła fala gęstej, białej mgły. Posuwała się z wolna ku nam jak ruchomy, niski mur. Oświetlona blaskiem księżyca, z ledwie przedzierającymi w dali szczytami skał, robiła wrażenie bezbrzeżnego, lśniącego pola lodowego.

Holmes stał zwrócony twarzą ku mglistej fali i patrząc, jak rozwłóczyła się leniwie, lecz nieprzerwanie, mruknął coś niecierpliwie.

– Idzie ku nam, Watsonie.

– Czy widzisz w tym jakąś przeszkodę?

– Bardzo poważną... jest to jedyna rzecz na świecie, mogąca pokrzyżować moje plany. Sir Henryk na pewno wyjdzie wkrótce. Już dziesiąta. Nasze powodzenie, a nawet jego życie zależy od tego, żeby wyszedł, zanim mgła rozłoży się na ścieżce.

Ponad nami noc była cicha i pogodna. Gwiazdy migotały chłodnym blaskiem, półksiężyc oblewał cały krajobraz łagodnym, bladym światłem.

Przed nami wznosiła się ciemna plama domu, z dachem najeżonym kominami, odcinającymi się ostro na tle osrebrzonego nieba. Szerokie smugi świetlne padały z parterowych okien na sad i wydłużały się. Nagle jedno z nich zgasło. To służba opuściła kuchnię. Pozostała tylko lampa w jadalni, gdzie dwaj mężczyźni, gospodarz — morderca i gość, nieświadomy groźnego mu niebezpieczeństwa, gawędzili, paląc cygara.

Z każdą minutą białe obłoki, zakrywające połowę moczarów, przysuwały się bliżej domu. Już pierwsze cienkie płatki waty kłębiły się dokoła padającej z okna smugi świetlnej. Dalsza część muru była niewidzialna, a drzewa zaczynały znikać za białym tumanem.

Niebawem obłoki mgły podpełzły z dwóch stron pod oba rogi domu i złączyły się, tworząc gęstą falę, na której wyższe piętro i dach unosiły się, niby dziwaczny okręt na mitycznym morzu.

Holmes uderzył pięścią w skałę, która nas zasłaniała i tupnął niecierpliwie.

– Jeśli sir Henryk nie wyjdzie za kwadrans, ścieżka zniknie we mgle. Za pół godziny nie zdołamy już dojrzeć własnych rąk.

– Może byśmy cofnęli się nieco dalej na wzgórze?

– Dobrze... tak będzie istotnie lepiej. Tak więc w miarę jak morze mgły płynęło dalej, cofaliśmy się przed nim, aż wreszcie byliśmy już o pół mili od domu. Gęsta biała fala, osrebrzona światłem księżycowym, posuwała się leniwie, lecz nieubłaganie.

– Cofamy się za daleko – rzekł Holmes. – Baronet może być zaskoczony, zanim zdoła dojść do nas. Musimy bezwarunkowo pozostać tu, gdzie jesteśmy.

Ukląkł i przyłożył ucho do ziemi.

– Bogu dzięki, zdaje mi się, że nadchodzi.

Odgłos przyspieszonych kroków przerwał ciszę panującą na moczarach. Ukryci wśród głazów, patrzyliśmy z wyczerpaniem przed siebie, usiłując przebić wzrokiem wznoszący się biały mur. Odgłos stawał się coraz wyraźniejszy i poprzez mgłę, jak spoza zasłony, ukazał nam się ten, na którego czekaliśmy.

Znalazłszy się wśród jasnej atmosfery, pod wyiskrzonym gwiazdami niebem, sir Henryk obejrzał się ze zdumieniem dokoła, a potem szybkim krokiem ruszył ścieżką, przeszedł tuż obok naszej kryjówki i zaczął wchodzić na stok wzgórza, wznoszącego się za nami. Idąc, zwracał głowę to w lewo, to w prawo, rozglądając się jak człowiek zaniepokojony.

– Baczność! – zawołał Holmes i dobiegł mnie suchy dźwięk kurka od rewolweru. – Strzeżcie się! Idzie!

Gdzieś z głębi pełnącego ku nam morza mgły dobiegał lekki nieustający tętent. Już tylko pięćdziesiąt jardów oddzielało nas od białych tumanów – patrzyliśmy w nie wszyscy trzej, niepewni, jaka groza się z nich wyłoni. Klęczałem tuż przy Holmesie; rzuciłem wzrokiem na jego twarz. Była blada, ale ożywia ją wyraz niesłychanego podniecenia. Oczy gorzały w blasku księżyca, nagle rozwarły się szeroko, patrząc z osłupieniem, a usta rozchyliły się. W tej samej chwili Lestrade krzyknął przeraźliwie i padł twarzą na ziemię.

Zerwałem się na równe nogi; zdrętwiała dłoń zacisnęła się dokoła rękojeści rewolweru; czułem, że umysł odmawia mi posłuszeństwa na widok strasznego widma, które wyskoczyło z mglistej fali.

Był to pies – pies czarny jak węgiel, olbrzym, jakiego dotąd nie widziały oczy żadnego śmiertelnika. Jego otwarta paszcza zionęła ogniem, ślepia iskrzyły się, a jakieś gorejące płomyki strzelały z sierści na całym grzbiecie.

Rozgorączkowane majaki chorego umysłu nie mogły spłodzić nic równie dzikiego i przerażającego, jak ten czarny potwór, który wypadł spoza tumanów mgły.

Olbrzymie zwierzę długimi skokami pędziło ścieżką, tropiąc ślad naszego przyjaciela. Widok tego zjawiska tak nas oszołomił, że zdrętwieliśmy zupełnie i fantastyczne zwierzę minęło nas, zanim odzyskaliśmy przytomność.

Holmes i ja oddaliśmy jednocześnie ogień, zwierzę zawyło straszliwie, co było dowodem, że przynajmniej jeden z nas strzelił celnie. Wszelako pies nie zatrzymał się, lecz pędził dalej w szalonych skokach. Wtem spostrzegliśmy w blasku księżyca, jak sir Henryk odwrócił się, stanął, wznosił ręce w górę, ruchem przerażenia i wpatrzył się w straszliwe widmo, które go ścigało.

Wycie – krzyk bólu, jaki się wydarł psu, rozproszył nasze obawy. Jeśli można go było zranić, był śmiertelny; skoro zadaliśmy mu ranę, mogliśmy go zabić.

Nigdy w życiu nie widziałem człowieka biegnącego tak szalonym pędem, jak biegł Hol-

mes owej nocy. Mam sławę pierwszorzędnego szybkobiegacza, ale przyjaciel prześcignął mnie z taką łatwością, z jaką ja prześcignąłem małego Lestrade'a. Biegając, słyszeliśmy krzyki sir Henryka i głucho warczenie psa. Nadbiegłem w chwili, gdy potwór skoczył na swą ofiarę, powalił ją na ziemię i już chwycił za gardło, gdy Holmes wpakował mu w bok pięć rewolwerowych kul.

Z ostatnim śmiertelnym skowytym, wyszczerzywszy kły, jakby chwycił jakiś żer w powietrzu, pies powstał na dwie łapy, runął na wznak, drgnął kilka razy konwulsyjnie i przewrócił się na bok. Pochyliłem się nad nim, cały drżący, przyłożyłem rewolwer do ohydneho łba, lecz kurka już nie spuściłem. Olbrzymi pies nie żył.

Sir Henryk leżał zemdłony tam, gdzie upadł. Rozerwaliśmy mu kołnierzyk i Holmes odechnął głęboko, przekonawszy się, że nie ma śladu rany i że ratunek przyszedł w porę. Powieki naszego przyjaciela zaczęły drgać – usiłował je otworzyć. Lestrade wlał mu przez zaciśnięte zęby kilka kropli koniaku i niebawem dwoje wylękłych oczu spoglądało na nas.

– Boże wielki – szepnął. – Co to było? Co to było, na miłość boską?

– Cokolwiek było, już nie istnieje – odparł Holmes. – Zabiliśmy raz na zawsze widmo, prześladowające ród Baskerville'ów.

Zwierzę, które leżało przed nami, przerażało rozmiarami i siłą. Był to mieszaniec ogara i brytana, smukły, dziki, wielki jak młoda lwica. Teraz nawet, gdy leżał martwy, z olbrzymiego pyska unosił się błękitnawy płomyk, a ogniste pierścienie jaśniały dokoła małych, głęboko osadzonych, okrutnych ślepiów. Przesunąłem dłonią po gorejącym pysku; gdy ją podniosłem, moje palce zaświeciły w ciemności.

– Fosfor – rzekłem.

– Jak sprytnie spreparowany – rzekł Holmes, wachając nieżywe zwierzę. – Nie wydaje żadnej woni, która by mogła stępić węch zwierzęcia. Sir Henryku, zawiniliśmy bardzo, narażając pana na taki przestach i przepraszamy najmocniej. Byłem przygotowany ujrzeć psa, lecz nie okrutnego potwora. A nadto mgła nie pozwoliła nam przyjąć go tak, jak zamierzaliśmy.

– Ocaliliście mi życie.

– Naraziwszy je najpierw na niebezpieczeństwo. Czy może się pan utrzymać na nogach? Ma pan tyle siły?

– Dajcie mi jeszcze łyk koniaku, a będę gotów do wszystkiego. Tak! A teraz pomóżcie mi się podnieść. Cóż zamierzacie, panowie, teraz?

– Zostawić pana tutaj. Na dzisiaj już dosyć dla pana przygód. Proszę poczekać tu chwilę, a potem jeden z nas powróci z panem do zamku.

Sir Henryk usiłował stanąć; chwiały się jeszcze na nogach, był bardzo blady. Doprowadziliśmy go do skały, na której usiadł, drżąc na całym ciele i ukrył twarz w dłoniach.

– Teraz musimy rozstać się z panem – rzeki Holmes. – Trzeba dzieło doprowadzić do końca, a każda chwila jest cenna. Zbrodnię już mamy, brak nam jeszcze zbrodniarza.

Zawróciliśmy i spieszonym krokiem schodziliśmy ścieżką ze wzgórza.

– Postawiłbym tysiąc przeciw jednemu – odezwał się Holmes – że nie zastaniemy go już w domu. Nasze strzały były dla niego znakiem, że przegrał sprawę.

– Byliśmy dosyć daleko od jego domu, a mgła mogła stłumić odgłos.

– Szedł za psem, żeby go podsztuczować... możesz być pewny. Nie, nie, umknął już niechybnie! Niemniej przeszukamy dom, żeby się upewnić. Drzwi wejściowe były otwarte; wpadliśmy biegnąc z pokoju do pokoju, ku zdumieniu starego służącego, którego spotkaliśmy w korytarzu. Nigdzie nie było światła, jedynie w jadalni; Holmes schwycił lampę i zaglądał do najskrytszych zakątków domu. Nigdzie jednak nie znaleźliśmy śladu człowieka, którego ścigaliśmy. Na pierwszym piętrze wszakże drzwi od jednego pokoju były zamknięte na klucz.

– Tam ktoś jest! – krzyknął Lestrade. – Słyszę jakiś ruch. Otwórzcie te drzwi.

Z wnętrza dobiegł nas tłumiony jęk i szelest. Holmes z całą siłą pchnął nogą w drzwi tuż nad klamką – otworzyły się na oścież. Z rewolwerami w ręku wpadliśmy we trzech do pokoju.

Nigdzie nie było śladu nikczemnego łotra, którego spodziewaliśmy się zastać. Natomiast stanęliśmy wobec czegoś tak osobliwego i niespodziewanego, że wprawiło nas to w osłupienie.

Pokój był przerobiony na małe muzeum; na ścianach wisiały oszklone pudełka, a w nich rozpięte motyle i ćmy, których zbieranie stanowiło rozrywkę tego niezwykle i niebezpiecznego człowieka.

Na środku pokoju znajdowała się prostopadła belka, postawiona dla podtrzymania starego, nadgniętego belkowania dachu. Do słupa była przywiązana postać, spowita w prześcieradła. W pierwszej chwili nie mogliśmy poznać, czy mamy przed sobą mężczyznę, czy kobietę. Jeden ręcznik, okręcony dokoła szyi ofiary, przymocowano do słupa z tyłu, drugi zakrywał niższą część twarzy i usta; wielkie ciemne oczy były odsłonięte i spoglądały na nas z wyrazem rozpacz, trwogi i wstydu.

W mgnieniu oka zerwaliśmy ręczniki i prześcieradło, a pani Stapleton padła zemdlona na ziemię. Gdy jej piękna głowa pochyliła się na piersi, dostrzegłem na karku świeżą, czerwoną pręgę od uderzenia szpicruty.

– Ach, łotr!... – krzyknął Holmes. – Lestrade prędko, dawaj butelkę! Trzeba ją posadzić na krześle! Zemdląca z wyczerpania i bólu. Po chwili otworzyła oczy.

– Czy ocalony? – spytała. – Zdołał uciec?

– Nie wymknie się nam, może pani być pewna.

– Nie, nie, nie mówię o moim mężu. Sir Henryk ocalał?

– Ocalony.

– A pies?

– Zabity. Odetchnęła głęboko.

– Dzięki Ci, Boże. Dzięki Ci! Och! ten nikczemnik! Patrzcie, panowie, jak on się ze mną obchodził! Wysunęła ręce z rękawów i ujrzelśmy, że były całe sine od razów.

– Ale to nic jeszcze... nic! On katował i sponiewierał moją duszę. Mogłam znieść wszystko: znęcanie się, osamotnienie, złamane życie, dopóki łudziłam się nadzieją, że mnie kocha, ale teraz wiem, że w miłości kłamał, że byłam dla niego igraszką...

Mówiąc to, wybuchnęła namiętym łkaniem.

– Nie ma pani powodu oszczędzać go – rzekł Holmes. – Niechże pani nam powie, gdzie możemy go znaleźć. Jeśli pani dopomogłaś mu w złym, dopomóż teraz nam, a będzie to pokuta za winę.

– Mógł się schronić tylko w jedno miejsce – odparła. – Na samym środku wielkiego trzęsawiska jest wyspa, a na niej dawna kopalnia ołowiu. Tam trzymał psa i tam też urządził sobie kryjówkę. Nigdzie schronić się nie mógł tylko tam!...

Holmes wziął lampę i oświetlił okno – tumany mgły jak wielkie arkusze waty rozpościerały się przed szybami.

– Patrzcie – rzekł. – Nikt dzisiaj nie odnajdzie drogi do trzęsawiska. Pani Stapleton roześmiała się i klasnęła w ręce. W jej oczach zabłysła ponura radość.

– Dojść, dojdzie do trzęsawiska, ale już z niego nie wyjdzie – zawołała. – Bo jakże dojrzy żerdzie, które mają mu być drogowskazem? Powtykaliśmy je razem, on i ja, żeby oznaczyć ścieżkę przez trzęsawisko. Ach! gdybym mogła powyrywać je dzisiaj! Byłby już może w waszych rękach.

Uznaliśmy, że wszelka pogoń jest niemożliwa, dopóki mgła nie opadnie. Pozostawiliśmy tedy Lestrade'a na straży w Merripit House, a Holmes i ja powróciliśmy z baronetem do Baskerville Hall.

Niepodobna było dłużej ukrywać przed sir Henrykiem historii Stapletonów! Zniósł cios mężnie, ze spokojem przyjął wiadomość, kim była kobieta, którą pokochał. Spowodowany nocną przygodą wstrząs nerwów był tak silny, że o świcie leżał w gorączce i majaczył, a doktor Mortimer siedział przy jego łóżku.

Lekarz stwierdził, że jedynie podróż dookoła świata powróci sir Henrykowi siły moralne i fizyczne. Ofiarował się towarzyszyć mu i przywieźć go w formie, w jakiej był, zanim został właścicielem złowróznej posiadłości.

* * *

Dobiegam do zakończenia tej osobliwej opowieści, którą usiłowałem wzbudzić w czytelniku te same obawy i podejrzenia, jakie przez pewien czas zakłócały nam spokój i skończyły się tak tragicznie.

Nazajutrz rano po zabiciu psa mgła ustąpiła i pani Stapleton zaprowadziła nas do miejsca, skąd wytknęli razem z mężem ścieżkę przez trzęsawisko. Skwapliwość i radość z jaką ta kobieta naprowadziła nas na ślady męża, były aż nadto wymownym dowodem cierpień, jakie przechodziła przy jego boku.

Pozostawiliśmy ją na wąskim cyplu, którego stały grunt wrzynał się w rozległe trzęsawiska. Począwszy od tego punktu, żerdzie powtykane tu i ówdzie wskazywały ścieżkę, wijącą się od jednej kępy sitowia do drugiej, pomiędzy napełnionymi zieloną pleśnią dołami i grząskimi bagnami, zagrządzającymi drogę obcemu. U schnięta trzcina i oślizgłe rośliny wodne rozlewały woń zgnilizny, a ciężkie, pełne trujących miazmatów wyziewy utrudniały nam oddech. Za lada fałszywym stąpieniem wpadaliśmy powyżej kolan w błoto lepkie, drgające, które pod naciskiem naszych stóp falowało na przestrzeni kilku jardów, przylegało do naszego obuwia. Gdy wpadliśmy w kałużę, zdawało się, że jakaś złowroga ręka ciągnie nas w ohydne głębie – taka była moc uścisku tej czarnej okrażającej nas toni.

Raz tylko znaleźliśmy dowód, że ktoś przed nami przebył tę niebezpieczną drogę. Wśród kępy sitowia dostrzegliśmy wystający ze szlamu jakiś czarny przedmiot. Holmes zeskoczył ze ścieżki na kępę i ugrzązł po pas w błocie; wyciągnęliśmy go z trudnością, gdyby nas przy tym nie było, nigdy nie postawiłby już nogi na twardym gruncie. W ręku trzymał stary czarny but – na skórze wewnątrz była firma: „Meyers Toronto”.

– Kapiel błotna opłaciła się – rzekł Holmes – to but skradziony naszemu przyjacielowi, sir Henrykowi.

– Rzucony przez Stapletona podczas ucieczki.

– Naturalnie. Zużytkował go do wprowadzenia psa na trop baroneta.

Stapleton trzymał jeszcze but w ręku, gdy przekonał się, że wszystko stracone. Uciekł zatem i tutaj go cisnął. Wiemy przynajmniej, że dotąd doszedł bezpiecznie.

Więcej nie było nam dane wykryć. Jak zresztą odnaleźć ślady kroków na trzęsawisku, skoro powierzchnia ruchomego błota zlewała się niezwłocznie po przejściu człowieka?

Gdy nareszcie dotarliśmy do stałego gruntu, tworzącego rodzaj wyspy, rozpoczęliśmy na nowo usilne poszukiwania, ale – daremnie. Oczy nasze nie spotkały nigdzie najlżejszego śladu. Jeśli ziemia nie kłamała, Stapleton nie zdołał dojść do swego schronienia, ku któremu dążył, walcząc z falą mgły. Ten człowiek zimny i okrutny leży gdzieś w głębi wielkiego trzęsawiska, przytłoczony cuchnącym błotem, które go wchłonęło.

Na okolonej bagnem wyspie, gdzie ukrył swego dzikiego sprzymierzeńca, odnaleźliśmy liczne ślady jego pobytu. Wielkie stare koło i wózek, na wół napełniony gruzem, wskazy-

wały położenie opuszczonej kopalni. Obok istniały jeszcze szczątki chat górników, wypędzonych stąd niewątpliwie trującymi wyziewami z okalającego bagniska.

W jednej z chat znaleźliśmy przytwierdzony do haka łańcuch, nadto stos ogryzionych kości świadczył, że służyła zwierzęciu za kryjówkę. Wśród kości dostrześliśmy szkielet z kępą ciemnej sierści na łbie.

– Pies – zawołał Holmes. – Dalibóg, wyżeł! Biedny Mortimer nie ujrzy już nigdy swego ulubieńca. Nie przypuszczam, ażeby ta miejscowość zawierała jeszcze jakieś nieznanne nam tajemnice. Stapleton mógł ukryć swego psa, ale nie potrafił zagłuszyć jego głosu i stąd owo wycie, przerażające nawet w biały dzień. W ostatecznym razie mógł trzymać psa w pawilonie przy Merripit House, ale było to zawsze ryzykowne. Dopiero ostatniego dnia, gdy sądził, że już dobiega celu swoich wysiłków, odważył się sprowadzić tam psa. Maść w tej ołowianej puszcze jest niewątpliwie ową świecą mieszaniną, którą pies był wysmarowany. Pomysł ten poddała Stapletonowi rodzinna legenda o psie piekielnym i chęć wzbudzenia w sir Henryku takiego strachu, który by przyprawił go o śmierć. Nic dziwnego, że ten nieborak Selden uciekał i krzyczał, podobnie jak nasz przyjaciel, gdy ujrzął potwora pędzącego jego śladem; my zrobiliśmy to samo. Pomysł był rzeczywiście genialny, bo, pominiawszy możliwość doprowadzenia ofiary do śmierci, zapobiegał ściganiu psa. Któryż chłop, ujrawszy go na moczarach, a zdarzyło się to niejednemu, odważyłby się podejść do takiego potwora? Powiedziałem już w Londynie, Watsonie, i powtarzam teraz tutaj, że nigdy jeszcze nie ścigałem człowieka bardziej niebezpiecznego niż ten, który leży gdzieś tutaj. To mówiąc, wskazał ręką na rozległe, usiane zielonymi kępami trzęsawisko, które zlewało się w dali z rdzawymi stokami wzgórz na moczarach.

Rozdział 15

Rzut oka wstecz

W ostatnich dniach listopada, w zimny, mglisty wieczór, siedzieliśmy z Holmesem w bawialni przy ulicy Baker, przed kominkiem, na którym płonął wesoły ogień.

Od czasu tragicznego zakończenia naszego pobytu w Devonshire, Holmes był zajęty wyjaśnianiem dwóch spraw niezmiernej wagi. W jednej udowodnił ohydne postępowanie pułkownika Upwooda w związku z głośnym skandalem karcianym w klubie „Nonpareil”; w drugiej zaś uwolnił nieszczęsną panią Montpensier od zarzutu morderstwa, jaki na niej ciążył w związku z rzekomą śmiercią pasierbicy, panny Carere, młodej osoby, którą w pół roku później odnaleziono w Nowym Jorku żywą i zamężną.

Pomyślny wynik obu spraw, trudnych i ważnych, wprawił mego przyjaciela w wyśmienity humor; teraz mogłem zaryzykować rozmowę o szczegółach, dotyczących tajemnicy Baskeville'ów. Czekałem cierpliwie na odpowiednią sposobność, wiedziałem bowiem, że Holmes nie lubi, aby mu przeszkadzać w pracy i zaprzętać wspomnieniami przeszłości jego precyzyjny i metodyczny umysł, odrywając tym samym od nowych zajęć.

Właśnie sir Henryk i doktor Mortimer bawili w Londynie, wybierając się w długą podróż, zaleconą baronetowi dla wzmocnienia nadwreżonych nerwów. Po południu odwiedzili nas, przeto rozmowa o tragicznych zajściach na moczarach nasunęła się w sposób naturalny.

– Cały bieg wypadków – mówił Holmes – z punktu widzenia człowieka, który nazwał siebie Stapletonem, był jasny i zrozumiały, jakkolwiek nam, którzy nie znaliśmy początkowo pobudek jego czynów i poznaliśmy tylko część faktów, sprawa wydawała się niesłychanie zawiślana. Miałem sposobność rozmawiać dwukrotnie z panią Stapleton; naświetliła mi ona różne szczegóły tak jasno, że zdaje mi się, iż nie ma już dla mnie żadnych tajemnic w tej sprawie. Pod literą B znajdziesz w moich aktach różne notatki dotyczące tych wydarzeń.

– Może zechciałbyś z pamięci naświetlić mi pokrótce ważniejsze szczegóły.

– Owszem, chociaż nie mogę ręczyć, czy zapamiętałem wszystkie. Natężona praca umysłu ma ten ciekawy skutek, że zaciera w naszej pamięci przeszłość. Tak na przykład adwokat, świetnie znający prowadzoną aktualnie sprawę i rozprawiający swobodnie z każdym świad-

kiem o najdrobniejszych szczegółach, spostrzega, że w tydzień lub dwa po obronie nic już nie pamięta. Podobnie też ostatnia moja sprawa zaciera w moim umyśle przedostatnią, a panna Carere zastąpiła w mej pamięci sir Henryka Baskerville'a. Jutro przyjdzie mi znów rozstrzygać nowe zadanie, które z kolei zatrze wspomnienie pięknej panny i nikczemnego Upwooda.

Jednakże sprawa psa utkwiała głębiej w mej pamięci i postaram się opowiedzieć możliwie dokładnie bieg wypadków; gdybym zaś zapomniał jakiegoś szczegółu, przyjdiesz mi z pomocą.

Otóż moje poszukiwania wykazały niezbicie, że portret nie kłamał. Stapleton istotnie pochodził z rodu Baskerville'ów. Był on synem młodszego brata sir Karola, owego Rogera Baskerville'a, który skutkiem skandalicznych postępków uciekł do Ameryki Południowej i zmarł tam, jak mówiono, kawalerem. Tymczasem stwierdziłem na pewno, że był żonaty i miał jedno dziecko, właśnie tego nędznika, który nazywał się oczywiście jak jego ojciec!

Poślubił on później pannę Beryl Garcia, znaną piękność z Kostaryki, a ukradłszy znaczną sumę z funduszy publicznych, zmienił nazwisko na Vandeleur i uciekł do Anglii, gdzie założył szkołę w małej miejscowości zachodniego Yorkshire. Do obrania tego zawodu nakłoniła go znajomość, zawarta w podróży z powracającym do kraju nauczycielem chorym na gruźlicę. Perfekcyjnie wyzyskał na swoją korzyść jego wiedzę i doświadczenie. Nauczyciel nazwiskiem Frazer wkrótce umarł i szkoła, mająca początkowo powodzenie, upadała coraz niżej, aż w końcu zyskała złą sławę.

Vandeleur uznał za stosowne przybrać kolejno nazwisko – Stapleton i przeniósł resztki majątku, plany na przyszłość oraz upodobanie do owadoznawstwa na południe Anglii. Dowiedziałem się w Muzeum Brytyjskim, że był on uznanym autorytetem w tej dziedzinie i że nazwisko Vandeleura powiązano na zawsze z pewnym gatunkiem ćmy, którą pierwszy opisał podczas pobytu w Yorkshire.

Teraz przechodzimy do tej części jego życia, która pochłaniała wówczas całą naszą uwagę. Przeprowadził widocznie poszukiwania i dowiedział się, że tylko dwoje ludzi stało między nim a znaczną fortuną. Zdaje mi się, że gdy przybył do Devonshire, jego plany były jeszcze bardzo mgliste; jednak fakt, że zabrał z sobą żonę w charakterze siostry, dowodził jasno, iż od razu miał złe zamiary. Myśl użycia jej jako przynęty skryształizowała się wyraźnie w jego planie, chociaż nie wiedział jeszcze dokładnie, jak przeprowadzi zamierzony spisek.

Był zdecydowany zagarnąć majątek i gotów był użyć wszelkich sposobów, nawet narazić się na niebezpieczeństwa, byle ten cel osiągnąć. Przede wszystkim więc zamieszkał jak najbliżej siedziby swoich przodków, a następnie nawiązał przyjazne stosunki z sir Karolem Baskervill'em i sąsiadami.

Baronet sam opowiadał mi legendę o psie i w ten sposób przygotował niejako drogę do własnej śmierci. Stapleton – będą dalej tak go nazywał – wiedział, że sir Karol ma wadę serca

i że gwałtowny wstrząs zabije go niechybnie. Powiedział mu to doktor Mortimer. Słyszał również, że baron jest przesądny i że bierze na serio ponurą legendę. Wielce pomysłowy z natury, Stapleton obmyślił sposób spowodowania śmierci baroneta, tak jednak izby nie dało się dowieść winy rzeczywistemu mordercy.

Powziąwszy tę myśl, zabrał się do wprowadzenia jej w czyn z niesłychanym sprytem. Pospolity zbrodniarz zadowoliliby się użyciem dzikiego psa. Zastosowanie sztucznych środków dla nadania zwierzęciu pozorów jakiegoś piekielnego potwora, było z jego strony błyskiem geniuszu.

Kupił psa w Londynie u Rossa i Manglesa, handlarzy zwierząt na Fulham Road. Był to okaz największy i najdzikszy, jakiego mieli. Przywiózł go kolejką do North Devon i szedł kawał drogi przez moczary piechotą, aby dostać się do domu, nie zwracając uwagi. Podczas pogoni za owadami odkrył ścieżkę przez trzęsawiska i znalazł bezpieczną kryjówkę dla psa. Tam uwiązał go na łańcuchu i czekał na odpowiednią sposobność.

Trwało to dość długo. Niepodobna było wywabić starego dżentelmena nocą poza obręb parku. Stapleton włóczył się kilkakrotnie wraz z psem w pobliżu, ale na próżno. Podczas tych bezskutecznych wędrówek chłopci dostrzegli wielkiego psa, co wskrzesiło na nowo legendę.

Stapleton spodziewał się, że żona pomoże mu w doprowadzeniu sir Karola do zguby, ale niespodziewanie spotkał się z jej oporem. Nie chciała wikłać starego dżentelmena w sidła miłosne i wydać go w ten sposób w ręce nieprzyjaciela. Ani groźby, ani nawet, wstyd mi powiedzieć, bicie, nie zdołały złamać jej oporu. Nie chciała w tym uczestniczyć pod żadnym pozorem i przez pewien czas Stapleton nie wiedział, co począć.

Sir Karol, który poczuł do niego żywą sympatię, sam wybawił go z kłopotu, powierzając mu zapomogę przeznaczoną dla nieszczęsnej pani Laury Lyons. Przedstawivszy się jej jako kawaler, Stapleton uzyskał na nią wpływ i dał biednej kobiecie do zrozumienia, że gdyby uzyskała rozwód, ożeniłby się z nią. Gdy dowiedział się, że sir Karol, za poradą doktora Mortinera, ma zamiar wyjechać, postanowił działać bez zwłoki, w obawie, że ofiara wymknie mu się na zawsze. Nakłonił więc panią Lyons, by napisała ów list, błagający starego dżentelmena o chwilę rozmowy w przeddzień wyjazdu do Londynu. Następnie obłudnym argumentem powstrzymał ją od pójścia na spotkanie i w ten sposób wytworzył dogodną sytuację dla swego planu.

Powracając wieczorem z Coombe Tracey, zdążył zabrać psa, wysmarować go piekielną mieszaniną i zaprowadzić pod furtkę, gdzie stary dżentelmen miał czekać na umówione spotkanie.

Pies, poszczuty przez pana, przeskoczył przez furtkę i ścigał nieszczęśliwego baroneta, który krzycząc uciekał cisowym szpalerem. Straszny musiał być istotnie w tym ciemnym szpalerze widok olbrzymiego, czarnego zwierzęcia z gorejącym pyskiem, ognistymi ślepiami,

pędzącego za ofiarą. Baronet padł martwy na końcu szpaleru; przerażenie przyspieszyło śmiertelny atak serca.

Pies leciał po trawniku, gdy baronet biegł ścieżką, tak że widoczne pozostały tylko siady człowieka. Widząc go leżącego, zwierzę prawdopodobnie zbliżyło się, by go obwąchać, a następnie zawróciło. Wówczas pozostawiło owe ślady, które dostrzegł doktor Mortimer. Stapleton przywołał psa i zaprowadził spiesznie do legowiska, a śmierć baroneta pozostała nie wyjaśnioną zagadką dla policji, przeraziła całą okolicę i ostatecznie sprawa dotarła w nasze ręce. Tyle co do śmierci sir Karola Baskerville'a. Rozumiesz teraz całą przebiegłość tego szatańskiego podstępu – niepodobna było znaleźć podstaw do oskarżenia istotnego mordercy. Jedyny jego współnik pies nie mógł go nigdy zdradzić, a sposób użyty przez zabójcę był tak potworny, niespotykany, że już to samo wzmagало jego skuteczność.

W obu kobietach, wplątanych w sprawę, pani Stapleton i pani Laurze Lyons, obudziło się silne podejrzenie i sprzeciw. Pani Stapleton wiedziała o zamiarach męża względem baroneta i o istnieniu psa. Pani Lyons natomiast nic nie wiedziała, ale głębokie wrażenie wywarł na niej fakt śmierci, właśnie w porze wyznaczonego przez nią spotkania. Obie kobiety były pod jego wpływem i nie miał potrzeby obawiać się ich. Pierwszą część zadania spełnił zatem z powodzeniem, pozostała wszakże – druga, o wiele trudniejsza.

Być może iż Stapleton nie wiedział o istnieniu spadkobiercy w Kanadzie. W każdym razie dowiedział się o tym bardzo prędko od swego przyjaciela, doktora Mortimera, który wtajemniczył go też we wszystkie szczegóły przybycia Henryka Baskerville'a. Zrazu Stapleton myślał, że będzie można młodego przybysza z Kanady usunąć ze świata już w Londynie, zanim zdąży dojechać do Devonshire.

Od czasu gdy żona odmówiła mu pomocy w zastawieniu sideł na sir Karola, nie ufał jej i nie zostawiał samej na dłuższy czas w obawie, żeby nie stracił na nią wpływu. Z tego powodu zabrał ją ze sobą do Londynu. Wykryłem, że mieszkali w hotelu Mexborough przy ulicy Craven, który między innymi zwiedził mój agent, szukając dowodów. Stapleton zamknął żonę w pokoju, sam zaś, przyprawiwszy brodę, pojechał za doktorem Mortimerem na ulicę Baker, a potem na dworzec i do hotelu Northumberland.

Pani Stapleton domyślała się po trosze planów męża, ale bała się go do tego stopnia – obawy rodziła jego brutalność – iż nie miała odwagi napisać do człowieka, któremu groziło niebezpieczeństwo. Gdyby list trafił w ręce Stapletona, nie byłaby pewna własnego życia. Tak więc wpadła na znany pomysł, posłużyła się literami z dziennika i zaadresowała list zmienionym pismem. List doszedł do baroneta i był pierwszym ostrzeżeniem przed grożącym niebezpieczeństwem.

Ważną rzeczą dla Stapletona było dostanie jakiejś części ubrania sir Henryka, aby mieć w ręku środek naprowadzenia psa na jego trop. Z charakterystyczną szybkością i śmiałością

przedsięwziął odpowiednie kroki i nie ma wątpliwości, że przekupił w tym celu numerowego albo pokojówkę w hotelu. Przypadkiem wszakże pierwszy but, który mu przyniesiono, był nowy, stąd zupełnie nieużyteczny. Zwrócił go zatem i otrzymał inny – ten szczegół był dla mnie bardzo cenny, gdyż dowiódł, że mamy do czynienia z psem z krwi i kości, inaczej bowiem niepodobna było sobie wytłumaczyć starań o używany but i bezużyteczności buta nowego.

Im jakiś szczegół jest bliższy i śmieszniejszy, tym bardziej zasługuje na dokładne zbadanie. Pozornie drobny fakt, który zdawałoby się, wikła sprawę, rozważony bacznie i wyzyskany umiejętnie, może wyjątkowo posłużyć do wyświeatlenia całości.

Następnego dnia rano mieliśmy wizytę naszych przyjaciół, szpiegowanych ciągle przez Stapletona w dorożce. Wnosząc z tego, że wiedział, gdzie mieszkam i znał mnie z widzenia, przypuszczam, że zbrodnicza kariera Stapletona nie ogranicza się bynajmniej do zamachu na Baskerville'ów. W ostatnich trzech latach popełniono cztery znaczne kradzieże na zachodzie Anglii, żadnego sprawcy nie schwytano. Ostatnia kradzież w Folkestone Court, w maju, zdumiewa zimną krwią, z jaką zamaskowany złoczyńca zastrzelił służącego, który go złapał na gorącym uczynku. Jestem prawie pewien, że Stapleton zasilał w ten sposób swoje, zmniejszające się z każdym dniem, środki materialne i że od wielu lat należał do rzędu najśmielszych, nie cofających się przed niczym, łotrów.

Mieliśmy przykład jego sprytu i pomysłowości owego ranka, kiedy wymknął nam się tak bez śladu i dał nam dowód nie tylko odwagi, ale wprost bezczelności, przesyłając mi przez dorożkarza moje własne nazwisko. Zrozumiał wówczas, że wziąłem tę sprawę w swoje ręce i że w Londynie nic już zrobić nie zdoła. Powrócił tedy do Dartmoor i czekał na przyjazd baroneta.

– Przepraszam – przerwałem. – Opowiedziałeś bieg wypadków bardzo dokładnie, ale jednego punktu nie wyświeatliłeś wcale. Co się działo z psem podczas pobytu jego pana w Londynie.

– Usiłowałem zbadać tę niezaprzeczenie ważną sprawę. Nie ulega wątpliwości, że Stapleton miał powiernika, jakkolwiek pewien jestem, że nie zwierzył mu się nigdy ze wszystkich swoich planów, nie chcąc być od niego zależny. Był w Merripit House stary służący imieniem Antoni. Stosunki jego ze Stapletonami datują się od lat, od czasów, kiedy Stapleton był przełożonym szkoły; ów służący musiał wiedzieć, iż jego pan i pani są małżeństwem. Człowiek ten zniknął i uciekł z kraju.

Otóż Antoni nie jest imieniem pospolitym w Anglii, jak choćby Antonio w Hiszpanii lub w krajach hiszpańskich Ameryki Południowej.

Ów służący, podobnie jak pani Stapleton, mówił dobrze po angielsku, ale z dziwnym cudzoziemskim akcentem. Widziałem, jak szedł przez trzęsawisko ścieżką, którą wytknął

Stapleton, prawdopodobnie podczas nieobecności pana żywił psa, nie wiedząc jednak, do jakich celów zwierzę służyło.

Stapletonowie powrócili zatem do Devonshire, gdzie niebawem przybył sir Henryk w twoim towarzystwie. Teraz kilka słów o tym, co ja wówczas robiłem. Przypominasz sobie prawdopodobnie, że oglądając papier, na którym nalepiono drukowane wyrazy wycięte z „Timesa”, badałem znak wodny. Trzymałem przy tym kartkę bardzo blisko oczu i zaleciała mnie słaba woń białego jaśminu.

Agent śledczy, zajmujący się sprawami kryminalnymi, powinien umieć rozróżnić siedemdziesiąt pięć gatunków perfum; niejednokrotnie, wiem to z własnego doświadczenia, wyświecenie sprawy zależy od szybkiego rozpoznania woni. Ów zapach dowiódł mi, że wchodzi tu w grę kobieta, a podejrzenia moje już wtedy skierowały się na Stapletonów. Tak więc przed wyjazdem do Devonshire byłem pewien istnienia psa i wpadłem na trop przestępcy.

Moje zadanie polegało na ściganiu Stapletona. Było oczywiste, że miałbym związane ręce, gdybym był z wami, bo on strzegłby się pilnie. Dlatego też wyprowadziłem w pole wszystkich, nie wyłączając ciebie i gdy myśleliście, że jestem w Londynie, przyjechałem potajemnie do Dartmoor. Niewygody, jakie znosiłem, nie były tak straszne, jak sobie wyobrażałeś, a podobne błahostki nie powinny nigdy być przeszkodą w prowadzeniu śledztwa.

Mieszkałem przeważnie w Coombe Tracey, z pomieszczeń pieczar na moczarach korzystałem tylko wtedy, gdy moja obecność w pobliżu terenu akcji była potrzebna. Wziąłem z sobą Cartwrighta, który poruszał się w wieśniaczym przebraniu i był mi wielce pomocny. Zaopatrywał mnie w żywność i czystą bieliznę; gdy ja śledziłem Stapletona, Cartwright miał ciebie na oku, mogłem więc trzymać w ręku wszystkie nici.

Wspomniałem ci, że twoje raporty dochodziły do mnie szybko, bo wysyłano je niezwłocznie z ulicy Baker do Coombe Tracey. Były bardzo pożyteczne, zwłaszcza te zawierające przypadkowo prawdziwe szczegóły biografii Stapletona. Pozwoliło mi to stwierdzić tożsamość ich obojga, dzięki temu wiedziałem, czego się trzymać. Sprawę powikłały zajścia ze zbiegłym więźniem i jego powiązania z Barrymore'ami.

Ale wyświeciliłeś to w sposób bardzo skuteczny, jakkolwiek doszedłem do tego samego wniosku na zasadzie dedukcji.

Gdy odnalazłeś mnie na moczarach, wiedziałem już o wszystkim, nie mając jednakże dowodów, wystarczających do oddania Stapletona pod sąd. Nawet jego zamach na sir Henryka tej samej nocy, zakończony śmiercią nieszczęśliwego więźnia, nie dostarczył nam wyraźnego dowodu winy mordercy. Nie pozostało zatem nic innego, tylko schwytać go na gorącym uczynku; chcąc dopiąć swego, trzeba było jako przynęty użyć na pozór bezbronny sir Henryka.

Tak też uczyniliśmy i kosztem gwałtownego wstrząsu nerwów naszego klienta wykryliśmy ostatecznie wszystko i doprowadziliśmy Stapletona do zguby.

Wyznaję, że odczuwam wyrzuty, iż naraziłem baroneta na niebezpieczeństwo, ale nie mogliśmy przecież przewidzieć przerażającej postaci, pod jaką ukazało się zwierzę, ani też przeczuć nadciągającej mgły, która uniemożliwiła nam obserwację z daleka. Osiągnęliśmy cel kosztem zdrowia sir Henryka, lecz zarówno wezwany specjalista, jak i doktor Mortimer zapewnili mnie, że choroba minie szybko. Długa podróż wyleczy nie tylko nerwy, ale i serce naszego przyjaciela. Jego miłość do pani Stapleton była głęboka i szczerą; a najsmutniejszą stroną tej ponurej sprawy jest dla mnie fakt, że zawiódł się na ukochanej kobiecie.

Pozostaje mi tylko określić rolę, jaką ona w tym wszystkim odegrała. Nie ulega wątpliwości, że Stapleton wywierał na nią wpływ, bądź miłością, bądź strachem, może obu uczuciami naraz, skoro jedno nie wyłącza wcale drugiego. Na jego żądanie zgodziła się uchodzić za jego siostrę, chociaż jego władza nad nią skończyła się wówczas, gdy usiłował uczynić z niej bezpośrednie narzędzie zbrodni.

Ostrzegła sir Henryka niejednokrotnie, jednakże dbając, aby nie narażać męża.

Stapleton, mimo podłego charakteru, zdolny był do zazdrości; skoro spostrzegł, że baronet stara się o względy jego żony, nie mógł, choć to przecież wchodziło w zakres jego planów, powstrzymać się od namiętnego wybuchu, który odsłonił całą gwałtowność jego charakteru, umiejętnie pokrywaną pozornym chłodem i powściągliwością. Zachęcając w końcu oboje do poufałości, zapewnił sobie częste odwiedziny sir Henryka w Merripit House, a tym samym potrzebną dla jego planu sposobność.

W decydującym dniu żona nagle zajęła wobec niego wrogie stanowisko. Słyszała o śmierci więźnia i wiedziała, że pies przebywał w ogrodowym pawilonie tego dnia, kiedy sir Henryk był zaproszony na obiad. Wręcz oskarżyła męża, że zamierza popełnić zbrodnię; nastąpiła scena straszna, podczas której mąż dał jej po raz pierwszy do zrozumienia, że ma rywalkę. W jednej chwili jej wierność zamieniła się w namiętną nienawiść i Stapleton pojął, że żona go wyda. Aby nie mogła ostrzec sir Henryka, związał ją i zamknął. Spodziewał się, że gdy cała okolica przypisze śmierć baroneta kłątwej ciężającej na rodzinie – co nastąpiłoby niewątpliwie – zdoła nakłonić żonę do pogodzenia się z faktem dokonanym i przemilczenia wszystkiego.

Zdaje mi się, że co do tego przeliczył się i że nawet bez naszego działania jego los był postanowiony. Kobieta z hiszpańską krwią w żyłach nie przebacza tak łatwo podobnej zniewagi.

– Chyba jednak Stapleton nie spodziewał się, że sir Henryk padnie trupem, podobnie jak stryj, ze strachu na sam widok piekielnego psa?

– Ale strach uniemożliwiłby wszelki opór przeciwko tej bestii. A pies potrafił być i dziki, i łagodny – wedle woli swego pana.

– Masz rację. Pozostaje jednak jeszcze pewna trudność. Gdyby Stapleton został spadko-

biercą majątku, w jaki sposób wytłumaczyłby fakt, że mieszkał tak długo pod zmienionym nazwiskiem w najbliższym sąsiedztwie posiadłości Baskerville'ów? Jak mógłby zgłosić swoje prawa do tego majątku, nie budząc podejrzeń?

– Byłaby to istotnie bardzo trudna sprawa; żądasz doprawdy za wiele ode mnie, chcąc, żebym ci rozwiązał to zagadnienie. W zakres moich badań wchodzi przeszłość i teraźniejszość; przyszłość to zbyt trudne zadanie. Pani Stapleton słyszała niejednokrotnie, jak mąż rozważał tę kwestię. Trzy drogi mogły go doprowadzić do celu. Albo upomniałby się o spadek z Ameryki Południowej, potwierdziłby swoją tożsamość przed tamtejszymi władzami i otrzymałby majątek, nie przyjeżdżając wcale do Anglii; albo w umiejętnym przebraniu zamieszkałby na potrzebny czas w Londynie; wreszcie prawdopodobnie znalazłby wspólnika, zaopatrzyłby go w dowody, w potrzebne papiery, przedstawiające go jako spadkobiercę i następnie wynagrodziłby go częścią swoich dochodów. Sądzę z tego, co wiemy o Stapletonie, że dałby sobie radę. A teraz, mój drogi, mieliśmy kilka tygodni ciężkiej pracy i sądzę, że mamy prawo skierować swe myśli na weselsze tory. Mam łożę na „Hugonotów”. Słyszałeś Reszków?... Czy mogę cię zatem prosić, żebyś był gotów za pół godziny? Wstąpimy po drodze na obiad do Marcinięgo.

KONIEC

PRZYGODY SHERLOCKA HOLMESA

Rozdział I

Srebrzysta Gwiazda

– Obawiam się, Watsonie, że znowu będę musiał wyjechać – rzeki Holmes, gdyśmy siedzieli przy śniadaniu.

– Tak? Dokąd?

– Do Dartmooru – do Kings Pailend.

Nie zdziwiłem się wcale. Raczej dziwiło mnie, że Holmes nie wtrąca się do sprawy, która właśnie była na ustach wszystkich.

Przez cały dzień mój przyjaciel chodził po pokoju ze zwieszoną głową, zachmurzonym czołem, nakładając co chwila do fajki najmocniejszy czarny tytoń; nie odpowiadał na moje pytania. Ostatnie wydania gazet rzucił w kąt, ledwie je przejrzawszy. Chociaż nie mówił ani słowa, wiedziałem doskonale, o czym wciąż myśli. Jedna tylko nierozwikłana zagadka mogła podniecać jego myśl; zagadką tą było tajemnicze zniknięcie faworyta na wielkie derby w Wesssex i tragiczna śmierć jego trenera.

Dlatego też gdy mi oznajmił o zamiarze udania się na miejsce wypadku, nie zdziwiłem się ani trochę.

– Pojechałbym chętnie z tobą, gdybym wiedział, że nie będę ci przeszkadzać – rzekłem po chwili.

– Ależ, kochany Watsonie, nie możesz mi się bardziej przysłużyć, jak właśnie jadąc ze mną. Mam przy tym nadzieję, że nie zmarnujesz czasu. Ta sprawa będzie jedyna w swoim rodzaju. Chyba zdążymy jeszcze na pociąg w Paddingtown, w drodze opowiem ci wszystko szczegółowo. Bądź też łaskaw wziąć ze sobą swoją znakomitą lornetkę polową.

Tym sposobem za niespełną godzinę siedzieliśmy już w przedziale pierwszej klasy pociągu, jadącego do Exeter. Sherlock Holmes, nasunawszy na oczy czapkę podróżną, która doskonale uwydatniała jego ruchliwą twarz, zatopił się w lekturze gazet.

Wreszcie, zaproponował mi cygaro.

– Szybko jedziemy – rzekł, wyglądając przez okno. Spojrzał na zegarek. – Bez mała pięćdziesiąt trzy i pół mili na godzinę.

– Skąd to wiesz? – spytałem.

– Co sześćdziesiąt jardów rozstawiono słupy telegraficzne – rachunek nie jest więc trudny. Watsonie przypuszczam, że już czytałeś w gazetach o zabójstwie Johna Strakera i o zniknięciu Srebrzystej Gwiazdy?

– Czytałem o tym tylko w „Telegraph” i w „Chronicle”.

– Jest to jeden z tych wypadków, w których zręczna analiza nie tyle pozwoli zdobyć nowe poszlaki, ile pomoże w przestudiowaniu szczegółów. Dramat ten jest do tego stopnia niezwykły, nadto zahacza o sprawy tylu osób, że problemem staje się nadmiar przypuszczeń i hipotez. Cała trudność polega na tym, by z tej powodzi reporterskich bająn wyłowić nagie fakty. Następnie, gdy już upewnimy się co do tej podstawy, naszym zadaniem będzie podjęcie pewnych poszukiwań i ustalenie punktów, na których się zasadza cały ten ciemny wypadek. We wtorek otrzymałem dwie depesze: jedną od pułkownika Rossa, właściciela konia, drugą od inspektora Grega, któremu powierzono tę sprawę. Proszą mnie obydwaj, bym dopomógł im w ujęciu zabójcy.

– We wtorek wieczorem? – wykrzyknąłem zdumiony. – A dzisiaj czwartek. Dlaczego nie pojechaliśmy wczoraj?

– Masz rację, kochany Watsonie – przeliczyłem się. – Chodzi jednak o to, że nigdy nie przypuszczałem, by ten koń, znany w całej Anglii, mógł przepaść bez wieści, zwłaszcza w tak odludnej stronie, jaką jest północ Dartmooru. Co chwila oczekiwałem wczoraj, że konia znajdą i że ten, kto go uprowadził, będzie zarazem zabójcą Johna Strakera. Rankiem jednak, gdy się dowiedziałem, że poza zaarrestowaniem młodego Simpsona niczego nie dokonano, doszedłem do wniosku, że pora zacząć działać. Tym więc sposobem wczorajszy dzień zszedł nam na niczym.

– Ale na pewno masz już jakieś zarisy hipotezy?

– Dotychczas wyodrębniłem najważniejsze fakty. Zaraz ci je wyliczę. Nic tak nie naświetla sprawy, jak przedstawienie jej komuś. Nie mogę też chyba liczyć na twój współdziałanie, jeżeli ci najpierw nie wyłuszcę wszystkiego po kolei.

Usadowiłem się wygodnie, a Sherlock Holmes, pochylając się ku mnie, zaczął wyliczać na palcach znane mu fakty. Opatrywał je przy tym własnym komentarzem.

Srebrzysta Gwiazda, mówił mi, pochodzi z rodu Isonomi i jest prawie tak samo znamienita, jak i jej przodek. Dobiega teraz pięciu lat i na wszystkich prawie wyścigach zdobywała nagrody, przysparzając sławy oraz pieniędzy jej szczęśliwemu posiadaczowi, pułkownikowi Rossowi. Aż do ostatnich chwil uważano ją za faworytkę na derby w Wessex; szansę miała w

stosunku trzech do jednego. Dotychczas stale była faworytką publiczności, nie zawiodła nigdy nadziei, wskutek czego grano na nią ogromnymi stawkami. Wynika stąd oczywiście, że jej nieobecność w przyszły wtorek, gdy bomba pójdzie w górę, dla wielu będzie pożądana.

O wszystkim tym, rzecz prosta, dobrze wiedziano w Kings Pailend, gdzie znajdowała się stajnia pułkownika Rossa. Konia strzeżono jak można najstaranniej. John Straker jeszcze jako dżokej nosił barwy pułkownika Rossa na wszystkich wyścigach. Służył u niego pięć lat, właśnie jako dżokej i siedem lat – jako trener; był zawsze sługą wiernym i całkowicie oddanym. Miał do posług trzech chłopców – stajnia pułkownika liczyła bowiem zaledwie cztery konie. Jeden z chłopców co noc stróżował w stajni, podczas gdy dwaj inni spali na strychu. Wszyscy trzej cieszyli się dobrą opinią. John Straker był żonaty i mieszkał w niewielkiej willi o dwieście jardów od koni. Nie ma dzieci, trzyma jedną służącą i był ma zabezpieczony. Okolica zupełnie odludna, dopiero o pół mili na północ znajduje się mała osada, złożona z kilkunastu domów, pobudowana przez przedsiębiorcę z Tavistock dla chorych, pragnących się leczyć świeżym i zdrowym powietrzem dartmoorskim. Miasteczko Tavistock znajduje się o dwie mile dalej na zachód; niedaleko jest jeszcze zakład tresury koni w Kepletown, należący do lorda Bekuotera i znajdujący się pod zwierzchnictwem Silasa Brauna. Poza tym okoliczne błota nie są zamieszkałe i tylko od czasu do czasu nawiedzają je Cyganie, którzy tam obozują. Oto jak się przedstawiał teren i ogólny stan rzeczy w poniedziałkowy wieczór, kiedy miał miejsce wypadek.

W ów wieczór, po treningu koni i po napojeniu ich, jak zwykle o dziewiątej zamknięto stajnię. Dwóch chłopców udało się do kuchni trenera, żeby tam spożyć kolację, trzeci, nazwiskiem Ned Genter, pozostał na nocnym dyżurze w stajni. W kilka minut potem służąca Edyta Wakster zaniósła mu kolację; była to pieczona baranina. Nie przyniosła mu nic do picia, gdyż w stajni była woda – zaś czuwający chłopiec nie mógł pić nic innego. Dziewczyna miała ze sobą latarnię, bo było ciemno, a droga prowadziła przez błoto.

Edyta Wakster znajdowała się już w odległości trzydziestu jardów od stajni, gdy nagle w ciemności ukazał się jakiś mężczyzna, który zawołał na nią. Kiedy światło latarni padło na niego, spostrzegła, że był to jakiś przyzwoity jegomość, ubrany w szare palto, w miękkim kapeluszu na głowie, w sztybletach i z ciężką laską w dłoni. Nade wszystko zaś zwróciła jej uwagę nadzwyczajna błądź tego pana i widoczne zmieszanie. Wyglądał na trzydzieści lat lub może trochę więcej.

– Czy możesz mi powiedzieć, gdzie się znajduję? – zapytał ją. – Miałem już zamiar nocować w tym błocie, ale na szczęście zobaczyłem blask twojej latarni.

– Jest pan w pobliżu stajni w Kings Pailend – odrzekła mu.

– Tak? Ależ to wyśmienicie! – wykrzyknął nieznajomy. – Słyszałem, że w stajni zawsze

śpi dyzurujący chłopiec. Prawdopodobnie dla niego niesiesz tę kolację. Sądzę, że chciałabyś zarobić sobie na nowe ubranie.

Z tymi słowami wyjął z kieszonki w kamizelce złożony kawałek białego papieru.

– Oddaj to, moje dziecko, dziś wieczorem temu chłopcu, a ręczę, że będziesz miała najpiękniejsze ubranie, jakie można sobie sprawić za dobrą nagrodę.

Poważny ton nieznajomego tak ją przestraszył, że, nie biorąc papieru, pobiegła pędem wprost do okna, przez które podawała jadło. Okno było już otwarte i Genter siedział koło niego przy małym stoliku. Zaledwie zaczęła mu opowiadać, co się jej przytrafiło w drodze, gdy ów nieznajomy stał już koło niej.

– Dobry wieczór! – rzekł, zaglądając do okna. – Chciałbym ci, chłopcze, powiedzieć parę słów.

Służąca gotowa przysiąc, że gdy to mówił, z zaciśniętej dłoni wystawał rozek białego papieru.

– Czego pan tutaj chce? – zapytał chłopiec.

– Mam interes do ciebie, interes bardzo korzystny dla kieszeni – rzekł jegomość. W swojej stajni macie dwa konie na derby w Wessex: Srebrzystą Gwiazdę i Bajarda. Czy to prawda, że Bajard ma szansę pokonania Srebrzystej Gwiazdy i że na niego gra wasza stajnia?

– Aha! to pan tu przyszedł na zwiady! – wykrzyknął chłopiec. – Zaraz panu pokażę, jak stoją sprawy w Kings Pailend!

Z tymi słowami skoczył do odległego kąta stajni, żeby spuścić z łańcucha wielkiego psa. Dziewczyna zaczęła uciekać ku domowi, w drodze jednak obejrzała się i spostrzegła, że mężczyzna przechylił się przez okno. Po minucie, gdy Genter wybiegł z psem na podwórze, nie było już nieznajomego i chociaż chłopiec obiegił stajnię dokoła, nigdzie nie znalazł nawet śladów.

– Chwileczkę... – przerwałem mówiącemu – czy chłopiec, wybiegłszy z psem, zamknął drzwi od stajni?...

– Wybornie, Watsonie, wybornie! – zawołał mój towarzysz. – To pytanie i mnie nurtowało. Wczoraj też posłałem depeszę do Dartmooru, żeby wyjaśnić tę sprawę. Otóż chłopiec zamknął drzwi za sobą. Teraz co do okienka, to było ono za małe, by mógł przez nie przeleźć człowiek.

Genter poczekał, aż wrócili z kolacji jego towarzysze, i wtedy oznajmił, co zaszło, trenerowi. Straker bardzo się tym zaniepokoił, chociaż nie wiedział, o co chodzi. Mimo to niepokój nie opuszczał go. O pierwszej w nocy pani Straker ujrzała, że mąż się ubiera. Zapytany odrzekł, że boi się o konie i że pójdzie do stajni zobaczyć, czy wszystko tam w porządku. Prosiła go, żeby pozostał, gdyż padał deszcz; nie posłuchał jej jednak, włożył płaszcz i wyszedł.

O siódmej rano, gdy pani Straker się obudziła, spostrzegła, że mąż jeszcze nie wrócił. Szybko się ubrała, zawołała służącą i udały się do stajni. Stajenne drzwi były otwarte; Genter, skurczony na krześle, spał jak zabity, zagroda Srebrzystej Gwiazdy świeciła pustką, a trenera nie było ani śladu.

Zbudziły czym prędzej obu chłopców, śpiących na strychu. Ci nic nie słyszeli w nocy, obaj bowiem zazwyczaj twardo spali. Gentera upojono widocznie jakimś narkotykiem, bo nie można go było dobudzić.

Pozostawiono go więc w spokoju, żeby doszedł do siebie, chłopcy zaś i obie kobiety udali się na poszukiwania. Wciąż jeszcze myślano, że trener wyprowadził konia na ranną przechadzkę; gdy jednak wyszli na wzgórek, z którego całą okolicę było widać jak na dłoni, naraz ujrzeli coś, co zdjęło ich trwogą, dając do myślenia, że zdarzyło się nieszczęście. W odległości ćwierć mili od stajni, na niskim krzaku, leżał porzucony surdut Johna Strakera; opodal w niewielkim dole leżało ciało nieszczęsnego trenera. Czaszka była rozbita czymś ciężkim, a na ciele z boku widniała długa, wąska rana, zadana prawdopodobnie bardzo ostrym narzędziem. John Straker musiał się bronić, bo w prawej ręce trzymał mały otwarty nóż, cały zbroczony krwią, zaś w lewej – w mocno zaciśniętej garści – czarny jedwabny krawat w białe grochy, który, jak twierdziła dziewczyna, widziała owego wieczoru na szyi nieznanego, gdy ten kręcił się koło stajni.

Gdy Genter się obudził, oświadczył to samo, dodał przy tym, że to ów nieznanomy wyspał mu widocznie proszek usypiający do baraniny i tym sposobem pozbył się go skutecznie.

Co się tyczy konia, to wnosząc z wielu śladów kopyt, które się odbiły w błocie, z całą pewnością można było sądzić, iż podczas zbrodni znajdował się w pobliżu. Od tego jednak ranka koń zniknął bez śladu. Poruszono wszystkich Cyganów w Dartmoorze; pomimo wielkiej nagrody, jaką wyznaczono za odnalezienie, nie zdołano natrafić na ślad konia. Co się tyczy kolacji chłopca stajennego, to analiza wskazała, że w baraninie znajdowało się opium w proszku, od którego chłopiec zasnął zaraz po zjedzeniu, podczas gdy wszyscy inni, jedzący tego wieczoru baraninę, pozostali zdrowi i przytomni. Oto są fakty najważniejsze, zakomunikowane mi przez policję; szczegółów nie będę przytaczał.

Inspektor policyjny, Greg, któremu powierzono tę sprawę, to bez wątpienia człowiek zasłużony, ma tylko jedną wadę – słabą wyobraźnię. Przyjechawszy na miejsce wypadku, kazał niezwłocznie aresztować człowieka, na którego przede wszystkim powinno było paść podejrzenie. Nietrudno go było odszukać, wszyscy go bowiem znali w okolicy. Nazywa się, jeśli się nie mylę, Ficroy Simpson. Jest to człowiek znanego dosyć rodu, bardzo starannie wychowany. Niegdyś zamożny, stracił wszystko, grając na wyścigach, i żył z tego, że spełniał różne polecenia londyńskich klubów sportowych. W notatniku, który miał przy sobie, odczytano, iż założył się o pięć tysięcy funtów przeciw faworytce Rossa.

Gdy go aresztowano, przyznał się od razu, że jeździł do Dartmoru, żeby dowiedzieć się czegoś o koniach w Kings Pailen, a także o Deborze, drugim faworycie, który znajdował się pod opieką Silasa Brauna w stajniach w Kepltown. Nie starał się zapierać, że go widziano koło stajni, zapewniał jednak, że nie miał żadnych złych zamiarów, pragnął tylko zasięgnąć języka bezpośrednio u źródła. Gdy pokazano mu krawat, zbladł raptownie i nie potrafił wyjaśnić, jak mógł się znaleźć w ręce zabitego. Jego przemokła odzież świadczyła wyraźnie, iż w przeddzień aresztowania był na deszczu, zaś ciężka laska, zakończona ołowiem, mogła być tym zabójczym narzędziem, którego kilka uderzeń spowodowało śmierć nieszczęsnego trenera.

Z drugiej strony, na ciele aresztowanego nie dało się dostrzec ani śladu rany czy zadraśnięcia, gdy tymczasem zakrwawiony nóż w ręku Strakera wskazywał wyraźnie, że co najmniej jeden z zabójców musiał zostać nim zraniony.

Masz teraz, kochany Watsonie, wszystko jak na dłoni; będę ci prawdziwie zobowiązany, jeżeli rzucisz na tę sprawę choć trochę światła.

Z największą uwagą wysłuchałem tego opowiadania Holmesa, wyłożonego ze zwykłą mu jasnością. Choć większość faktów była mi znana, nie zdołałem jednak dotychczas uchwycić ich wewnętrznego związku i ocenić ich wartości.

– Czyż nie jest możliwe – odezwałem się – że rana na ciele Strakera była zadana jego własnym nożem i własną ręką, gdy ciałem targały konwulsje, spowodowane przez wstrząs mózgu? I na nożu jest jego własna krew?

– Nie tylko możliwe, lecz zupełnie prawdopodobne – odrzekł Holmes. – A wtedy upada najważniejszy argument przemawiający na korzyść aresztowanego.

– Poza tym – dodałem jeszcze – nie wiem, co o tym wszystkim sądzi policja?

– Obawiam się, że wszystkie przypuszczenia, które poczyniła, dadzą pole do poważnych zaprzeczeń – rzekł mój towarzysz. – O ile mi się zdaje, policja jest zdania, że Fircoy Simpson, uśpiwszy chłopca i zdobywszy jakąś drogą drugi klucz, otworzył stajnię i wyprowadził konia. Uzdy konia nie znaleziono na zwykłym miejscu w stajni, więc widocznie włożył ją koniowi. Zostawiwszy następnie za sobą otwarte drzwi, miał już konia uprowadzić przez błoto, gdy nagle spotkał się z trenerem. Wywiązała się walka. Simpson swą ciężką laską rozwalił głowę przeciwnikowi, nie doznawszy uszkodzenia od małego noża, którego Straker użył widocznie do obrony. Potem zbrodniarz ukrył konia w ustronnym miejscu lub też koń mu się wyrwał i uciekł na błota. Tak oto przedstawia się rzecz dla policji, a chociaż to wszystko jest mało przekonujące, każde inne przypuszczenie byłoby jeszcze bardziej nieprawdopodobne. Zresztą, co rychlej rozpatrzę to wszystko na miejscu, tymczasem nic stanowczego nie mogę o tym powiedzieć.

Dopiero pod wieczór dojechaliśmy do małej miejsciny Tavistock, znajdującej się w centrum Dartmooru. Dwóch panów oczekiwało nas na stacji: jeden z nich wysokiego wzrostu, z ogromną czupryną, wielką brodą i bystrymi niebieskimi oczyma; drugi – drobny, wykwintny i wesoły – w surducie i w sztybletach, z małymi faworytami i z monoklem w oku. Był to pułkownik Ross, znany sportsman. Pierwszy to inspektor Greg, który w krótkim czasie umiał zdobyć autorytet wśród śledczych agentów policji londyńskiej.

– Rad jestem wielce, że widzę pana, panie Holmesie – rzekł pułkownik. – Pan inspektor uczynił już wszystko, co tylko się dało, ja zaś postanowiłem przetrząsnąć okolicę, byle tylko odszukać zabójcę biednego Strakera i odzyskać mego cennego konia.

– Jest co nowego? – zapytał Holmes.

– Niestety! muszę wyznać, że nasza sprawa posuwa się bardzo wolno – rzekł inspektor. – Czeka tu na nas otwarty powóz; ponieważ zechce pan prawdopodobnie jeszcze za dnia obejrzeć miejsce wypadku, opowiem panu szczegóły po drodze.

Za chwilę siedzieliśmy już wszyscy czterej w wygodnym landzie i jechaliśmy ulicami starego, oryginalnego miasteczka.

Inspektor Greg był bardzo całą sprawą przejęty i mówił bez przerwy, Holmes z rzadka tylko rzucał pytanie lub wydawał okrzyk. Pułkownik Ross siedział, wciśnięty w poduszki, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i z nasuniętą na oczy czapką, przysłuchując się z zainteresowaniem rozmowie dwóch agentów.

Greg wypowiadał swój pogląd, prawie w zupełności odpowiadający temu, jaki przedstawił mi Holmes w wagonie.

– Wszystkie poszlaki zwracają się przeciw Simpsonowi – mówił Greg – przypuszczam więc, że on jest zabójcą. Jednocześnie rozumiem doskonale, iż jakaś nowa okoliczność może wszystko wywrócić do góry nogami.

– Jakież jest pańskie zdanie co do noża Strakera?

– Doszliśmy do wniosku, że sam się zranił, padając na ziemię.

– Mój przyjaciel, doktor Watson, zrobił to samo przypuszczenie, gdyśmy jechali koleją. To wszakże świadczy przeciw Simpsonowi.

– Bez wątplenia. Nie ma on na ciele ani zadraśnięcia. Tymczasem wszystkie poszlaki są przeciw niemu. Chodziło mu o zgłodzenie niepożądaną faworytki; podejrzenie o uśpienie chłopca również pada na niego w zupełności; był na deszczu, uzbrojony w ciężką łaskę, a w ręku zabitego znaleziono jego krawat. Zdaje mi się, że mamy prawo wystąpić przeciw niemu z oskarżeniem.

Holmes pokręcił głową.

– Wyrokowanie o tym jest przedwczesne. Po co by wyprowadzał konia ze stajni? Jeżeli chciał go skaleczyć, mógł to zrobić w stajni. Czy znaleziono drugi klucz w jego kieszeni? Kto

mu sprzedał sproszkowane opium? A co najważniejsze, jakim sposobem, nie znając miejscowości, mógł ukryć w niej konia, przy tym konia tak powszechnie znanego? Jakże tłumaczy sprawę tego papierka, który chciał dać służącej, aby doręczyła chłopcu?

– Powiada, że to był papierek dziesięciofuntowy. Istotnie, w jego kieszeni znaleziono banknot o tej wartości. Na inne pańskie pytania odpowiedź jest łatwa. Okolica była mu znana. Mieszkał dwa lata w Tavistock. Opium przywiózł widocznie z Londynu. Niepotrzebny już klucz wyrzucił. Koń, być może, leży gdzieś w dole lub w starych błotnych wertepach.

– Cóż mówi o krawacie?

– Przyznaje się, że jest jego i powiada, że go musiał zgubić. Mamy coś nowego, co poniekąd wyjaśnia, jakie miał zamiary względem konia. Holmes nastawił uszu.

– Odnależliśmy ślad obozu cygańskiego, który znajdował się w odległości mili od miejsca wypadku; w poniedziałkową noc był tam jeszcze, we wtorek zniknął. Przypuszczając, że między Cyganami i Simpsonem istniało porozumienie, dochodzimy do wniosku, że prowadzono do nich konia, ale wtedy zjawił się Straker. Być może Srebrzysta Gwiazda nadal jest u Cyganów.

– To możliwe.

– Obszukaliśmy wszystkie błota dokoła, lecz po Cyganach nie ma nawet śladu. Kazałem przetrząsnąć wszystkie stajnie i zagrody w Tavistock, całą okolicę w promieniu dziesięciu mil.

– Zdaje się, że w pobliżu są jeszcze inne stajnie?

– Tak – i to jest okoliczność, którą trzeba mieć na uwadze. Ponieważ Debora, koń, należący do tych stajen, był długim faworytem, dla właścicieli korzystne było zniknięcie Srebrzystej Gwiazdy. Trener Silas Braun poczynił wiele zakładów, polegając na swym koniu; a do tego jego stosunek do biednego Strakera nie był wcale przyjazny: to pewne. Pomimo że przeszukaliśmy stajnie jak najstaranniej, nie znaleźliśmy nic podejrzanego.

– Zupełnie nic?

– Najzupełniej.

Holmes wtulił się głębiej w poduszki i umilkł; rozmowa się urwała. Po kilku minutach podjechaliśmy do pięknego domku, pobudowanego z czerwonej cegły, stojącego koło drogi. Opodal za parkanem ciągnął się długi i niski budynek. Dokoła – aż do skrajów horyzontu widniały błota i moczary, poszyte wędnącą i pożółkłą paprocią; jednostajność widoku w jednym miejscu przerywał zarys dalekich wież Tavistock i szereg domków na zachodzie – tam, w Kepitown znajdowały się stajnie. Wyszliśmy wszyscy z powozu. Holmes wciąż siedział z utkwionymi w przestrzeń oczyma, całkowicie pogrążony w myślach. Dopiero gdy dotknąłem jego ramienia, drgnął i wysiadł z powozu.

– Wybaczy pan – rzekł do inspektora Grega, który patrzył na niego zdziwiony – zamyśliłem się.

Z jego oczu i wyrazu twarzy, ja, znający go dobrze, od razu wyczytałem, że zagadka, która nas dręczyła, została przez niego rozwiązana. Rozwiązania tego nie mogłem się domyślić.

– Panie Holmes, czy od razu chce się pan udać na miejsce wypadku?

– Nie, wcześniej chciałbym zatrzymać się tu trochę i zadać parę pytań. Ciało Strakera przeniesiono tutaj?

– Tak jest. Leży na górze. Śledztwo naznaczone na jutro.

– Straker służył u pana kilkanaście lat, prawda, panie pułkowniku?

– Tak. Był zawsze sługą wzorowym.

– Przypuszczam, że zrobiliście panowie spis rzeczy, które znaleźliście w jego kieszeni.

– Oczywiście. Leżą w sali. Jeżeli pan pragnie, może pan je obejrzeć.

– Zrobię to natychmiast.

Weszliśmy do sali i zasiedliśmy przy okrągłym stole. Po chwili inspektor podał nam kilka przedmiotów, które wyjął z metalowego pudełka. Były to: zapalki, dwucalowa łojowa świeczka, woreczek ze skóry foczej, zawierający uncję tytoniu, srebrny zegarek ze złotym łańcuszkiem, kilka papierów oraz nożyk z trzonkiem z kości słoniowej, z ostrzem cienkim i giętym, wyrobu fabryki Weissa i S-ki w Londynie.

– Oryginalny nóż – rzekł Holmes, biorąc go i przypatrując mu się z uwagą. – Ponieważ są tu ślady krwi, przypuszczam, że to ten sam, który był w ręku zabitego? Nóż, Watsonie, jeśli się nie mylę, ma związek z twoją profesją.

– Tak jest. Jest to nóż, jakiego używamy przy zdejmowaniu katarakty ocznej – odrzekłem.

– Tak też przypuszczałem. Cienkie ostrze przeznaczone jest do subtelnej roboty. Ciekawe, dlaczego Straker wziął go ze sobą na nocną wyprawę, tym bardziej ciekawe, że nóż się wcale nie zamyka.

– Ostrze tkwiło w skórzanym futerale, który znaleźliśmy niedaleko ofiary – rzekł inspektor. – Żona stwierdziła, że nożyk ten od kilku już dni leżał na toalecie i Straker wziął go, wychodząc z pokoju. Broń to zaiste nieszczególna, wziął to jednak, nie mając widocznie nic innego pod ręką.

– To możliwe. No, a te papiery?

– Trzy z nich to rachunki za siano. Ten to polecenie pułkownika Rossa, a tutaj rachunek krawcowej na trzydzieści siedem funtów piętnaście szylingów, od madame Lesuryez z Bandstreet na imię Williama Derbisure'a. Pani Straker powiada, że Derbisure to przyjaciel jej męża i że listy do niego czasami przychodziły na ich imię.

– Ho, ho! Ależ ta pani Derbisure ma niepowszednie gusta – zauważył Holmes, przeglądają-

jąc rachunek. – Dwadzieścia dwie gwinee jedno ubranie – to sporo. No, zdaje się, żeśmy już wszystko obejrżeli, a teraz możemy się udać na miejsce wypadku.

Gdy wychodziliśmy z salonu, jakaś niewiasta, czekająca na nas w korytarzu, postąpiła krok naprzód i schwyciła za rękę inspektora. Jej twarz była blada, zapadła; znać, że przeszła wielkie nieszczęście.

– Cóż? Znaleźliście ich panowie? Aresztowaliście? – zapytała.

– Nie, pani Straker! Dotychczas nie. Oto przybył z Londynu pan Holmes, żeby nam pomóc. Niech pani będzie spokojna; uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy.

– Zdaje się, że widziałem panią niedawno w Plymouth na jakimś pikniku, pani Straker! Czy tak? – zapytał Holmes.

– Nie, pan się myli.

– Patrzcie państwo! Mógłbym przysiąc, że to była pani. Miała pani na sobie suknię koloru niebieskiego z przybraniem ze strusich piór.

– Nigdy nie miałam takiej sukni, proszę pana – rzekła zaskoczona.

– Ha, w takim razie omyliłem się – rzekł Holmes; przeprosiwszy, wyszedł wraz z inspektorem. Nie uszliśmy jeszcze kilkunastu kroków, gdy znaleźliśmy się w miejscu, gdzie znaleziono trupa; krzak, na którym był porzucony surdut, znajdował się w pobliżu.

– Czy to prawda, że tej nocy nie było wiatru? – zapytał Holmes.

– Nie, padał tylko dość duży deszcz.

– W takim razie surdut został tu rzucony, bo wiatr nie mógł go aż tu przenieść.

– Prawdopodobnie.

– To – ciekawe. Ziemia jest porządnie stratowana. Bez wątpienia od poniedziałku odcisnęło się tu wiele śladów.

– Ależ nie. Położyliśmy z boku maty i dopiero stojąc na nich, oglądaliśmy miejsce.

– Wybornie.

– Oto mam w torbie jeden z butów, które były na nogach Strakera, jeden but Ficroya Simpsona i podkowę Srebrzystej Gwiazdy.

– Kochany inspektorze! Przeszedłeś pan sam siebie! Holmes wziął torbę z rąk inspektora i przysunawszy matę, położył się na niej na brzuchu, a podparłszy głowę łokciami, począł najuważniej badać wszystkie ślady.

– Otóż tak! – wykrzyknął nagle. – A to co znowu?

Była to woskowa zapałka, do połowy spalona i pokryta błotem; wyglądała, jak kawałek patyczka.

– Nie rozumiem, jak mogłem to przeoczyć – rzekł inspektor niezadowolonym głosem.

– Bo trudno ją było dojrzeć w błocie. Ja ją dlatego tylko znalazłem, że jej szukałem.

– Jak to? Szukał jej pan?

– Nie inaczej. Przypuszczałem, że znajdę coś w tym rodzaju. Wyjął buty z worka i każdy z nich przykładał do śladów na ziemi.

Potem obszedł całe miejsce dookoła, nawet podpełznął pod krzaki i paprocie.

– Wątpię, czy pan coś jeszcze znajdzie – rzekł inspektor. – Przejrzałem wszystko w promieniu stu jardów.

– A! w takim razie – rzekł Holmes, powstając z ziemi – nie śmiem sprawdzać po panu. Pragnąłbym jednakże, zanim się ściemni, przejść się trochę po błotach. A tę podkowę biorę do kieszeni – na szczęście.

Pułkownik Ross, który zaczął już zdradzać oznaki zniecierpliwienia z powodu marudnego i drobiazgowego sposobu badania Holmesa, spojrział na zegarek.

– Rad byłbym, panie inspektorze, żeby pan ze mną powrócił – rzeki – chciałbym się jeszcze naradzić z panem co do paru rzeczy, a także co do tego, czy wykreślić mego konia z listy kandydatów do biegów.

– Rozumie się, że nie! – rzekł Holmes stanowczo. – Nigdy bym tego nie robił.

Pułkownik skłonił się.

– Dziękuję panu bardzo za radę, sir – rzekł – Czekamy na pana w domu biednego Strakera, gdy pan skończy przechadzkę; a wtedy pojedziemy wszyscy do Tavistock.

To rzekłszy, skręcił wraz z inspektorem, zaś ja i Holmes udaliśmy się na błota. Słońce już zapadało za stajnie w Kepłtown i ostatnim blaskiem oświetlało pejzaż. W tej chwili jednak przyroda nie istniała dla mego towarzysza. Szedł, pogrążony w głębokiej zadumie.

– Oto, o co chodzi, Watsonie! – rzekł nareszcie. – Porzućmy na chwilę pytanie, kto zabił Strakera, pomyślmy natomiast o tym, co się stało z koniem. Przypuśćmy, że w chwili zbrodni czy po jej dokonaniu, koń się wyrwał i uciekł; gdzie więc może być obecnie? Koń – zwierzę gromadne. Pozostawione swemu instynktowi, albo powróciłoby do siebie, albo pociągnęło do Kepłtown. Dlaczego wnosimy, że nie ma go na błotach? Bo do tej pory już byłby go kto zobaczył. Dlaczego Cyganie nie mogli go uprowadzić? Ponieważ ci ludzie przy najmniejszym popłochu uciekają wraz z obozem, byle nie mieć zatargów z policją. Nie mogli liczyć na to, że konia sprzedadzą. Ryzykowaliby zbyt wiele i nic by nie zyskali. Czy tak?

– Gdzie w takim razie jest?

– Powiedziałem ci już, że musiał albo powrócić do Kings Pailand, albo uciec do Kepłtown. W Kings Pailand go nie ma, jest zatem w Kepłtown. Zawierzmy tej hipotezie i zobaczmy, dokąd nas zawiedzie. Ta część błota, jak mówił inspektor, jest sucha i twarda. Ale w kierunku Kepłtown pochyla się znacznie i stąd nawet widać, że jest tam wielkie wgłębienie, które w poniedziałek wieczorem musiało być napelnione wodą. Jeżeli nasze przypuszczenie jest słuszne i koń tędy uciekał, to winniśmy znaleźć tam jego ślady.

Szliśmy dosyć szybko i właśnie zbliżyliśmy się do wgłębienia, o którym była mowa. Z polecenia Holmesa udałem się na prawo, on zaś poszedł na lewo; nie uszedłem jednak jeszcze stu kroków, jak usłyszałem, że woła na mnie, a obejrawszy się, ujrzałem, że macha na mnie ręką przywołując. Na wilgotnej ziemi był wyraźny ślad koński, a przyłożona podkowa pasowała w zupełności.

– Niech żyje wyobraźnia! – wykrzyknął Holmes. – To jedno, czego brak Gregorowi. Odtworzyliśmy sobie w wyobraźni, co mogło nastąpić i postępowaliśmy według jej wskazówek; okazało się ostatecznie, że nie chybiliśmy. A teraz chodźmy dalej!

Przeszliśmy część błotnistą i wyszliśmy na suchy teren; potem jeszcze ćwierć mili, znowu błoto i znowu te same ślady. Potem na przestrzeni pół mili zginęły, aż ukazały się znowu koło samego Kepltown.

Holmes pierwszy je zauważył i wskazał triumfująco. Tuż koło śladów końskich były drugie – ludzkie.

– Ależ tu są nie tylko końskie ślady – wykrzyknąłem.

– Ma się rozumieć. Przedtem jednakże były tylko końskie. Aha! a to co?

Ślady podwójne naraz się urwały – a opodal znowu się złączyły i zmierzały w kierunku Kings Pailend. Holmes i ja zawróciliśmy. Holmes miał oczy utkwione w te ślady, ja jednakże spojrzałem nieco na bok i ku wielkiemu zdziwieniu zauważyłem, że te same ślady zawracały, idąc w poprzednim kierunku.

– Dzięki stokrotne, Watsonie – rzekł Holmes, gdy zwróciłem mu na to uwagę – oszczędziłeś nam kawał bezcelowego spaceru; teraz i my śmiało możemy zawrócić.

Niedługo nam wypadło iść po tych śladach. Kończyły się na asfaltowej drodze przed wrotami stajni. Gdyśmy się zbliżyli ku wejściu, wyskoczył ku nam stajenny i krzyknął:

– Czego tu potrzeba? Proszę się wynosić!

– Chciałem się tylko dowiedzieć – rzekł Holmes, sięgając do kieszeni – czy zastanę pana Silasa Brauna – jutro o piątej z rana?

– Naturalnie, sir! Jeżeli ktoś tu rano wstaje, to na pewno on. Ale oto idzie, niech sir z nim pomówi. Nie, nie! Dziękuję bardzo, sir, ale przyjąć nie mogę. Gdyby zobaczył, że biorę pieniądze, wypędziłby mnie od razu. Potem, gdy nie będzie widział...

Podczas gdy Holmes chował z powrotem do kieszeni pół gwinei, z wrót stajni wyszedł człowiek w sile wieku ze szpicrutą w dłoni.

– Cóż to jest, Dawson? Mówiłem, żeby nie rozmawiać! Wracaj do swojej roboty! A panom tu czego potrzeba, do stu diabłów!

– Chciałbym zamienić z panem parę słów – rzekł Holmes jak najpotulniej.

– Nie mam czasu na rozmowy z włóczęgami. Obcym wstęp wzbroniony! Wynosić się, bo każę spuścić psy z łańcucha!

Holmes pochylił się nieco naprzód i szepnął coś do ucha trenerowi. Ów zadrżał i poczerwieniał aż do białek.

– To fałsz! – wykrzyknął. – Podłe kłamstwo!

– Pięknie! Ale swoją drogą może byśmy o tym pomówili. Tu, przy wszystkich, czy na osobności: jak pan woli?

– Proszę! Niech pan pozwoli ze mną!

Holmes uśmiechnął się nieznacznie.

– Przepraszam cię, Watsonie, że chwilę cię tu zatrzymam – rzekł do mnie.

– A teraz jestem na pańskie usługi, panie Braun!

Po upływie co najmniej dwudziestu minut Holmes powrócił razem z trenerem. Nigdy nie widziałem, by w tak krótkim czasie człowiek mógł się tak zmienić, jak Silas Braun. Twarz miał bladą jak płótno, na czole kroplił się pot i ręce tak mu się trzęsły, że szpicruta dygotała jak miotana wichrem. Z dawnego hardego obejścia nie pozostało ani cienia; jak pies, bacznie, potulnie patrzył w twarz swego pana.

– Wszystko, co pan rozkazał, wykonam najzupełniej – rzekł pokorniotko.

– Byle tylko skrupulatnie – rzekł Holmes, patrząc mu w oczy natarczywie.

– Najskrupulatniej, jak pan rozkazał! Zostanie zaprowadzony na miejsce. Czy zmienić zabarwienie? Holmes chwilę pomyślał, a potem nagle się roześmiał.

–Nie! nie potrzeba! – rzekł. – Napiszę do pana w tej sprawie. Ale jeżeli mnie pan oszuka, to...

– Niech pan będzie spokojny i zaufa mi najzupełniej!

– Masz pan jej strzec jak oka w głowie, aż do tego dnia!

– Może pan być pewny!

– Tak, jestem tego pewien. Jutro zaś dowie się pan o mnie.

Skręcił nagle i odszedł, nie tknąwszy drżącej ręki, która się ku niemu wyciągnęła. Poszliśmy z powrotem w kierunku posiadłości pułkownika Rossa.

– Nigdy jeszcze nie spotkał większego łotra od tego Silasa Brauna! – zauważył Holmes.

– Więc koń u niego?

– Z początku chciał się zapierać, ale mu tak szczegółowo odtworzyłem krok za krokiem, co robił tego ranka, że jest najpewniejszy, iż byłem przy tym. Zwróciłeś już prawdopodobnie uwagę na to, że ślady ludzkie odpowiadają w zupełności kształtowi jego butów z wąskimi nosami. Prócz tego nikt inny nie ważyłby się na to. Opisałem mu ze wszystkimi szczegółami, jak wstawszy rankiem, jak zwykle wyszedł za wrota i nagle na błotach ujrzał konia; poszedł za nim i, ku swemu wielkiemu zdumieniu, po białej strzałce na łbie poznał, że była to Srebrzysta Gwiazda – tak nazwana od tej właśnie strzałki. Ślepy trat dawał mu w ręce konia, który jako jedyny mógł współzawodniczyć z tym, na którego postawił wielką stawkę. Opo-

wiedziałem mu następnie, jak jego pierwszym odruchem była chęć odprowadzenia konia; jak pokusa podszeptała mu kradzież, jak zmoęła go nareszcie; jak wziął konia, zaprowadził do Kepłtown i schował. Gdym mu to wszystko przypomniał, przyznał się nareszcie, dbając już tylko o swoją skórę.

– Ale przecież stajnie w Kepłtown rewidowali?

– Ha, ha! To sądzisz, że taki stary wyga nie potrafi zatrzeć śladów swego szelmostwa?

– Ale co teraz robisz? Pozostawiasz konia w jego rękach? Przecie go może skaleczyć lub przyprawić o jaką ułomność?

– Mój drogi! Będzie go strzegł jak oka w głowie! Wie dobrze, że od tego zależy jego własne bezpieczeństwo.

– Zdaje się, że pułkownik Ross nie należy do tych, którzy takie sprawy traktują lekko?

– Ach! nie chodzi mi o pułkownika Rossa! Robię zawsze, jak mi się podoba i nie myślę wcale opowiadać wszystkiego, co wiem. Na tym polega moja wyższość śledcza jako osoby prywatnej. Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, ale pułkownik nie był względem mnie osobliwie grzeczny, mam zamiar przeto zabawić się nieco jego własnym kosztem. Przede wszystkim, nic mu nie mów o koniu.

– Naturalnie, jeżeli tego pragniesz.

– A zresztą koń, nawet tak znamienity, jest głupstwem wobec pytania, kto zabił Strakera.

– Przypuszczam, że teraz się tym zajmiesz gorliwie.

– Mylisz się, dzisiaj wracamy do Londynu.

Byłem wprost przerażony słowami mego druha. Bawimy tu zaledwie od paru godzin, śledztwo właśnie się wspaniale rozpoczęło i naraz – Holmes chce wracać! Tego nie mogłem pojąć. Aż do samego domu trenera nie mogłem wydobyć z niego ani słowa wyjaśnienia. Pułkownik i inspektor czekali już na nas w salonie.

– Ja i mój przyjaciel wracamy wieczornym pociągami do Londynu – rzekł Holmes. – Nałkaliśmy się do syta pięknego tutejszego powietrza!

Inspektor otworzył szeroko oczy, pułkownik uśmiechnął się szyderczo.

– Więc pan nie ma nadziei na wykrycie zabójcy? – zapytał.

Holmes wzruszył ramionami.

– Wiadomo, kłopotu będzie niemało, zanim się go znajdzie – mam jednakże nadzieję, że pański koń będzie się ścigał we wtorek – i dlatego proszę pana o przygotowanie odpowiedniego dżokeja. A propos, czy mogę prosić pana o fotografię Johna Strakera? Inspektor wyjął fotografię ze swej kieszeni i podał ją Holmesowi.

– Kochany panie Greg, uprzedza pan po prostu moje życzenia! Przepraszę jeszcze panów na chwilę, ale muszę zadać kilka pytań służącej.

– Wyznam otwarcie, że rozczarowała mnie ta londyńska znakomitość – rzeki pułkownik

Ross, gdy Holmes wyszedł z pokoju – wiemy teraz akurat tyle, co bez niego.

– No, ale przyrzekł panu, że pański koń będzie się ścigał we wtorek.

– Tak! przyrzekł, to prawda – rzekł pułkownik głosem niechętnym – ale swoją drogą, ja bym wolał konia, niżli przyrzeczenie.

Już chciałem stanąć w obronie mego przyjaciela, gdy on sam wszedł do pokoju.

– No, panowie! – rzekł do nas – Jestem gotów do wyjazdu. Gdyśmy się sadowili w powozie, naraz Holmesowi coś błysnęło w głowie. Przywołał chłopca, który nam usługiwał, i zapytał go:

– Czy macie tu owce na folwarku?

– A jakże! Są, panie!

– Kto ich dogląda?

– Ja, panie!

– Czy nic nadzwyczajnego ostatnio nie zauważyłeś?

– Nic, panie, chyba że... trzy sztuki kuleją od niedawna.

Dostrzegłem, że Holmes ogromnie ucieszył się tą wieścią: zatarł ręce i roześmiał się głośno.

– Cudownie, wyśmienicie, mój Watsonie! – rzekł, szczypiąc mnie w rękę. – Panie Greg! Niech pan zwróci uwagę na tę szczególną epidemię! No! Jazda!

Pułkownik wyrazem swej twarzy aż nadto zdradzał niewiarę w sztukę mego przyjaciela, natomiast inspektor Greg żywo się przejął wskazówką.

– Sądzi pan, że to rzecz godna uwagi?

– Najbardziej. Najbardziej.

– Może jeszcze jest jakiś szczegół istotny dla tej sprawy?

– Niech pan zwróci uwagę na zachowanie się psa podczas owej nocy.

– Ależ pies był najspokojniejszy!

– Otóż to właśnie! – rzekł Holmes.

W dwa dni później Holmes i ja siedzieliśmy znowu w wagonie i jechaliśmy do Winchester na wyścigi. Na dworcu czekał na nas pułkownik, by zawieźć nas swoim powozem na miejsce wyścigów.

Jego twarz była poważna i surowa, zachowywał się sztywno i oziębło.

– No, i nie oglądałem dotychczas swego konia! – rzekł do Holmesa.

– A czy pozna go pan przynajmniej, gdy go zobaczy? – zapytał Holmes. Pułkownik obraził się.

– Dwadzieścia lat bywam na wszystkich wyścigach i nikt mi dotychczas nie postawił takiego pytania! Lada dziecko go pozna po białej strzałce na łbie i po srokatych przednich nogach.

– Czy „obstawiony” pański koń?

– Proszę sobie wyobrazić, stawek wciąż przybywa, nie rozumiem, doprawdy, jak to sobie tłumaczyć.

– Hm! – rzekł Holmes – musiał już ktoś przewąchać, o co chodzi. To jasne.

Zbliżyliśmy się do toru i rzuciliśmy okiem na program wyścigów. Oznajmiał – co następuje:

„Nagroda – 50 suwerenów i 1000 suwerenów nagroda specjalna. Dla czterolatków i pięciolatków. Druga nagroda – 300 funtów. Trzecia 200 funtów. Bieg: mila i pięć ósmych.

1). Murzyn p. Newtona (czapka czerwona, kurtka brązowa).

2). Pugilist pułkownika Wareghausa (czapka niebieska, kurtka niebieska z czarnym).

3). Debora lorda Bekuotera (czapka i kurtka żółte).

4). Srebrzysta Gwiazda pułkownika Rossa (czapka czarna, kurtka czerwona).

5). Iris hr. Belmorala (pasy czarne i żółte).

6). Rasper lorda Singlforsa (czapka amarantowa, kurtka czarna).”

– Co to takiego? – wykrzyknął Ross. Srebrzysta Gwiazda się ściga?

– Widocznie – rzekłem. – Ogółem sześć koni.

– Tak! i wszystkie już wyszły. A więc i mój koń musi być na torze! Gdzież on tedy? Nie widzę! – gorączkował się pułkownik.

– Zaraz, zaraz. Oto już pięciu przejechało, otóż i szósty, to on zapewne. Gdy mówił te słowa, obok nas przegalopował gniady koń, a na nim siedział dżokej, ubrany w barwy pułkownika: czapka czarna, kurtka czerwona.

– Ależ to nie mój koń! – krzyknął pułkownik. – Wszak nie ma ani jednego białego włoska! Coś pan urządził, panie Holmes?

– Cierpliwości! Poczekajmy na wynik wyścigów! – rzekł Holmes najspokojniej. Przez pięć minut biegu nie odejmował od oczu lornetki, którą wziął ode mnie. – Wybornie, znakomicie! Cudowny start! – rzekł nagle. Oto już na zakręcie, dobiegają do mety!

Z naszego powozu wszystko było widać jak na dłoni. Konie biegły tak równo, że można je było wszystkie nakryć jedną płachtą. Wkrótce jednak poczęły się z wolna wysuwać barwy stajni Kepltown. Niedługo jednak przodowały. Gdy przebiegały koło nas, Debora była już druga. Prowadził koń pułkownika Rossa, który nagle się odsadził o jakieś sześć jardów i w tym stosunku zakończył start. Druga przyszła Debora, trzeci – koń hr. Belmorala.

– Mój koń zdobył nagrodę – wykrzyknął pułkownik – przyznam się, nic a nic z tego nie rozumiem. Czy nie uważa pan, panie Holmes, że pora już nareszcie rozwiązać tę zagadkę?

– Ależ naturalnie, pułkowniku! Dowie się pan wszystkiego. Tymczasem chodźmy do konia.

Gdyśmy zbliżyli się do zagrody, gdzie ważono konie i dokąd mieli dostęp tylko właściciele oraz nieliczni sportowcy, Holmes, wskazując na konia – zwycięzcę, rzekł:

– Wystarczy, by kazał pan spirytusem zmyć łeb i nogi konia. Zobaczysz pan wtedy, że to dawna pańska Srebrzysta Gwiazda.

– Co pan mówi?!

– Pozwoliłem sobie puścić ją na biegi w takim stanie, w jakim odnalazłem.

– Ależ pan jest czarodziejem, doprawdy, kochany panie Holmesie! Koń, zdaje się, zdrow i nietknięty. Nigdy, nie był bardziej rzeński.

– Czuję się zawstydzony, że zwątpiłem w pańską sztukę. Wyświadczył mi pan wiele dobrego, zwracając tego konia. Rad byłbym jeszcze bardziej, gdyby pan odnalazł zabójcę Johna Strakera.

– Już go odnalazłem – rzekł Holmes spokojnie. Pułkownik i ja spojrzeliśmy na niego zdziwieni.

– Znalazł pan? Gdzie? Kto on jest?

– Tu jest.

– Gdzie? Tu? Ależ tu – obok!

Pułkownik zaczerwienił się gniewnie.

– Wiem o tym, że jestem panu wielce zobowiązany – rzekł hamując się – muszę jednak oświadczyć, że pańskie powiedzenie uważam za niesmaczny żart.

Holmes parsknął śmiechem.

– Zapewniam pana, że nie miałem pana na myśli, pułkowniku! – rzekł wesoło. – Zabójca stoi tuż za panem.

To rzekłszy, odwrócił się i położył rękę na szyi konia.

– Koń?! – wykrzyknęliśmy obaj jednocześnie.

– Koń, we własnej postaci! Muszę jeszcze dodać, że wina nie jest tak znaczna. Działał w obronie własnej i obronie własnego honoru. Co się tyczy Johna Strakera, mogę tylko powiedzieć, nie był wart pańskiego zaufania. Ale oto dzwonek. A ponieważ mam zamiar wygrać jeszcze na tych wyścigach, odkładam zatem opowiadanie na chwilę wolniejszą.

Tegoż wieczoru, gdyśmy we trzech, Holmes, ja i pułkownik, wracali pociągiem do Londynu, nie zauważyliśmy nawet, jak czas nam przeleciał, bo Holmes opowiadał zarówno szczegóły wypadku w Dartmoorze, jak również przedstawił sposób odkrycia tajemnicy.

– Dziś to mogę powiedzieć – przyznał się nam – że przeświadczenie, jakie wyrobiłem sobie o tym wypadku, czytając sprawozdania gazet, było z gruntu fałszywe. Można by było – mniemam – wyciągnąć z nich prawdę, gdyby nie obfitość maskujących szczegółów. Jechałem na miejsce wypadku z przeświadczeniem, że Ficroy Simpson rzeczywiście jest zabójcą, chociaż zdawałem sobie najzupełniej sprawę z tego, że dowody jego winy nie są dostateczne.

Gdyśmy we czterech jechali powozem i gdyśmy zbliżali się do domu trenera, zwróciłem uwagę na szczegół z baraniną. Pamiętacie zapewne: byłem wtedy bardzo roztargniony i pozostałem w powozie, gdyście już wszyscy wyszli. Nie mogłem się dość nadziwić, że na tak ważny fakt nie zwróciłem dotychczas uwagi.

– Przyznam się panu, że i teraz jeszcze niewiele rozumiem – rzekł pułkownik.

– Otóż – było to pierwsze ogniwo, koniec nitki tego kłębka, który mnie dalej poprowadził. Bo proszę rozważyć. Proszek opium nie jest pozbawiony smaku. Smak jego nie jest nieprzyjemny, ale bardzo wyraźny i zastanawiający. Gdyby był dosypany do jakiejś potrawy, od razu dałby się wyczuć. Tylko baranina pochłania ten smak w zupełności. Rzecz prosta, Ficroy Simpson nie mógł chyba tak zarządzić, żeby tego dnia w domu trenera było właśnie to danie na kolację; tak jak mniej jeszcze prawdopodobne, by tego dnia wsypał ów proszek bez żadnego przygotowania. To niemożliwe, a więc przestaje nas interesować. Cała nasza uwaga musi się teraz skupić na Strakerze i na jego żonie, oni jedni mogli bowiem tego dnia zadysponować baraniną. Opium zostało wsypane wtedy, gdy już wydzielono porcję dla dyżurującego chłopca; dwaj inni jedli baraninę bez żadnych złych następstw. Któż mógł mieć dostęp do wydzielonego jedzenia – tak żeby służąca nie spostrzegła?

Zanim odpowiedziałem na to pytanie, zwróciłem uwagę na zastanawiający spokój psa tej nocy. Pies był w stajni; tymczasem, gdy ktoś wchodził do stajni i gdy wyprowadzał konia, pies nie szczekał zupełnie, byliby się bowiem pobudzili chłopcy na strychu. Widocznie tego nocnego gościa pies dobrze znał.

Byłem przekonany, że John Straker chodził w nocy do stajni i wyprowadził konia. Lecz w jakim celu? Cel był widocznie bardzo ważny, bo inaczej po co by miał usypiać własnego sługę? Mimo to nie mogłem z tym wszystkim dojść do ładu. Zdarza się nieraz, że trenerzy zarabiają ogromne sumy, stawiając przeciw własnym koniom. Korzystając z pomocy innych, sami tylko czuwają nad tym, żeby ich koń nie wziął nagrody. Czasami do tych sprawek przypuszcza się dżokeja. Czasami znowu używa się środków bardziej pewnych i delikatnych. Z czym mamy do czynienia w tej sytuacji? Miałem nadzieję, że zawartość kieszeni naprowadzi mnie na ślad. I tak się stało w istocie. Pamiętacie panowie zapewne, jaki to dziwny nóż znajdował się w ręce zabitego. Nóż ten najoczywiściej nie był użyty do obrony. Nóż taki, jak oświadczył nam doktor Watson, służy do bardzo subtelnych i bardzo trudnych operacji na ciele. W tę noc miał właśnie spełnić takie zadanie. Wiadomo zapewne panu, panie pułkowniku, z praktyki gospodarskiej, że na końskiej nodze w pewnym miejscu pod pęcina można zrobić drobnutkie cięcie, po którym po upływie czasu nie zostanie najmniejszy ślad. Nie trzeba długo czekać. Rany nie ma, a koń zaczyna kuleć; przypisuje się to zazwyczaj chwilowemu rozdęciu żył albo reumatyzmowi, nigdy zaś ludzkiemu łotrrostwu.

– A gałgan! Nikczemnik! – oburzył się pułkownik.

– Tym się właśnie tłumaczy, dlaczego Straker postanowił wyprowadzić konia nieco dalej na błota. Zwierzę tak czujne na pewno by pobudziło wszystkich, gdyby poczuło ukłucie noża.

– Ślepy byłem! – wykrzyknął pułkownik. – Oto po co zażądał ode mnie świecy i zapalek!

– Przejrzawszy jego rzeczy, udało mi się nie tylko wykryć sposób zbrodni, lecz i wysledzić motywy. Jako osoba prywatna, wie pan zapewne, panie pułkowniku, że nikt w swej własnej kieszeni nie nosi cudzych rachunków. Dostyc ma chyba swych własnych. Od razu w mojej głowie zrodziło się podejrzenie, że Straker ma dwie rodziny, że kogoś utrzymuje. Cyfra na rachunku była znaczna, zawartość wskazywała, iż w grę wchodzi kobieta; nadto kobieta z gustami nie byle jakimi. Choć byśmy byli najhojniejsi względem naszych podwładnych, trudno przypuścić, by mogli oni sumptem naszej hojności obstalowywać suknie po 20 gwinei. Zapytałem panią Straker o to ubranie, rzecz prosta tak, że nie mogła się niczego domyślić – i przekonawszy się, że tej sukni nigdy nie widziała, byłem już na tropie: pozostało tylko zanotować sobie adres krawcowej, pokazać jej fotografię Strakera – i mityczny Derbisure zostanie zdekonspirowany.

Potem wszystko stało się już jasne. Straker zaprowadził konia do jaru, skąd nie można było dostrzec światła świecy. Simpson, uciekając przed psami, zgubił krawat, Straker, prowadząc konia, natrafił na krawat i podniósł go; miał może zamiar przewiązać nim nogę konia i w tym celu trzymał go w ręku. Doszedłszy do jaru, zaszedł konia z tyłu i zapalił światło. Koń, przestraszony raptownym blaskiem, przeczuwając zarazem, że coś złego się święci, wierzgnął nogą i stalową podkówną utrafił w skroń Strakera. Ów, nim zabrał się do konia, nie bacząc na deszcz, zdjął surdut, by poręczniej mu było przy robocie. Gdy upadał od uderzenia kopyta, trzymał lancet w dłoni; upadł tak szczególnie, że lancet wbił mu się w biodro; był jeszcze na tyle przytomny, że cofnął lancet od rany i dlatego nie od razu nasuwała się myśl o samo okaleczeniu. Czy teraz wszystko jasne?

– Myślę! – zawołał pułkownik. Tak jasne, jakby był pan naocznym świadkiem!

– Ostatni mój domysł był wart wszystkich poprzednich. Wiedziałem o tym dobrze, że taki sprytny i przezorny człowiek, jak Straker, nie ważyłby się dokonać operacji na koniu bez uprzedniej próby. Na kim dokonał tej próby? Przypadkiem zobaczyłem owce; zapytałem wtedy chłopca, jak się mają i kiedy dowiedziałem się, że parę z nich kuleje, byłem już pewny swego.

– Wspaniale pan to wszystko rozmotał, panie Holmes!

Powróciwszy do Londynu, udałem się natychmiast do krawcowej; poznała od razu z fotografii Strakera i nazwała go Derbisure'em; oświadczyła przy tym, że ma on szykowną żonę, która lubi się bogato ubierać. Nie wątpiłem już ani przez chwilę, że to ona właśnie wciągnęła w długi Strakera, przyczyniając się do zbrodni.

– Wszystko nam pan wyjaśnił, panie Holmes, prócz jednego – rzekł pułkownik. – Gdzieś znalazł konia?

– Koń wyrwał się wtedy i został schwytany przez jednego z pańskich sąsiadów. Tu jednak wstawiam się za nim, prosząc o zaniechanie dalszych dochodzeń. Ale otóż i Klengam, za parę minut będziemy w Londynie. Może pozwoli pan, panie pułkowniku, na cygarko do mnie. Z całą przyjemnością udzielię panu reszty objaśnień, jakie mogą być w tej sprawie użyteczne.

Rozdział 2

Dziedzice z Reigate

Mój przyjaciel, Sherlock Holmes, przez długi czas nie mógł wrócić do zdrowia po wyczerpujących trudach tej wiosny, poniesionych w sprawie Towarzystwa Niderlandzko–Sumatryńskiego, o których tutaj zamilczymy, powiemy jedynie, że ubocznie doprowadziły one do bardzo niezwykłego i złożonego zadania, przy którym memu przyjacielowi udało się zastosować nowy sposób w walce z przestępstwem.

14 kwietnia otrzymałem telegram z Lyonu, zawiadamiający, że Holmes leży chory w hotelu „Dubuy”. Przed upływem doby znalazłem się przy łożu chorego i tu – ku mej wielkiej radości – zobaczyłem, że trwoga była zbyteczna, a chory ma się lepiej, niż mogłem przypuszczać. Jego zdrowie nie wytrzymało morderczego tempa pracy po piętnaście godzin na dobę, a w ostatnim okresie – jak sam mi się przyznał – pracy bez przerwy na sen, po kilka nocy i dni z rzędu. W tej sytuacji nawet odniesiony sukces nie mógł pomóc nadwątlonemu zdrowiu. Podczas gdy głośno było o nim w całej Europie, a hotelowy pokój został zasypany powinszowaniami i gratulacjami, Holmes pograżył się w najczarniejszej rozpacz i smutku. Nawet świadomość, że udało mu się osiągnąć to, czemu nie podołała zjednoczona policja trzech mocarstw, nie była w stanie rozproszyć jego mrocznych myśli.

W trzy dni potem byliśmy już w jego mieszkaniu przy Baker Street, przyjaciel mój bowiem najwidoczniej potrzebował zupełnej zmiany miejsca i warunków, by całkowicie powrócić do zdrowia. Wtedy też zacząłem rozmyślać, jakby spędzić tydzień lub dwa z dala od miasta, na łonie natury. Mój stary druh, pułkownik Gayter, którego leczyłem ongiś w Afganistanie, kupił właśnie w tym czasie majątek koło Reigate i zapraszał mnie niejednokrotnie, bym przyjechał do niego na dłużej. Podczas naszego ostatniego spotkania oświadczył, że czułby się szczęśliwy, gdyby i mój przyjaciel zechciał ze mną przyjechać. Trzeba było, rzecz prosta, użyć pewnych podstępów, żeby namówić Holmesa do przyjęcia zaproszenia; gdy jednak dowiedział się, że pułkownik jest kawalerem i że nic nie będzie krępowało jego swobody, zgodził się ostatecznie. I tak w tydzień po powrocie z Lyonu korzystaliśmy już z gościny pułkownika.

Gayter był żołnierzem starej daty, który dużo jeździł po świecie i wiele widział; jak przypuszczałem, wkrótce znaleźli z Holmesem wspólne tematy. Wieczorem w dzień przyjazdu siedzieliśmy wszyscy w pokoju, który był zbrojownią. Holmes w półleżącej pozycji spoczywał na kanapie, Gayter i ja oglądaliśmy niewielką, lecz wspaniałą kolekcję broni palnej.

– Aha! dobrze, że sobie przypomniałem – rzekł nagle pułkownik – muszę wziąć jeden z rewolwerów na górę, na wypadek napaści.

– Napaści? – zapytałem.

– Tak. Ostatnimi czasy jakoś nie bardzo spokojnie u nas. W zeszły, zdaje się, poniedziałek złodzieje dostali się do tutejszego bogacza, starego Actona. Nie bardzo się obłowili, ale nadal bawią na wolności.

– Czy dotychczas nie natrafiono na ich ślad? – zapytał Holmes, wyciągając się na kanapie.

– Niestety, nie. Sądzę jednak, że jest to zbyt błaha sprawa, by mogła interesować pana, panie Holmesie, po czynach iście heraklesowych, jakich pan niedawno dokonał.

Holmes uśmiechnął się zadowolony.

– No, ale to coś ciekawego?

– Moim zdaniem, nie. Złodzieje dostali się do biblioteki, lecz trudy ich nieszczególnie się opłaciły. Przetrzęsli wszystko do góry nogami, pootwierali szafy i szuflady; ostatecznie zabrali tylko jeden tom dzieł Szekspira, parę srebrnych lichtarzy, małe wagi z kości słoniowej do ważenia listów, mały barometr dębowy i kłębek szpagatu.

– Zestaw wielce oryginalny! – zauważyłem.

– Widocznie zabrali to, co im się najpierw nawinęło pod rękę.

– Ale co na to policja? Nic dotychczas nie zrobiła? – wykrzyknął Holmes ożywiony – przecie to jasne, że to... Pogroziłem mu palcem.

– Mój drogi! Jesteś tu dla odpoczynku. Żadnych zagadek dopóki nie powrócisz całkowicie do zdrowia.

Holmes wzruszył ramionami, z komiczną pokorą mrugnął w stronę pułkownika i rozmowa przeszła na rzeczy mniej ryzykowne.

Los jednakże zrządził, że wszystkie moje lekarskie zabiegi poszły na marne; nazajutrz ran-kiem ta sama sprawa tak blisko otarła się o nas, że niepodobieństwem było nie zwrócić na nią uwagi – i oto nasz pobyt, mający na celu odpoczynek, zaznaczył się działalnością, której żaden z nas nie przewidywał.

Siedzieliśmy właśnie przy śniadaniu, gdy nagle wbiegł do pokoju kamerdyner, zapominając o wszelkich grzecznościowych względach.

– Czy słyszał sir nowinę? – począł zdyszany. – Wie sir, co się stało u Cunninghamsów?

– Cóż tam? Nowa kradzież? – zapytał pułkownik, ze zdenerwowania przewracając szklan-kę kawy.

- Zabójstwo!
- Ładne rzeczy! Któż zabity? Sam sędzia czyjego syn?
- Ani jeden, ani drugi. Nie żyje stangret, William. Zabity wystrzałem z broni palnej prosto w pierś.
- Któż go tak urządził?
- Zbój, łaskawy panie. Zbój, który zbiegi, zniknął bez śladu. Właśnie zakradł się do spi-chrza, gdy wtem wszedł William – i zbrodniarz strzelił do niego.
- Kiedy to było?
- Dziś w nocy, sir, koło dwunastej.
- Dobrze. Pojedziemy tam później – rzekł pułkownik, zabierając się na nowo do śniadania.
- Bądź co bądź, to przykry wypadek.
- Cunningham jest bogatym ziemianinem a do tego sędzią pokoju; to bardzo porządny człowiek. Na pewno bardzo się zmartwił. Stangret służył u niego przez długie lata i cieszył się dobrą opinią. Widocznie to ci sami złodzieje, którzy zakradli się do biblioteki.
- Zabrali takie dziwne rzeczy – wtrącił Holmes głosem zamyślonym.
- Tak jest.
- Hm! Może to wszystko ostatecznie będzie bardzo proste. Jednak na pierwszy rzut oka zdumiewa. Banda złoczyńców nigdy nie operuje w jednym i tym samym miejscu w tak krótkich odstępach czasu. Gdy pan mówił wczoraj, że trzeba przedsięwziąć środki ostrożności, myślałem, że chyba teraz nie zechce się nikomu w te strony zakradać. To wskazuje, jak często mylę się w swych przypuszczeniach.
- Musi to być jakiś miejscowy artysta – rzekł pułkownik. – Zresztą, to całkiem naturalne, że się zakradł do Cunninghamów; po Actonie to najbogatsi ludzie w tej okolicy.
- Najbogatsi?
- Tak jest. Przynajmniej jeśli idzie o majątek ziemski. Od wielu bowiem lat procesują się między sobą. Stary Acton ma podobno prawo do połowy majątku Cunninghamów i jego ad-wokaci chwycili się tego gorliwie.
- Jeżeli to miejscowy złoczyńca – rzekł Holmes poziewując – nie będzie wielkiego kłopotu ze złapaniem go. Ależ dobrze, dobrze, Watsonie – dodał widząc moje znaki ostrzegaw-cze – nie będę się do tego wtrącał.
- Pan inspektor Forrester! – oznajmił kamerdyner, otwierając drzwi na oścież.
- W progu ukazał się młody mężczyzna, o inteligentnym wyrazie twarzy i swobodnym za-chowaniu.
- Dzień dobry, panie pułkowniku! – rzekł wchodząc. – Przepraszam za moją wizytę, ale dowiedziałem się, że gości u pana pan Holmes. Pułkownik wskazał ręką mego przyjaciela.

– Mam nadzieję, panie Holmes – rzeki inspektor, składając pełen uszanowania ukłon – że zechce pan dopomóc nam w tej sprawie.

– Widzisz, Watsonie, los się wziął na ciebie! – rzekł Holmes śmiejąc się. – Mówiliśmy właśnie o sprawie, panie inspektorze, gdy pan wszedł. Może pan nam udzieli trochę informacji.

Po tych słowach przybrał pozę, jaką zwykł przybierać w takich okolicznościach, a ja zrozumiałem od razu, że moja sprawa przegrana.

– Co się tyczy kradzieży u Actona, to niczego nie znaleźliśmy. W obecnym jednak wypadku mamy, zdaje się, punkt oparcia. Nie ulega też wątpliwości, że i tu, i tam działał ten sam sprawca, zaś sprawcę zbrodni widziano.

– Doprawdy?

– Tak, sir. Po strzale, od którego padł William Kirwan, zbrodniarz zbiegł z szybkością charta. Pan Cunningham widział go z okna sypialni, a pan Alec Cunningham, jego syn, z korytarza. Była za piętnaście pierwsza w nocy, gdy wszczął się ruch. Pan Cunningham tylko co położył się do łóżka, a pan Alec palił jeszcze cygaro, siedząc w szlafroku. Obydwaj słyszeli, jak stangret William wołał o pomoc, i pan Alec zbiegł zaraz na dół zobaczyć, co się dzieje. Drzwi na dole były otwarte; schodząc po schodach, zobaczył dwóch ludzi, walczących ze sobą. Jeden z nich strzelił, drugi padł i zabójca pomknął przez ogród, a potem przeskoczył przez parkan. Pan Cunningham, wyjrzawszy przez okno sypialni, widział, jak ów człowiek przebiegł przez drogę, lecz zaraz zniknął mu z oczu. Pan Alec zatrzymał się, by zobaczyć, czy nie można udzielić pomocy rannemu – lecz tym sposobem zabójca umknął bezkarnie. Wiemy tylko, że był średniego wzrostu i miał ciemne ubranie; nie tracimy jednak nadziei, że uda nam się go schwycić.

– A cóż William robił w tym miejscu? Czy mówił coś przed śmiercią?

– Ani słowa. Mieszkał wraz z matką w małym domku stróża: widocznie, jako wiemy sługa, wyszedł zobaczyć, czy wszystko koło domu w porządku. Wypadek ze złodziejami w domu Actona zmuszał wszystkich do czujności. Kiedy William go przyłapał, złoczyńca zdołał już wyłamać drzwi.

– Czy William mówił coś do matki, kiedy wychodził z domu?

– Jego matka jest stara i głucha, nie mogliśmy nic od niej wydobyć. Wypadek ten pozbawił ją do reszty rozumu. Mamy natomiast bardzo ważny dokument; proszę, niech pan to obejrzy.

Z tymi słowami inspektor wyjął z kieszeni zgnieciony świstek papieru i rozłożył go na kolanie.

Znaleźliśmy to w dłoni zabitego. Stanowi to najoczywistej rozek od całego arkusza. Ciekawa rzecz, że godzina, oznaczona na tym świstku, odpowiada porze, o której popełniono zabójstwo.

Należy przypuszczać, że zabójca wyrwał z rąk ofiary resztę papieru lub że zabity oderwał ten strzępek od całości, która była w ręku złoczyńcy. Z sensu można się domyślać jakiegoś wezwania na spotkanie.

Holmes wziął ów świstek do ręki i odczytał uważnie następujące słowa: *za piętnaście pierwsza dowiesz się czegoś ważnego.*

– Jeżeli przypuścimy, że to wezwanie na schadzkę – mówił dalej inspektor – to z tego wynika, że William Kirwan, chociaż cieszył się opinią uczciwego człowieka, był w zмовie ze złodziejem. Być może, spotkali się w umówionym miejscu, razem wyłamali drzwi, a potem o coś się poróżnili.

– Bardzo ciekawy jest ten strzępek – zauważył Holmes, badając go z największą uwagą. – Rzecz bardziej zawikłana, niżli przypuszczałem.

Oparł głowę na dłoniach, a inspektor patrzył na niego z uśmiechem, rad, że wypadek ten wzbudzał u znakomitego londyńczyka tak silne zainteresowanie.

– Ostatnie pańskie przypuszczenie – rzekł Holmes po dłuższym milczeniu – co do współpracy stangreta ze złodziejem jest bardzo prawdopodobne, chociaż z drugiej strony to pismo...

I znowu się zadumał.

Gdy po chwili uniósł głowę, spostrzegłem zdziwiony, że jego oczy rozbłysły, policzki zarumieniły się, jak to bywało nieraz przed chorobą. Porwał się na nogi z całą dawną energią.

– Oto, co panom powiem! – wykrzyknął raźnie. — Pragnąłbym zbadać niektóre szczegóły tej sprawy; intryguje mnie ona szczególnie. Jeżeli pan pozwoli, panie pułkowniku, opuszczę pana i Watsona na jakieś pół godzinki i udam się z panem inspektorem, by sprawdzić niektóre przypuszczenia, które zrodziły się w mojej głowie.

Minęło półtorej godziny, wreszcie powrócił tylko inspektor.

– Pan Holmes jest na łące; spaceruje tam i z powrotem – rzekł.

– Życzy sobie, byśmy wszyscy czterej udali się razem z nim.

– Do pana Cunninghama?

– Tak jest, sir.

– Po co?

Inspektor wzruszył ramionami.

– Nie wiem, sir. Mówiąc między nami, wydaje mi się, że pan Holmes nie bardzo jeszcze okrzepł po swej chorobie. Zachowuje się tak dziwnie, przy tym cały jest jak naelektryzowany.

– Niepotrzebnie się pan niepokoi – uspokoiłem inspektora.

– Pan Holmes doskonale wie, co robi, mogę pana zapewnić.

– Prosił, byście się panowie pospieszyli – przerwał inspektor głosem z lekka obrażonym.

Gdy wyszliśmy z domu, zobaczyłem Holmesa, chodzącego tam i z powrotem, z głową opuszczoną, z rękami w kieszeniach.

– Sprawa staje się coraz ciekawsza – rzekł do nas. – Tobie to zawdzięczam, Watsonie, że przybyłem tu w porę. Cudownie spędziłem ten ranek.

– Był pan na miejscu zbrodni? – zapytał pułkownik.

– Tak jest. Zarządziliśmy z panem inspektorem małe śledztwo.

– Cóż? Pomyślnie?

– Jakby to panu powiedzieć? Widzieliśmy wiele ciekawych rzeczy. Opowiem panom w drodze. Najpierw obejrzelśmy ciało zabitego. Ani cienia wątpliwości, że zmarł od wystrzału prosto w piersi.

– Czy to nastęczało wątpliwości?

– Ho, ho! W naszym fachu trzeba wątpić we wszystko. Następnie widzieliśmy pana Cunnighama i jego syna. Pokazali nam to miejsce, w którym zabójca przeskakiwał przez płot. To także było wielce interesujące.

– Bez wątpienia.

– Potem udaliśmy się do matki biednego stangreta. Nic nie mogliśmy od niej wydobyć, taka stara i chora.

– Jakież rezultat pańskich poszukiwań?

– Doszliśmy do przekonania, że sprawa jest bardzo złożona. Być może obecna wizyta pomoże ją nam nieco rozwikłać. Czyż nieprawda, panie inspektorze, że strzępek papieru, znaleziony w ręce zabitego, z oznaczeniem godziny jego śmierci, jest dokumentem niezmierniej wagi?

– Winien on być kluczem, panie Holmes, do rozwiązania zagadki.

– Tak. Nie wątpię o tym. Ten, kto pisał tę kartkę, ściągnął Williama Kirwana na miejsce jego zguby. Ale gdzie jest reszta tego pisma?

– Obszukałem całą okolicę krok za krokiem, spodziewając się, że ją znajdę – rzekł inspektor.

– Wyrwana została z dłoni zabitego. Lecz na co była potrzebna? Pozostawiona w jego rękę służyła jako dowód przeciw zabójcy. Co z nią uczynił zabójca? Włożył ją do kieszeni, nie spostrzegłszy, że rozek został w ręku zabitego. Gdyby udało nam się odnaleźć pozostałość tego strzępka, posunęlibyśmy się znacznie w naszych poszukiwaniach.

– Ale jak można sięgnąć do kieszeni zabójcy, skoro jeszcze go nawet nie znamy.

– Tak. Nad tym warto się zastanowić. Poza tym – rzecz oczywista: kartka została przesłana Williamowi. Ten, kto ją pisał, nie dostarczał jej własnoręcznie, bo wtedy po prostu mógłby to powiedzieć. Któż więc doręczył to pismo? A może przyszło pocztą?

– Dowiadywałem się już – rzekł inspektor. – William otrzymał wczoraj pocztą list. Sam go rozpieczętował.

– Wybornie! – wykrzyknął Holmes, uderzając inspektora po ramieniu. – Prawdziwa przy-

jemność pracować razem z panem! Ale otóż i parkan. Jeżeli pan sobie życzy, panie pułkowniku, pokażę panu miejsce wypadku.

Przeszliśmy koło pięknego domku, w którym do niedawna mieszkał nieboszczyk i aleją dębową skierowaliśmy się do okazałego dworu z czasów królowej Anny. Holmes i inspektor powiedli nas ku bocznym drzwiom, które od gościńca oddzielał niewysoki płot. W drzwiach kuchennych stał policjant.

– Otwórz no drzwi, mój kochany – rzekł Holmes. – Tu oto, na tych schodach stał młody Cunningham, gdy zobaczył dwóch ludzi, walczących ze sobą w tym miejscu, gdzie my teraz stoimy. Stary Cunningham znajdował się przy tamtym oknie – drugim na lewo – i widział, jak zabójca zniknął na lewo od tego krzaka. To samo widział syn. Co do tego, zgadzają się w świadectwie. Następnie pan Alec zbiegł na dół i przyklęknął nad rannym, pragnąc mu pomóc. Ziemia w tym miejscu jest bardzo twarda i nie ma żadnych śladów.

Gdy to mówił, zza węgła domu wyszło dwóch mężczyzn i zbliżyło się ku nam. Jeden z nich – człek w latach, z twarzą wyrażającą energię i stanowczość, drugi – piękny młodzieniec z uśmiechem na ustach, w jasnym ubraniu, wesoły, niefrasobliwy, stanowiący dziwne przeciwieństwo tej ohydnej sprawy, która nas tu ściągnęła.

– Panowie wciąż jeszcze badają? – zwrócił się wesoło do Holmesa. – Sądziłem, że fachowcy z Londynu szybko takie sprawy załatwiają. Widocznie się omyliłem.

– Niech pan nam da trochę czasu! – rzekł Holmes, także się uśmiechając.

– Ba! Sądzę, że wiele go jeszcze będzie potrzeba! – rzekł młody Cunningham. – Przecież dotychczas nie mamy żadnych dowodów obciążających, ani nawet śladów zabójcy.

– A! Przepraszam pana! Mamy jeden, niezmiernie ważny – zaprzeczył inspektor. – Pozostaje nam jedynie... Panie Holmes! Co panu? Na Boga!

Twarz mego przyjaciela zmieniła się nagle nie do poznania. Oczy stanęły mu w słup, twarz drgała konwulsyjnie, wreszcie upadł na ziemię, jakby całkiem bez czucia.

Zatrwożeni tym raptownym atakiem zanieśliśmy go do kuchni i złożyliśmy na szerokiej ławie; po chwili przyszedł do siebie i rzekł zmartwiony:

– Watson mówił panom zapewne, że niedawno przechodziłem ciężką chorobę. W ogóle jestem skłonny do ataków nerwowych.

– Jeżeli pan sobie życzy, odwożę pana swym powozem do domu – ofiarował się stary Cunningham.

– O, nie! Dziękuję panu; gdy już tu jestem, chciałbym sprawdzić jedną rzecz, tym bardziej że to nietrudne do wykonania.

– Cóż to takiego?

– Wydaje mi się bardzo możliwe, że ów nieszczęsny William zjawił się już po tym, jak ów

zbrodniarz uciekł. Pan jednak jest przekonany, że chociaż drzwi były wyłamane, złodziej nie wchodził do mieszkania?

– Mnie się zdaje, że to nie ulega wątpliwości – rzekł pan Cunningham. – Przecież mój syn Alec jeszcze nie spał i słyszałby chyba.

– A gdzie był pański syn?

– Byłem w swoim pokoju.

– Które to okno?

– Ostatnie na lewo, tuż obok pokoju ojca.

– Prawdopodobnie światło paliło się u obydwu panów?

– Naturalnie.

– Otóż dziwi mnie to niezmiernie – rzekł Holmes uśmiechając się – że złodziej, w dodatku złodziej tak doświadczony, ważył się wyłamywać zamek, widząc, że światła jeszcze nie zgaszone.

– Musiał to być bezczelny złodziej, jak się okazuje.

– Ostatecznie, gdyby sprawa ta nie była tak zawiła, nigdy byśmy nie zwracali się do pana, panie Holmes – rzekł młody Cunningham.

– Co się tyczy jednakże pańskiego przypuszczenia, że złodziej był w mieszkaniu, zanim przyszedł William, uważam to za zgoła nieprawdopodobne. Pozostawiłby przecież jakiś ślad po sobie i na pewno nie doliczylibyśmy się wszystkich rzeczy.

– To zależy, jakie były te rzeczy – rzeki Holmes. – Nie powinien pan zapominać, że nie mamy do czynienia z pospolitym złodziejem. Zapewne pamięta pan, jakie dziwne rzeczy skradziono u Actona; jeśli się nie mylę, był to kłębek szpagatu, waga do listów i tym podobne drobiazgi.

– Tak czy owak, jesteśmy do pańskiej dyspozycji, panie Holmes – odparł stary Cunningham. – Wszystko, co pan lub pan inspektor rozkażecie, będzie wykonane.

– Przede wszystkim – powiedział Holmes – radziłbym panom wyznaczyć nagrodę za schwytanie złodzieja. To rzecz przyspieszy. Nakreśliłem tu wzór ogłoszenia; może pan je podpisać. Sądzę, że 50 funtów to dostateczna nagroda.

– Z przyjemnością dam 500 – rzekł sędzia pokoju, biorąc z rąk Holmesa papier i ołówek. – Ale pan się tu omylił – zauważył, przebiegając pismo oczyma.

– Tak? Być może... Spieszyłem się.

– Píše pan: „Wobec napadu, jakiego dokonano we wtorek, po pierwszej w nocy itd.”, podczas gdy wypadek nastąpił za piętnaście pierwsza. Żal mi się zrobiło Holmesa, że tak się pomylił. Wiedziałem, jak dotknie to jego ambicję. Szczycił się zawsze niezrównaną dokładnością i skrupulatnością, widocznie jednak choroba osłabiła jego władze i nie wydobrzył jeszcze zupełnie. Zasepił się, jak winowajca, inspektor spojrział zadziwionymi oczyma, a młody

Cunningham parsknął śmiechem. Sędzia poprawił błąd i oddał notatkę Holmesowi.

– Proszę, niech pan każe to ogłosić jak najszybciej – rzekł. – To doskonały pomysł. Holmes złożył kartkę starannie i schował ją do swego portfela.

– A teraz – powiedział – pójdziemy wszyscy razem obejrzeć mieszkanie, aby się przekonać, czy złodziej rzeczywiście nic nie zabrał...

Zanim weszliśmy do domu, Holmes bacznie obejrzał wyłamane drzwi. Ślady na drzewie wskazywały, że do wyłamania zamku użyto dłuta lub mocnego tępego noża.

– Pan nie stosuje łańcuchów do drzwi? – zapytał Holmes.

– Dotychczas nie widziałem takiej potrzeby.

– A czy macie tu psa?

– Tak, lecz jego buda znajduje się z drugiej strony domu.

– O której służba kładzie się spać?

– Koło dziesiątej.

– William prawdopodobnie też kładł się o tej porze.

– Tak jest.

– Dziwna rzecz, że tej nocy jeszcze się nie położył. A więc – prosimy pana, panie Cunningham, by zechciał pan pokazać nam mieszkanie.

Korytarz z kamienną posadzką prowadził do drewnianych schodów, które wiodły na pierwsze piętro; stąd też zaczynały się drugie schody, bardziej okazałe, które wiodły do wielkiego salonu. Obok znajdowała się bawialnia i parę pokoiów sypialnych, a między nimi pokój Cunninghama i jego syna. Holmes postępował powoli, oglądał uważnie każdy szczegół budowy. Poznałem po jego twarzy, że jest na właściwym tropie, nie mogłem jednak odgadnąć nic więcej.

– Ależ, łaskawy panie – zauważył wreszcie pan Cunningham – to zbyteczny trud z pańskiej strony. W tamtym rogu jest mój pokój, a tam pokój mego syna. Czyż pan przypuszcza, że złodziej zakradł się aż tu i że go nie spostrzeżliśmy?

– Mnie się zdaje, że pan będzie musiał zacząć wszystko od nowa – rzekł młody Cunningham złośliwie.

– Proszę pana, niech pan będzie cierpliwy! Chciałbym jeszcze zobaczyć, co widać z okien sypialni panów. To jest pokój, zdaje się, pańskiego syna – rzeki, otwierając drzwi – a to jego garderoba, w której palił cygaro, gdy wszczął się ruch. To okno na którą stronę wychodzi? Wszedł do sypialni, otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju i zajrzał tam.

– Cóż? Zadowolony pan? – rzekł pan Cunningham wyraźnie zjadliwie.

– Dziękuję panu! Widziałem wszystko, co mi było potrzebne.

– Teraz, jeżeli pan sobie życzy, możemy obejrzeć jeszcze mój pokój.

– A! Owszem, jeżeli pan pozwoli.

Sędzia wzruszył ramionami i poprowadził nas do swego bardzo skromnie umeblowanego pokoju. Gdy reszta skierowała się ku oknu, Holmes wraz ze mną pozostał nieco w tyle. U nóg łóżka stał mały stolik, a na nim karafka z wodą i pomarańcze na talerzu. Gdy przechodziliśmy koło stolika, Holmes, ku memu wielkiemu zdziwieniu, pochylił się przy stoliku i przewrócił go. Karafka rozprysła się na kawałki, a pomarańcze potoczyły się po pokoju.

– Uważaj, co robisz, Watsonie – rzekł na to z flegmą. – Patrz, jak zabrudziłeś dywan! Zmieszałem się i, pochyliwszy się, począłem zbierać pomarańcze; zrozumiałem, że Holmes, z nieznanych mi powodów, pragnął zwalić winę za to zajście na mnie. Inni poszli za moim przykładem, po chwili doprowadziliśmy wszystko do porządku.

– Ale gdzież to się podział nasz gość? – zauważył nagle inspektor.

Holmes zniknął.

– Przepraszam panów na chwilę – rzekł młody Cunningham – ale zdaje mi się, że z głową pana Holmesa nie wszystko jest w porządku. Chodźmy, ojcze, zobaczyć, co się z nim dzieje!

Wyszli szybko z pokoju, pozostawiając mnie, pułkownika i inspektora, zdumionych nie na żarty tą przygodą.

– Wiecie panowie, przykro mi – począł inspektor – ale, zdaje mi się, muszę podzielić zdanie pana Aleca. Może to skutki choroby, lecz to widoczne, że...

Słowa te przerwało wołanie: „Na pomoc! Na pomoc!” Poznałem głos mego przyjaciela i wybiegłem do przedpokoju. Krzyk stawał się zduszony, chrapliwy i pochodził z pokoju Aleca. Wbiegłem do sypialni, stąd do garderoby. Obaj Cunninghamowie byli pochyleni nad Holmesem; młody dusił go za gardło, stary wykręcał mu ręce. W jednej chwili rzuciliśmy się na nich i oderwaliśmy od powalonego. Holmes skoczył na nogi blady i wielce wzburzony.

– Panie inspektorze! Proszę aresztować tych ludzi! – zawołał, z trudem chwytnym oddech.

– Za co?

– Pod zarzutem zabójstwa stangreta Williama Kirwana. Inspektor spojrzał na niego zdziwiony.

– Co panu jest, panie Holmes? – spytał po krótkiej chwili. – Pan się myli.

– Niech pan spojrzy na ich twarze! – zawołał Holmes.

Nigdy nie widziałem, żeby na twarzy człowieka wyraźniej malowało się świadectwo zbrodni. Stary Cunningham stał, jak rażony gromem. Młody nic nie miał teraz wspólnego z wesołością, która go wcześniej cechowała: patrzył niczym dziki zwierz, z przestraczem w oczach, który zożydził i wykrzywił jego piękne rysy.

Inspektor w milczeniu podszedł ku drzwiom i dał sygnał gwizdkiem.

Do pokoju weszło dwóch policjantów.

– Nie mogę postąpić inaczej, panie Cunningham – rzekł inspektor – mam jednak nadzieję, że wszystko się wyjaśni. Sam pan widzi... A to co takiego? Proszę to rzucić!

Z tymi słowy podbił rękę i rewolwer, wymierzony w niego przez młodego Cunninghama; broń upadła z hałasem na ziemię.

– Proszę to zachować, przyda się przy śledztwie – rzekł Holmes, przydeptyując rewolwer. – A oto, czego szukaliśmy. – To mówiąc, wyciągnął dłoń z kawałkiem zmiętego papieru.

– Reszta tamtego listu! – wykrzyknął inspektor.

– Najprawdziwsza!

– Gdzie była?

– Tam, gdzie przypuszczałem. Opowiem to panom po kolei. Przede wszystkim jednak wypada, by Watson i pułkownik powrócili do siebie. Za godzinkę dołączymy do was z panem inspektorem, najpierw jednak musimy przesłuchać aresztowanych. Sądzę, że zdążymy na śniadanie.

Holmes jak zwykle dotrzymał słowa i około pierwszej zjawił się w pokoju, gdzie siedzieliśmy razem z pułkownikiem. Towarzyszył mu jegomość dosyć już wiekowy, średniego wzrostu, którego przedstawił mi, jako pana Actona, u którego odbyła się niedawno owa dziwna kradzież.

– Pragnąłem, żeby i pan Acton był obecny podczas moich wyjaśnień, nic bowiem dziwnego, że mocno się interesuje przebiegiem tej sprawy. Obawiam się, czy nie pożałuje pan, panie pułkowniku, zaproszenia do siebie stworzenia z naturą tak niespokojną jak moja.

– Przeciwnie – odrzekł pułkownik przyjaźnie – poczytuję to sobie za zaszczyt, że zdołałem osobiście przyjrzeć się temu niezwyklej darowi pańskiego rozplątywania zawitych spraw. Przeszedł pan wszystkie moje oczekiwania.

– Obawiam się więc raz jeszcze, czy moimi wyjaśnieniami nie stracę dobrego mniemania, jakie w pana oczach zdobyłem; przyjąłem jednak za zasadę nie ukrywać nigdy ani przed Watsonem, ani przed nikim innym, jak prostymi nieraz drogami dochodzę do decydujących rezultatów. Zanim jednak zacznę opowiadać, pragnąłbym pokrzepić siły kieliszkiem pańskiej wybornej starki, pułkowniku! W ostatnim czasie spracowałem się rzetelnie.

– Przypuszczam, że pański atak już się nie powtórzy.

Holmes roześmiał się serdecznie.

– O tym – potem, a teraz opowiem panom wszystko po kolei. Proszę, przerywajcie mi, ilekroć będziecie mieć jakieś wątpliwości. Praca detektywa wymaga umiejętności odróżniania faktów istotnych od mnóstwa błahych i pobocznych tropów. Kto tego nie przestrzega, traci całą energię i uwagę na drobiazgi, zamiast ją skupić na istocie rzeczy. W przypadku tej sprawy ani przez chwilę nie wątpiłem, że kluczem do rozwiązania zagadki jest strzępek papieru, znaleziony w ręku zabitego.

Zanim przejdę do szczegółów, zwrócę uwagę panów na okoliczność, że gdyby oświadczenie Aleca Cunninghama było prawdziwe i gdyby zabójca, strzelivszy do Williama Kirwana,

zbiegł natychmiast, wtedy, rzecz prosta, nie wyrwałby papieru z rąk zabitego. Jeżeli zaś tego nie zrobił zabójca, to zrobił to sam Alec, kiedy bowiem z góry zszedł stary Cunningham, na dole było już kilka osób. Fakt ten sam przez się jest oczywisty; inspektor jednak nie zwrócił na niego uwagi, w zasadzie bowiem odrzucił wszelką myśl, by dziedzice mogli być w tę sprawę wplątani. Ja uważam za swój obowiązek odrzucać wszelkie przesady i podążać jedynie ślepo za prawdą. Od razu zacząłem badać, jaką rolę w tej sprawie grał pan Alec Cunningham.

Najsumienniej przestudiowałem strzępek papieru, dostarczony mi przez inspektora; byłem od początku przekonany, że stanowi on część niezmiernie ważnego dokumentu. Oto jest ten kawałek. Czy nie dostrzegacie w nim panowie nic osobliwego?

– Owszem, jest w nim coś nadzwyczajnego, różne charaktery pisma – rzekł pułkownik, badając strzępek.

– Kochany panie – ucieszył się Holmes – nie ma wątpliwości, że kartkę tę pisały dwie osoby, na zmianę. Jeżeli się pan dobrze przyjrzy, spostrzeże pan od razu, że wyrazy „za” i „pierwsza” napisane są różnymi charakterami, „piętnaście” i „dowiesz się” – również. To wystarczy, by stwierdzić, że pierwsze dwa wyrazy pisała ręka pewniejsza, drugie dwa – ręka mniej pewna i wahająca się.

– Bezwarunkowo! To widoczne! – dziwił się pułkownik. – Po licha jednak dwóch ludzi pisało jedną kartkę?

– To rzecz prosta! Widocznie sprawa była niezbyt czysta i jeden nie ufał drugiemu; postanowili więc napisać ją wspólnie, by razem odpowiadać, gdyby się wydało lub gdyby jeden z nich chciał zdradzić drugiego. Ten, który pisał „za” i „pierwsza”, to inicjator.

– Z czego pan tak wnioskuje?

– Porównując obydwa charaktery pisma, chociaż można to stwierdzić również na podstawie innych poszlak. Wpatrzywszy się uważnie, dostrzeże pan, że piszący ręką pewniejszą zrobił to pierwszy i układał właściwy tekst, drugi – wypełniał potem miejsca pozostawione. Przestrzenie między wyrazami nie zawsze wystarczały do napisania dłuższego wyrazu, widocznie w pośpiechu zleje wymierzono, tak że ów drugi piszący musiał wyraz „piętnaście” ścisnąć, by go zmieścić między „za” i „pierwsza”. To wskazuje, że te ostatnie wyrazy były napisane wcześniej. Oczywiście, kierował ten, który pisał pierwszy i układał tekst.

– Wspaniale! – wykrzyknął pan Acton.

– To jednak mniej ważne; przejdziemy do rzeczy istotniejszych. Wiadomo panom zapewne, że ostatnimi czasy grafologia, czyli sztuka określania wieku piszącego z charakteru jego pisma znacznie się rozwinęła. Mam na myśli oczywiście stany normalne, choroba bowiem i niedomagania fizyczne tak mogą wpłynąć na charakter pisma, że młodzieńca łatwo wziąć za starca.

W naszym wypadku, obserwując jedno pismo, pewne i stanowcze, i drugie, mniej pewne i wahające, można śmiało utrzymywać, że posiadacz pierwszego to człowiek w latach, choć jeszcze nie starzec zupełny.

– Wspaniale! – zachwycił się pan Acton.

– Poza tym istnieją jeszcze pewne rysy, mniej ważne, choć nie mniej ciekawe. Oto, na przykład, obydwaj te charaktery pisma mają cechy jakiegoś pokrewieństwa i wspólnoty duchowej; można więc przypuszczać, że należą do osób, pozostających w więzach pokrewieństwa. Tymi oto drogami doszedłem do wniosku, że strzępek ten pisali obydwaj Cunninghamowie.

Potem zająłem się, rzecz prosta, innymi szczegółami tego ciekawego dramatu. Razem z inspektorem udałem się na miejsce wypadku i obejrzałem wszystko, co było mi potrzebne. Rana zabitego świadczyła wyraźnie, że strzał padł z odległości czterech do pięciu jardów. Mogę to twierdzić stanowczo, gdyż na ubraniu zabitego nie znalazłem śladów prochu. Dlatego Alec Cunningham kłamał, dowodząc, że wystrzał nastąpił wtedy, gdy ci dwaj ludzie walczyli ze sobą. Następnie ojciec i syn zgadzali się w zeznaniach co do miejsca, w którym zabójca miał przeleźć przez parkan; ponieważ jednak ziemia w tym miejscu jest wilgotna, a śladów żadnych na niej nie znalazłem, przekonałem się więc znów, że Cunninghamowie kłamią i że nikt obcy tej nocy tu nie gościł.

Pozostawało mi jedynie wyjaśnić pobudki, które pchnęły Cunninghamów do tak ohydnej zbrodni. By to odkryć, musiałem najpierw rozwiązać szaradę, dotyczącą dziwnej kradzieży u pana Actona. Ze słów pułkownika dowiedziałem się, że pomiędzy panem, panie Acton, a Cunninghamami toczył się spór o posiadłości. To podsunęło mi myśl, czy ci panowie nie zakradli się do pańskiej biblioteki, żeby porwać jakiś dokument, który mógłby sprawę przechylić na ich stronę.

– Najzupełniej słusznie – zauważył pan Acton – teraz w to nie wątpię. Mam niezbite prawo do połowy ich majątku i gdyby mogli zdobyć jeden dokument, który na szczęście spoczywa w kasie pancерnej u mego adwokata, wygraliby proces niezawodnie.

– A więc jednak – rzekł Holmes zadowolony. Był to krok, rzecz prosta, bardzo ryzykowny i jestem pewien, że jego projektodawcą był młody Cunningham. Nie znalazłszy dokumentu, pragnęli odwrócić wszelkie podejrzenia, nadając temu wydarzeniu charakter zwykłej kradzieży; dlatego porwali drobiazgi, które znalazły się pod ręką. To wszystko jest jak dotąd bardzo zrozumiałe, są jednak ogniwa nadal tajemnicze. Przede wszystkim dążyłem do tego, by odnaleźć brakującą część listu. Byłem pewien, że to Alec wyrwał ją z rąk zabitego i przypuszczałem, że włożył do kieszeni swego ubrania. Bo gdzież mógłby ją włożyć? Pozostawało pytanie: czy nie wyjął jej już stamtąd? Aby to sprawdzić, należało się nieco potrudzić: oto dlatego udaliśmy się do ich domu.

Cunninghamowie, jeśli panowie pamiętacie, zbliżyli się do nas, gdy byliśmy u drzwi kuchennych. Najbardziej wtedy zależało mi na przemilczeniu sprawy kartki, żeby nie zdążyli jej zniszczyć. Inspektor już miał o niej zagadać i poinformować, jak ważnym jest dla nas dowodem, gdy oto, na szczęście, nastąpił mój atak – i rozmowa przeszła na inny temat.

– Ach, tak! – zawołał śmiejąc się pułkownik – wszystkie nasze współczucia i ubolewania były niepotrzebne – pan tylko udawał!

– Jako lekarz, muszę oświadczyć, że udawałeś znakomicie – powiedziałem od siebie, patrząc z podziwem na tego człowieka, który coraz nowymi stronami swego talentu budził we mnie nieklamany zachwyt.

– Tego rodzaju umiejętności czasami bywają bardzo przydatne – mówił Holmes dalej. – Gdy odzyskałem przytomność, udało mi się przy pomocy drobnej sztuczki – nie powiem, żeby bardzo dowcipnej – zmusić starego Cunninghama do napisania wyrazu „pierwsza”, by móc porównać jego pismo z pozostawionym na strzępku.

– Bądź tu mądrym wobec tego! – zawołałem.

– Widziałem, jak ci było mnie żal i jak zważyłeś moje przeoczenie na karb mojej choroby – zauważył Holmes, śmiejąc się. – Żałowałem bardzo, że cię musiałem zmartwić. Potem poszliśmy wszyscy na górę. W pokoju Aleca zobaczyłem szlafrok za drzwiami. Przewróciłem stół, odwróciłem ich uwagę i wymknąłem się, by zbadać kieszenie tego szlafroka. Zaledwie wyjąłem papier, który, jak się tego spodziewałem, był w jednej z nich, obaj Cunninghamowie rzucili się na mnie i zginąłbym niechybnie, gdyby nie wasza rychła pomoc, przyjaciele! Do tej pory czuję jeszcze na szyi ślady palców młodego Cunninghama i ręka mnie boli od konwulsyjnych szamotań starego, który chciał mi wyrwać strzępek papieru. Zobaczyli, że wiem o wszystkim i raptowne przejście od dużej pewności siebie do zupełnej rozpaczki przyprawiło ich wprost o szaleństwo.

Rozmawiałem przed chwilą ze starym Cunninghamem o pobudkach tej zagadkowej zbrodni. Ze starym rozmowa jest możliwa, lecz młody pieni się jak zwierz i gdyby miał broń pod ręką, rozwaliby łeb sobie i innym. Gdy stary się przekonał, że przegrał, spuścił z tonu i opowiedział wszystko, jak było. Okazuje się, że William podpatrzył swych panów, gdy w ową noc zrobili wyprawę do biblioteki pana Actona i zapragnął wykorzystać tę tajemnicę, by jak najwięcej wyciągnąć z kieszeni Cunninghamów. Jednak z młodym dziedzicem żarty są niebezpieczne. Wymyślił sobie szatański plan wykorzystania popłochu, jaki wywołała kradzież u pana Actona, by się uwolnić od człowieka, który mógł być niebezpieczny. Zwabili go więc w pułapkę i zabili; gdyby przy tym wydostali całą kartkę z rąk zabitego i zatarli kilka drobnych śladów, nigdy podejrzenie nie padłoby na ich szanowne osoby.

– A gdzie cała kartka? – zapytałem.

Holmes wręczył nam pismo, złożone z dwóch kawałków:

Jeśli przyjdiesz za piętnaście pierwsza do drzwi alkierza, dowiesz się o czymś, co cię bardzo zadziwi i co może być wielce użyteczne dla ciebie, oraz dla Anny Morissen. Nie mów o tym nikomu.

– Oczekiwałem dokładnie czegoś takiego – rzekł Holmes. – Prawdę powiedziawszy, nie wiemy jeszcze dotychczas, jakie powiązania zachodziły pomiędzy młodym Cunninghamem, Williamem Khwanem i Anną Morissen, skutki jednak wskazują, że pułapka była dobrze pomyślana.

– A teraz, kochany Watsonie, sądzę, że już dosyć zażyliśmy wywczasów na łonie przyrody; powrócę więc do siebie, na Baker Street z nowymi siłami.

Rozdział 3

Urzędnik Pickroft

Wkrótce po ożenku zamieszkałem w Paddingtown, objąwszy praktykę po starym doktorze, niejakim Farkuherze; praktyka niegdyś liczna, ostatnimi czasy, z powodu choroby i zniedołężnienia Farkuhera, tak podupadła, że zaledwie od czasu do czasu trafiał się jakiś chory. Potencjalni pacjenci wyznają zasadę, że kto leczy innych, sam powinien być zdrowy, toteż z dużą nieufnością i krytycyzmem oceniają tych, którzy nie zdołali uzdrowić samych siebie. Tak więc praktyka mego poprzednika w tym czasie, gdy ją przejąłem, przynosiła nie więcej niż trzysta funtów rocznie, podczas gdy wcześniej dochodziła do tysiąca pięciuset. Ufałem jednak mej młodości, energii i byłem przekonany, że po kilku latach uda mi się osiągnąć podobne zarobki, a może nawet je przekroczyć.

W ciągu trzech pierwszych miesięcy od czasu przeniesienia się do nowej siedziby byłem wciąż bardzo zajęty i prawie nie widywałem mego przyjaciela Holmesa. Trudno mi się było wybrać na Baker Street, a i on rzadko kiedy odwiedzał kogoś, jeżeli nie zmuszał go interes.

Byłem więc zdziwiony, gdy pewnego czerwcowego poranka po śniadaniu, czytając „British Medical Journal”, usłyszałem dzwonek, a w ślad za nim przenikliwy, dyszkantowy głos mego przyjaciela.

– Kochany Watsonie – rzekł, wchodząc do pokoju – jakże się cieszę, że cię widzę! Pani Watson, mam nadzieję, zdrowa?

– Dziękuję ci, oboje jesteśmy zdrowi – odpowiedziałem, z prawdziwą radością wyciągając dłoń.

– Mam także nadzieję, że praktyka lekarska nie zdołała jeszcze zagłuszyć w tobie zamiłowania do naszych detektywistycznych wypraw.

– Przeciwnie – odrzekłem – nie dalej jak wczoraj porządkowałem moje notatki, będące ich kroniką.

– Pochlebiam sobie, że nie uważasz ich za skończone i zamknięte?

– Naturalnie, że nie. Niczego sobie bardziej nie życzę, jak tego, bym mógł znów opisać jedną z prowadzonych przez ciebie spraw.

– Choćby dziś?

– Choćby dziś, jeżeli zechcesz.

– Nawet, gdyby wypadło jechać do Birmingham?

– Ależ rozumie się!

– A praktyka?

– Zastępuję zawsze mego sąsiada, gdy wyjeżdża. Mam nadzieję, że mi się odwdzięczy.

– Wybornie! – rzekł Holmes, odchylając się na krzesło i spoglądając na mnie zmrużonymi oczyma. – Widzę, że niedawno chorowałeś. Cóż to, lekkie przeziębienie?

– Tak jest. Trzy dni nie wychodziłem z domu z powodu silnego kataru. Nie przypuszczam jednak, by po mojej chorobie pozostał jakiś ślad.

– Bo też nie pozostał. Wyglądasz znakomicie.

– Po czym więc poznałeś, że byłem chory?

– Mój drogi, wiesz przecież dobrze, że potrafię odgadywać nawet najbardziej skrywane tajemnice.

– Chcesz powiedzieć, że to wydedukowałeś?

– Naturalnie.

– Ale jak na to wpadłeś?

– Twoje pantofle.

Spojrzałem na nowe, skórzane pantofle, które miałem na nogach.

– Jak... – zacząłem, lecz Holmes mi przerwał.

– Twoje pantofle są zupełnie nowe – wyjaśnił. – Tymczasem ich podeszwy są lekko opalone. Najpierw pomyślałem, że były mokre i że suszono je przy ogniu, dostrzegam stąd jednak naklejony na środku znak firmowy. Gdyby były wilgotne, ten znak by się odkleił. Pozostaje tylko jedno rozwiązanie: siedziałeś w nich długo przy ogniu, co w czerwcu robi się tylko wtedy, gdy człowiek jest przeziębiony.

Jak wszystkie rozumowania Holmesa, tak i to odznaczało się niezwykłą prostotą. Odczytał tę myśl z mojej twarzy i uśmiechnął się filuternie.

– Obawiam się, że zanadto się odkrywam, przedstawiając tak dokładnie moją metodę analizy zdarzeń – rzekł. – Sama konkluzja bez komentarzy czyniłaby większe wrażenie. Jesteś gotów jechać ze mną do Birmingham?

– Najzupełniej. Ciekawa sprawa?

– Opowiem ci w drodze. Mój klient czeka na nas w powozie na ulicy. Czy możesz wyruszyć natychmiast?

– Mogę.

Napisałem kilka słów do kolegi lekarza, pobiegłem na górę zawiadomić żonę o wyjeździe i dogoniłem Holmesa już na schodach.

– Twój sąsiad także doktor? – spytał, wskazując na mosiężną tabliczkę na drzwiach.

– Tak. Rozpoczął praktykę razem ze mną.

– A przedtem także tu mieszkał lekarz?

– Tak. W tym domu od samego początku mieszkało zawsze dwóch lekarzy.

– Ty jednak masz więcej pacjentów niż on?

– Tak. Po czym to poznałeś?

– Po schodach – odparł. – Stopnie przy twoich drzwiach są trzy razy brudniejsze. Ale otóż i nasz towarzysz. Pozwoli pan, że go przedstawię: pan Holl Pickroft. A teraz – zacinaj konie – zwrócił się do woźnicy – ledwie zdążymy na pociąg.

Mój nowy znajomy, siedzący naprzeciw mnie, okazał się zdrowym młodzieńcem, z twarzą jasną, szlachetną, ozdobioną puszystym wąsikiem. Cylinder na jego głowie był starannie wyprasowany; ubranie czarne, przyzwoite, wskazywało, że nosił je człowiek, który należał do skromnej klasy młodzieży, zamieszkującej City. Większość to znakomici sportsmeni i atleci. Twarz jego była pełna radości życia i tylko w kącikach ust błąkała się jakaś przelotna trwoga. Gdy już usadowiliśmy się we trzech w przedziale pierwszej klasy, dowiedziałem się wreszcie, dlaczego zwrócił się o pomoc do Holmesa.

– Będziemy jechali godzinę i kwadrans – rzekł Holmes – poproszę więc pana, panie Pickroft, by zechciał pan opowiedzieć mojemu przyjacielowi swoją przygodę – tak, jak mnie ją pan opowiedział lub, jeśli można, jeszcze dokładniej. Będzie to korzystne i dla mnie, gdy wysłucham jej raz jeszcze. Proszę, niech pan opowiada.

Nasz towarzysz spojrział na mnie, uśmiechając się z pewnym zakłopotaniem.

– Chodzi o to, proszę pana – rozpoczął – że w całej tej sprawie gram bardzo głupią i niewyraźną rolę. Może się to, rzecz prosta, skończy pomyślnie, ale nie mogłem postąpić inaczej. W każdym razie wyglądam w tym wszystkim jak naiwniak, którego łatwo wyprowadzić w pole. Sam pan się o tym przekona, panie doktorze!

Pracowałem w firmie Cocksohn i Udhaus, lecz firma zbankrutowała i zostałem wraz z siedemdziesięcioma pozostałymi osobami bez pracy. Ponieważ pracowałem tam pięć lat, stary Cocksohn dał mi bardzo dobre świadectwo; na nic mi się ono jednak nie przydało. Gdziekolwiek się zwróciłem, wszystkie stanowiska były zajęte. Przez pięć lat zaoszczędziłem około osiemdziesiąt funtów, dostawałem bowiem trzy funty tygodniowo. Pieniądze te jednak prędko się wyczerpały, tak że wystarczało zaledwie na opłatę ogłoszeń lub na znaczki do listów, w których wysyłałem swoją ofertę. Biegając od jednego biura do drugiego zdarłem całkiem buty.

Znalazłem wreszcie wakat w wielkiej firmie handlowej „Mawson i Williams”. Nie wiem, czy zna pan tę firmę; znajduje się ona na krańcu miasta, chociaż jest jednym z najbogatszych domów handlowych w Londynie. Na ogłoszenie trzeba było odpowiedzieć pisemnie. Posłałem na wszelki wypadek moje świadectwo, nie mając w gruncie rzeczy nadziei na powodzenie. W odpowiedzi otrzymałem wezwanie do objęcia posady od zbliżającego się poniedziałku. Trudno pojąć, jak to się stało i jak w ogóle załatwiają takie sprawy. Mówią, że główny dyrektor zanurza rękę w stosie listów i wyciąga pierwszy lepszy. Tak czy owak, szczęście uśmiechnęło się do mnie i nie potrzebuję dodawać, jaki byłem wniebowzięty. Pensja – na początek funt tygodniowo, praca prawie taka sama, jak u Cocksohna. Teraz przejdę do sedna sprawy. Mieszkam za miastem, w Hamsted, Potters Taras, pod numerem 17. Tego samego wieczora, kiedy otrzymałem wezwanie do objęcia posady, siedziałem w swoim pokoju i paliłem fajkę. Naraz ukazuje się w drzwiach moja gospodyni i doręcza mi bilet wizytowy z nazwiskiem „Artur Pinner, agent handlowy”. Nie słyszałem nigdy tego nazwiska, lecz mimo to powiedziałem, że proszę tego pana. Był to mężczyzna średniego wzrostu, brunet, z czarnymi oczyma i czarną brodą. Mówił tonem człowieka interesu; krótkimi i urywanymi zdaniami, jak ktoś, kto ceni swój czas.

– Pan Holl Pickroft? – zapytał.

– Tak jest, sir – odrzekłem, wskazując mu krzesło.

– Pracował pan poprzednio w firmie Cocksohn?

– Tak jest.

– A teraz obejmuje pan posadę u Mawsona?

– Tak jest, sir.

– Słyszałem – mówił dalej – że pan posiada niezwykle zdolności finansowe. Zna pan, naturalnie, Paroge'a, byłego zarządzającego u Cocksohna? Nie mógł się nachwalić pana.

– Miło mi to słyszeć. Staralem się tylko wypełniać uczciwie obowiązki i nie sądziłem, że zasłużę na takie pochwały.

– Czy ma pan dobrą pamięć? – zapytał.

– Tak jest, niezłą – odrzekłem skromnie.

– Czy pozostając bez zajęcia śledził pan sytuację na giełdzie? – zapytał.

– Tak jest. Czytuję codziennie „Stock Exchange List”.

– To się nazywa prawdziwe zamięłowanie! – zawołał. – Czy nie będzie mi pan miał za złe, że go trochę przeegzaminuję? Niech mi pan powie, jak stoją akcje akszerskie?

– Od stu pięciu do stu pięciu i jedna czwarta – odrzekłem.

– A nowozelandzkie?

– Sto cztery.

– Brytyjski Broken Hill?

– Siedem i siedem i pół.

– Wspaniale! – zawołał zachwycony. – Odpowiada to w zupełności temu, co słyszałem o panu. Mój młodzieńcze, moim zdaniem, za wiele jest pan wart, by zostać pracownikiem u Mawsona!

Zachwył ten zdziwił mnie nieco.

– Inni chyba nie są tak łaskawi i hojni w ocenianiu mnie, panie Pinner – odrzekłem. – Jestem bez pieniędzy i cieszę się, że otrzymałem to miejsce.

– A! rzuć pan je bez namysłu. To nie kariera dla pana! Powiem panu, co mogę ofiarować panu natychmiast, jeżeli zechce pan pracować w naszym biurze. Nie będzie to wiele w stosunku do pańskich zdolności, lecz bez porównania więcej, niż panu oferuje Mawson. Kiedy ma pan zamiar objąć u niego posadę?

– W poniedziałek.

– Czy da pan wiarę, że jestem prawie pewien, iż pan jej nie obejmie?

– Jak to: nie obejmę?

– W prosty sposób. Z dniem dzisiejszym zostaje pan mianowany administratorem Towarzystwa Śródziemno–Francusko–Harwardzkiego, które posiada sto trzydzieści cztery filie w miastach i miasteczkach Francji, nie licząc filii w Brukseli i w San Remo.

Na te słowa zaparło mi dech w piersiach.

– Nigdy nie słyszałem o tym Towarzystwie – rzekłem, siląc się na spokój.

– Być może. Kapitały tej firmy znajdują się w prywatnych rękach i sprawy jej idą tak pomyślnie, że nie potrzebują reklamy. Brat mój, Harry Pinner, jest głównym dyrektorem i kuratorem tego towarzystwa. Wiedząc, że się wybieram w te strony, prosił mnie o wyszukanie młodego i zdolnego pracownika, który by potrafił poprowadzić rzecz samodzielnie. Parker mówił mi o panu i oto jestem. Z żalem wyznaję, iż więcej nad pięćset funtów nie możemy panu zaoferować.

– Pięćset funtów rocznie! – wykrzyknąłem.

– Na początek. Oprócz tego otrzyma pan jeden procent komisowego od wszystkich komisów, jakie załatwią pańscy agenci, a może mi pan wierzyć, że to wyniesie znacznie więcej, niż pensja.

– Ależ ja jestem zupełnie nie obeznany z tym zajęciem!

– Nic nie szkodzi. W krótkim czasie nauczy się pan wszystkiego.

W głowie mi się kręciło, ledwo mogłem usiedzieć na krześle. Naraz ogarnęło mnie zwątpienie.

– Muszę panu powiedzieć otwarcie – rzekłem po chwili – że chociaż Mawson daje mi tylko dwieście funtów rocznie, to jego firma jest znana i pewna. Co się tyczy Towarzystwa pańów, to nic o nim nie wiem...

– Wybornie! – wykrzyknął mój protektor wręcz zachwycony. – Właśnie taki człowiek jest nam potrzebny. Pana niełatwo wywieść w pole. Oto jest banknot stufuntowy; jest to zaliczka na poczet pańskiej pensji.

– Zgadzam się – wyszeptalem. – Kiedy mam objąć obowiązki?

– Jutro będzie pan w Birmingham. Dam panu zaraz kartkę, którą pan doręczy memu bratu. Uda się pan na Corporation Street pod numer 126c, gdzie znajduje się chwilowo nasze biuro. Tam pan znajdzie mego brata. Rzecz prosta, podpisze on z panem umowę, chociaż główne punkty już uzgodniliśmy.

– Doprawdy nie wiem, jak panu podziękować, panie Pinner! – wykrzyknąłem.

– Cóż znowu! Otrzymał pan tylko to, na co zasługuje. Teraz pozostaje nam do załatwienia kilka drobnych spraw, to zwyczajna formalność. Czy nie ma pan arkusika papieru? Niech pan na nim napisze:

„Zgadzam się na objęcie posady administratora Śroziemno–Francusko–Harwardzkiego Towarzystwa z płacą 500 funtów rocznie”.

Napisałem, czego żądał; rzucił okiem na kartkę i schował ją do kieszeni.

– Ach! jeszcze jedno! – rzekł. – Co pan zamierza teraz zrobić z Mawsonem?

– Zapomniałem całkiem o Mawsonie – rzekłem. – Napiszę do niego i odwołam objęcie posady.

– Właśnie, chodzi o to, żeby pan tego nie robił. Pokłóciłem się dzisiaj o pana z zarządzającym u Mawsona. Udałem się do niego, żeby się czegoś o panu dowiedzieć; był dla mnie bardzo niegrzeczny, oskarżał mnie o to, że mu zabieram ludzi. Nie wytrzymałem i powiedziałem: „Jeżeli pan chce mieć dobrych pracowników, to płac im pan lepiej, niż płacisz!”. „Ręcę panu, że chętniej się zgodzi na naszą skromną płacę, niż na pańską wielką!” – rzekł podrażniony. – „Idę o zakład – odparowałem – że otrzymawszy moje warunki, nie będzie nawet uważał za potrzebne zawiadomić pana o rezygnacji”. „Owszem! – rzekł – zobaczymy! Wybawiłem go od śmierci głodowej, zobaczymy, czy tego nie doceni!” To były jego ostatnie słowa.

– A to hultaj! – zawołałem. – Nigdy go na oczy nie widziałem. Oczywiście krępować się nim nie będę. Jeżeli pan sobie nie życzy, nie napiszę do niego ani słowa.

– Wybornie. Trzymam pana za słowo – rzekł powstając z miejsca. – Jestem szczęśliwy, że znalazłem dla swego brata pewnego człowieka. Oto jest pańska zaliczka, a tu list polecający. Proszę zapisać adres: Corporation Street, nr 126c i pamiętać, że jutro o pierwszej musi pan być na miejscu. Dobranoc! Życzę powodzenia!

– Oto wszystko, o czym z tym panem mówiliśmy, o ile mogę sobie przypomnieć. Może pan sobie teraz wyobrazić, panie doktorze, jak się ucieszyłem z tego szczęścia, które na mnie

spłynęło. Cały wieczór tylko marzyłem, robiąc plany na przyszłość; nazajutrz wczesnym pociągiem ruszyłem do Birmingham.

Odwiozłem rzeczy do hotelu na New Street i stamtąd udałem się pod wskazany adres.

Przyszedłem o kwadrans wcześniej, niż należało, sądząc, że to nie czyni różnicy. Dom pod numerem 126c był zajęty przez różne firmy i biura handlowe. Na liście odczytałem je kolejno, lecz Śródziemno–Francusko–Harwardzkiego Towarzystwa wśród nich nie było. Stałem chwilę, tknięty niepokojem; najwidoczniej zażartowano ze mnie. Miałem już odchodzić, gdy nagle stanął przede mną jegomość, bardzo podobny do mego wczorajszego gościa. Jedyne twarz była wygolona i włosy jaśniejsze niż u tamtego.

– Czy pan Holl Pickroft? – zapytał.

– Tak jest – odrzekłem.

– Czekam na pana. Dziś rano otrzymałem list od brata; mój brat bardzo chwali pana.

– Przed chwilą odczytywałem nazwy biur – odezwałem się, chcąc zatrzeć niedawne wrażenie.

– Ach, tak! Jeszcze swego nie wywiesiliśmy, ten lokal bowiem jest tymczasowy. Proszę, niech pan pozwoli, omówimy szczegóły.

Udałem się za nim na górę. Weszliśmy do niewielkiego, całkiem pustego pokoju. Spodziewałem się ujrzeć wielkie, widne sale z rzędami stołów i całą armią zatrudnionych, jak to było u Cocksohna. Ze zdumieniem spojrzałem więc na mały stół, dwa krzeselka i małą szafkę, stanowiące całe umeblowanie pokoju.

– Niech to pana nie przeraża, panie Pickroft – rzekł mój towarzysz, widząc, że moja twarz wydłuża się ze zdziwienia. – Nie od razu Rzym zbudowano, a my mamy tyle gotówki, że nie potrzebujemy dbać o zewnętrzny wygląd naszego przedsiębiorstwa. Proszę, niech pan siada i da mi list brata.

Podąłem mu list, wziął go i uważnie odczytał.

– Widzę, że pan wywarł na moim bracie Arturze bardzo korzystne wrażenie, a to jest sędzia nie lada! Dobrze więc, idę za jego radą i mam zaszczyt oznajmić panu, że jest pan do nas przyjęty.

– Na czym będą polegać moje obowiązki? – zapytałem.

– W przyszłości będzie pan zarządzał wielką filią w Paryżu; tymczasem przez dwa tygodnie zostanie pan w Birmingham, gdzie będzie pan pomocny w inny sposób.

– Mogę zapytać: w jaki?

Zamiast odpowiedzi wyjął z szafy wielką czerwoną księgę.

– Jest to księga adresowa Paryża – rzekł mi – wyliczone są w niej wszystkie banki i domy handlowe. Zechce ją pan wziąć ze sobą i zrobić listę tych, które mogą być użyteczne w naszym interesie. Jest to dla mnie bardzo ważna sprawa.

– Muszą istnieć tego rodzaju gotowe listy – rzekłem.

– Tak, lecz im nie bardzo można ufać. Oprócz tego pan będzie kierować się specjalnymi wskazówkami, które tu wypisałem dla pana. Prosiłbym, aby ta lista była gotowa na poniedziałek, na godzinę 12. Do widzenia, panie Pickroft; jeżeli pan będzie pilny i sumienny, sądzę, że będzie panu u nas dobrze.

Wróciłem do hotelu z wielką księgą pod pachą i ze zwątpieniem w sercu. Z jednej strony mam niby stanowisko i sto funtów zaliczki. Z drugiej – widok pustego biura, nieobecność urzędników i inne szczegóły zmuszały mnie do głębokiej zadumy nad statusem moich chlebobodawców. Tak czy owak, pieniądze mam w kieszeni; wziąłem się więc do pracy. Pisałem przez całą niedzielę, nie rozprostowując nóg, i w poniedziałek doszedłem zaledwie do litery N. Poszedłem do szefa; zastałem go w tym samym pokoju i przedstawiłem księgę. Przedłużył mi termin do środy. W środę praca była jeszcze nie skończona; przesiedziałem nad nią do piątku, to jest do dnia wczorajszego, i znowu udałem się do pana Harry Pinnera.

– Dziękuję panu bardzo! – rzekł mi. – Przykro mi, że pan tak bardzo umęczył się tą pracą, lecz była to dla mnie ważna rzecz.

– Tak jest, trzeba było nad nią przysiąc fałdów – rzekłem.

– Teraz niech pan mi przygotuje drugi taki wypis, jeśli łaska.

– Oczywiście.

– Jutro koło siódmej niech pan się zgłosi i powie mi, co pan zrobił. Tylko niech się pan nie przeciąża. Nie zaszkodzi, jeżeli pan po dniu pracy spędzi sobie kilka godzin gdzieś przy muzyce!

Przy tych słowach roześmiał się; zostałem porażony widokiem złotej plomby na jednym z przednich zębów, z lewej strony szczęki.

Holmes aż ręce zatarł z radości, ja zaś słuchałem, nic a nic z tego nie rozumiejąc.

– Niech pan się nie dziwi, panie doktorze – rzekł Pickroft – chodzi jednak o to, że kiedy rozmawiałem w Londynie z tamtym Pinnerem i kiedy się uśmiechnął na moje oświadczenie, że nie będę pisał do Mawsona, zauważyłem, że miał złotą plombę w zębie. Plomba obecnego Pinnera jest w tym samym zębie i od razu uderzyła mnie swoją identycznością. Gdy porównałem głos oraz figurę obydwu braci i odrzuciłem to, co łatwo można zmienić za pomocą brzytwy i farby, nie wątpiłem już dłużej, że obydwaj Pinnerowie to jedna i ta sama osoba. Rzecz prosta, bracia mogliby być bardzo podobni, trudno jednak przypuścić, by mieli zaplombowany ten sam ząb, w tym samym miejscu. Pinner wkrótce mnie pożegnał i wróciłem od niego jak zaczadzony. Przede wszystkim zlałem głowę zimną wodą i tak orzeźwiony począłem rozmyślać nad swym losem. Po co mnie wysłał z Londynu do Birmingham? Po co sam tu przybył przede mną? Po co pisał list sam do siebie? Było to wszystko dla mnie zbyt zagadkowe, nie mogłem się z tym uporać – i postanowiłem udać się do pana, panie Holmes.

– Jak ci się to podoba, Watsonie? – zapytał Holmes, gdy Pickroft skończył swe opowiadanie. – Co? Nieźle by było, gdybyśmy zobaczyli pana Pinnera w jego tymczasowym biurze Towarzystwa Śródziemno—Francusko—Harwardzkiego?

– Ale jak to urządzić? – zapytałem.

– O, to nic trudnego – rzekł Pickroft. – Powiem mu, że panowie jesteście moimi przyjaciółmi i że poszukujecie zajęcia; nie będzie w tym nic dziwnego, że przyprowadzam panów do niego, jako do dyrektora towarzystwa.

– Wybornie! – rzekł Holmes. – Z przyjemnością popatrzę na tego pana i postaram się rozwiązać tajemnicę. Ciekawa rzecz, które z pańskich zalet wydały mu się ważne lub też... Zamilkł i począł wyglądać przez okno. Do końca drogi nie mogliśmy wydobyć z niego ani słowa.

O siódmej wieczorem wszyscy trzej szliśmy Corporation Street wprost do biura Pinnera.

– Nie ma się co spieszyć – rzekł Pickroft – dopiero siódma za parę minut, on zaś przychodzi regularnie o siódmej; do tej pory biuro jest zupełnie puste.

– No, nie wiadomo, czy tak jest zawsze – zauważył Holmes.

– A co! nie mówiłem? – zawołał Pickroft. – Oto idzie przed nami. Proszę!

Pokazał nam jegomościa niskiego wzrostu, jasnego blondyna, przyzwoicie odzianego, który siedł po drugiej stronie ulicy. Widzieliśmy, jak zbliżył się do sprzedawcy gazet, spiesznie kupił gazetę wieczorną i, złożywszy ją, zniknął w bramie domu.

– Już wszedł – zawołał Pickroft. – Teraz już na pewno jest w biurze. Chodźmy, pragnąłbym jak najprędzej dowiedzieć się prawdy.

Poszliśmy za nim na piąte piętro i zatrzymaliśmy się przy uchylonych drzwiach, do których Pickroft zastukał. „Proszę”, rozległ się głos – i oto znaleźliśmy się w pustym pokoju, opisanym nam przez Pickrofta. Przy stole siedział mężczyzna, którego widzieliśmy na ulicy, i czytał gazetę; gdy podniósł głowę i spojrzał na nas, odniosłem wrażenie, że człowiek ten jest śmiertelnie przerażony. Na czoło wystąpiły mu wielkie krople potu, policzki były białe jak kreda, oczy błyszczały jak w gorączce. Spojrzał na Pickrofta, jakby go nie poznawał; ten zdumieniem na twarzy zaświadczał, że nigdy jeszcze w tym stanie nie widział swego zwierzchnika.

– Pan jest chory, panie Pinner? – zapytał go.

– Tak jest, słabo mi trochę – odrzekł Pinner, starając się zapanować nad sobą. – Kim są ci panowie, których pan przyprowadził ze sobą?

– Jeden z nich to pan Harren z Bermonthey, drugi – pan Price z Birmingham – rzekł Pickroft, nie zmieszany. – Są to moi przyjaciele, chwilowo bez zajęcia; mają nadzieję, że może pan ich zatrudni.

– Być może! – rzeki już raźniej Pinner, zmuszając się do uśmiechu. – Bez wątpienia znajdziemy coś dla panów. Jakie są pańskie kwalifikacje, panie Harren?

– Jestem buchalterem – odrzekł Holmes.

– Naturalnie, że coś znajdziemy. A pańskie, panie Price?

– Byłem urzędnikiem w biurze – odrzekłem.

– Bardzo możliwe, że przyjmę panów do siebie. Dam panom znać, jak tylko sprawy uregulują się nieco. A teraz, proszę panów, zostawcie mnie w spokoju! Na Boga, zaklinam panów! Słowa te wyrwały mu się jakby niechcący z gardła. Ja i Holmes spojrzeliśmy na siebie, Pickroft zbliżył się do stołu.

– Pan zapomniał widocznie, panie Pinner, że kazał mi pan przyjść o tej porze.

– Ależ nie! Skądże znowu! Pamiętam dobrze – rzekł spokojnie. – Proszę, niech pan chwilkę zaczeka. Pańscy przyjaciele, jeżeli pragną, mogą także tu zaczekać. Za trzy minuty służę panom.

Wstał, ukłonił nam się grzecznie i zniknął w drzwiach, prowadzących do sąsiedniego pokoju.

– Co teraz? – zapytał Holmes szeptem. – Jeszcze, co nie daj Boże, czmychnie nam.

– Co to, to nie! – rzekł Pickroft.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Te drzwi prowadzą do bocznego pokoju.

– Nie ma tam wyjścia?

– Nie.

– Tamten pokój jest umeblowany?

– Do wczorajszego dnia był pusty.

– Cóż więc on w nim robi? Nie mogę zrozumieć. Jeżeli doznał ktoś kiedykolwiek uczucia przerażenia, to z całą pewnością on, Pinner. Czego się tak przeraził?

– Wziął nas za agentów policyjnych – zrobiłem przypuszczenie.

– Tak, na pewno! – potwierdził Pickroft. Holmes pokręcił głową.

– Nie! On był już przed tym blady, zanim weszliśmy do pokoju – rzekł. – Bardzo być może, że to...

Słowa te zostały przerwane przez łoskot, dobiegający z sąsiedniego pokoju.

– Co to, on do własnych drzwi puka? – zawołał Pickroft.

Znów rozległo się stuknięcie, raz i drugi. Patrzyliśmy zdziwieni w stronę drzwi.

Spojrząwszy na Holmesa, spostrzegłem, że twarz jego nagle pobladła i aż chwycił za stół, żeby nie upaść. Jednocześnie z tajemniczego pokoju rozległ się jakiś dziki, schrypnięty głos i coś runęło na ziemię. Holmes jednym skokiem był już u drzwi i pchnął je. Były od wewnątrz

zamknięte. Za jego przykładem obaj napaarliśmy na nie całym ciężarem. Jeden zawór ustąpił, potem drugi, wreszcie drzwi otworzyły się z trzaskiem. Wpadliśmy do pokoju.

Był pusty.

Tak zdawało nam się tylko na pierwszy rzut oka. W kącie, naprzeciwko, były jeszcze drugie drzwi. Holmes pchnął je do środka. Surdut i kamizelka leżały na ziemi, a na haku, za drzwiami, na własnych szelkach wisiał główny dyrektor Towarzystwa Śródziemno–Francusko–Harwardzkiego. Kolana miał podgięte, głowa zwisała, a obcasy butów dotykały drzwi. To był powód hałasu, który słyszeliśmy z przyległego pokoju. Chwyćłem wisielca wpół i uniosłem do góry, Holmes i Pickroft pospiesznie zdejmowali pętlę. W niespełną minutę nieśliśmy go już do pierwszego pokoju, gdzie położyliśmy na stole.

– Co o tym sądzisz, Watsonie – zapytał Holmes. Pochyliłem się nad bezwładnym człowiekiem i zbadałem go uważnie. Puls jeszcze się kołatał słabo i nierówno, oddech był ledwo dostrzegalny; pod powiekami, które się z lekka otworzyły, szkiło się białko oka.

– Omal się nie wykończył – rzekłem – jeszcze chwilka i byłoby po nim. Będzie żył. Otwórzcie panowie okno i dajcie mi karafkę z wodą.

Rozpiąłem mu kołnierz, prysnąłem wodą na twarz i przez długi czas starałem się wywołać pełniejszy oddech.

– Teraz to już tylko kwestia czasu – stwierdziłem, odstępując od leżącego.

Holmes stał przy stole z rękoma w kieszeniach, z pochyloną głową.

– Powinniśmy zawiadomić policję – rzekł po chwili – wcześniej jednak chciałbym rzecz wyjaśnić.

– Nic a nic z tego nie rozumiem – rzekł Pickroft, potrząsając głową – po co sprowadzali mnie tutaj i wplątywali w jakąś dziwną kabałę?

– A dla mnie to wszystko bardzo jasne – odrzekł Holmes. – Jednego tylko nie pojmuję; co go popchnęło do targnięcia się na własne życie?

– Jak to? Więc reszta jest dla pana całkiem zrozumiała?

– Przypuszczam, że tak. A ty co powiesz o tym, Watsonie?

Wzruszyłem ramionami.

– Jedno tylko mogę powiedzieć – odrzekłem – że nic a nic nie rozumiem.

– Jeżeli zastanowisz się trochę, dojdiesz do wniosku, że wszystko zdąża do jednego celu.

– Ale – do jakiego?

– Cała rzecz opiera się na dwu głównych punktach. Pierwszy: zmuszenie Pickrofta do napisania deklaracji, że pragnie objąć posadę w fikcyjnym Towarzystwie Śródziemno–Francusko–Harwardzkim. Czyż nie domyślasz się, na co im to było potrzebne?

– Przyznam ci się, że nic jeszcze nie rozumiem.

–Ależ to jasne. Tego rodzaju umowy zawiera się zazwyczaj ustnie, nie było żadnej racji

wyłamywać się z ogólnie przyjętego zwyczaju. A więc potrzebny im był charakter pańskiego pisma, panie Pickroft! Ot i wszystko.

– Ale do czego?

– Do czego! To także nietrudne do rozwiązania. Widocznie ktoś zapragnął podszyć się pod pańskie pismo i dlatego był mu niezbędny wzór. A teraz przejdziemy do drugiego punktu. Polega on na tym, że Pinner domagał się usilnie, żeby pan nie zawiadamiał Mawsona o odmowie przyjęcia posady, czyli – żeby zarządzający Mawsona pozostał przekonany, że w poniedziałek zgłosi się do pracy nowy urzędnik – Holl Pickroft.

– Boże! – wykrzyknął Pickroft – jakże byłem naiwny! jak można było dać się tak wywieść w pole!

– Teraz, jak pan widzi, wyjaśnia się, po co był potrzebny wzór, pańskiego pisma. Niech pan sobie wyobrazi, że zamiast pana obejmuje tę posadę ktoś inny, kto pisze inaczej niż pan; rzecz prosta, iż oszustwo od razu by się wykryło. Tymczasem ów „ktoś” przestudiował pański charakter pisma i czuł się zupełnie bezpieczny, przypuszczam bowiem, że nikt u Mawsona nigdy nie widział pana.

– Żywa dusza mnie tam nie zna – jęknął Pickroft.

– A widzi pan! Następnie ważną rzeczą było usunięcie pana jak można najdalej, żeby pan przypadkiem nie dowiedział się... o swym urzędowaniu u Mawsona. Dano panu w tym celu ów awans i posłano tutaj, gdzie natychmiast opatrzone morderczą robotą, żeby zapobiec ochocie wyjazdu do Londynu, która mogłaby się przy mniejszej pracy nadarzyć. Czy to nie jasne?

– Po co więc jegomość grał rolę swego brata?

– I to oczywiście. Najwidoczniej – jest ich dwóch. Jeden z nich gra obecnie pańską rolę urzędnika w biurze Mawsona. Drugi grał rolę pańskiego protektora. Ponieważ jednak potrzebna jest i trzecia osoba, a obcy człowiek w tej spółce nie byłby pożądanym, zmienił więc swoją powierzchowność, licząc na to, że podobieństwo rodzinne dwóch braci nie będzie pana raziło. I rzeczywiście, gdyby nie ten charakterystyczny ząb, nie zrodziłoby się w panu podejrzenie.

Holl Pickroft załamał ręce z rozpaczy.

– Boże! – wykrzyknął – lecz co ten drugi Pickroft robił u Mawsona? Co począć, panie Holmes, by w porę zapobiec nieszczęściu?

– Trzeba zatelegrafować do Mawsona.

– W soboty kończą pracę o 12.

– Nic nie szkodzi. Może będzie tam jakiś woźny lub strażnik.

– Naturalnie! Przecież musi być dyżurujący: mają przecież kosztowności w skarbcu.

– A więc tak! Zatelegrafujemy do nich z zapytaniem, czy wszystko w porządku i czy pra-

cuje u nich urzędnik z takim jak pańskie nazwiskiem. Wszystko to bardzo proste, ale czegoś nie pojmuję; dlaczego jeden z tych łotrów, zobaczywszy nas, poszedł i powiesił się.

– Gazeta! – wykrztusił naraz ktoś za nami. Był to Pinner, który odzyskał przytomność; uniósł się i usiadł, zataczając dokoła błędnymi jeszcze oczyma i obmacując rękoma swą szyję.

– Gazeta! Ależ naturalnie, że gazeta – zawołał Holmes. – Ależ idiota ze mnie! Zapomniałem całkiem o gazecie, a przecież najpierw w niej należało szukać przyczyn tego kroku.

Porwał gazetę ze stołu i mimowolny krzyk wyrwał mu się z piersi.

– Patrz no, Watsonie! Wieczorne wydanie „Evening Standard”. Wszystko, czego nam potrzeba. Czytaj. „Zbrodnia w City. Zabójstwo u Mawsona i Williamsa. Usiłowanie grabieży; ujęcie zbrodniarza”. Bądź łaskaw, Watsonie, przeczytaj to nam głośno.

„Usiłowanie rabunku wraz z zabójstwem, zakończone ujęciem zbrodniarza, poruszyło dzisiaj całą dzielnicę. Parę tygodni temu do firmy Mawson i Williams zostały złożone na przechowanie kosztowności o wartości około miliona funtów. W tym celu zakupiono specjalne kasy pancerne najnowszego typu, a w gmachu dniem i nocą dyżurował policjant. Tydzień temu przyjęto do pracy nowego urzędnika, nazwiskiem Pickroft. Okazało się, że pod to nazwisko podszył się dobrze znany policji zbrodniarz i rabuś, Beddington, który razem ze swym bratem zbiegł z więzienia. Jakimś sposobem udało mu się podszyć pod nazwisko Pickroft i wejść w kręgi pracujących u Mawsona, z czego wkrótce skorzystał, robiąc woskowe odciski zamków i kluczy, by następnie dostać się do kas pancernych.

W sobotę biuro Mawsona zakończyło pracę o 12 w południe. Dlatego sierżant Tuzan, stróżujący przed gmachem, był nieco zdziwiony, ujrzawszy jegomościa, wychodzącego z kantoru z workiem podróznym w rękę. Tknięty jakimś przeczuciem, udał się za nim i przy pomocy drugiego policjanta aresztował go, pomimo gwałtownego oporu ze strony złoczyńcy. W torbie znaleziono wiele papierów wartościowych i cały stos banknotów.

Zrewidowawszy następnie kantor, policjanci znaleźli związane ciało stróża, wciśnięte do kasy ogniotrwałej. Gdyby nie domyślność i czujność policjanta, zbrodnia nie zostałaby wykryta aż do poniedziałku. Po zakończeniu pracy Beddington powrócił pod jakimś pozorem do kantoru, zabił stróża i dopuścił się kradzieży. Jego brat, zazwyczaj operujący z nim w spółce, dotychczas nie został wykryty, pomimo energicznego pościgu.”

– Co do tego, pomożemy nieco policji – rzekł Holmes, wskazując na złoczyńcę, wciąż jeszcze siedzącego w dawnej pozycji.

– Dziwny to twór – człowiek, prawda, Watsonie? Nawet łotr i zabójca może wzbudzić w swym bracie tyle przywiązania, że ten na wieść o jego ujęciu z rozpaczą targnie się na swe życie. Nie mamy tu już nic więcej do roboty. Ja i doktor zostaniemy na straży, a pan, panie Pickroft, zbiegnie na dół i sprowadzi policję.

Rozdział 4

Stały pacjent

Był dżdżysty dzień wrześniowy. Rolety w naszym pokoju do połowy zasłaniały okno. Holmes leżał zwinięty na kanapie i po raz kolejny odczytywał list, który otrzymał rano. Od upału prawie omdlewał. Ja czułem się znacznie rzeświejszy, a to dzięki mej kilkuletniej służbie w Indiach – przyzwyczailem się tam do jeszcze większej spiekoty. Gazeta, którą czytałem, była mało ciekawa – parlament miał wakacje. Znajomi się rozjechali, a mnie po prostu ciągnęło gdzieś do lasu czy nad morski brzeg. Sprawy finansowe tak się jednak ułożyły, że urzeczywistnienie tego marzenia musiałem odłożyć na przyszłość. Co się tyczy mego towarzysza, nie nęciły go ani las, ani woda; lubił leżeć u siebie w domu, czuć się częścią gwarnej pięciomilionowej ludności i rozwiązywać jakieś tajemnicze, zagmatwane sprawy. Umiłowanie przyrody było dlań rzeczą obcą; miasto opuszczał tylko wtedy, kiedy złoczyńca jako teren działania przekładał wieś nad miejskie mury.

Widząc, że Holmes nie kwapi się do rozmowy, odrzuciłem natrętą gazetę, wtuliłem się głębiej w fotel i dałem folgę myślom. Naraz obudził mnie z zadumy głos mego przyjaciela.

– Masz rację, Watsonie – rzekł – nierozsądnie jest w ten sposób załatwiać sprawy.

– Nierozsądnie! – zawołałem i aż wstałem z podziwu, tymi bowiem słowami wypowiedział głośno to, co myślałem w tej chwili po cichu.

– Cóż to takiego, mój drogi? Wiesz, to już przechodzi wszelkie granice wyobraźni.

Holmes roześmiał się, widząc moje zdumienie.

– Czy pamiętasz? Niedawno czytałem ci jeden z utworów Poego, w którym subtelny obserwator i myśliciel śledził ruch myśli swego towarzysza, chociaż ów nie wypowiadał ich na głos. Śmiałeś się wtedy z tego i nazywałeś to fantazją literacką. A gdym ci oświadczył, iż zazwyczaj trzymam się tej samej zasady obserwacyjnej, zwątpiłeś w słuszność moich słów.

– Cóż znowu!

– Tak jest, Watsonie! Nie powiedziałaś mi tego otwarcie, lecz wyczytałem to wyraźnie z twoich oczu. Gdy spostrzegłem obecnie, że odrzuciłeś gazetę i pogąrzyłeś się w zadumie,

byłem wielce rad, że mogłem śledzić bieg twoich myśli i uwagą w porę dać ci dowód, że się nie chełpiłem bez podstaw.

Jednak to oświadczenie nie usatysfakcjonowało mnie w pełni.

– W utworze, który mi wówczas czytałeś – rzekłem – obserwator wyprowadził wnioski z czynności człowieka, któremu towarzyszył; o ile pamiętam, ów potknął się o stos kamieni, spojrzął do góry w gwiazdy itp. Ja zaś siedziałem całkiem bez ruchu w fotelu, skąd więc miałeś przesłanki do wniosków?

– Jesteś niesprawiedliwy względem siebie. Rysy twarzy wybornie zdradzają myśli człowieka, a ty pod tym względem jesteś okazem doskonałym.

– Chcesz przez to powiedzieć, że odgadłeś moje myśli z rysów i wyrazu twarzy?

– Nie inaczej; osobliwie zaś z wyrazu twych oczu. Prawdopodobnie sam już nie pamiętasz, o czym myślałeś na początku?

– Nie pamiętam, rzeczywiście.

– A więc ci powiem. Odrzuciwszy gazetę – a ruch ten, muszę ci powiedzieć, zwrócił moją uwagę i popchnął do obserwacji – siedziałeś z pół minuty, nie myśląc o niczym. Następnie twoje oczy zatrzymały się na wizerunku generała Gordona, który niedawno oprawiłeś w ramkę; wtedy rozpoczął się bieg myśli. Nie trwało to długo. Wkrótce spojrzaleś na wizerunek Henryka Beechera, który bez ramki stoi na książkach. Potem na ścianę i wyraźnie błysnęła ci w głowie myśl, że gdyby portret Beechera był w ramce, doskonale pasowałby na ścianie do portretu generała Gordona.

– Nadzwyczajnie! – wykrzyknąłem. – Dotychczas nie chybiłeś ani na jotę.

– Dotychczas trudno by nawet chybić. Następnie myśli twoje zwróciły się ku Beecherowi; wpatrzyłeś się uporczywie w jego wizerunek, jakby studiując te rysy; potem się zamyśliłeś. Przypomniałeś sobie szczegóły z jego czynnego życia. Byłem pewny, że nie możesz sobie przypomnieć misji, jaką wziął na siebie podczas wojny domowej. Potem zauważyłem, że przestałeś patrzeć na portret; miałem podejrzenie, żeś się zamyślił o losach tej wojny. Twe usta zacisnęły się, oczy rozbłysły – na pewno pomyślałeś o męstwie, jakie obie strony okazywały w tej rozpaczliwej walce. Potem jednak twoja twarz posmutniała, pokiwałeś głową, przyszła ci na myśl cała bezsensowna strata ludzkich sił i energii. Ręka mimo woli spoczęła na twojej dawnej ranie, a ledwie dostrzegalny uśmiech zakwitł w kącikach ust. Dało mi to powód do myślenia, że ten sposób załatwiania problemów międzynarodowych wydał ci się absolutnie nierozsądny. Nie mogłem nie zgodzić się z tobą; rad jestem, że moje spostrzeżenia sprawdziły się w całości.

– Od a do z; są najzupełniej słuszne – rzekłem na to – i teraz muszę wyznać ci otwarcie, że jestem wprost zbity z tropu twą przenikliwością.

– Cóż znowu! To drobiazg i nie byłbym nawet zaprzętał twojej uwagi, gdybyś parę dni te-

mu nie powątpiewał w taką możliwość. No, ale zdaje się, że się nieco ochłodziło. Może byśmy się przeszli trochę?

Sprzykrzyło mi się siedzieć w domu i chętnie zgodziłem się na przechadzkę. Chodziliśmy blisko trzy godziny po mieście, podczas których dowcipne uwagi Holmesa i jego dar spostrzegania rzeczy nowych i ciekawych budziły we mnie niekłamany zachwyty. Wróciliśmy koło dziesiątej wieczorem. Przed naszym domem stał powóz.

– Aha! widocznie jakiś doktor – zauważył Holmes – praktyka nowa, lecz dosyć już częsta. Przyjechał, zdaje się, po poradę do nas; dobrze, że na czas wróciliśmy.

Byłem już dostatecznie obznajmiony z metodami Holmesa, mogłem bez trudu śledzić bieg jego myśli, toteż, obejrzawszy uważnie wnętrze karety, dostrzegłem w nim pudełko z narzędziami, na które padał blask latarni; dało to najwidoczniej Holmesowi podstawę do sformułowania powyższych uwag. Nasze oświetlone okna, informowały z kolei o wizycie i czekających na nas gościach. Co też mogło sprowadzić o tak późnej porze nieznanego kolegę – zastanawiałem się idąc po schodach z Holmesem.

Gdy weszliśmy, podszedł ku nam jegomość blady, wysokiego wzrostu, z jasnym zarostem.

Mógł mieć lat trzydzieści kilka; chorowita cera i zmęczony wygląd wskazywały wyraźnie, iż miał burzliwą młodość. Ruchy i zachowanie się były skromne, a wąska biała ręka, którą wsparł na kominku, zdradzała raczej artystę niżli lekarza. Ubrany był skromnie, lecz wykwintnie; jedynie krawat urozmaicał barwną plamą całość obycia.

– Witam doktora – rzekł Holmes uprzejmie – rad jestem, że niedługo czekał pan na nas.

– Pytał pan o to stangreta? – zapytał zdziwiony.

– Skądże znowu! Poznałem to po świecy, która stoi na stole. Proszę, niech pan siada i powie, czym możemy służyć.

– Pozwolicie, panowie, że się im przedstawię: jestem doktor Percy Travellan, mieszkam na Brook Street 403.

– Czy to pan jest autorem rozprawy o nieznanach chorobach nerwowych? – zapytałem.

Jego blada twarz spłonęła radością na wieść, że znam jego pracę.

– Tak rzadko zdarza mi się coś usłyszeć o mojej pracy – rzekł.

– Wydawca zapewnia mnie, że książka źle się sprzedaje. Zapewne pan sam jest lekarzem?

– Tak. Jestem dymisjonowanym lekarzem wojskowym.

– Choroby nerwowe zawsze były moją specjalnością. Niestety, w życiu zazwyczaj najtrudniej poświęcić się temu, na co ma się szczególną ochotę. Nie ma to jednak nic do rzeczy, a wiem dobrze, panie Holmes, że pański czas jest drogi. Chodzi więc o to, że w moim domu na Brook Street dzieją się rzeczy nader dziwne, a dzisiaj do tego stopnia zmieniły się na gorsze, że postanowiłem przyjść do pana po radę.

Holmes usadowił się i zapalił fajkę.

– Słucham pana – rzekł – proszę, niech pan opowie ze wszystkimi szczegółami, co wywołuje pański niepokój.

– Mam właśnie pewne skrupuły – rzekł doktor Travellan – niektóre fakty są mało znaczące, aż wstyd mi je przytaczać. Ponieważ jednak cała sprawa przybrała nadto dziwny obrót i stała się dla mnie niezrozumiała, nie będę się wahał przedstawić najdrobniejszych szczegółów; sam pan oceni, czy są ważne, czy bez znaczenia.

Najpierw muszę zacząć od własnych losów. Skończyłem uniwersytet w Londynie i sądzę, że nie weźmiecie mi tego panowie za przechwałkę, gdy powiem, że profesorowie pokładali we mnie ogromne nadzieje. Po skończeniu nauk poświęciłem się licznym badaniom i mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że moja praca o patologii budziła w świecie naukowym wiele żywego zainteresowania. Do tej epoki zalicza się również moja praca z dziedziny nerwów, o której wspomniał kolega. Wszyscy mi wróżyli świetną przyszłość.

Niestety, na mojej drodze stanęła poważna przeszkoda – pusty portfel. Wiecie o tym panowie, że specjalista, pragnący zdobyć rozgłos i praktykę, musi się odpowiednio „urządzić”, tj. zamieszkać w odpowiedniej dzielnicy, sprawić meble, trzymać służbę etc. etc. Musi mieć także powóz i konie, nadto zasób pieniędzy na pierwszy okres, zanim zyska rozgłos. Na to wszystko nie miałem funduszków, mało tego, mogłem na nie liczyć dopiero po dziesięciu latach wielkich oszczędności. Naraz niespodziewanie odkryły się przede mną całkiem nowe widoki.

Stało się to w następujący sposób. Pewnego dnia zgłosił się do mnie jegomość, którego przedtem nie znałem, a który przedstawił mi się jako Blessington. Wszedłszy do mieszkania, od razu przystąpił do rzeczy.

Czy pan Percy Travellan, który otrzymał niedawno wielką nagrodę konkursową za swoją pracę? – zapytał.

Skłoniłem się w odpowiedzi.

– Powiedz mi pan otwarcie – ciągnął dalej – leży to bowiem w pańskim interesie; czy jest pan równie taktowny jak uczoney?

Musiałem roześmiać się na to dziwne pytanie.

– Przypuszczam, że w tym względzie nie jestem gorszy od innych – odrzekłem.

– No, a co się tyczy kieliszka, jakże tam?

– Ależ, panie! – oburzyłem się.

– Niech się pan nie gniewa! To są bardzo ważne dla mnie wiadomości. No, mając takie zalety, dlaczego nie ma pan praktyki? Wzruszyłem ramionami.

– No, dobrze – rzekł mój gość tonem uspokajającym. – Stara historia, wiemy o tym. Ma pan więcej w głowie, niż w kieszeni, oto wszystko, prawda? Co by pan jednak powiedział, gdybym pomógł panu urządzić się jak należy, chociażby tu, na Brook Street?

Patrzyłem na niego ze zdumieniem.

– O, robię to jedynie dla swojej korzyści, nie dla pańskiej – rzekł.

– Będę z panem zupełnie szczery, jeżeli się pan zgodzi na moją propozycję, na pewno wyjdę na tym dobrze. Mam kilka zbywających tysięcy, dlaczego nie miałbym ich wykorzystać?

– Lecz w jaki sposób?

– Po prostu, wydałbym je na pana, by potem odzyskać z procentem; jest to spekulacja jak każda inna, przy tym niewątpliwie pewna.

– Cóż ja jednak muszę uczynić w tej sprawie?

– Wszystko panu powiem, proszę posłuchać. Znajdę lokal, umebluję go, najmę służbę i będęłożył na wszystkie pana potrzeby. Pan będzie przyjmował chorych, leczył, nic więcej. Będę nawet dawał kwoty na pańskie przyjemności. A za to wszystko pan mi będzie oddawał trzy czwarte całego zarobku, jedną czwartą pozostawiając dla siebie. Taką oto propozycję złożył mi ów pan Blessington. Nie będę trudił panów opisem naszych pertraktacji i umów, powiem jedynie, że ostatecznym ich rezultatem było moje przeniesienie się nazajutrz do nowego lokalu, gdzie wszystko, tak jak rzekł, zostało urządzone. Sam też zamieszkał ze mną w charakterze „stałego pacjenta”. Miał wadę serca i widocznie potrzebował stałego dozoru lekarskiego. Zajął dwa najlepsze pokoje w lokalu, jeden na sypialnię, drugi na salon. Życie wiódł nadzwyczaj dziwaczne, unikał ludzi i nigdzie nie wychodził; tylko w jednej sprawie był niezmiernie akuratywny: każdego wieczoru, o tej samej porze zjawiał się w moim gabinecie. Przeglądał książkę rachunkową, oddawał mi czwartą część każdej gwinei, a resztę zanosił do swojego pokoju i chował do kasy pancernej.

Z całą pewnością mogę rzec, iż nie musiał żałować swojego pomysłu, związanego z moją osobą. Od samego początku zyskałem powodzenie. Kilka szczęśliwych przypadków i rozgłos, jaki im towarzyszył, wysunęły mnie od razu na czoło; w ciągu ostatnich dwóch lat, dzięki mnie, stał się człowiekiem bogatym.

Opowiedziałem już panom całą moją przeszłość i mój stosunek do pana Blessingtona. Teraz pozostaje mi wyjaśnić, dlaczego zgłosiłem się dziś do pana, panie Holmes.

Kilka dni temu zjawiał się u mnie Blessington niezmiernie wzburzony i poirytowany. Opowiedział mi o rabunku, jakiego dopuszczono się w dzielnicy West End. Był przerażony; twierdził, że zaraz nazajutrz każe sporządzić podwójne zasuwki do drzwi i okien naszego mieszkania. Przez cały tydzień był silnie podniecony, wciąż wyglądał przez okno, jakby kogoś z obawą wypatrując. Przestał nawet wychodzić na zwykły spacer, który odbywał przed obiadem. Widząc jego wzburzenie, wywnioskowałem, że boi się czegoś lub kogoś, kiedy jednak zagadnąłem go o to, tak się rozgniewał, że musiałem zaniechać dalszych pytań. Powoli, w

miarę jak czas upływał, jego rozdrażnienie mijało, aż wreszcie wrócił do zwykłego trybu życia. Naraz zdarzył się wypadek, który wprowadził go w rozpacz.

Było tak: dwa dni temu otrzymałem list. List był bez daty i bez podpisu. Brzmiał następująco:

„Rosjanin szlacheckiego pochodzenia, aktualnie mieszkający w Anglii, pragnie zasięgnąć porady doktora Travellana, cierpi bowiem od wielu lat na ataki kataleptyczne, a w tej dziedzinie – jak wiadomo – doktor Travellan jest autorytetem. Jeśli nie robi to różnicy szanownemu doktorowi, pacjent zgłosi się jutro kwadrans po szóstej wieczór”.

List ten bardzo mnie zaciekał. Katalepsja zdarza się rzadko. Zrozumiałe, że o oznaczonej porze byłem w domu, czekając na pacjenta.

Był to niemłody już jegomość, szczupły, wysoki, wyglądu całkiem pospolitego. Natomiast jego towarzysz po prostu olśnił mnie swą powierzchownością. Proszę sobie wyobrazić młodzieńca, z niezmiernie piękną twarzą i z ciałem Herkulesa. Podtrzymywał chorego i pomógł mu dojść do krzesła, okazywał przy tym tyle tkliwości i słodyczy, że wprost nie licowało to z jego męską postawą.

– Niech pan wybaczy nam nasze najście, doktorze – rzekł po angielsku z ledwie dostrzegalnym obcym akcentem – ale to mój ojciec i bardzo się niepokoję jego stanem zdrowia.

Byłem wprost wzruszony taką czułością.

– Może pan zechce być obecnym przy naszej konsultacji? – zapytałem go.

– Za nic na świecie! – wykrzyknął przestraszony. – Za wiele by to mnie kosztowało. Gdybym zobaczył kiedyś mego ojca w chwili ataku, ręczę, że tego bym nie przeżył. Moje nerwy i tak są już stargane. Jeżeli doktor pozwoli, poczekam w poczekalni.

Naturalnie, zgodziłem się na to i młodzieniec wyszedł z pokoju.

Zająłem się szczegółowym badaniem chorego, robiąc rutynowe notatki. Nie odznaczał się wielką inteligencją i dawał czasami odpowiedzi niejasne, niedokładne, co zresztą kładłem na karb jego nieznamości języka.

Naraz przestał odpowiadać na moje pytania, wyprężył się na krześle i utkwiał we mnie nieruchomy, szklany wzrok. Oczywiście, zaczął się atak choroby.

Pierwszym moim uczuciem był strach i litość, drugim zawodowa satysfakcja, pasja. Zanotowałem tętno i ciepłość chorego, zbadałem jego skostniałe kończyny i wypróbowałem ich sprawność pod względem odruchów. W tym wypadku wszystko przebiegało podobnie jak w wielu innych, których byłem świadkiem. Stosowałem zawsze jeden, znakomicie działający środek. Butelka z lekarstwem była w mej pracowni na dole, zostawiłem więc chorego i zbiegłem na dół. Nie mogłem jej natychmiast znaleźć, upłynęło więc parę minut, zanim wróciłem na górę. Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy wszedłszy do gabinetu, nie znalazłem w nim chorego. Pokój był pusty.

Natychmiast wpadłem do poczekalni. Syn także zniknął. Drzwi do przedpokoju były przytknięte, lecz nie zatrzaśnięte. Niedawno przyjęty lokaj nie odznaczał się sprytem. Siedział zazwyczaj na dole i wezwany moim dzwonkiem przybywał, by odprawić chorego. Tym razem nic, jak powiada, nie słyszał; wypadek pozostał zagadką. Pan Blessington powrócił wkrótce z przechadzki, nic mu jednak nie wspomniałem o tajemniczym zdarzeniu – ostatnimi czasy starałem się mieć z nim jak najmniej do czynienia.

Myślałem, rzecz prosta, że już nigdy nie ujrzę mego pacjenta, ani jego syna, toteż proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy dzisiaj o tej samej porze ujrzałem ich obydwu, wchodzących do mego gabinetu.

– Muszę bardzo pana przeprosić, doktorze, za to raptowne zniknięcie – rozpoczął ojciec.

– Istotnie, wyznaję, że byłem bardzo zdziwiony – powiedziałem.

– Cała rzecz w tym, że kiedy wracam po ataku do przytomności, to nie pamiętam, co zdarzyło się wcześniej. Ocknąłem się naraz w nieznanym mi pokoju, jak we śnie wyszedłem z domu i znalazłem się, sam nie wiedząc kiedy, na ulicy.

– Ja zaś – wtrącił syn – widząc, że ojciec wychodzi od pana, mniemałem, że konsultacja skończona; pojechaliśmy więc do domu i dopiero tam wyjaśniło się to nieporozumienie.

– No, nic się złego nie stało – rzekłem śmiejąc się – chociaż wyznaję panom, że byłem wielce zdziwiony. Jeżeli pan sobie życzy, możemy obecnie kontynuować nasze badanie, wtedy tak niefortunnie przerwane.

Dobre pół godziny wypytywałem chorego aż wreszcie zapisałem mu lekarstwa i oddałem go pod opiekę syna; wyszli obydwaj, trzymając się pod rękę.

Mówiłem już panom, że o tej porze Blessington wychodzi zawsze na przechadzkę. Wkrótce po wyjściu tej pary powrócił i udał się do siebie na górę. Po minucie usłyszałem, że jak wariat pędzi po schodach wprost do mnie.

– Kto był w moim pokoju? – krzyczał, odchodząc prawie od zmysłów.

– Nikt – odrzekłem.

– Kłamstwo! Idź pan i zobacz!

Nie zwracałem uwagi na jego obelżywy ton, wiedziałem, że jest zgoła niepoczytalny. Gdy szliśmy na górę, pokazał mi wyraźne ślady na dywanie.

– To moje ślady według pana? – wrzeszczał jak opętany. Istotnie, nie mogły to być jego ślady; były na to za duże i za świeże. Jak panom wiadomo, dziś padał deszcz; oprócz chorego z synem nikt inny nie przychodził. Najwidoczniej młodzieniec ów, oczekujący w poczekalni, z niewiadomych mi powodów udał się na górę, gdy badałem jego ojca. Nic nie było ruszone, wszystko stało na swym miejscu, jednak pobyt obcej osoby nie budził wątpliwości. Pan Blessington był tym tak wzburzony, że wprawił mnie w kłopot; prawdę powiedziawszy, każdy by się tym przejął. Siedział w fotelu i płakał spazmatycznie; z trudem udało mi się go

uspokoić. Na jego nalegania przyszedłem do panów po radę, chociaż, mówiąc otwarcie, jestem zdania, że zanadto wyolbrzymia znaczenie tego wypadku. Jeżeli panowie udacie się ze mną, przynajmniej uspokoić go nieco, wątpię bowiem, czy uda się wyjaśnić to zagadkowe zdarzenie.

Holmes słuchał tego opowiadania z tak natężoną uwagą, że od razu spostrzegłem, iż rzecz ma dla niego niezwykłą wagę. Jego twarz, jak zawsze, była obojętna, powieki przysłoniły oczy, a z fajki sączył się coraz gęstszy dym. Gdy nasz gość skończył, Holmes powstał milcząc, wziął swój kapelusz, podał mi mój i wraz z doktorem Travellanem skierował się ku drzwiom.

Po kwadransie jazdy stanęliśmy przed domem na Brook Street. Wpuścił nas lokaj i po schodach, zasłanych kobiercami, udaliśmy się na górę.

W pół drogi zatrzymała nas raptowna przeszkoda. Światło na górze zgasło niespodziewanie i w ciemności rozległ się drżący głos:

– Rewolwer! Mam rewolwer! Daję słowo, że strzełę, jeśli się kto zbliży!

– No, tego już za wiele, panie Blessington – zawołał Travellan.

– Ach, to pan doktorze? – rzekł głos z widoczną ulgą – Ci panowie, którzy są z panem, kim są?

Czuliśmy, że w ciemności ktoś nas bacznie ogląda.

– Tak, teraz wszystko w porządku – ciągnął głos dalej – proszę panów, bardzo proszę! I przepraszam za niegościnnie przyjęcie.

Zapalił światło na schodach i ujrzeliśmy przed sobą speszzonego człowieka. Był bardzo otyły, kiedyś chyba ważył jeszcze więcej, bo skóra zwisała mu na policzkach, cera była chorobliwie żółta, a rzadkie rude włosy jeżyły się na głowie ze strachu. W rękę trzymał rewolwer; na nasz widok schował go do kieszeni.

– Dobry wieczór, panie Holmes – rzekł. – Jestem panu niezmiernie zobowiązany, że zechciał pan przyjść. Potrzebna mi pańska rada. Doktor Travellan mówił już zapewne panom o tajemniczym najściu mego pokoju?

– A jakże, mówił – odrzekł Holmes. – Kim są ci dwaj panowie, panie Blessington, i dlaczego tak dokuczają panu?

– A czyja wiem! – odrzekł Blessington wzburzony.

– Chce pan powiedzieć, że nie zna powodów, dla których pana niepokoją?

– Bardzo proszę, niech panowie wejdą – tymi słowy wprowadził nas do sypialni, wielkiego i ładnie umeblowanego pokoju.

– Widzicie, panowie? O, tu! – rzekł, pokazując wielki czarny kufer w nogach łóżka. – Nigdy nie byłem tak bardzo bogaty, panie Holmes, może to zaświadczyć sam doktor Travellan. Nigdy też nie ufałem bankom. Wszystko, co mam, wyznaję to panom, mieści się w tym

kufrze; rozumiecie więc, czym jest dla mnie przeświadczenie, że obcy człowiek podczas mej nieobecności zakradł się do pokoju!

Holmes spojrzał pytająco w twarz Blessingtona i pokiwał głową.

– Radzę panu nie wyprowadzać mnie w pole – rzekł.

Przecież wszystko panu powiedziałem.

Holmes z niezadowoloną miną odwrócił się.

– Dobrej nocy, doktorze – rzekł.

– Jak to? Nie udzieli mi pan żadnej rady? – zapytał Blessington, a w jego głosie zabrzmiała nuta rozpacz.

– Mogę udzielić jednej: mówić prawdę. W minutę po tym zejściu byliśmy już na ulicy. Przeszliśmy całą Oxford Street, zanim usłyszałem słowo od mego towarzysza.

– Przepraszam cię, Watsonie, za fatygę z powodu tego cymbała – rzekł nareszcie. – Choć w gruncie rzeczy ta sprawa nie jest pozbawiona pewnej niepowszedniości.

– Nic a nic nie rozumiem – przyznałem się otwarcie.

– Chodzi o to, że dwóch czy może więcej ludzi pragnie się z jakichś im tylko znanych przyczyn dostać do Blessingtona. Nie wątpię o tym, że ów piękny młodzieniec za pierwszym i drugim razem bawił w pokoju Blessingtona, podczas gdy rzekomy ojciec pozostawał w gabinecie doktora.

– Ależ atak?

– Najzwyklejsze oszustwo, Watsonie, chociaż o tym nie napomknąłem naszemu specjalście. Bardzo jest łatwo udać tę chorobę, sam nieraz to stosowałem.

– Cóż dalej?

– Traf zdarzył, że Blessingtona nie było w domu. Wybrali tę niepospolitą godzinę na poradę, żeby w poczekalni nie było nikogo prócz nich. Nie wiedzieli, że to także godzina spaceru Blessingtona. Gdyby planowali rabunek, plan by zrealizowali. Z oczu Blessingtona odczytuję, że drży o swoją skórę. Byłoby rzeczą nieprawdopodobną, gdyby ów człowiek miał takich dwóch wrogów i nic o tym nie wiedział. Dlatego utrzymuję, że wie, kim byli ci dwaj panowie i że ukrywa to z powodu jakichś brudnych sprawek. Jutro zapewne będzie wymowniejszy.

– A czy nie przypuszczasz jeszcze jednego? Czy nie może tak być, że cała ta historia z chorym Rosjaninem i jego synem została wymyślona przez doktora Travellana, który dla jakichś celów sam bawił w pokoju Blessingtona?

Przy blasku latami spostrzegłem, że Holmes uśmiechnął się pobłaźliwie na to pytanie.

– Mój drogi! – rzekł. – Też o tym pomyślałem, ale wkrótce przekonałem się o prawdziwości słów doktora. Tajemniczy młodzieniec pozostawił ślady zarówno na dywanie, jak i na schodach. Są to ślady butów z wąskimi nosami, podczas gdy Blessington nosi buty z nosami szerszymi, zaś buty doktora są o dobry cal dłuższe, tak że co do tego nie może być żadnych

wątpliwości. Obawiam się, iż jutro rano coś się stanie na Brook Street.

Wróżba Holmesa spełniła się w sposób najbardziej dramatyczny. O pół do ósmej stał już ubrany przy moim łóżku.

– Czeka na nas powóz, Watsonie – rzekł.

– O co chodzi?

– Mamy jechać na Brook Street

– Czy się coś stało?

– Stało się coś – przypuszczam – bardzo tragicznego – rzekł, odsłaniając zasłonę.– Patrz, oto kawałek papieru, na nim słowa napisane ołówkiem: *Na miłość boską, niech pan przyjedzie jak najprędzej. P. T.* Widocznie doktor spieszył się bardzo, gdy to pisał. Jedźmy nie tracąc czasu.

W kwadrans byliśmy już u doktora; wyszedł do nas blady, z przerażoną twarzą.

– Okropność! – zawołał, trzęsąc się cały.

– Co się stało?

– Blessington odebrał sobie życie.

Holmes aż gwizdnął ze zdumienia.

– Powiesił się dzisiejszej nocy – dodał lekarz. Udaliśmy się za doktorem do poczekalni.

– Nie wiem po prostu, co robić! – powiedział, wciąż jeszcze roztrzęsionym głosem.

– Policja jest już na górze. Wszystko to ogromnie mną wstrząsnęło.

– Kiedy się pan o tym dowiedział?

– Zanoszono mu zawsze z rana filiżankę herbaty. Gdy służąca weszła o siódmej, zobaczyła go wiszącego na środku pokoju. Przywiązał sznurek do haka, na którym wisiała lampa, a potem zeskoczył z kufra, który nam wczoraj pokazywał.

Holmes stał chwilę, pogrążony głęboko w zadumie.

– Jeśli pan pozwoli – rzekł – pójdę na górę i zobaczę, co się święci.

Udaliśmy się obaj, prowadzeni przez doktora, do pokoju samobójcy.

Gdy przestąpiliśmy próg sypialni, ujrzeliśmy straszny widok. Mówiłem już, jak niekorzystne wrażenie sprawiał Blessington swą brzydota. Obecnie, gdy wisiał, wrażenie to spotęgowało się. Szyja wyciągnęła się jak u kurczęcia, całe ciało swą masą ciążyło ku dołowi. Miał na sobie jedynie nocną koszulę, spod której zwisały spuchnięte łydki i nieforemne nogi. Obok wisielca stał szykowny policjant i zapisywał coś w notesie.

– A! pan Holmes! — zawołał z uprzejmym szacunkiem – jakże się cieszę, że pana widzę.

– Witam, panie Lanner – odrzekł Holmes. – Mam nadzieję, że nie gniewa pana moja obecność. Czy już pan coś wie o wypadkach, poprzedzających to smutne wydarzenie?

– Tak jest, słyszałem coś niecoś o tym.

– Jakie jest pańskie zdanie?

– O ile mogę wnosić, człowiek ten pozbawił się życia ze strachu. Wieczorem położył się – jak pan widzi, łóżko zmięte. A nad ranem... – wie pan przecież, że największa liczba samobójstw przypada na godzinę piątą rano.

– Moim zdaniem – wtrąciłem się – człowiek ten zmarł trzy godziny temu, sądząc z zeszywnienia członków ciała.

– Czy znalazł pan coś szczególnego w pokoju? – zapytał Holmes.

– Na umywalni kilka śrub i klucz francuski. Odnalazłem także na kominku cztery niedopałki od cygar. Musiał widocznie wiele palić, zanim się położył.

– Hm! – rzekł Holmes – czy pan widział jego cygarnicę?

– Widziałem, jest w kieszeni jego surduta. Holmes wziął etui, otworzył i powąchał cygaro.

– To jest cygaro hawańskie, a te niedopałki są od cygar innych, nader szczególnego gatunku. Duńczycy importują je z kolonii indyjskich. Zawinięte są zazwyczaj w słomę i cieńsze od innych.

Holmes wziął cztery niedopałki, po czym obejrzał je uważnie.

– Dwa z nich były obcięte dosyć tępym nożem, dwa zaś odgryzione bardzo zdrowymi zębami. To nie samobójstwo, panie Lanner, to bardzo zręcznie pomyślane i wykonane zabójstwo.

– Nie może być! – wykrzyknął policjant

– Dlaczego nie może być?

– Któż zabijałby człowieka w sposób tak skomplikowany jak powieszenie?

– Tego właśnie powinniśmy się dowiedzieć.

– Lecz jak weszli złoczyńcy?

– Przez drzwi frontowe.

– Dziś z rana były zamknięte.

– Zostały zatem zamknięte wczoraj, już po ich przybyciu.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Widziałem ich ślady. Za chwilę udzielię panu dalszych objaśnień.

Zbliżył się do drzwi i począł z właściwą mu uwagą oraz sumiennością oglądać zamek. Następnie wyjął klucz, który był włożony od wewnątrz i równie bacznie go obejrzał. W ten sam sposób poddał dalszym oględzinom: trupa i sznurek, na którym ten wisiał, pościel, łóżko, krzesła, kominek, aż orzekł nareszcie, że widział już wszystko, co było potrzebne. Potem przy naszej pomocy zdjął pętlę z wisielca i zwłoki położył na łóżku.

– No, a skąd sznur? – zapytał.

– Odcięty od tego zwoju – rzekł doktor Travellan, wyciągając spod łóżka linę. – Bał się ogromnie pożaru i zawsze miał sznur przy sobie, by w razie czego spuścić się przez okno, gdyby schody płonęły.

– To im zmniejszyło trud – rzekł Holmes. – Tak, najistotniejsze fakty są niewątpliwe i nie będę sobą, jeżeli do południa nie objaśnię panom reszty. Biorę z kominka fotografię Blessingtona, może mi się przydać przy moich poszukiwaniach.

– Ale przecież nic nam pan nie powiedział! – zawołał doktor.

– Otóż – rzekł Holmes. – Było trzech wykonawców tego zabójstwa: jeden młody, drugi stary i trzeci, o którym nic jeszcze nie wiem. Dwaj pierwsi – to rzekomy Rosjanin i jego syn, nie ulega to najmniejszej wątpliwości. Wspólnik ułatwił im wejście do tego pokoju. Jeżeli mogę panu służyć radą, panie Lanner, to niech pan natychmiast aresztuje lokaja, który, jeśli się nie mylę, służy tu od niedawna.

– Niestety, gagatek gdzieś przepadł i dotychczas nie można go znaleźć – rzekł doktor Travellan. – Pokojowa i kucharka szukają go wszędzie.

Holmes wzruszył ramionami.

– W całej tej sprawie odgrywał on rolę niepoślednią – rzeki. – Wszyscy trzej wchodzili na palcach po schodach: najpierw stary, potem młody, a na końcu ów trzeci.

– A to skąd wiesz? – zawołałem.

– Ależ to przecież drobiazg rozróżnić ich ślady. Jeszcze wczoraj wieczorem przestudowałem je jak należy. Weszli tedy na schody i zbliżyli się do sypialni Blessingtona. Drzwi były zamknięte. Przy pomocy dłuta wyłamali zamek. Wszedłszy do pokoju, po pierwsze, prawdopodobnie natychmiast związali Blessingtona. On spał lub też został sparaliżowany strachem i nawet nie krzyknął. Ściany są grube, więc jego krzyku, być może, i tak by nie było słyhać.

Kiedy go już związali, prawdopodobnie zrobili coś w rodzaju narady. Być może był to swego rodzaju sąd. Ciągnął się dosyć długo, gdyż przez ten czas wypalili cztery cygara. Młody siedział, o, tam, i otrząsał popiół o róg komody; ów trzeci chodził tam i z powrotem po pokoju. Blessington siedział prawdopodobnie w łóżku, chociaż tego na pewno utrzymywać nie mogę.

Skończyło się na tym, że wywlekli go z łóżka i powiesili. Widocznie zaopatrzyli się na wszelki wypadek w rodzaj bloku czy w coś podobnego, żeby móc urządzić szubienicę, przy tym śruby i klucz do wkręcania miały służyć jako narzędzia; zobaczywszy jednak hak, porzucili na nim. Zrobiwszy swoje, wyszli po cichu, a wspólnik zamknął za nimi drzwi. Z wielką uwagą wysłuchaliśmy wszyscy precyzyjnej relacji Holmesa co do zachowania się złoczyńców podczas tej nocy. Relacji utkanej z tak drobnych włókien, że kiedy nawet je wskazywał, ledwie dało się je dojrzeć. Policjant w tej chwili udał się na poszukiwanie lokaja, a Holmes wraz ze mną wrócił na Baker Street, żeby zjeść śniadanie.

– Będę o trzeciej – rzekł, kiedyśmy już wstali od stołu. – Lanner i doktor mają mnie o tej porze oczekiwać; mam nadzieję, że uda mi się wyjaśnić resztę, która jeszcze stanowi niewiadomą. Punktualnie o trzeciej stawili się doktor i komisarz Lanner, Holmes jednakże przyszedł

dopiero kwadrans później. Z wyrazu jego twarzy domyśliłem się, że sprawa została wyjaśniona.

– Cóż tam nowego, panie Lanner?

– Złapaliśmy lokaja.

– Wybornie! A ja złapałem jego współników.

– Jak to? – wykrzyknęliśmy wszyscy razem.

– Tak jest, a przynajmniej dowiedziałem się, kim są. Ten, który się nazywał Blessington, jest dobrze znany tajnej policji; podobnie jego zabójcy. Nazywają się kolejno: Biddles, Hayward i Moffat.

– Co? – wykrzyknął Lanner: – słynna szajka ze sprawy banku Worthingtona?

– We własnych osobach – odrzekł Holmes.

– Zatem Blessington to nikt inny jak Sutton?

– Tak jest – potwierdził Holmes.

– Teraz wszystko już rozumiem – rzekł Lanner.

Travellan i ja słuchaliśmy, nic nie rozumiejąc z tych kronik policyjnych.

– Pamiętacie prawdopodobnie, panowie, głośną sprawę worthingtońskiego banku – począł Holmes – do której należało pięciu złoczyńców; piąty zwał się Cartwright. Zabili strażnika Tobina, a potem uciekli z siedmioma tysiącami funtów. To było w roku 1875. Aresztowano wszystkich pięciu, lecz nie można było przedstawić im wyraźnych dowodów. Blessington czy Sutton, jak chcecie, najpodlejszy z całej szajki, zdradził wtedy kolegów. Dzięki niemu Cartwright został powieszony, a trzech pozostali skazani na piętnaście lat ciężkich robót. Gdy już odzyskali wolność, zaczęli natychmiast szukać zdrajcy; znalazłszy go, pomścili śmierć przyjaciela. Czy jeszcze pan chce jakichś wyjaśnień, doktorze?

– Zdaje się, że już wszystko nam pan wyjaśnił – rzekł doktor. – Prawdopodobnie tego dnia, kiedy był tak wzburzony, musiał przeczytać o uwolnieniu swoich przyjaciół!

– Prawdopodobnie, a obawa rabunku była zasłoną dymną.

– Dlaczego jednak nie powiedział panu całej prawdy?

– Nie chciał zdradzić swego prawdziwego nazwiska. Tajemnica była tak haniebna, że nie miał odwagi jej wyjawić.

Oto są przygody, związane z osobą „stałego pacjenta” i doktora z Brook Street. Od tego czasu nikt nie słyszał o zabójcach Suttona; są jednak podstawy, aby przypuszczać, że byli oni pasażerami statku „Norah Creina”, który zatonął u brzegów Portugalii, kilka mil na północ od Oporto. Nikt się nie uratował.

Co się tyczy lokaja, to ponieważ poszlaki przeciw niemu były niedostateczne, w krótkim czasie został wypuszczony na wolność.

Rozdział 5

Ostatnia zagadka

Z niewymownym bólem przystępuję do opisu wypadków, w których po raz ostatni mam mówić o niezwykłym talencie mego przyjaciela Sherlocka Holmesa. Wspomnienie to, jeśli mam być szczerzy, jest dla mnie tak bolesne, że chętnie pominąłbym szczegóły fatalnego wydarzenia, które w moim życiu spowodowało pustkę nie do zapelnienia; jednak sumienie każe mi przemoc stratę osobistą i szczegółowo opisać tragiczny zgon mego przyjaciela; zmuszają mnie do tego również ogłoszone niedawno listy pułkownika Jamesa Moriarty'ego, w których ów stara się zrehabilitować pamięć swego brata. Ponieważ jestem jedynym świadkiem tego, co zaszło pomiędzy profesorem Moriartym a moim przyjacielem Holmesem, dlatego uważam za swój obowiązek ogłosić prawdę drukiem, prawdę, spaczoną niestety, przez brata zmarłego profesora.

Zaznaczyłem już, zdaje się, we wcześniejszych opowiadaniach, że po moim ożenku i podjęciu praktyki, naturalną kolejną rzeczą, moja dotychczasowa zażyłość z Holmesem znacznie się rozluźniła. Od czasu do czasu przychodził jeszcze do mnie, prosząc, bym mu towarzyszył i współdziałał w jego poszukiwaniach; zdarzało się to jednak coraz rzadziej, aż wreszcie w roku 1890 zaledwie trzy razy brałem udział w jego wyprawach. Dlatego też zdziwiłem się niezmiernie, gdy w roku 1891, 24 kwietnia wieczorem, niespodzianie zjawił się u mnie. Zauważyłem od razu, że od naszego ostatniego spotkania bardzo się zmienił, zmizerniał, wychudł.

– A tak! – rzekł w odpowiedzi na moje słowa współczucia. – Ostatnimi czasy wiele pracowałem. Nagromadziło się tego tyle, a ja, jak zwykle, nie oszczędzałem siebie. Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym zamknął okiennice?

Pokój oświetlała tylko jedna lampa, przy której siedziałem i czytałem książkę. Holmes przemknął się ukradkiem koło ściany i zamknął okiennice, uważnie umocowawszy zasuwę od wewnątrz.

– Boisz się czegoś? – zapytałem.

– Tak jest, boję się.

– Czego?

– Wystrzału z fuzji.

– Jak mam to rozumieć?

– Mam nadzieję, mój drogi, że znasz mnie na tyle, by wiedzieć, że nie jestem przesadnie nerwowy. Byłoby jednak rzeczą nierozsądną lekceważyć niebezpieczeństwo, jeżeli ono naprawdę istnieje. Daj mi, proszę, zapalną! Z widoczną przyjemnością zaciągnął się papierosem.

– Muszę cię przeprosić – rzekł po chwili – że tak późno przychodzę, a zarazem prosić cię, abyś nie miał mi za złe, że odejdę od ciebie nie jak porządni ludzie, lecz przełaząc przez parkan w ogrodzie.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zapytałem.

Wyciągnął ku mnie dłoń i przy świetle lampy ujrzałem, że dwa palce ręki były skaleczone.

– Jak widzisz, mam powód do obawy – rzekł z uśmiechem. – A czy pani Watson w domu?

– Nie, nie ma jej; pojechała z wizytą.

– Więc jesteś sam w domu?

– Najzupełniej sam.

– Tym lepiej. Przyszedłem zaproponować ci, byś za jakiś tydzień pojechał ze mną do Europy.

– Dokąd mianowicie?

– Dokąd chcesz. Wszystko mi jedno, byleby wyjechać. Było w tym coś dziwnego. Ostatnia rzecz, o jaką mógłbym podejrzewać Holmesa, to właśnie bezcelowy wyjazd, zupełnie nie leżący w jego charakterze. A do tego ta twarz – blada i zmęczona – z widocznymi oznakami nadludzkiego wręcz napięcia.

Spostrzegł moje zdumienie i, przybrawszy ulubioną pozę, w której zwykł oplatać rękoma kolana, zaczął mi objaśniać, co się święci.

– Nie słyszałeś prawdopodobnie nigdy o profesorze Moriarty? – zapytał.

– Istotnie, nie słyszałem.

– W tym właśnie tkwi jego geniusz! Człowiek ten jest sprężyną każdej zbrodni, jaka ma miejsce w Londynie, i nikt o nim nic nie wie. Gdyby mi się udało uwolnić świat od jego osoby, uważałbym, mój drogi, że doszedłem do szczytu chwały i usunąłbym się całkiem z czynnego życia. Tym bardziej że moje ostatnie poczynania w sprawie dwóch państw Skandynawii i Republiki Francuskiej na tyle zabezpieczyły mnie materialnie, że mógłbym już całkowicie poświęcić się badaniom chemicznym, które tak umiłowałem. Nie mogę jednak, zaznać spokoju, wiedząc, że taki człowiek, jak profesor Moriarty, oddycha wolnym powietrzem, przemierza swobodnie ulice Londynu!

– Cóż on takiego zrobił?

– Jego kariera jest niezwykła. Pochodzi z dobrej rodziny, starannie wychowany, obdarzony przy tym niezwykłymi zdolnościami matematycznymi. Już w dwudziestym roku życia swymi pracami w tej dziedzinie zwrócił powszechną uwagę i wkrótce otrzymał katedrę profesorską na jednym z uniwersytetów. Czekala go świetna przyszłość. Ale człowiek ten miał w sobie zbrodnicze skłonności, poszedł za ich głosem, a dzięki swym niezwykłym zdolnościom jeszcze je spotęgował. Stał się geniuszem zła. Mroczne wieści o tym rozniosły się po mieście, w którym mieszkał, tak że był zmuszony opuścić katedrę profesorską i przenieść się do Londynu. Oto wszystko, co w ogóle wiedzą o nim, ja zaś .opowiem ci, co sam na jego temat odkryłem.

Jak wiesz zapewne, mój drogi Watsonie, nikt nie jest zaznajomiony lepiej ode mnie z tym wszystkim, co się dzieje w londyńskim półświatku. Od wielu już lat podejrzewałem, iż w Londynie istnieje jakaś potężna organizacja, która działa wbrew prawu, sprawiedliwości i bierze pod swoją opiekę przestępców. Czy to znaczniejsza kradzież, czy zabójstwo, wszędzie czułem tę tajemniczą siłę, wykryłem ją w wielu przestępstwach, których nie rozwiązano, a w których wyświeltaniu brałem udział jedynie pośredni. Całymi dniami mozoliłem się nad wykryciem tej tajemnej organizacji i oto nareszcie po wielu trudach i zawodach, krok za krokiem udało mi się dojść do samego źródła tej siły i dociec, że jej głównym zbrodniczym motorem jest były profesor Moriarty.

Jest on stanowczo Napoleonem zbrodni i występku. Połowa przestępstw w stolicy, nie wyjaśnionych i nie rozwikłanych, jest dziełem jego ręki. Jest to geniusz, filozof, myśliciel, poeta. Umysłowość nadzwyczajna. Jak omotany pająk pozostaje on w środku pajęczyny; pajęczyna jednak posiada milion rozgałęzień i drgnięcie każdego z nich on zna doskonale. Osobiście nie działa. Jedynie planuje. Jego agenci są jak piasek, liczni i doskonale zorganizowani. Czy trzeba popełnić zbrodnię, czy sfalszować papiery, czy zlikwidować kogoś, kto im zawadza, donoszą o tym profesorowi; rzecz w lot zostaje obmyślona, zarządzona i wykonana. Agentów nieraz złapiają, ale na jego uwolnienie zawsze znajdują się pieniądze i pomoc, jakiej potrzeba. Tylko główna sprężyna, oś wszystkiego, siła, rządząca agentami, pozostaje poza kołem podejrzeń. To on jest organizatorem zbrodni, spoiwem wszystkich przestępstw, Watsonie. Odkryłem to i poświęciłem wszystkie siły, by go zdemaskować i zniszczyć.

Lecz profesor potrafił otoczyć się murem nieprzebytym; wszystkie moje wysiłki, by go przyłapać na gorącym uczynku i pociągnąć do odpowiedzialności, spełzły na niczym. Znasz moje zdolności, Watsonie; po trzech miesiącach wyteżonej pracy mogę ci śmiało powiedzieć, że spotkałem wreszcie godnego przeciwnika, przeciwnika, który dorównuje mi siłą intuicji i przewidywania. Często podziw dla jego geniuszu brał we mnie górę nad odrazą, jaką budziły w moim umyśle jego zbrodnie. Wreszcie zrobił maleńki błąd, błąd ledwie dostrzegalny; skorzystałem z tego, pochwyliłem nić i począłem ze swej strony oplatać go pajęczą siecią. Teraz

już mi się nie wyśliznie. Za trzy dni, a więc w przyszły poniedziałek, profesor i główni członkowie jego szajki nareszcie znajdą się w rękach sprawiedliwości. A wtedy rozpocznie się proces, największy i najciekawszy w tym stuleciu; ujawnionych zostanie około czterdziestu zbrodni i złoczyńcy zostaną powieszani. Do tego jednak czasu wszystko musi pozostać w najgłębszej tajemnicy, gdyż mogą się oni wymknąć, pomimo niezbitych dowodów.

Gdybym mógł działać w tej sprawie bez wiedzy profesora Moriarty'ego, wszystko by było w porządku. Moriarty jednak jest zanadto czujny i wie o każdym moim kroku. Nieraz już starał się wymknąć z mej sieci, ale jak dotąd umiałem temu zapobiec. Nigdy jeszcze nie natężyłem sił bardziej i nigdy jeszcze nie miałem takiego przeciwnika. Dziś rano zrobiłem ostateczne przygotowania; za trzy dni wszyscy zostaną ujęci. Siedziałem w swym pokoju i właśnie sprawę tę opracowywałem, gdy naraz drzwi się otworzyły i przede mną stanął profesor Moriarty.

Chociaż nerwy mam mocne, Watsonie, to jednak wyznaję, drgnąłem, gdy człowiek, który od dawna był celem mych działań, stanął przede mną oko w oko. Poznałem go od razu. Jest wysoki i szczupły, czoło ma nadmiernie wysunięte, oczy głęboko osadzone. Starannie wygolony, ma minę aktora, chociaż dotychczas zachował w ruchach coś profesorskiego. Plecy nieco pochylone od mozolnej pracy, a głowa zaledwie się porusza jakimś gestem złowieszczym, węzowym. Utkwił we mnie oczy i przyglądał się z wielką uwagą.

– Jesteś pan mniej odważny, niż się tego spodziewałem – rzekł wreszcie – jest rzeczą dosyć niebezpieczną trzymać w kieszeni nabity rewolwer.

Istotnie, gdy wchodził, kierowany instynktem i przeczuciem, że może mi grozić niebezpieczeństwo, odruchowo sięgnąłem po leżący na komodzie rewolwer i włożyłem go do kieszeni.

Gdy to powiedział, wyjąłem rewolwer i położyłem go przy sobie na stole. Profesor uśmiechnął się najniewinniej w świecie, lecz z wyrazu jego oczu wyczytałem, że ostrożność ta z mej strony nie była zbyteczna.

– Pan prawdopodobnie nie wie, kim jestem? – zapytał.

– Przeciwnie. Zdaje mi się, że już tego dowiodłem. Proszę, niech pan siada. Mogę panu poświęcić pięć minut, jeżeli ma mi pan coś do powiedzenia.

– Wszystko, co mam panu do powiedzenia, już pan odgadł – rzekł.

– W takim razie musiał pan też zgadnąć moją odpowiedź – odparłem.

– Nie da się tego cofnąć?

– Nie!

Sięgnął do kieszeni, a ja po rewolwer; on jednakże wyjął tylko notatnik, z którego odczytywał następujące daty:

– 4 stycznia stanął pan pierwszy raz na mojej drodze; 23 stycznia znowu mnie pan zaniepokoił; w połowie lutego zaszkodził mi pan poważnie; w końcu marca zepsuł mi pan plany, a

teraz, w końcu kwietnia, dzięki pańskim pościgom, znalazłem się w takich opałach, że mogę nawet stracić wolność. To staje się nie do zniesienia.

– Właściwie czego pan sobie życzy? – zapytałem.

– Musi pan ze wszystkiego zrezygnować, panie Holmes, mówię to poważnie.

– Dobrze, po poniedziałku! – odpowiedziałem.

– Niech pan nie żartuje! Człowiek z pańską inteligencją powinien już zrozumieć, że pozostało mu tylko jedno: wycofać się. Doprowadził pan do tego, że nie mamy wyboru, jeśli idzie o pana. A zaręczam, że, poznawszy pański niezwykły talent, z dużą przykrością sięgnąłbym do ostatecznych środków. Pan się śmieje, panie Holmes, ja jednak zapewniam pana, że mówię serio.

– Niebezpieczeństwo jest nieodłączną częścią mego powołania! – odparłem.

– My jednak nie rozmawiamy o niebezpieczeństwie, panie Holmes, lecz o niechybnej zagładzie. Stał pan na drodze nie pojedynczej osoby, lecz całej potężnej organizacji; jej zasięgu i potęgi, mimo swego intelektu, nie zdołał pan ogarnąć. Dlatego powtórzę: albo się pan wycofa, panie Holmes, albo zginie.

– Obawiam się – powiedziałem podnosząc się – że rozmowa z panem odciąga mnie od ważnych i pilnych spraw. Moriarty też powstał i smętnie pokiwał głową.

– Szkoda! – rzekł. – Zrobiłem wszystko, co mogłem. Znam pańskie szanse w najdrobniejszych szczegółach: do poniedziałku nic pan nie zrobi. Jest to pojedynek pomiędzy panem i mną, panie Holmes. Pan ma nadzieję pokonać mnie. Jednak zapewniam pana, że to się nie uda. Jeżeli coś mi się stanie, zginie pan w tej samej chwili.

– Panie Moriarty! – odpowiedziałem mu na to – powiedział pan parę komplementów o moim talencie. Proszę pozwolić powiedzieć sobie w zamian, że gdybym mógł być pewien pierwszego, bez wahania pogodziłbym się z tym drugim.

– Mogę panu przyrzec tylko to drugie – rzekł ze zjadliwym uśmiechem i wyszedł z pokoju. Taki był przebieg mojego oryginalnego spotkania z profesorem Moriartym. Wyznaję ci, że pozostawiło na mnie przykre wrażenie; ten człowiek wie, co mówi. Powiesz mi na to: dlaczego nie zwrócę się o pomoc do policji? To jednak do niczego nie doprowadzi, gdyż on pozostanie w cieniu, działać zaś będą jego agenci: przekonałem się o tym najdokładniej już dzisiaj.

– A więc nastawano już na twoje życie?

– Mój drogi! Profesor Moriarty nie należy do tych, którzy zasypiają gruszki w popiele. Wyszedłem dziś koło południa, by załatwić sprawę na Oxford Street. Zaledwie doszedłem do rogu, na zakręcie wpadł na mnie z całym impetem dwukonny powóz; zdążyłem na szczęście uskoczyć na chodnik. Powóz zniknął w jednej chwili. Nie schodziłem już z chodnika. Nie zdążyłem jednak przejść dwóch przecznic, gdy nagle spadła z dachu jednego z domów olbrzymia cegła i rozprysła się tuż koło moich nóg. Zawołałem policję i kazałem sprawdzić

dach. Okazało się, że właśnie był w naprawie, złożono więc na nim cegły do wymiany. Policjanci przekonywali mnie, że to wiatr musiał strącić jedną z nich. Chociaż wiedziałem doskonale, co się święci, nie mogłem niczego dowieść. Wziąłem fiakra i pojechałem do brata na Pall-Mall, gdzie zabawiłem cały dzień. Od niego wybrałem się do ciebie; po drodze napadł na mnie jakiś drab z nożem. Obezwładniłem go i oddałem w ręce policji, zapewniam cię jednak, że nikt nie połączy tego łotra z profesorem matematyki, który w tej chwili siedzi i obmyśla, jak mnie zgładzić. Teraz zapewne już cię nie dziwi, dlaczego po przyjsciu do ciebie koniecznie chciałem zamknąć okiennice i dlaczego prosiłem cię, byś pozwolił mi wyjść stąd przez parkan w ogrodzie.

Nieraz zachwyciałem się odwagą mego przyjaciela; nigdy jednak nie wzbudziła ona we mnie tyle szacunku co teraz, gdy z takim spokojem opisywał wypadki tego dnia, wypadki, które mogły przerazić nawet najodważniejszego.

– Przenocujesz u mnie? – spytałem.

– Nie, Watsonie! Gość ze mnie nadto niebezpieczny. Mam już gotowy plan. Tak wszystko zarządziłem, że przy aresztowaniu mogę być nieobecny; potem będę stawał tylko jako świadek. Dlatego też będzie najlepiej, jeżeli na kilkanaście dni zniknę wszystkim z oczu; policja będzie działała według moich wskazówek i w ciągłej łączności ze mną. Czuję się szczęśliwy, gdybyś zechciał mi towarzyszyć – do Europy.

– Pacjentów mam teraz niewielu – rzekłem – i mój sąsiad na pewno mnie zastąpi. Zgadzam się, jadę.

– Ale czy możesz jutro rano?

– Bez wahania, Jeśli trzeba.

– Tak! To konieczne. Dam ci instrukcję, jak masz postępować. Proszę cię, byś się jej trzymał co do joty, gdyż, jak wiesz, walczymy z największym łotrem na świecie i ze świetnie zorganizowaną bandą. Słuchaj więc. Dziś jeszcze wyślesz rzeczy na kolej przez kogoś pewnego, bez wymienienia jednak miejscowości, do której mają podążyć. Z rana pošlesz po fiakra, pamiętaj jednak, byś kazał zawołać nie pierwszego czy drugiego koło twego domu, lecz kogoś z dalszych. Fiakrem tym dojedziesz do pasażu koło Strandu, tam wysiądziesz, szybko przejdiesz przez pasaż i piętnaście po dziewiątej znajdziesz się na drugiej stronie. Tam będzie oczekiwał na ciebie powóz jednokonny z ubranym na czarno woźnicą. On przywiezie cię na dworzec parę minut przed odjazdem pociągu.

– Gdzież mam cię szukać?

– W pociągu. Drugi wagon pierwszej klasy, licząc od lokomotywy.

– Zatem dopiero tam się zobaczymy?

– Tak jest.

Na próżno namawiałem go, by został na noc. Rzekł jeszcze kilka słów na pożegnanie i

udał się ze mną do ogrodu, skąd przez parkan przedostał się na Mortimer Street. Po chwili usłyszałem, jak wskoczył do dorożki i odjechał.

Na drugi dzień rano zastosowałem się ściśle do wskazówek Holmesa. Sprowadziłem dorożkę z sąsiedniej ulicy, by nie trafić na podstawionego dorożkarza; następnie przeszedłem szybko przez pasaż i na jego końcu ujrzałem czarno ubranego woźnicę; wskoczyłem do powozu, a on ruszył natychmiast na dworzec. Gdy przybyliśmy na miejsce, ledwie wysiadłem, woźnica zaciął konie i zniknął mi zaraz z oczu. Dotychczas wszystko szło dobrze. Odnalazłem swój bagaż i wsiadłem do umówionego wagonu. Obawiałem się tylko jednego; żeby Holmes się nie spóźnił. Za parę minut pociąg miał już ruszyć. Bezsukutecznie szukałem go wśród tłumu; nigdzie nie było widać jego zgrabnej figury. W pewnej chwili zostałem zaczepiony przez jakiegoś włoskiego księdza, któremu pomogłem rozmówić się z tragarzem, nie mogącym ani rusz zrozumieć jego łamanej angielszczyzny, dotyczącej odesłania bagażu do Paryża. Raz jeszcze obszedłem platformę i wróciłem do wagonu; zastałem tam owego włoskiego księdza. Chciałem mu nawet zwrócić uwagę, że przedział jest zajęty i że wsiadł tu przez pomyłkę; zaniechałem jednak, nie chcąc łamać języka moją „włoszczyzną” chyba jeszcze gorszą od jego angielszczyzny. Zacząłem wyglądać przez okno, wypatrując mego przyjaciela. Zimno mnie przejmowało na myśl, że może stało się coś złego tej nocy. Wreszcie zatrzęsnięto drzwi wagonów, rozległ się dzwonek, a wraz z nim głos tuż obok mnie:

– Mój kochany Watsonie! Mógłbyś chociaż przywitać się ze mną. Obejrzałem się zdumiony. Zgrzybiały księżyna patrzył na mnie badawczo. I oto w jednej chwili zmarszczki na jego twarzy drgnęły i zginęły, nos się wyprostował, podbródek opadł, dolna warga już nie zwisała, mętne oczy patrzyły znowu z młodzieńczym ogniem, a zgarbiona postać stała się znów prosta i sprężysta. Przede mną stał Holmes, lecz tylko przez chwilę.

– Boże – krzyknąłem mimo woli – ależ mnie nastraszyłeś!

– Tss – szepnął mi – ostrożność nie zawadzi. Podejrzewam, że tropią nas zawzięcie... Aha! masz, oto i Moriarty!

Gdy Holmes to powiedział, pociąg już ruszył. Obejrzawszy się, ujrzałem, jak jakiś wysoki człowiek rozpychał tłum na dworcu i machał ręką, jakby chciał zatrzymać pociąg. Było już jednak za późno, pociąg przyspieszył biegu i jak strzała pomknął naprzód.

– Widzisz więc! – rzekł Holmes śmiejąc się. – Mimo ogromnej ostrożności ledwie nam się udało. Powstał, zdjął z siebie sutannę, zwinął ją i włożył do walizy.

– Czytałeś poranne gazety? – Nie.

– Więc nic nie wiesz, co się stało na Baker Street?

– Na Baker Street?

– W nocy podpalili mój dom. Na szczęście niewiele się spaliło.

– O, Boże! Ależ to nie do zniesienia, mój drogi!

– Stracili mnie widocznie całkiem z oczu od chwili, gdy został aresztowany ów drab, który rzucił się na mnie z nożem. Nie wiedzieli, gdzie mnie szukać i sądzili, że powrócę do domu. Ale dla pewności śledzili i ciebie, dlatego Moriarty znalazł się na dworcu. Czy wypełniłeś skrupulatnie moje polecenia?

– Tak jest, dokładnie.

– Znalazłeś powóz po wyjściu z pasażu?

– Tak, czekał na mnie.

– Poznałeś woźnicę?

– Nie.

– To był mój brat Mycroft. W takich sytuacjach najlepiej polegać na zaufanych. No, jak teraz postąpimy z Moriartym?

– Przecież to ekspres, który ma połączenie ze statkiem; uniknęliśmy więc jego pościgu.

– Mój drogi! Zapomniałeś widocznie, co ci mówiłem, że ten człowiek w niczym nie ustępuje mojej przenikliwości i sprytowi. Czy sądzisz, że gdybym to ja go ścigał, taka drobnostka mogłaby mnie zbić z tropu? Kiepskie masz o nim wyobrażenie, przyjacielu!

– A cóż on może zrobić?

– To samo, co ja bym zrobił, będąc na jego miejscu.

– Mianowicie?

– Wynająłbym pociąg.

– Na to już za późno.

– Mylisz się. Nasz pociąg zatrzymuje się w Canterbury, a do tego statek spóźnia się zwykle o cały kwadrans. Tym więc sposobem dogoni nas.

– Mam wrażenie, jak byśmy to my byli zbrodniarzami, a on nas ścigał. Każ go aresztować na przystani.

– To by znaczyło zmarnować wszystko, co zrobiłem w ciągu trzech miesięcy. Ujęlibyśmy jego, a banda by się rozpierzchła. Tymczasem w poniedziałek wszyscy bez wyjątku będą w moich rękach. Nie, nie może być mowy o aresztowaniu.

– To co zrobimy?

– Wsiądziemy w Canterbury.

– A potem?

– A potem zboczymy do Newhaven i stąd przejedziemy do Dieppe. Moriarty zaś uczyni tak: przyjedzie do Paryża, odszuka nasz bagaż i będzie go pilnował. Przez cały ten czas będziemy musieli kupować wszystko w drodze, obywając się bez naszych rzeczy; tym sposobem przez Luksemburg i Baden dostaniemy się do Szwajcarii.

Zbyt wiele podróżowałem, bym miał się martwić z powodu straty bagażu. Wyznaję jednak, że przykra była ta ucieczka przed człowiekiem, który sam powinien siedzieć w więzie-

niu. Tak czy owak, wierzyłem, że Holmes wie lepiej ode mnie, co należy zrobić, dlatego też najposłuszniej wysiadłem z nim w Canterbury, gdzie musieliśmy całą godzinę czekać na pociąg do Newhaven.

Stałem na platformie, z żalem patrząc, jak w świat jadą moje rzeczy i cała moja podróżna garderoba, gdy nagle Holmes pociągnął mnie za rękaw.

– Patrz! czy nie miałem racji? – powiedział.

Zza lasku ukazał się dym, a w niespełną minutę potem przemknęła przed nami jak burza lokomotywa z jednym tylko wagonem. Ledwie zdążyliśmy się ukryć za stosem skrzyń i kufrów.

– To on jedzie! – rzekł Holmes, wskazując pociąg. – Tym razem jednak omylił się nieco w rachunkach.

– A co by było, gdyby nas dogonił?

– Nie ulega wątpliwości, że usiłowałby mnie zabić. Ale możesz być pewny, że nie byłoby to takie proste. Teraz jednak chodzi o to, czy zjeść śniadanie tu, czy poczekać do przyjazdu do Newhaven.

Tej nocy przyjechaliśmy do Brukseli i zabawiliśmy tam dwa dni; trzeciego wyjechaliśmy do Strasburga. W poniedziałek rano Holmes zatelegrafował do Scotland Yardu i wieczorem otrzymał odpowiedź. Przeczytawszy ją, rzucił z przekleństwem na ziemię.

– Tego się obawiałem – jęknął – wymknął się im!

– Moriarty?!

– Schwytali całą szajkę, oprócz niego; uciekł! Podczas mojej nieobecności nikt nie mógł, to pewna, iść z nim w zawody. Spodziewałem się jednak, że cała rzecz, przeze mnie zorganizowana, pójdzie jak po maśle. Wiesz co, Watsonie? Wracaj teraz lepiej do Londynu!

– Dlaczego?

– Bo w moim towarzystwie nie jesteś bezpieczny. Człowiek ten przegrał już wszystko; wracać do Londynu nie ma po co. Jeżeli go dobrze znam, wszystkie siły zużyje teraz na to, by mi sownie odplacić. Tak zapowiadał – i tak też uczyni niezawodnie. Lepiej więc będzie, gdy wrócisz do swych chorych.

Rzecz prosta, pozostałem głuchy na jego namowy. Zbyt go lubiłem, zbyt długa przyjaźń nas łączyła, bym mógł się zgodzić na pozostawienie go w tej sytuacji bez życzliwej dłoni. Sprzeczałyśmy się na ten temat przez pół godziny; stanęło na tym, że tej jeszcze nocy pojechaliśmy razem do Genewy.

Cały tydzień spędziliśmy cudownie na wodach Rodanu, bawiliśmy w Interlakenie, w Meiringen zachwycaliśmy się widokami górskimi, oddychaliśmy świeżym jak rosa, powietrzem. Wszędzie jednak, gdzie byliśmy, czułem wyraźnie, że Holmes nie zapomina ani na chwilę o grożącym mu niebezpieczeństwie. Czy to w osadach alpejskich, czy na odludnych górskich

szlakach jego oko bacznie wpatrywało się w każdego przechodnia; widać było, że jest przygotowany na spotkanie się ze swym wrogiem.

Mimo tej ciągłej czujności nie upadał na duchu. Nigdy jeszcze nie widziałem go w tak świetnym nastroju; utrzymywał, że gdyby udało mu się uwolnić świat od Moriarty'ego, nie zawahałby się ani przez chwilę zapłacić za to własnym życiem.

Pozostaje mi obecnie w niewielu słowach opowiedzieć resztę smutnych wypadków. I choć każdy szczegół tych ostatnich chwil sprawia mi ogromny ból, uważam za swój obowiązek podzielić się nimi z ogółem czytelników.

Trzeciego maja przybyliśmy do małej miejscowości Meiringen i zatrzymaliśmy się w hotelu Englicher Hoff prowadzonym przez Petera Steilera. Był to człowiek dosyć inteligentny, biegle mówiący po angielsku, ponieważ przez trzy lata był lokajem w jednym z angielskich hoteli. Idąc za jego wskazówkami, czwartego maja po południu wybraliśmy się w góry, pragnąc dotrzeć do wioski Rosenlau i tam przenocować. Odradzał nam jednak szczerze krótszą drogę, która wiodła koło wodospadów i była nad wyraz niebezpieczna.

W istocie miejsce to budziło grozę. Woda spadała do głębokiej otchłani, a unoszące się nad nią bryzgi przypominały wielkie dymy pożaru. Towarzyszył temu ogłuszający łoskot. Długo staliśmy na wierzchołku skały, zachwycając się tym wspaniałym widokiem.

Do wodospadu prowadziła wąska ścieżka, która urywała się nad samym jego skrajem, tak że wracać trzeba było tą samą drogą. Załedwie ruszyliśmy od wodospadu, gdy dogonił nas chłopiec z listem w ręku. Na kopercie był znak naszego hotelu. A oto co pisał gospodarz: w chwilę po naszym wyjściu przyjechała do hotelu Angielka w ostatnim stadium gruźlicy. Dostała krwotoku i jej życie policzone jest na godziny; pragnie jednakże pomocy lekarskiej; jeżeli więc mogę zawrócić z drogi... itd. w tym guście. Na końcu był dopisek: Steiler nie zapomni mi nigdy tej przysługi, bo chora nie chce lekarza szwajcarskiego.

Nie mogłem odmówić. Nie wypadało nie iść na wezwanie rodaczki, umierającej w obcym kraju. Ale też nie mogłem zostawiać Holmesa samego. Postanowiliśmy wreszcie, że z nim pozostanie ów chłopiec przybyły z listem, ja zaś podążę do Meiringen. Holmes miał jeszcze zabawić nieco przy wodospadzie, a potem powoli udać się do Rosenlau, gdzie miałem dotrzeć do niego wieczorem. Gdy się obróciłem, odszedłszy już nieco, zobaczyłem Holmesa, opartego plecami o skałę, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, patrzącego w dół, w otchłań wodospadu. Widziałem go wtedy ostatni raz!

Gdy byłem już na dole, u podnóża skał, raz jeszcze obejrzałem się; wodospadu nie było widać, lecz ścieżką, wiodącą ku niemu, szedł szybko jakiś człowiek.

Na jasnym tle zieleni jego postać było widać wyraźnie. Zwrócił moją uwagę tym, że szedł szybko, bez zatrzymywania się. Wkrótce zapomniałem o nim, myśląc o chorej.

Po upływie godziny przybyłem do Meiringen. Stary Steiler stał w drzwiach hotelu.

– No! Jakże tam? – wykrzyknąłem z dala. – Mam nadzieję, że stan się nie pogorszył.

Steiler spojrział na mnie zdziwiony, a moje serce ścisnęło się od złych przeczuć.

– Czy nie pisał pan tego listu? – zapytałem go, wyjmując list z kieszeni. – Czy nie przyjechała do hotelu chora Angielka?

– Ależ nie! – odrzekł, dziwiąc się coraz bardziej. – Papier ze znaczkiem hotelu... Musiał to pisać ów wysoki Anglik, który tu przybył zaraz po odejściu panów. Mówił mi...

Nie dosłuchałem końca i pędem zawróciłem tą samą drogą, którą przed chwilą przyszedłem. Schodziłem dobrą godzinę, teraz, idąc pod górę, upłynęły dwie godziny, zanim dotarłem do wodospadu. W pobliżu skały leżał kij alpejski Holmesa, tuż koło tego miejsca, gdzie widziałem go ostatni raz. Na próżno wołałem przyjaciela, szukając go dookoła: jedynie górskie echo odpowiadało na moje słowa.

Widok kija przeraził mnie. Oznaczało to, że nie poszedł do Rosenlau. Stał na tej wąskiej ścieżce, tuż nad samą przepaścią, i tu go spotkał wróg. Chłopca również nigdzie nie było. Widocznie został przekupiony przez Moriarty'ego i zostawił ich sam na sam. Co było potem? Kto odgadnie, co się stało później?

Parę minut stałem w odrętwieniu, przejęty grozą. Potem – o, ironio! – naśladowując Holmesa, starałem się jego własną metodą odtworzyć scenę, jaka tu mogła się rozegrać. Niestety! Okazało się to nader trudne. W ciągu całej naszej rozmowy nie dochodziliśmy do końca ścieżki; jego kij alpejski wskazywał, gdzie się zatrzymaliśmy. Grunt w tym miejscu był bardzo miękki, nawet ptak zostawił na nim ślady. Dwie pary śladów prowadziły dalej tą ścieżką, lecz nie powracały. W odległości kilku jardów od brzegu przepaści ziemia była zdeptana, miała liczne zagłębienia. Położyłem się na samym skraju otchłani i zajrzałem w głąb. Zapadał już zmrok, widziałem tylko pod sobą kłęby huczącej wody i nic więcej. Zawołałem, ale nie było odpowiedzi.

Los jednak zrządził, że od swego przyjaciela i towarzysza otrzymałem znak pożegnalny. Mówiłem już, że kij leżał porzucony koło skały. Podniosłem go i wtedy zobaczyłem, że coś błysnęło na ziemi. Była to srebrna papierośnica Holmesa. Otworzyłem ją z uczuciem żalostnej trwogi; ze środka wypadł kawałek papieru. Rozwinąłem go; był zaadresowany do mnie. Była to kartka, wydartą z notesu i zapisana ołówkiem. Trzeba oddać sprawiedliwość Holmesowi; w ostatniej chwili życia pisał równie wyraźnie i spokojnie, jak to czynił przy swym biurku. Oto ten list w całości:

„Kochany Watsonie! Kreślę te słowa dzięki uprzejmości pana Moriarty'ega, który zgodził się zaczekać kilka chwil, zanim przystąpimy do rozwiązania sprawy życia i śmierci. Opowiedział mi, jakim sposobem uniknął pościgu, policji angielskiej i wysłedził nas w naszej podróży. Jeszcze teraz mam pochlebne zdanie o jego talencie. Jestem rad, że moim udziałem staje się uwolnienie świata od tego człowieka, boleję tylko nad tym, że swoim przyjaciołom, a

*głównie Tobie, Watsonie, sprawić muszę ból. Mówiłem ci już jednak, że dobiegłem do szczytu sławy i w sposób świetniejszy nie mógłbym zakończyć mej drogi. Jeżeli chcesz znać prawdę, to ani przez chwilę nie wątpiłem, że ów list z hotelu to podstęp Moriarty'ego. Pozwoliłem jednakże Ci odejść, wiedziałem bowiem, że tak czy owak starcie z nim staje się nieuniknione. Przekaż ode mnie inspektorowi Pattersonowi, że wszystkie papiery, dotyczące sprawy Moriarty 'ego, leżą u mnie w biurku. Testament zrobiłem już przed wyjazdem z Londynu i wręczyłem go swemu bratu Mycroftowi. Bądź łaskaw przekazać słowa szacunku swej żonie. Twój szczerze oddany
Sherlock Holmes”*

Jeszcze kilka słów. Badania biegłych wykazały, że pojedynek ów zakończył się runięciem obu w przepaść. Wszelkie próby wydobywania ciał okazały się niewykonalne. I oto tam, w dole, wśród potoków huczącej wody, spoczęły dwa ciała: największego zbrodniarza i najlepszego detektywa, przyjaciela i dobroczyńcy ludzkości. Chłopca, który doręczył list, również nie znaleziono; nie ulega wątpliwości, że był to jeden z agentów Moriarty'ego.

Tak zginął, jak żołnierz na posterunku, najlepszy i najmądrzejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek znałem. Pamięć o nim pozostanie mi drogą na zawsze.

SPIS TREŚCI

PIES BASKERVILLE'ÓW

Rozdział 1 Sherlock Holmes	7
Rozdział 2 Przeklęty ród	14
Rozdział 3 Zagadka	25
Rozdział 4 Sir Henryk Baskerville	35
Rozdział 5 Trzy zerwane nici	47
Rozdział 6 Baskerville Hall	58
Rozdział 7 Stapletonowie z Merripit House	69
Rozdział 8 Pierwszy raport doktora Watsona	84
Rozdział 9 Drugi raport doktora Watsona	92
Rozdział 10 Wyjątek z dziennika doktora Watsona	110
Rozdział 11 Człowiek z Czarnego Szczytu	121
Rozdział 12 Śmierć na moczarach	135
Rozdział 13 Zarzucanie sieci	150
Rozdział 14 Pies Baskerville'ów	161
Rozdział 15 Rzut oka wstecz	174

PRZYGODY SHERLOCKA HOLMESA

Rozdział 1 Srebrzysta Gwiazda	187
Rozdział 2 Dziedzice z Reigate	214
Rozdział 3 Urzędnik Pickroft	234
Rozdział 4 Stały pacjent	252
Rozdział 5 Ostatnia zagadka	271